ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

WROCŁAW

ROK 2 STYCZEŃ 1948 Nr 1

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

WROCŁAW

ROK 2 STYCZEŃ 1948 Nr 1

Zam. 526 *Drukarnia Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu* F 17374

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

LATO 1894 ZA GRANICĄ

DAHOMEJ W BERLINIE

W lipcu

Na ulicach pustki; jedynie Pod Lipami i na Friedrichstrasse panuje ruch znaczny.

U Ronachera garsoni drzemią pod wspaniałą werandą, bo cały świat modny i bawiący się wyjechał.

W teatrach, o ile nie są pozamykane na sezon letni, same stare i znane rzeczy lub miejscowej produkcji bomby bez treści i sensu.

W tak wolnym tempie płynie tutaj życie, tak wolno chodzą, robią, myślą, że 48 godzin berlińskiego życia wystarcza, aby się zmęczyć śmiertelnie miastem i zanudzić. Nuda to jedynie silne wrażenie, jakie się stąd wywozi. Wieczoru nie ma gdzie przepędzić, bo w tych paradnych kawiarniach, przeładowanych złoceniami i echt berlińskim wykwintem, jest tak drogo, że się z przyjemnością po raz drugi nie wchodzi.

Hec najrozmaitszych zatrzęsienie. Na trzydzieści afiszów dwadzieścia głosi i zachwala nieznane dotychczas widowiska. W Pasażu Panopticum — rozłożyli się Dahomejczycy.

Poszedłem, aby zobaczyć trochę więcej ludzi.

Samo Panopticum pomimo kolosalnych sum, jakie kosztowało, to także szopka.

Wiecznie ciż sami gnomi, te same potwory, jeziora pełne wypchanych krokodyli, podziemia oświetlone czerwono; te same woskowe podobizny sław narodowych z Bismarkiem i Moltkem na czele.

Do nadzwyczajności, o której wspominają nawet afisze, należy podobizna Carnota. Cisną się też przed nią tłumy i ze współczuciem mówią o jego tragicznym skonie.

— Panie, czy są w Berlinie ładne kobiety? — pytam się jakiegoś Niemca, co obok z zachwytem przygląda się woskowej grupie tańczących bachantek. Nie odpowiada mi.

Zdaje mi się, że tutaj nikt mi na to nie odpowie potakująco.

Dopłacam 30 fenigów i wchodzę do Dahomejczyków.

Ogromna, wyzłocona sala zalana potokami słońca, ludźmi i gwarem. Muzyka gra jakiegoś sentymentalnego walca. Wszyscy palą i wszyscy mówią. Białe fartuchy kelnerów przecinają salę w różnych kierunkach i coraz to słychać stuk kufla i gruby, zachrypnięty głos:

— Bier!

W sali pełno Dahomejczyków. Przeciskają się pomiędzy stolikami ze zwinnością małp i karotują. Nadzy są prawie i prześlicznie zbudowani. Ich czarno-popielaty ton skóry jest atłasowo połyskliwy i miękki niezmiernie. Jakaś Venus dahomejska wdzięczy się i gwałtem chce sprzedać swoją fotografię. Ma cudownie toczony tors a skórę przepyszną.

Wszystkie te dzikie postacie mają linie i kontury antyków, a twarze orangutangów.

Wodzowie w perkalowych białych płaszczach, w piórach orlich na głowach, w bransoletach na nogach i rękach, skaczą i krzyczą najgłośniej. Tańczą z jakąś niedbałą precyzją i z dumą wyciągają ręce po pieniądze.

Kobiety o silnie rozwiniętych piersiach, okręconych setkami sznurków, nanizanych kościanymi paciorkami, w białych myckach na pozwijanych niby kwiat hiacyntu włosach, z jeszcze większą bezczelnością skomlą o piwo i datki. Nic nie słychać, tylko wrzask tych dzikich głosów, brzęczenie ich ozdób i ostre, przenikliwe śmiechy publiczności.

Z ulicy dopływa szum miasta i przez szyby wdziera się do sali przygłuszoną wrzawą i bije pyłem dźwięków i barw stłoczonych.

Naraz odzywa się tępy, drewniany dźwięk bębna, jak szary błysk i te wszystkie czarne postacie rzucają się gwałtownym, dzikim skokiem naprzód przez krzesła, stoły, ludzie skaczą na estradę i ustawiają się w szeregach. Przycisza się w sali.

Jakiś Niemczyk z twarzą głodomora opowiada monotonnym głosem treść przedstawienia.

Skończył, a muzyka uderza w kotły i jakieś długie metalowe piszczałki wyją przeraźliwy hymn czy pobudkę. Z chat stożkowych, krytych trzciną i stojących w cieniu rudawych, powiędłych palm, wysuwa się kohorta zbrojna amazonek dahomejskich.

Każda postać to arcydzieło muskulatury wspaniale rozwiniętej i pozy. Nagie torsy i nogi połyskują tą dziwną czarnością, a tuniki krótkie, z różnokolorowych pasów zeszywane, pstrzą się świetlanymi plamami na czarnym tonie skóry i jasnej dekoracji głębi, przedstawiającej Dahomej.

Muzyka gra marsza, a ten szereg ciał hebanowych wyciągnięty, prostym i sztywnym krokiem, z blaszanymi strzelbami na ramionach wykonywa różne ewolucje wojskowe. Czerwone, obrzękłe twarze Niemców z pierwszych rzędów zaczynają przybierać ton fioletowy i napływać zachwytem, ręce się wyciągają do oklasków i z setek gardzieli wydziera się mocny, chropowaty okrzyk radości:

— Brawo! Brawo Dahomej's!

Szeregi ustawiają się w głębi, bo na front estrady wychodzi dwóch czarodziejów czy kapłanów w białych płaszczach.

Jeden ma potwornego bożka, ciosanego barbarzyńsko z drzewa, a drugi płaski koszyk trzcinowy i długą z trzciny piszczałkę.

Ten z bożkiem umieścił go na podłodze i zaczyna lekko okręcać się dokoła, a ten drugi podniósł wierzch koszyka, przysiadł na ziemi opodal i zaczyna wydobywać z trzciny niezmiernie piszczące, a silne tony.

— Węże! Wąż! Serpent! — wołają na sali i coś, jak dreszcz przebiegło wszystkich.

Piszczałka ciągle śpiewa, a w jej takt zaczyna także śpiewać ten tańczący, którego widać płaszcz niby koło białe, olbrzymie, tak szalenie prędko się kręci.

— Zweite! Vierte! Sechste! Siebente! — wołają przyciszonymi głosami.

Węże wysuwają się z koszyka i leżą przez chwilę nieruchome, wyciągnięte na podłodze.

Cały Dahomej skupiony w półkole zaczyna śpiewać.

Nosowe dźwięki płyną spokojnie, a z jakąś trwożną akcentacją. Kołyszą się wszyscy w powolnym rytmie melodii

coraz przeciąglejszej. Nozdrza zaczynają im drgać, a różowe białka oczu błyszczą coraz mocniej, bo węże wyprostowały się prawie i zaczynają po jakichś skośnych liniach coś w rodzaju tańca. Ich długie i zielonkowate ciała wiją się, podskakują i z sykiem opadają na podłogę.

Ten śpiew niby zahypnotyzowanych brzmi coraz ciszej. Naraz ten czarodziej rzuca się na ziemię, węże jak piorun opadają na niego, ale on szybko jak myśl wysuwa się, zrywa sobie płaszcz z ramion i zaczyna nim powiewać wokoło. Stanęły ogłupiałe, małe oczki zaczynają im żółtawo świecić, jak płomyki i z sykiem rzucają się do niego; wymyka się, skacze na jedną z chat, węże biegną za nim; czepia się palmy i żałosnym, przeciągłym głosem zaczyna śpiewać, okręcają mu nogi, i te długie a płaskie głowy chwieją się w słońcu i pełzają po nim z sykiem.

Świsnął i długie ciała opadły na ziemię.

Sala znowu zabrzmiała brawami, ocierają sobie spocone z emocji czoła, a garsoni przynoszą potrójną ilość piwa. Muzyka znowu gra walca, na scenie jakieś pochody, zabawy, tańce, skoki. Potem czarodziej zaczyna religijny taniec. Rzuca się na ziemię, wywraca koziołki, bije głową o szeregi, wyje, zaczyna toczyć pianę. Ten tłum czarny zakołysał się gwałtownie i skłębił. Jakiś powiew przeszedł po nich, zapomnieli na chwilę, gdzie są i po co? bo podnieśli ogromny krzyk i ze wzdętymi piersiami, z błyskami w oczach rzucali się na ziemię, bili się kolbami, czołgali na brzuchach wokoło bożka i dzikimi wrzaskliwymi głosami wyli:

— Eel! all! Mu-ak!

Zaczęli doskakiwać na front estrady i wytrząsać blaszanymi szablami publiczności.

W sali zamieszanie, ale po chwili już cała się trzęsie oklaskami i ten europejski, wielkomiejski motłoch rozpływa się z uciechy. Podrażniły te biedne czarne twarze zapasione ciała, targnęły za stępione nerwy, że wszyscy biją brawa, kufle stukają, zapał podnosi się do zenitu, bo teraz na estradzie udają bitwę i robi się zamęt i hałas niewypowiedziany. Szczęk pałaszy, głuchy łoskot kolb miesza się z głosami orkiestry i dźwiękami tamtamów, piszczałek, a te bębny podnoszą głuchy turkot i splątany z krzykami dzieci, biją straszną wrzawą.

Słońce ostatnimi blaskami oświeca te wszystkie czarne i białe ciała i złoci czerwonawo szczyty skał tekturowych, ubranych czaszkami z „papier-machè“. Śmieją się te czaszki i wyszczerzają papierowe zęby z tej podsufitowej wysokości, a pod nimi ogromna sala trzęsie się od krzyków, śpiewów i nawoływań; mieni się wszystkimi odcieniami złota, purpury i hebanu. Dzicy skończyli przedstawienie.

Tylko tych dzikich ciał, tych błysków wilgotnych źrenic na dźwięk śpiewów swoich i tego szalonego bojowego wrzasku, co zatrząsł nimi i omal nie rzucił w zamęt walki z bladymi twarzami, nie było w programie.

Wymyśla im, aż siny ze złości aranżer widowiska i zakazują podobnych dodatków, bo się publiczność przestraszyła.

Wódz z cygarem w ustach śmieje się teraz i wyciągając do widzów swoje fotografie woła w kiepskiej angielszczyźnie:

— Panowie! Kupujcie fotografie wodza Dahomeju! Kupujcie! Tylko po jednej marce...

DOVER — LONDYN

Wsiedliśmy zaraz do wagonów. Pociąg długo biegł nad morzem, wykutą w skale drogą, przez której rozpadliny raz po raz błyskała zielona tafla wody, bezkresną później nad szarym brzegiem, że widać było z okien wagonu, jak woda opłukiwała żwir nadbrzeżny i wyrzucała małe, czarne muszle na piasek. Morze wyglądało teraz tak, jak ozimina jesienna, przyprószona pierwszym śniegiem, grzebieniami piany. Pociąg leciał z nieznaną u nas szybkością. Przebiegaliśmy dziesiątki tuneli, mostów, nasypów. Skały szare, okryte czepiającą się słabą zielonością, stały niby stogi poryte. Potem ten rodzaj dzikości się zmienił i już jechaliśmy czysto angielskim krajobrazem, okolicą górzystą, pofalowaną i zieloną niezmiernie. Pełno drzew, pastwisk i czerwonych ceglanych domków. Ani śladu nigdzie wsi, podobnej choćby w części do naszej. Wszędzie cegła, domy piętrowe, pola wszędzie obwiedzione żywopłotami z głogów. Na pastwiskach widać stada owiec, to krów, w trawie po rogi zanurzonych, i znowu toż samo. Wzgórza zbiegają się i rozbiegają na wszystkie strony i na zboczach, w parkach ogrom-

nych, jak plamy czerwone migocą domy. Łąki przecięte strugami bystrej wody, ogrody kwiatowe, pełne rozkwitłych lewkonii, których zapach dolatuje aż do wagonu. Gdzieniegdzie w przekopach skalistych pną się róże rozkwitłe i wisi żółty krzak janowca lub ogromnymi literami, białymi na czarnym tle, tkwi wśród najpiękniejszej łąki, wpośród róż „Pear's soap". Już na skałach Dowru widzi się to samo. Po prostu nie można się temu opędzić. Wpada się w tunel, to u wylotu, gdzie się tylko światło zdołało docisnąć, już czyha na twoje oczy to „Pear's soap". W wagonie, na stacjach, na mostach, na ścianach domów, gdzie tylko jest to możliwe, to z pewnością już tam są te dwa słowa. Tak to drażni, że najpiękniejszy krajobraz irytuje, człowiek boi się patrzeć, aby znowu nie spotkać się z tym „Pear's soap".

Jedno tylko wrażenie odbiera się, jadąc z Dowru do Londynu, to chaosu zieloności, popstrzonej ogłoszeniami. Anglia wydała mi się krajem łąk i ogłoszeń. Tu zdają się po to tylko ludzie stawiać domy, parkany, wieże, aby móc je oblepiać płachtami papieru. Wszystko znika absolutnie pod tym. Tak mnie zmęczyły te różnokolorowe płachty, że zaledwiem mógł zauważyć ten chaos domów Londynu.

Jechaliśmy nad labiryntem ulic, placów, domów. Rojowisko ludzkie, zwane Londynem, tonęło w mgle szarej. Dymy zasłoniły horyzont, tylko Tamiza zaszarzała długim pasem, gdyśmy przez nią przelatywali, i majaczyło tysiące wież. Na stacjach ruch wprost szalony. Co chwila mijają nas pociągi, przelatują nad nami, pod nami, ciągną się te żelazne ramiona szyn, jak węże w setki kierunków i zdają się być arteriami tego czarnego, okopconego, potwornego cielska — Londynu. Wpada się literalnie niby w odmęt ludzi i domów.

Z WŁÓCZĘGI PO LONDYNIE

1

Anglia jest istotnie krajem sprzeczności. Lud najbardziej handlarski i zimny, lud, który ujarzmia, podbija i wysysa narody, sto razy silniejsze od siebie. Panuje potężnie na wszystkich morzach i wszystkie rynki handlowe zalewa swoim przemysłem. Narzuca przez Spencerów światu naj-

skrajniejszy racjonalizm, który jest tak utylitarnym, że to aż podnosi do godności narodowej zasady. Naród, którego filozofia, sztuka, handel, przemysł i podboje zdają się być wytężone w jednym kierunku — wytwarzania i zarabiania, ma jeszcze inne strony. Jeżeli są faktycznie jeszcze dzisiaj towarzystwa akcyjne, dostarczające żywego mięsa na wschód, to i są takie towarzystwa, jak słynne Biblijne, które miliony kładzie w rozpowszechnianie słowa Bożego. To są tysiączne zgromadzenia, choćby takie, jak Armia zbawienia, która poza swoją dziwacznością zewnętrzną i specjalnie angielską ma doniosły cel etyczny: podnoszenia dusz upadłych, dawania chleba nędzy, to jest Stead'owska liga, to są tysiączne stowarzyszenia, mające na celu najczystszą miłość ludzi. Są to głębie tutejszego życia.

Jest taki nadmiar energii życiowej w tym ludzie, że poza polityką, handlem z pewnością znajdzie czas do wszystkiego. Mają czas na uprawianie setek sportów od pieszego aż do walk szczurzych, od spółek do fabrykacji fetyszów dla zulusów i ludów Oceanii do stowarzyszeń dziwacznych, o celach abstrakcyjnych, jak spirytyzm i teozofia. Uprawiają wszystko z jednaką siłą. Nie flirtują z niczym. To jest jedyny nieznany w Anglii sport. Nie znają czasu na gadanie. Wszystkie prawie sklepy w wystawach są opatrzone cenami, żeby się kupujący z góry zdecydował i później nie nudził wybieraniem. Widziałem na Regent Street w jednym z olbrzymich galanteryjnych sklepów, jak Niemka czy Dunka jakaś z pół godziny wybierała i nie mogła wybrać koloru rękawiczek. Otóż subiekt najspokojniej damę zostawił przy kontuarze, a sam ściągnąwszy surdut, zabrał się energicznie do przeładowywania szaf.

2

Za wielkie miasto, za wiele ludzi i rzeczy oryginalnych. Za dużo odbiera się wrażeń, za prędko i wyczerpująco się tutaj żyje. Jest się wśród burzliwej fali morza, która porywa i niesie ze zgiełkiem. O wiele wygodniej jest usiąść i patrzeć na wszystko z jakiegoś wewnętrznego, wysokiego punktu, niżeli chcieć poznać wszystko, bo człowiek bezwiednie ulega lenistwu i poddaje się biernie fali, przypominając tylko sobie, że potrzebuje zobaczyć jeszcze to i owo. Kończy się tym,

że samemu sobie mówi się: jutro, a jutro przychodzi i człowiek idzie znowu na włóczęgę, ot prosto przed siebie. Wciąż błądząc po ulicach pieszo albo omnibusami, odkrywa się to, że jakieś wrażenie dominujące wydostaje się na wierzch. Londyn jest brzydki i smutny, ale nie jest pospolity. Jest potęgą narodu energicznego i czynnego we wszystkim. Wszystko znamionuje siłę, rozrastającą się swobodnie, otamowywaną purytanizmem obyczajów, ale siłę zdrową i świadomą. Kościół św. Pawła, Tower, Westminster, skwer Trafalgarski, British Museum, parki, doki — wszystko to znamionuje niezwykłe życie i niezwykłe potrzeby.

A do tego te ciągłe kontrasty, spotykane na każdym kroku. Wychodzi się z ulicy, zapchanej literalnie ludźmi, końmi i wozami i tonie się w parku, idzie się z pół mili trawnikami przepysznymi, lasem platanów zielonych, klombami pełnymi palm i krzewów heliotropu rozkwitłego. Po orgii życia przyśpieszonego cisza wsi, po czarnych, okopconych murach trawniki i wonie róż dokwitających. Ulice ciągną się we wszystkie kierunki, żółty żwir przebłyskuje przez ciemną plątaninę gałęzi i liści, w puszystych trawach, pod wiązami, w grupie jaśminów śpią sobie najspokojniej jacyś ludzie, którzy widać nie mają co lepszego do roboty. Przechodzi się park, kilkanaście ulic cichych, wysokich, że ma się wrażenie, jakby się szło kanałem o sklepieniu szarym nieba, i wychodzi się na Tamizę, i znowu się staje patrzeć na wody mętne, zielonawe, na setki statków, które z daleka wyglądają, jakby płynęły powietrzem, na dziesiątki łagodnie zakreślonych elips mostów, na pociągi biegnące po nich w białych mgłach dymów, na tysiące szczytów wież, na tę szaloną i gwarną komedię życia wielkomiejskiego, i idzie się dalej, wchodzi się w labirynt uliczek, niby dna rynsztoków, pełnych śmieci i brudu. Domy stoją czarne, szopy na pół rozwalone, okna pozatykane szmatami, drzwi wiszące na jednych zawiasach. Ludzie snują się jak cienie i psy węszą i kopią w kupach śmiecia. Spotyka się tutaj Hogarthowskie typy, domy jakby ociekały brudem, plugastwo ludzkie na dnie ścian — tak się bezwiednie definiuje. Zapach zgniłych ryb i gnijącego drzewa drażni. Jatki na trotuarze i na hakach wiszą rozcięte, ociekające krwią barany. Krew plami bruk i sączy się ryn-

sztokiem. Wystawy sklepików brudne, a sklep tandeciarza cały na ulicy, zawieszony wstrętnymi łachmanami. Tawerna podobna do jaskini wyziewa wstrętne zapachy ginu i brandy, a kilku podpartych o plecy dżentelmenów pali krótkie fajeczki. Spoglądają tak, że ja jak najprędzej przesuwam się obok nich i w jakimś zakątku wyciągam Baedeckera z kieszeni, aby się zorientować, i uciekam z powrotem.

3

Pyszna scena przed Victoria Hotelem. Przed głównym wjazdem tłok, coraz to zatoczy się kareta, jadą posłowie do parlamentu, to jakiś lord jedzie breakiem w cztery ogniste konie, z czerwono ubranymi lokajami z tyłu, dmącymi w ogromne, mosiężne trąby. Policmen wysoki, wspaniale odkarmiony stoi na środku ulicy nieruchomo, niby bóstwo, i tylko podnosi którą z rąk, a cały ten zbity tłum powozów i koni osadza się na miejscu, dając możność przejścia z jednej strony ulicy na drugą. Na wprost niego i głównego wejścia do Hotelu stoi jakiś drab z ogromną tablicą na kiju, już o pół kilometra widać na niej napis „Dinnig Rooms, Teas Rooms, Lunch Rooms. Regents circus 28". Policmen coraz to schodzi ze swego stanowiska i mówi coś cicho do stojącego. Ten przesuwa językiem fajkę w kąt ust i zimno, krótko odpowiada:

— No.

Policmen sinieje ze złości i już go w końcu prosi błagalnie, żeby sobie stąd poszedł, a ten zna tylko to swoje „No" i zostaje.

Z Trafalgarskiego skweru setki omnibusów piętrowych rozchodzi się na Londyn. Jeżdżą wprost galopem, konduktor każdego omnibusu stoi na stopniach i krzyczy nazwy miejscowości, do których jedzie, i ilustruje to zaraz: np. Green park — pokazuje jeden palec, Hyde park — wysuwa dwa palce itd., to znaczy jeden pens kurs i dwa.

Westminster Abbey — to ten słynny kościół grobowców. Pyszny gotyk angielski, troszeczkę tylko za prawidłowy i za zimny, wewnątrz las posągów, wszystkie sławy Anglii tam spoczywają. Założony podobno przez króla Edgara w 985 roku. Przy wejściu wyciągnięci w szereg stoją wielcy mężowie stanu: Pitt, Canning, Malcolm, Beaconsfield, Peel, a po-

tem już się nic nie wdraża w pamięć, bo się idzie istotnym (!) lasem postaw i głów marmurowych. Wysokie, chropowate, szare ze starości nawy rzucają mrok, a tylko wąskie okna przez kolorowe szyby dają trochę światła, że w nim migocą setki posągów jak widma, królewskie kaplice, pełne rzeźb, marmurów i smętku, wyhaftowane wprost dłutem, robią wrażenie trumien, a te postacie, leżące na płytach grobowców, kute w marmurze, odziane w uroczyste szaty, z koronami na głowach, ze złoconymi berłami w rękach, tworzą bryłę, posypaną pyłem wieków, szeregi mocarzy, mózgów, talentów, to zgasłe życie — i nagle zatrzymuje się myśl, zdławiona uczuciem jakby strachu. Te olbrzymie mury, pełne rzeźb, łuków, linii są nekropolem kilkunastu pokoleń i skądści przychodzą słowa Dantego:

Siedem świeczników płonęło w mroku,
A poza nimi widziałem, jak postacie biało odziane przy-
Nigdy taka białość nie istniała na ziemi. [chodziły.

Człowiek budzi się i idzie błądzić i mówić z marmurami, przypatrywać się haftom i koronkom rzeźb, patrzeć na wyblakłe, spłowiałe złocenia, snuć się cicho z jakimś lękiem wśród mar, co zdają się pływać w szarych głębiach sklepień. Gromadki ludzkie jak cienie, z szeptem na ustach krzyżują się i migoczą w kolorowym półzmroku katedry. Pożółkłe marmury świecą jakąś dziwną białością widm i samemu się czuje, że chwila jeszcze tylko, a wszystko, na co się patrzy, rozwieje się jak liście jesieni, przemieni się w mgłę i zniknie, że się jest samemu złudzeniem i błądzi się w krainie cieni.

Są tutaj wszyscy, co stanowili Szkołę jezior. Jest Robert Southey, S. T. Coleridge i Wordsworth, nie zabrakło miejsca dla genialnego komedianta Garricka, a jakiś książę Argill zajął kawał ściany i osuwa się z marmuru z bezwładnością konającego i zdaje się mówić kobiecie go podtrzymującej słowa jednej z osób Corneille'a: „Nie, ja nie płaczę, pani, lecz umieram". Jest miejsce i był marmur dla poetów trzeciorzędnych, tylko tego wszystkiego brakło dla dwóch największych z największych, z których jeden zapełnił świat sobą, a drugi przestrzenie międzyplanetarne. Nie mają po-

sągów Byron i Shelley. Purytańska obłuda i narodowa hipokryzja nie pozwoliły na to.

Kogutom i indorom poezji dano chlewki — słusznie im się należą. Orły nie potrzebują (tego). Posągi dla nich są w sercach czytającego ogółu, wystawiła im tam miłość i uwielbienie monumenty, na jakie by nie tylko zjednoczona Anglia, ale cały świat filisterski, całe morze dusz marnych i codziennych nie zdobyło się.

4

Idziemy do katedry św. Pawła. Jedna z osobliwości Londynu. Olbrzymi gmach renesansowy, czarny z wierzchu, jakby okopcony. Wewnątrz pusto. Jakieś parę setek ludzi nikną zupełnie w cieniu naw potężnych. Organy brzmią gdzieś w drugim końcu. Ciemno jest prawie. Płomyki gazowe migocą w prezbiterium. „From thy love as a Father" — słyszę tylko śpiewane przez potężne głosy, co z bocznego chóru płyną szerokim strumieniem. Gounodowski hymn rozlega się jakąś perłową melodią i skłębiony bije słupem dźwięków pod kopułę niezmiernie wysoko i tak rezonansowo, że spotęgowane jeszcze dźwięki wracają z powrotem. „From thy love as a Father" — płyną wyraźnie słowa od złotej galerii i rozsypują się dopiero gdzieś w cieniach naw pustych, w mrokach lodget bocznych.

Białe komże anglikańskich księży szarzeją zaledwie, jakiś złoty fresk bizantyjski wyrywa się z cieniów podsklepiennych i migoce blaskami, i znowu tylko głos organów o pełnych, głębokich brzmieniach rozlega się w tej pustce kamiennej. Setki głów, niby szarawa mozajka falują lekko. Szept jakiś odrywa się i pod sklepieniem kopuły słychać, jak szemrze, huczy i spada na głowy dźwiękiem rozbitym, niby deszcz konających drgnień eteru.

Ziębią wprost te potężne mury, pozbawione wszelkich ozdób. Szeregi grobowców, szereg białych marmurowych postaci stoi rozrzucony i robi wrażenie parady świątecznej, tak nie na miejscu (tutaj) tym białym gładkim marmurom, które proszą się o tło jakieś, o jakiś zaciszny wnęk lub framugę.

Anglikom wystarcza, że taki ogromny, że mają co przeciwstawić św. Piotrowi w Rzymie. Dla mnie nie jest to ko-

ściół, jest to kamień, geometria, zbiór ławek, kopuła wysoka przeszło stóp 500. Dopiero go widzę kościołem, kiedy w myśli zaludniam nagie mury freskami, kiedy rzucam na sufit barwy, zaludniam ołtarzami, posągami, w boczne nawy wlewam złoto, wielki ołtarz robię z marmurów — dopiero ożyłyby te mury.

Anglicy najspokojniej pod wspaniałym portykiem zapalają fajeczki nieodstępne i idą na obiad. Przyglądam się Angielkom. Mają przeważnie wspaniałe włosy. Większość brunetki, typ tak znany na kontynencie rudowłosych jest w Londynie dosyć rzadki. Twarze szczupłe, długie, o bardzo delikatnej płci, głowy małe i czoła proste. Mężczyźni przeważnie średniego wzrostu, dobrze zbudowani. Ani trochę tego taniego, specjalnie warszawskiego szyku. Przeważają barwy ciemne, przy tym widać najwyraźniej, że kobiety tutaj nie umieją się ubierać. Błękit przy czarnym — to ich ulubiona przyprawa.

THE THEOSOPHICAL SOCIETY W LONDYNIE

Londyn poza muzeami i galeriami sztuki nie daje prawie nic artyście. Nie ma w nim ani barw ani linii, które by zadawalniały subtelniejsze poczucie piękna. Miasto ogromne obszarem i gmachami jest brzydkie zupełnie. Przez szarość brudną murów wygląda jakby okopcone umyślnie. Klimat i mgły robią to, że najpiękniejszy marmur czy porfir nawet polerowany czernieje i wygląda, jak piaskowiec. Dla psychologa, malarza obyczajów, socjologa — kopalnia niewyczerpana. Jest tutaj tyle nadzwyczajnych sposobności poznania rzeczy niespotykanych nigdzie, obserwowania jedynych w swoim rodzaju stowarzyszeń, że tylko mieć uszy, oczy i czas do badania. Londyn — to stek osobliwości, klubów i stowarzyszeń. Jednym, który dosyć zajmuje tak prasę tutejszą, jak i publiczność, jest The Theosophical Society. Jest to sekcja europejska, filia niejako głównego stowarzyszenia, założonego w Kalkucie przez słynną Bławatską. Nawet owa sekcja ma jeszcze drugą, właściwą nazwę loży Bławatskiej. 13, 14, 15 bm. (lipca 1894) odbył się doroczny zjazd członków. Dzięki jednemu ze stowarzyszonych, który mnie wprowadził na posiedzenie, mam o tym jakie takie pojęcie.

Loża zajmuje długi, piętrowy dom, tonący w ogrodach przy Avenue Road. Nad niskimi drzwiami, otwierającymi się tylko dla członków, złoci się napis: The Theosophical Society. Przez niski, oszklony korytarz weszliśmy do jakiegoś ogródka, pełnego kwiatów i zieleni i stamtąd do sali posiedzeń.

Sala jest długa, bez sufitu, w guście jakiejś chaty czy świątyni indyjskiej. Przez wysokie okna światło dnia sączy się jakieś zielonawe i półcień żółtawy, pełen refleksów żółtawo-rudych od ścian i malowideł. Indyjska gruba mata zaściela podłogę. Jest już pełno osób. Wchodzą jeszcze coraz nowi i w milczeniu zajmują szereg trzcinowych foteli. U stołu prezydialnego siedzi Mead, prezydiujący sekcji. Jest to bardzo miły trzydziestokilkoletni człowiek o zimnym i przenikliwym spojrzeniu. Obok niego na pewnym podwyższeniu siedzi słynny towarzysz Bławatskiej J. S. Olcott. Wspaniała postawa. Broda i włosy najczyściej siwe, głowa duża, oczy czarne, wypukłe, nos prosty i długi, rysy indusa o cerze wyciągu herbatowego. Ta duża postać jest tak niezwykła, że niepokojące wrażenie robi jego twarz żółto-czerwonawa. Wiceprzewodniczący William Jundge otwiera zgromadzenie czytaniem zwyczajnego bilansu towarzystwa. Ciągnie się dosyć długo i pokazuje się, że sekcja miała dochodów... i wydatków...

Cisza zalega. Jest z połowa blisko kobiet wśród siedzących. Wszystkie kraje Europy mają tutaj swoich przedstawicieli. Francuzi są szczupli i starzy, z niezmiernie ruchliwymi twarzami, mówią szybko, wsadzają dowcipy i są niezmiernie poprawni. Jakiś niski, o suchej twarzy i newralgicznej drgawce w oku profesor z Lipska przedstawia Niemcy. Skandynawię przedstawia kobieta. Wysoka, czarno ubrana, o twarzy ściągłej i pociętej prostymi zmarszczkami, zabiera głos prawie w każdej kwestii. Kiedy ma mówić, wyskakuje znad krzesła raptownym i sztywnym ruchem tych ostrzy scyzoryków, co to za pociśnięciem sprężyny odskakują. Ma głos dźwięczny i silny, argumentuje krótko, prosto i stanowczo. Mead czyta list Hugona Schleidena z Niemiec, który chce z lożą niemiecką z kilkuset osób przyłączyć się do londyńskiej. Socjalista znowu X oponuje przeciw takiemu

masowemu napływowi żywiołów nieznanych, żąda aby przyjmowano tylko z osobistych rekomendacji członków. Niemcy — mówi — o tyle są teozofami, o tyle zajmują się badaniem nieznanych sił i rozprzestrzenianiem ogólnego braterstwa, o ile to się godzi z doktryną spirytystyczną, z której zrobili sobie dogmat niejako i uprawiają kult spirytyzmu w schematach zupełnie religijnych. Zresztą — dodaje — nie idzie nam teraz o ilość członków, a raczej o jakość. Kończy anegdotką, że kiedy był w Kopenhadze, zapragnął iść na zgromadzenie socjalistyczne. Miał adres, choć tam nie znał nikogo. Wchodzi do jakiejś szopy, kilkudziesięciu ludzi tam zgromadzonych rozprawia coś spokojnie. Staje na jakiejś pace i zaczyna mówić. Przerywają mu i sromotnie wytarmosiwszy wyrzucają za drzwi. Pokazało się, że to było zgromadzenie właścicieli stajen, którzy się zebrali na naradę czysto kapitalistyczną.

Śmiech i brawa płacą mówcy. 10 minut pauzy. Deszcz zaczyna dudnić w dach. Olbrzymie zwierciadło, zakrywające całą szczytową ścianę, rzuca jakieś sine błyski. Portret Bławatskiej umieszczony w pośrodku, na pewnym podwyższeniu, patrzeć się zdaje daleko przed siebie. Ta jej twarz, pełna jakiejś czysto słowiańskiej dobroduszności, ma usta dziwnie ułożone, jakby pełne nieokreślonej ironii, drgającej w kątach. Ogromne oczy o niezmiernie ostrym, przenikliwym spojrzeniu, biegły wskroś wszystkich. Ciężko się było oderwać z linii tego wzroku, jak trudno było nie przyciszać głosu wobec tych bóstw, malowanych na ścianach i dachu, co zdawały się siedzieć i patrzeć. Z prawej strony Sfinks z tym nieokreślonym, dziwnym, drażniącym znękaniem uśmiechem, patrzał się w nieskończoność. Za nim jakieś egipskie bóstwo, złocone, martwe i jakby zapadłe w letarg kontemplowania, patrzyło okrągłymi oczami. A potem całe szeregi bóstw Indii, całe wersety z Manu i Agruszada Pariszai *(tak w rękopisie)* czerniły się sanskryckimi głoskami, a ponad tym wszystkim górowały te trzy święte głoski, wymalowane po prawej stronie: A — U — M (Tworzenie, Zachowanie, Przekształcenie). Na ścianie, na żółtym chińskim papierze, ozdobionym trójkątem czerniały wersety:

Nic nie zaczyna się, nic się nie kończy, wszystko się zmienia i przekształca; życie i śmierć są tylko rodzajami przemian, które przeprowadzają molekułę żywotną od rośliny aż do Brahmy. Atarwa Weda

Władza należy do tego, kto ma świadomość wszystkiego, kto wie. Agruszada Parikszai *(tak w rękopisie)*

Niech nikt nie pragnie wcale śmierci, niech nikt nie pragnie życia. Jako żniwiarz, który gdy nadejdzie wieczór, czeka zmęczony zapłaty pod drzwiami swego pana, niech każdy czeka, aż nadejdzie jego chwila nirwany. Agruszada Parikszai *(j. w.)*

Wieczór zapadł powoli, zapalono lampy i posiedzenie zaczęło się na nowo. Kiedy Olcott wstał i zaczął opowiadać o Mahatmie, który mu różne drobiazgi przyniósł z tamtego świata, weszła do loży nowa osobistość: szczupła, biało zupełnie ubrana, podobna do Izydy kobieta. Podnieśli się wszyscy, aż ona przeszła, skłaniając głowę na lewo, i usiadła na honorowym miejscu. Wszystkie oczy zatrzymały się na niej. Była to słynna Anna Besant, towarzyszka Bławatskiej i niejako następczyni, autorka niezmiernie popularnego w pewnych kołach dzieła pt. „Teozofia". Przemówienia szły dalej, ale większość nie słuchała, tylko patrzeli na Besantową. Wreszcie ona sama zabrała głos, objaśniając o Mahatmach. Mówiła zupełnie cicho i niezmiernie dźwięczny głos rozlegał się po całej sali.

Potem zabrał głos dr Drzewiecki, nie mam upoważnienia, więc nie mogę przytoczyć treści przemówienia.

Gdy skończył, Besantowa podeszła do nas i nastąpiło przedstawienie. Bardzo dziwna kobieta. Ma twarz taką, że raz wygląda na dwadzieścia parę lat, to z bliska na pięćdziesiąt. Włosy ogromne i zupełnie siwe, twarz nie blada, ale zupełnie biała, bez kropli krwi, nie przecięta ani jedną żyłką. Czoło niskie i brzydkie, pomarszczone głęboko nad brwiami. Usta wąskie, oczy wielkie, ale głęboko osadzone i ogromna słodycz i dobroć wyrażona w twarzy. Nie patrzy się na nikogo, kiedy mówi i pochyla głowę naprzód, co dodaje cechę jakiejś nieśmiałości. A ten biały strój rzymianki podnosi

jeszcze tajemniczość jej osoby. Ma dziwne spojrzenie, podobne do spojrzenia Nari Matki z trójcy pierwotnej indyjskiej, której posąg widziałem w British Museum, tj. bojaźliwe i przewrotne jednocześnie. Cała maska twarzy tak nieruchoma, że przez słodycz i dobroć jakby przyklejoną, w wyraz nie można się głębiej wedrzeć. Opowiadała nam o Bławatskiej, o Indiach, o wstecznictwie panującej w Europie doktryny materialistycznej i zaciekłości patentowanych uczonych, odrzucających wszystko, czego nie znają i nie rozumią. Mówiła prawie aforyzmami i przepysznie streściła zarozumiałość pseudowiedzy i pseudouczonych. Są to głupcy, którzy namacali i spostrzegli ubranie człowieka i nie patrzą już głębiej, bo wzięli to ubranie w zarozumiałości i lenistwie za ciało samo, za jądro wszystkiego, gdy tymczasem jest rzecz droższa nad wszystko — dusza, o której napisano w Elefancie: Jestem wszystkim i we wszystkim.

Wolbórka, 27. VIII. 94.

ZAPISKI DZIENNE

14. VII. 94. Londyn. Buckingham Temperance Hotel.

Znowu wędrówka. Po Częstochowie Londyn. Po przydrożnych polskich wsiach Berlin, Magdeburg, Kolonia, Bruksela, Ostenda, Anglia — ogromny przeskok. Może i nie będę tutaj notował, bo doświadczam tyle wrażeń, pisać nie mogę prawie. Wolę chodzić, patrzeć i rozmyślać. Dziwnie mi się plecie, bardzo dziwnie. Przed rokiem niespełna siedziałem na wsi, w kącie zabitym deskami, i myślałem, że nigdy z niego wyjść nie potrafię, że nigdy nie potrafię wydrzeć się z tego wstrętnego życia, małych ludzi, miernych horyzontów i jeszcze nędzniejszej wegetacji. A dziś? Juściś, że jestem niczym jeszcze, ale poznaję, iż mam ten rodzaj szczęścia, jaki ma niewielu. Jakieś przysłowie mówi, że nic tak nie robi powodzenia, jak powodzenie. Wysłali mnie na pielgrzymkę do Częstochowy, no i poszedłem, nie wierząc, że mogę zrobić co z tego. Zrobiłem jednak, bo nie tylko wzięli, ale i zapłacili i podobno jest to rzecz dobra. Mają mnie za talent, a ja sam, Boże, ty widzisz moją nędzę, wiesz, czym jestem, a ja nie wierzę po prostu w siebie. Czasami jakiś strach mnie ogarnia, że nic, ale to nic nie potra-

fię zrobić, widzę i czuję własną nieudolność, bo znam swoje nieuctwo.

Teraz znowu jadę ni stąd ni zowąd do Anglii, te moje dawne marzenia spełniają się wprost cudownie, bo nie znając języka, bez pieniędzy, trafia się jednak, ktoś coś pożyczy i bierze mnie z sobą — i otwiera mi całe okno w duszy, wlewa do mojego *ja* nowy i duży prąd rzeczy świeżych i ożywczych. Jakbym czuł coś w rodzaju Opatrzności nad sobą.

21. VII. 94. Londyn.

Jeszcze siedzę tutaj, żeby mi dobrze było, nie powiem. Nudzę się, bo mi brak pieniędzy. Nie chce mi się nic pisać, a potrzebuję bardzo wiele napisać, aby przyjechawszy móc znowu uciec z Warszawy, na resztę lata, choćby do domu. Pragnę ogromnie wsi i odpoczynku. Odpoczynku takiego, w którym będzie można nie myśleć o potrzebach codziennych i pisać.

Wyszedłem z kolei już przez tę wędrówkę do Częstochowy, teraz nie mogę płynąć spokojnie, zwykłym łożyskiem. Miasto-piekło, jakim mi się wydaje Londyn, męczy mnie. Nie mogę się zebrać. Zacząłem pisać coś z korespondencji dla „Kuriera Codziennego". Posłałem dwie: „Dahomejczycy w Berlinie" i „Z Ostendy do Londynu". Jutro chcę napisać „Niedziela w Londynie". Będzie tego z dziesięć. Czy wszystkie pomieszczą nie wiem. Może trochę za szeroko gadam. Nawet notować mi się nie chce *(opuszczony ustęp zbyt osobistej treści)*.

Ciekaw jestem, co zrobić jesienią, jak się zainstaluję na zimę w Warszawie. Znowu sobie powiem to polskie: Ha, jakoś to będzie. Z nędzą za łeb, ze starą, znaną nędzą walka nie jest tak straszna. Zobaczymy.

Zawsze sierpień i wrzesień stanowczo muszę być na wsi. Potrzebuję dużo napisać.

W tym tygodniu jedziemy do Paryża. Znowu coś nowego zobaczę.

24. VII. 94. Londyn.

Jutro jedziemy do Paryża, do tego Paryża, o którym od dzieciństwa niestworzone rzeczy słyszałem. Ciekaw jestem jakie wrażenie zrobi na mnie.

25. VII. 94. Paryż.

Była 8 rano, jak wjechałem do Paryża. Na razie wydał mi się brzydkim. Ulice jakieś dziwnie podobne do warszawskich. Domy proste, płaskie, ulice brudne, no i ta cisza poranna. Paryż miał wyraz małego, prowincjonalnego miasteczka.

(dopisek późniejszy:) Tak, ale później podobał mi się ogromnie. Bulwary są śliczne *(brak końca).*

Paryż, bez daty.

Chodzę i wsączam w siebie: słońce, które tutaj świeci jaskrawo i ciepło, ruch ulic, błękity nieba, to dziwne życie bulwarów i kawiarń. Na wierzchu omnibusu za 15 centimów przejeżdżam z Hotel de Ville do Łuku Gwiazdy. Jedzie ze mną Lorentowicz i jakiś Walczak. Publika, jaka siedzi obok nas, należy do handlu. Mijamy wysoką i bardzo ładną wieżę św. Jakuba. Potem ulica Rivoli, cała opodcieniona długą kolumnadą. Domy pod rząd trzy piętra, płaskie, bez ozdób, biało wymalowane. Balkony biegną przez całą długość, niby czarne kratowane fryzy. Louvre z prawej dosyć posępny. Potem plac Zgody, ze swoim obeliskiem, fontannami, posągami miast, gładki, równy, wymierzony, czysty — ładny, że aż jest nudny przez poprawność. Ogrody Tuilleriów, pełne kwietników i białych posągów, zamknięte jak ramami, Louvrem — wyglądają przepysznie. Pola Elizejskie przed nami — to rzędy młodych kasztanów, pożółkłych, suchotniczych, to ulica szeroka wszędzie, gdzie spojrzeć perspektywy cudowne, linie łagodne, wyniosłości miękkie i oblane światłem. Łuk Gwiazdy na tle błękitu rysuje się czarną masą, niby zapora olbrzymia lub brama do wjazdu w błękity.

Słońce zachodzi. Przez wspaniałe sklepienie Łuku Tryumfalnego wlewa się potop światła i zatapia Paryż fioletem i purpurą. Tak cudownego zachodu nie widziałem nigdy. Nie tylko olbrzymie fale światła rozpylonego wsączają się, otaczają domy i drzewa jakby glorią. Ten łuk, czarny na tle zachodu, jest jakby źródłem, kamieniem obramowanym, skąd się leje złoto przesiąknięte purpurą i heliotropem. Impresjonizm naszych malarzy tutaj ma rację.

Lasek Buloński — to sosny, sosny, których tyle tygodni nie widziałem. Publiczności pełno wśród drzew, trawy wydeptane, ścieżki w tysiącznych kierunkach biegną.

Wieczorem z Ratyldami(?) w Horloge, Cafè Concert na Polach Elizejskich. Pełno już ludzi. Grają jakąś revue, przegląd życia. Ogółem błazeństwo, kobiety grające stare i brzydkie, ale jakie kostiumy! Nie widziałem nigdy. Grają tak, że trzeba sobie przypominać, że to teatr, nie życie samo. Nic a nic sztuczności, nie są realni, ale klasyczni, a pomimo to złudzenie zupełne prawdy życiowej.

Twarze krótkie, mężczyźni tłuści, z wąsami ze szwedzka wykręconymi i rozstrzępionymi, ruchliwi, pospolici. Kobiety tęgie, dosyć brzydkie. Nic wybitnego ani myślącego.

W hotelu Racine, gdzie jemy obiady, gromada Amerykanów, dwie kobiety bardzo miłe i bardzo pospolite, rodzaj młodszych lub córek drobnego naszego mieszczaństwa. Mężczyźni wysocy, chudzi, dosyć ciężcy i w miarę sztywni. Twarze pospolite groszorobów — rzemieślników.

Na drugi dzień obiad z Lorentowiczem w jakiejś jadłodajni małej, gdzie on jest jak u siebie w domu. Gra rolę gospodyni młoda, chuda i brzydka Francuska. Paple ciągle. Lorentowicz opowiada, że miała 250.000 fr. majątku, że mąż puścił wszystko, rozeszli się, jej ktoś później dał dziecko w upominku. Mówimy po polsku, ona prawie intuicyjnie rozumie nas, bo przytakuje. Potem Lorentowicz mówi, że ja nie wiem, że Francuski chodzą w skarpetkach. Ona z najzimniejszą krwią wysuwa nogę, podnosi nieco sukni i pokazuje. Nie krępuje się niczym, nie wie, że w tym może być co nieprzyzwoitego. Lorentowicz opowiada, że ona ma fantazje rzetelnej Paryżanki: ilekroć zaoszczędzi jakąś sumkę, wtedy zabiera służącą, jeśli nie ma kochanka, wynajmuje dorożkę i jeździ po całych dniach po Paryżu i odwiedza magazyny, dotąd aż wyda wszystko.

Wstępuję do Lorentowicza na rue Rollin, mieszka w domu, gdzie Blanqui mieszkał i obok domu, gdzie Bossuet umarł. Ulica jest na górze. Wchodzi się po schodach kamiennych. Jest to stary Paryż. Ulice wąskie, domy wysokie i wąskie, dosyć brudne, ale pełne charakteru. Wszędzie można stawiać barykady. Napoleon, przebudowując Paryż, miał dwa cele: zająć, dać robotę tysiącom i uniemożliwić

stawianie barykad przez zrucanie całych dzielnic ciasnych i tworzenie szerokich bulwarów, którymi można prowadzić całe pułki swobodnie i można się posiłkować armatami.

Potem idziemy do kawiarni w bliskości Szkoły medycznej. Wpadamy w potop krzyków i śpiewów. Pełno dziewczyn i studentów. Przed kawiarnią setki stolików na trotuarze i mrowie ludzi. Wewnątrz to samo. Znajdujemy dosyć swobodny kąt, pijemy jakieś obrzydliwe piwo i patrzymy. Student rosły w kostiumie cyklisty, pijany trochę, typ łobuza robi hałas (?). Dziewczyny go obsiadają ze wszystkich stron, bije je, jest bity, włażą mu na plecy, jedna podnosi suknię i koszulę i siada mu na głowie, zruca ją, tworzy się węzeł ciał wierzgających, rozbawionych, gołe nogi migocą tylko i śmiech aż trzęsie kawiarnią. Jest to łobuzerka, ale dosyć dzika, dziewczyny walą parasolkami po głowach, rękami po twarzach, a ci się zrywają, gonią, odbijają. Światła elektryczne palą się jaskrawo. Garson, stary, tłusty, z dobrodusznym uśmiechem przesuwa się wciąż i podaje, mówi swobodnie ze studentami, protekcyjnie z dziewczynami i widać, że niejeden rok patrzy codzennie na to samo i zna wszystkich aż do głębokości ich kieszeni.

Idziemy do Chateau Rouge, czerwony pałac. Jest to jakby wystawa nędzy paryskiej. Dom dwupiętrowy w zaułku tak ciasnym, że tamtędy wozy nie przejeżdżają. Przez uchylone drzwi miga płomień mdły, rozświetlający dużą sklepioną izbę. Wchodzimy. Nic — tylko gąszcz ludzkich łachmanów, istny śmietnik dusz, zbiorowisko nędzy wszelakiej. Śpią na stołach, na ławkach, na ziemi. Światło tak skąpo świeci, że widać tylko zarysy izby i ten tłum ludzki majaczeje w mroku, tworząc starte, skopane przez życie czoła bydląt, spojrzenia zamarłe, szczęki opadłe, głowy zmięte. Wynurzają się zewsząd. Chrapanie, niby rzężenie duszących się, rozlega się rytmiką posępną. Otacza nas gromada jakichś ludzi, pijanych, wytartych, z twarzami napiętnowanymi rozpustą, zbrodnią i zezwierzęceniem. Przenika mnie dreszcz strachu wprost — tu cisną się ze wszystkich stron i włóczą się z barłogu z chyżością szakali, czujących łup, podnoszą się głowy wprost zwierzęce, oczy rozpalone obmacują nas z krwiożerczą chciwością, przepychamy się przez tłum, do jakiegoś małego pokoiku, na którego ścianie ja-

skrawo malowane morderstwo: młoda kobieta leży w bieli i krew leje się strumieniem. Każemy dać koniaku i siadamy, a ta banda cała nędzy tłoczy się do drzwi. Jakiś niski, bez oka i z rozbitą szczęką, obwiązany przekrwionym łachmanem człowiek zaczyna nam śpiewać... *(wyraz nieczytelny).* Ochrypły, podobny do warczenia głos rozlega się głucho, a ta twarz, podobna do mordy zbitej pałką buldoga, wykrzywia się, wdzięczy, rozjaśnia ohydnymi zwrotami piosenki, poeta się gnie w ukłonach, a te z tyłu postacie, ciemne niby chmura, błyskają krwawymi oczami, przytupują, potem biją brawa. Lampa migoce słabo, że te ich twarze i ich ruchy są jak rudawe cienie wśród piwnicy, a ta krew płynąca z malowidła, zdaje się ściekać na ziemię i płynąć pomiędzy nogami stojących, chlupocząc(?) jak głos tego śpiewaka.

Jakiś obok mnie wyciąga rękę i wprost z ust zabiera mi papierosa. Milczę, a potem drugi zabierać chce kieliszek, stojący przede mną. Nie dawać — krzyczy Lorentowicz. Zasłaniam, a ów człowiek mruczy groźnie i siłą chce brać. Bije go *(czytaj: szkło).* Uderzam więc z całej siły kułakiem w piersi, aż się potoczył na ścianę i z miną niezmiernie groźną-łaszącą przeprasza. Pozwalam mu wtedy pić. Rzuca się na koniak z chciwością i wypija.

Idziemy na pierwsze piętro. Schody brudne, zaplugawione odpadkami, pełne szmat, strzępów, słomy, błota. Ciemno. Zapalają gaz i widzę nowy obraz. Ogromny pokój, bez okien, odarty z tynków, czarny, niby nora, wyżarta w skale, wilgoć płynie po ścianach zielonymi pasami. Na ziemi wprost jakaś czarna masa ciał, na wprost stary z głową okręconą gazetą, plecami oparty o ścianę siedzi jakiś nędzarz, patrzy się na nas chwilę szklanymi oczami i łuszcze najspokojniej groch. Widać, że już go nic nie obchodzi, że już nic nie wie, nic nie pamięta. Regularne rysy powleczone siną skórą, broda w nieładzie, oczy wielkie są jakby trupie. Nędza i zbydlęcenie taką warstwą go przykryły, że dusza jego dawno umarła. Żyje tylko resztkami organizmu. Ten barłog ludzki podnosi głowę, wyciągają się nogi, plecy, ręce, nagie, w szmatach porwanych. Są tutaj prawie same kobiety, jeśli można je nazwać kobietami, tak jak nie można nazwać ludźmi tych z grzęz(?) wielkiego miasta ludzi.

Krzyczą do nas, uśmiechy ust bezzębnych twarzy (bu-

dzą) straszny lęk, ręce się wyciągają, jakaś głowa ohydna, istny typ topielicy, pokrytej trądem, cała w papilotach, zakręconych ze słomy, wysuwa się, jakby się odrywała od reszty szkieletu, i wznosi się do nas.

— Za franka zatańczę wam, kochani, bolero, kankana — chrypi niby z głębi złamanych żeber głos.

— Tańcz.

Rumor się robi, usuwają się, robią miejsce *(brak końca).*

PRZYPISEK WYDAWCY

Podróż Reymonta w r. 1894 na zachód nie była pierwszą wyprawą pisarza za granicę. Dochowała się rewelacyjna tradycja biograficzna, którą powierzył autorowi Adam Grzymała Siedlecki, że już „w latach 1888 (1889?) Reymont był w Wiedniu i w Londynie, pilotowany przez jakiegoś impresaria jako... medium spirytystyczne. Dla autora „Wampira" był to epizod życia raczej nieco kłopotliwy jako wspomnienie — i nigdy o nim nie mówił". Tradycja ta wzbogaca doświadczenia spirytystyczne młodości Reymonta, której fragment wrocławski z domniemanego r. 1888 staraliśmy się na tych kartach rekonstruować.

Podróżą następną z r. 1894 kierowała podobna ciekawość. Reymont wyjeżdżał z Warszawy w towarzystwie dra Józefa Drzewieckiego (1860—1907) lekarza-homeopaty, który udawał się do Londynu na zjazd teozofów. Młody pisarz zdobywszy pierwszą sławę literacką opisem „Pielgrzymki na Jasną Górę", musiał jechać z całą skwapliwością: chciał poszerzyć świat znany dotychczas. Podróżował na koszt Drzewieckiego i to prawdopodobnie mąciło radość turystyki.

Cały ten epizod biograficzny, który posiadał niemałe znaczenie dla przyszłej drogi pisarskiej, był przedstawiany dotychczas szkicowo. Julian Krzyżanowski w znanej książce o Reymoncie (s. 9, przypis) wskazywał jedynie sprawozdanie z wycieczki w liście do Ignacego Noireta, datowanym w Londynie 22 lipca (ogłosił go później drukiem J. Dębowski, Ruch Literacki, XII, 1937, s. 150). Jan Lorentowicz w wybornej gawędzie „Reymont w Paryżu" (w tomie: Spojrzenie wstecz. Warszawa 1935) rzucił spod pióra kilka anegdot z tego pierwszego spotkania Reymonta z Paryżem. Ale dzisiaj możemy wyjść poza te szczupłe dokumenty.

Notatnik Reymonta z r. 1894 (rkps 6954/7 w Bibliotece Ossolińskich we Wrocławiu), ten sam, z którym pisarz chodził do Częstochowy, ustala szlak i kalendarz podróży. Teozofowie wyjechali z Warszawy 9 lipca. W Toruniu byli nazajutrz o godz. 5 rano, w Berlinie o godz. 12 w południe. Tu zatrzymali się dwa dni. Magdeburg, Kolonia, Bruksela, Ostenda. Przeprawa przez Kanał. Dover—Londyn. Dnia 13 lipca nastąpiło otwarcie zjazdu teozoficznego. Pierwsza notatka Reymonta w Londynie nosi datę 14 lipca.

Odtąd karty w notesie pokrywają się nieporządnymi zapiskami, w którym tłoczą się pospołu wyrazy angielskie (w przypadkowej ortografii), adresy, nazwy ulic, parki, zabytki, rysuneczki, aforyzmy z doraźnej lektury, noty z przechadzek muzealnych. Dobywamy z tego chaosu zapisywany parokrotnie adres londyński Reymonta: The Buckingham Temperance Hotel and Vegetarian Restaurant, 40, Strand, London (entrance 28 Buckingham Street) — według blankietu firmowego w rkpsie Ossolińskich 6977/III. Przez rachunki, nazwiska, drobne teksty w obcych językach, cenne realia podróży przeziera niespodzianie proverbium sarmackie: „Kiedy piwo na kadzi, to pić się go nic wadzi" (wśród przechadzki po British Museum, w kontekście szkoły hiszpańskiej, szkoły angielskiej...), albo mało przystojna piosenka ludowa:

Żebym ja mioł taką panią,
Tobym ciągiem patrzał na nią.
Jeszcze bym się przy ni układł,
Żeby mi jej kto nie ukradł.

Nanosząc owe noty na plan Londynu, przyszły biograf Reymonta będzie mógł zupełnie dokładnie oznaczyć kroki i wrażenia pisarza. Pobyt londyński przeciągnął się do 24 lipca, nazajutrz turyści warszawscy znaleźli się w Paryżu. Teraz na zapiski angielskie nakładają się tą samą metodą realia francuskie. Ale wojaż nie potrwał długo. Bodaj z początkiem sierpnia Reymont był w Polsce z powrotem. Wspomnienie z sali Towarzystwa Teozoficznego w Londynie datuje w Wolbórce, 27 sierpnia.

Wrażeń jest tyle, że tłoczą się pod piórem coraz bardziej natrętnie. Reymont układa cały cykl szkiców z podróży, których pierwszy ślad w notatniku pisarza (s. 40) jest następujący: „Napisać: Dahomejczycy w Panopticum Berlińskim. — W wagonie. Rozmowa z Amerykanką. — Ostenda. — Dovr. — Dovr—Londyn. — Muzeum Brytańskie. — Grajek uliczny." Jeden z tych pomysłów, mianowicie „W wagonie" doznał pewnego rozwinięcia: „Nowe i niespodziewane pyszne przeżycie. Rozmowa z Amerykanką za pomocą podręcznego słownika. Kapitalny pomysł do noweli. Podwieczorek na miejscu. Dojazd do Kolonii i rozejście się" (ib., s. 39).

Plan ten ulega niebawem nowemu układowi, który zanotował Reymont w zeszycie, towarzyszącym mu w podróży (rkps Ossolińskich 6958, s. 241): „1. Dahomejczycy w Panopticum Berlińskim. 2. W drodze do Anglii. 3. Muzeum Brytańskie (Mumie. Grecja). 4. Restauracja wegetariańska. 5. Grajkowie uliczni. 6. Z wierzchu omnibusu. 7. Galeria Narodowa. 8. Posiedzenie Teozofów. 9. Z kopuły św. Pawła (wspaniała akustyka kopuły). 10. Niedziela w Londynie. 11. W palarni opium. — Z włóczęgi po Londynie".

Rzucona nieopodal, na marginesie planu, nowa nota Reymonta projektuje tematykę literacką z Paryża. Odczytujemy skrupulatnie: „Smutna historia dwóch par wesołych butów. — W wagonie. — Paryż — z wierzchu omnibusu. — Życie nocne. — Venus

Milońska. — Chatou Roug (tak). — Antwerpia. — Z wystawy" (ib., s. 241).

Tak trzema falami toczyły się w wyobraźni Reymonta pomysły opisów i sytuacji, których wykonanie nastąpiło w rozmiarach znacznie skromniejszych. Nota „Antwerpia" wskazuje, że Reymont zamierzał zatrzymać się w Belgii, wracając do Warszawy. Ale jest to szczegół niepotwierdzony.

Plan zwolna przyoblekał się w słowo. Etapy realizacji oglądamy w okazałym manuskrypcie „Zeszyt III. 1893 r. (dopisek późniejszy: 1894). Krosnowa, Wolbórka, Warszawa" (rkps Ossolińskich 6958). Sam ten zeszyt otwiera perspektywę na świetną przyszłość literacką. Jest to „Krosnowa i świat" — już teraz.

W warunkach, niezbyt sprzyjających nawet pośpiesznej twórczości, Reymont pisze szkic pierwszy: „Berlin w lipcu", który przechował się w dwu redakcjach (s. 243—245 i 283—293, z czego druga datowana: Londyn 17. VII. 1894). Jest to reportaż — by tak rzec — z Berlina, który w planie wskazanym odpowiada notatce „Dahomejczycy w Panopticum Berlińskim".

Tekst następny nosi tytuł „Pomiędzy Berlinem a Ostendą", przekreślony później i zastąpiony przez nowy tytuł „Dwa spotkania". Pod tym nagłówkiem, który jeszcze powróci w bibliografii Reymonta, czytamy w zeszycie spotkanie pierwsze: „I. Na morzu", w jego redakcji pierwotnej, wraz z datą powstania: Londyn, 18. VII. 1894 (s. 246—250).

Teraz patrzymy na brulony reportaży londyńskich: „Z włóczęgi po Londynie" (s. 253—258) i „Niedziela w Londynie" (s. 259—265), datowana z precyzją Reymontowską: Londyn, 21. VII. 1894.

Poprzedza je jeszcze nota doraźna pt. „The Theosophical Society. European Section w Londynie" (s. 251—252), najpierw poniechana, podjęta po raz drugi dopiero w Wolbórce, dnia 27 sierpnia pt. „The Theosophical Society w Londynie" (s. 267—272).

Dopełniają zeszytu szkice i pomysły do noweli „W palarni opium" (s. 273—282, 297—298).

Cały ten plon pisarski jest szczupłym fragmentem zamierzonej całości, która okazała się krojona zbyt szeroko. Reymont najwyraźniej przeznaczał szkice do druku, szukając nawet w tej publikacji ratunku materialnego. Ale rachuby pozostały niespełnione. Historia wydawnicza fragmentów jest dość zawiła.

Jeszcze z Londynu Reymont wysłał do redakcji „Kuriera Codziennego" w Warszawie dwie korespondencje „Dahomej w Berlinie" i „Z Ostendy do Londynu". Ich śladem miała pójść trzecia „Niedziela w Londynie" i kilka innych, „będzie tego z dziesięć". Redaktor „Kuriera Codziennego", Antoni Mieszkowski obszedł się ze skryptami w sposób mało frasobliwy i potwierdził sceptyczne oczekiwania autora (nie zmienił się i później, gdy np. w r. 1897 zatracił dramat Reymonta „Kłamstwa", może i oddawszy w ten sposób przysługę twórczości wielkiego pisarza). Mieszkowski rzucił do kosza skrypt drugi „Z Ostendy do Londynu". Drukował natomiast

pod zbiorowym tytułem „Lato za granicą“ dwa rozdziałki: „Dahomej w Berlinie“ (Kurier Codzienny, 1894, N. 207 z dn. 17/29 lipca) i „Niedziela w Londynie“ (N. 228 z dn. 7/19 sierpnia). Felietony te stanowią nową postać tekstu w stosunku do stanu rękopisu. Na tym cykl został urwany i doraźna próba wprowadzenia wrażeń londyńskich do druku zakończyła się niepowodzeniem.

Gdy po śmierci Reymonta Adam Grzymała Siedlecki konstruował tom „Krosnowa i świat“ (1928), napotkał w papierach pisarza zapomniane dawno „Dwa spotkania“. Były to szkice, powstałe niegdyś w londyńskim tygodniu: I. Na morzu (18 lipca 1894) i II. Niedziela w Londynie (21 lipca 1894), z których drugi, ale w innej redakcji stylistycznej, a chwilami także i rzeczowej drukował Antoni Mieszkowski. Grzymała przedrukował szkice z rękopisów, nie dotarłszy do publikacji poprzedniej.

Inne pomysły r. 1894 przechowały się w twórczości Reymonta dosyć kapryśnie. Nowela „W palarni opium“, do której autor okazał się przywiązany, wyszła drukiem w tomie „Burza“ (1907). Silne emocje, wyniesione z sali Towarzystwa Teozoficznego w Londynie, posłużyły po latach do opisów i postaci „Wampira“ (1911, ale poprzednio w zapomnianej i niebadanej redakcji „We mgłach“, Kurier Warszawski 1903). Tak rozproszył się, ale nie uległ zmarnowaniu materiał literacki z r. 1894.

Z papierów pisarza dobywamy dziś ogniwa cyklu, które dotychczas nie widziały druku. Jedynie szkic „Dahomej w Berlinie“ powtarza się tutaj za rocznikiem „Kuriera Codziennego“, który daje bogatszą i doskonalszą postać tekstu, aniżeli bruliony. Inne notatki z podróży stanowią inedita w rozumieniu dosłownym. Pozostały w zeszycie Reymonta (rkps 6958), gdy autor eliminował materiał artystyczny (tak nota „Dover-Londyn“ była przeznaczona zrazu dla impresji „Dwa spotkania“, ib. s. 249—250), gdy uznawał, że zapiski „Z włóczęgi po Londynie“ są zbyt surowe lub gdy przeżycie pod kopułą Towarzystwa Teozoficznego odkładał do innego dzieła. Ponadto noty „Z włóczęgi po Londynie“ są montażem kilku innych luźnych zapisek, wydobytych z różnego kontekstu (fragment 1 z „The Theosophical Society. European Section w Londynie“, fragment 4 z „Niedzieli w Londynie“, niedrukowany). Wreszcie dzienniczek, pisany dopadami w Londynie i Paryżu, wyjęty z rkpsu 6954/7, uzupełnia w swej relacji, pełnej doraźnego autentyzmu, fragmentaryczny stan cyklu.

Noty i bruliony Reymonta stanowią tyleż dokumenty biografii, co wartościowe dla badacza stadium surowca literackiego, który ulega eliminacji i kompozycji. Bogaty i stosunkowo kompletny zespół rękopisów Reymonta z okresu wycieczki londyńskiej pozwala śledzić bardzo ciekawy proces ostatecznego gubienia realiów w opisach i kreślonych sytuacjach, które poprzez kilka etapów brulionu odchodzą coraz bardziej od wierności fotografii na rzecz konstrukcji realistycznej. Pasjonujące to zagadnienie wymaga całego studium i nie mieści się w ramach komentarza wydawniczego.

Tadeusz Mikulski

O „DZIENNIKU" SAMUELA PEPYS'A*

1

Angielski „Dziennik" Samuela Pepys'a pochodzi z XVII wieku, ale w samej Anglii wydany został po raz pierwszy dopiero w 1825-tym roku, a więc 150 lat z górą od czasu jego powstania. Odtąd wydawany był jeszcze kilka razy, nie tylko wytrzymując próbę czasu, ale jakby nabierając z jego biegiem coraz nowych wartości.

Samuel Pepys, w młodości uczeń Magdalene College w Cambridge, zapisał temu kolegium testamentem swoje zbiory obrazów, rycin i książek. Pośród cennych tych zbiorów spoczywał również w długotrwałym zapomnieniu manuskrypt jego „Dziennika", obejmujący czas od 1-go stycznia 1660 do 31-go maja 1669-go roku i pisany szyfrem. Szyfr polegał na własnej pana Pepys'a odmianie stenografii, którą dopiero w początkach XIX wieku odcyfrował z nakładem olbrzymiej pracy wielebny John A. Smith, wikariusz z Baldock.

Dorwawszy się do tak interesującego źródła, odszukano niebawem w różnych prywatnych zbiorach rodziny albo przyjaciół rodziny Pepys'a jego nader obfitą korespondencję oraz drugi jego dziennik, również pisany szyfrem. Ten drugi Dziennik, mniejszy i późniejszy, zawiera opis podróży Pepys'a do Tangeru w osiemdziesiątych latach XVII wieku. Został on także rozszyfrowany i wraz z korespondencją udostępniony przez liczne publikacje zarówno uczonym badaczom, jak rzeszom czytającej publiczności.

---

* (Czytaj: Piips). Rzecz niniejsza jest przedmową do książkowego wydania przekładu „Dziennika".

Zadaniem, które podjęłam, było przełożenie na język polski w dość znacznym skrócie pierwszego „Dziennika“ Pepys'a, pisanego w latach 1660—1669. W „Dzienniku“ tym pasjonuje nas tyleż osobowość pana Samuela, co — jeśli wolno się tak wyrazić — osobowość ówczesna jego ojczyzny. Anglia, której mowy uczono się w Polsce za okupacji niemieckiej, bez przesady, z narażeniem życia; Anglia, przez którą, żeby sprostać sojuszowi z tak wielkim narodem Europy, wylaliśmy o wiele więcej krwi niż ten sojusz okazał się wart, jest mimo wszystko dla ogółu polskiego Ziemią Nieznaną. Kilkuletnia w niej bytność tylu Polaków czasu ostatniej wojny — choć to dziwne — mało zmieniła ten stan rzeczy. Podobieństwo naszych ustrojów historycznych, dzieje stosunku dyplomacji angielskiej do nas i w ogóle dzieje naszych stosunków z Anglią znane są mało komu poza kręgiem uczonych. Kilku wielkich pisarzy i dramaturgów angielskich, którym zawdzięczamy tyle radości artystycznej — nie wystarczają dla poznania narodu. I pan Samuel Pepys nie wystarcza. Lecz poufny jego dziennik odsłania nam wiele z tego, co można by nazwać historią Anglii i angielskiego człowieka od strony niejako „schodów kuchennych“. To zbliża, rozwiewa wiele złudzeń, lecz i lepiej pozwala ocenić prawdziwe, cenne i pouczające wartości ojczyzny Szekspira i Dickensa.

Pragnę udostępnić wynurzenia pana Samuela nie uczonym, którzy je zapewne wszyscy znają lub mogą zawsze korzystać z oryginału, lecz szerszej publiczności. Aby więc czytanie tego dzieła było gładkie i nie nastręczało trudności, muszę opowiedzieć parę szczegółów o dwu jego malowniczych bohaterach. O Pepys'ie i o jego ojczyźnie, jaką była w owym dziesięcioleciu, utrwalonym przez pasję kronikarską pana Samuela.

2

Zajmijmyż się najpierw ojczyzną. Czas, w którym Samuel Pepys pisał swój Dziennik, to pierwsze dziesięciolecie tzw. „Restauracji“, czyli przywrócenia na tron angielski — w osobie Karola II — dynastii Stuartów po upadku rewolucji i republiki Olivera Cromwella. U nas odpowiada tym czasom ostatnie dziesięciolecie panowania Jana Kazimierza.

Kiedy pan Samuel Pepys, zagrożony utratą wzroku, przerywa swój szyfrowany dziennik, Polska zabiera się właśnie do elekcji Michała Korybuta Wiśniowieckiego, tak soczyście opisanej przez naszego znów pamiętnikarza, współczesnego Pepys'owi Jana Chryzostoma Paska. Tak dla Polski jak dla Anglii są to czasy pogrążania się w reakcję polityczno-społeczną i religijną. Wprawdzie inny jest układ sił pod tym względem w Anglii niż w Polsce. Inne też grupy wyznaniowe stają się wyrazicielkami postępu, rewolucji czy reakcji w Anglii niż w Polsce. Wszelako niektóre przejawy zarówno rewolucji jak reakcji, która po niej nastąpiła, są w obu krajach podobne.

Aby rzecz lepiej zrozumieć, cofnijmy się nieco wstecz. Wiek XVI-ty, zwany w całej Europie wiekiem Odrodzenia, a u nas wiekiem złotym, był złotym także dla Anglii. Pomimo wielu wstrząsów, które zwłaszcza na wyspie brytyjskiej miały charakter gwałtowny i namiętny, czasy Elżbietańskie w Anglii, a czasy Jagiellońskie w Polsce przyniosły obu tym krajom wspaniały rozkwit bogactwa, sztuki, kultury i swobód obywatelskich. Ale historia tak jak każde dzieło ludzkie posiada wady swoich zalet. Renesansowa świetność doprowadziła do przerostów i zwyrodnień w różnych dziedzinach życia. Zarzewie niezadowolenia wybuchło w końcu rewolucjami — Chmielnickiego w Polsce, Cromwella w Anglii. A chociaż w Polsce przebieg rewolucji był zupełnie odmienny i wynik odmienny, przecie były i nie małe podobieństwa obu tych wielkich wydarzeń, nad czym jednak nie miejsce tu się rozwodzić. Wspomnę tylko o czasie nieomal identycznym. Prolog, dramat i epilog obu tych rewolucji (w obu krajach, „rebeliami" zwanych) odbyły się i w Polsce i w Anglii między latami 1640—1660-tym; wystąpienie na widownię — w Polsce Chmielnickiego, w Anglii — Cromwella miało miejsce w latach 1646—1648. Wypadki decydujące o zwycięstwie Cromwella przypadają na ten sam rok 1648-y, co nasza klęska pod Korsuniem i Żółtymi Wodami. W obu krajach wystąpiły do walki pierwiastki życia religijne, społeczne i nacjonalne; w obu jednako krwawy i okrutny był fanatyzm obu walczących stron.

Wielki dramat, który się wówczas w Anglii rozegrał, miał jednak swoje osobliwe aspekty, warte przypomnienia.

Oto Oliver Cromwell z przywódcy niezadowolonych Purytanów i z rewolucyjnego mówcy parlamentarnego przedzierżgnął się rychło w zwycięskiego stratega-generała, który króla Karola I-szego uwięził i sądem specjalnym skazał na ścięcie, a jego rodzinę wypędził na zagraniczną tułaczkę. Z generała zaś przeobraził się Cromwell niebawem w wodza narodu i Lorda Protektora Anglii, którą poddał rządom wojskowym i despotycznym, jakich nie znała za najbardziej samowładnych swych królów. Słynny z maksymy: ,,Wierz w Boga i trzymaj sucho proch“ i z tego, że — jak mówiono — nie mógł rządzić ani z Parlamentem, który wciąż rozpędzał, ani bez Parlamentu, gdyż tego — i w tym jej wielkość — Anglia jednak nie chciała mu pozwolić, Cromwell naradzał się co do sposobów rządzenia jedynie z Panem Bogiem. W ostatecznym wyniku tego procesu tolerancja religijna i wolność społeczno-polityczna zostały całkiem zaprzepaszczone; republika pod wszechwładnym protektoratem Cromwella stała się pustym dźwiękiem; sądy specjalne i egzekucje stwarzały w narodzie istną psychozę ustawicznego wszystkich zagrożenia; ucisk stał się w końcu tak nieznośnym, że najbardziej zagorzałe ,,okrągłe głowy“, jak od krótko strzyżonych włosów nazywano stronników Cromwella, zaczęły spiskować przeciw Lordowi Protektorowi z ,,kawalerami“, jak zwano znów partię królewską; a jeden z najznakomitszych generałów Cromwella, Jerzy Monk (obdarzony później za to tytułem księcia Albemarle), w rok po śmierci Wielkiego Protektora przyczynił się w znacznym stopniu do przywrócenia na tron Karola II Stuarta.

Oliwer Cromwell dokonał natomiast dzieła, które wprawdzie nie wiele miało wspólnego z rzekomo reprezentowanym przezeń interesem Pana Boga i Chrystusa, ale w pewnym sensie przyniosło korzyść Anglii. Bynajmniej przecie nie w takim sensie, w jakim rozumieli korzyść Anglii i angielskiego ludu najlepsi rewolucjoniści tego czasu. Cromwell to bowiem ogniem i mieczem przeprowadził ostateczny podbój i wcielenie do Anglii napół tylko dotąd podbitych Szkocji i Irlandii, nie cofając się przed użyciem ku temu środków najbardziej nieludzkich i okrutnych; dość wspomnieć słynną strefę osiadłości, rodzaj ghetta, dla Irlandczyków, których Cromwell zagnał w najbardziej niezdrowe, pustynne i nie-

urodzajne zakątki ich ojczyzny. On również rozwinął na wielką skalę, zaczętą w XVI wieku oceaniczną politykę kolonialną. I choć to brzmi jak paradoks, można powiedzieć, że ten genialny wódz rewolucji religijno-społecznej położył walną część fundamentów pod nowoczesne Imperium Brytyjskie.

Niemniejszym paradoksem zdaje się być fakt, że „Restauracja" Stuartów przyniosła nawrót do tradycyjnych swobód obywatelskich i po żelaznym despotyzmie Lorda Protektora przyjęta została przez znękany i przerażony represjami naród jako jedyne możliwe do oddychania powietrze. Otwarcie zamkniętych przez ascetyczny Purytanizm teatrów, przywrócenie świąt i zabaw ludowych, powszechna amnestia, zdawały się wszystkim nową wiosną narodu. Niestety, sielanka powitalnych uniesień bardzo się prędko rozwiała. Jeszcze pierwsze egzekucje na połapanych Cromwellistach wywoływały dziką radość gawiedzi, zarówno tej spośród gminu, jak pańskiej w aksamitach. Następne zaczęły już robić najfatalniejsze wrażenie. Na rozpróżniaczonym długą emigracją Dworze i w rojalistycznej partii Kawalerów już w pierwszych latach po powrocie z zagranicy ujawniły się: korupcja, rozwiązłość, zbytek, zła gospodarka, upadek obyczajów i wręcz cyniczna niedbałość o sprawy publiczne. Nowe rodzaje nietolerancji, prześladowań i dążeń do władzy absolutnej w oparciu o klikę dworską — wszystko to uczyniło narody wysp brytyjskich na inny sposób, lecz nie mniej nieszczęśliwymi niż czuły się w ostatnich latach panowania Lorda Protektora. Co więcej — zgodnie ze złożoną i paradoksalną naturą ludzką — powszechna nienawiść, którą żywiono dla „krwawych świętoszków" (jak nazywano krańcowe sekty protestanckie), gdy sprawowali oni swoją ponurą władzę, przeobrażała się w coraz powszechniejszą dla nich sympatię, gdy ich widziano bezlitośnie prześladowanymi [1]. W dodatku Anglia, przed którą za Cromwella drżał świat, zachwiała się mocno w swej potędze państwowej. Karol II, wesoły, rozrzutny i lekkomyślny, leniwy i nieodpowiedzialny wielbiciel pięknych dam wciągnął kraj w czteroletnią wojnę z Niderlandami, w której doszło do

[1] Patrz Macaulay: „Dzieje Anglii od Jakuba II".

rzeczy niebywałej od wieków, do wtargnięcia Holendrów Tamizą, niemal na przedmieścia Londynu. Oprócz nieszczęśliwej wojny dwie inne klęski nawiedziły wówczas Anglię. W roku 1665 długotrwała zaraza, o której wspomina i nasz pan Pasek, wyludniła Londyn i przetrzebiła ludność całego kraju. W roku następnym olbrzymi i tajemniczy pożar strawił całą niemal stolicę Anglii. Wobec wszystkich tych nieszczęść rządy — i państwa i miasta Londynu — okazały zupełną małoduszność, bezsilność i bezradność. Skarb państwa świecił pustkami, Anglia popadła w zupełną zależność od Francji; Ludwik XIV rządził polityką wewnętrzną wysp brytyjskich za pomocą swych szpiegów i podżegaczy, swych uroczych kobiet i swego złota. Nadto wyraźne sprzyjanie króla, a zwłaszcza jego brata, księcia Yorku (późniejszego Jakuba II) katolicyzmowi przerażało anglikańsko-prezbyteriańsko-purytańsko-kwakierski naród i groziło nową wojną domową, która też — znacznie już jednak później — wybuchła.

Toteż groza ostatecznego upadku, zaguby i ruiny zdaje się wisieć nad Anglią czasów Pepys'a i trwoga przed zagładą ojczyzny stanowi znaczną część samopoczucia co lepszych, a w każdym razie, co światlejszych obywateli ówczesnej Angli. Podobnie jak powszechne uczucie grozy wisiało w tymże czasie nad Polską, czego echa znajdziemy w wielu źródłach ówczesnych, a z literatury pamiętnikarskiej — zwłaszcza w Dzienniku Albrychta Radziwiłła. Tylko, że dla Anglii nie sprawdziły się w końcu żadne złe przewidywania, nie wyszły jej na szkodę żadne popełnione grzechy i błędy. Przeciwnie, po czasach burz, uśmierzonych w końcu ręką narodu, jakże trzeźwą i pewną, czekał ojczyznę Pepys'a wzrost potęgi, rozkwit demokracji, przynajmniej politycznej, czekała pewność szczęśliwości.

3

A teraz — kim na tle tej epoki jest — jej owoc i razem jeden z jej współtwórców — Samuel Pepys? W roku 1660-tym, kiedy zaczyna się jego dziennik, Pepys ma 27 lat, jest więc w kwiecie młodości. Wychowany za Republiki i w wieku szkolnym, jak sam przyznaje, zapalony „Okrągły

Łeb", w przededniu Restauracji, podobnie jak tysiące rozczarowanych Cromwellistów, jest już całkiem gotów do przyjęcia mających nastąpić zmian. Młody ten człowiek, już w czasie powrotu z emigracji Karola II, jest osobistym sekretarzem admirała Edwarda Montague, później hrabiego (earl) Sandwich. W ciągu następnych dziewięciu lat pan Samuel wchodzi do Tajnej Rady Królewskiej, jako kierownik jej kancelarii; równocześnie przez cały czas pełni funkcje sekretarza Urzędu Marynarki. Oprócz tego zostaje członkiem, a potem skarbnikiem komisji do spraw Tangeru, a w czasie wojny holendersko-angielskiej obejmuje nadto urząd Nadzorcy Zaopatrzenia Floty i opiekę nad inwalidami oraz rannymi żołnierzami. Jest również sędzią pokoju, a nakoniec dostaje nawet kapitaństwo okrętu, jedynie dlatego, żeby mógł uczestniczyć w sądach wojennych.

I tym wszystkim, lecz niczym więcej, pozostałby pan Samuel Pepys, gdyby nie odkrycie jego „Dziennika". Nazwisko jego nie znalazłoby się nigdy w rzędzie tych sławnych nazwisk angielskich, które zna cały świat. Odgrywałby swą urzędniczą rolę w wewnętrznych dziejach Anglii, a wzmianki historyków byłyby też jedynym szerzej znanym śladem jego życia; i to tylko życia w zakresie działalności publicznej. Za to na czele tych wzmianek stałoby zdanie tej miary uczonego i światowej sławy historyka, co Tomasz Macaulay, który nazywa Pepys'a „najzdolniejszym sekretarzem Admiralicji angielskiej w dziejach tego Urzędu".

Odkrycie i wydanie „Dziennika" pana Samuela zmieniło ten stan rzeczy. Szyfr, którym „Dziennik" był pisany, pozwolił autorowi na niespotykaną w tego rodzaju dokumentach szczerość i bezceremonialność notowania wydarzeń, sądów, spostrzeżeń, uczuć wreszcie najintymniejszych. Toteż, chociaż wiek XVII dostarczył historykom Anglii dosyć źródeł w postaci akt urzędowych, opracowań, listów i także pamiętników, „Dziennik" Pepys'a stał się odrazu najcenniejszym z tych źródeł. Plastyczny i przejmujący obraz Anglii XVII wieku w „Dziejach Anglii" wspomnianego już Tomasza Macaulay'a, nie byłby może tak barwnym, gdyby nie „Dziennik" Pepys'a, z którego Macaulay czerpał pełnymi garściami i na który często się powołuje.

Ale to nie jest jedyne znaczenie ,,Dziennika“ Pepys’a. W miarę jak ukazywały się coraz nowe i coraz pełniejsze wydania jego tekstu, zaczęto tę cierpliwą kronikę dnia powszedniego Anglii XVII-wiecznej uważać za dzieło literatury i to dzieło niebylejakie. Jeszcze pierwszy wydawca Pepys’a Lord Braybrooke uprzedza w przedmowie czytelnika, aby nie spodziewał się w tym dzienniku wartości literackich, ,,akuratności stylu i wykończonej kompozycji“. Guy N. Pocock, autor przedmowy do wydania J. M. Dent & Sons, wznawianego w ciągu lat 1924—1937 aż cztery razy, pisze już z entuzjazmem: ,,Dziennik“ Pepys’a jest utworem geniuszu!“

Od siebie dodam, że zapiski Pepys’a, notujące bieg zdarzeń, uczuć i pobudek postępowania w sposób naiwnie bezpośredni i pozbawiony jakiegokolwiek retuszu — mają w sobie wiele z mimowolnej introspekcji psychologicznej. Nowoczesna powieść psychologiczna mogłaby uważać ten ,,Dziennik“ za swój prototyp, tym od niej wartościowszy, że uwzględniający tak szeroko podłoże gospodarcze i polityczno-społeczne życia osobistego.

Ten stenograficzny Proust XVII wieku — pozwólmy sobie na to ryzykowne porównanie — daje nam wizerunek społeczeństwa angielskiego niesłychanie wnikliwy, a dla nas Polaków, łączących z Anglią pojęcie flegmy i smętnej nudy, wizerunek najbardziej też niespodziany. Trudno bowiem o jaskrawszy obraz wielkich i małych, ale zawsze gwałtownych namiętności, niż ten, jakiego dostarcza nam z pozoru tylko sucha kronika pana Samuela. Oczywiście dostarcza nam ona przede wszystkim świetnej charakterystyki samego Pepys’a.

4

Pan Samuel, który w miarę czytania staje coraz żywszy i plastyczniejszy przed naszymi oczyma, to postać, według słów angielskiej krytyki ,,bardzo ludzka“, przez które to słowa rozumiemy zazwyczaj mnóstwo ułomności i tyleż zalet, a nade wszystko — tyleż wdzięku.

Pan Samuel jest wszędzie; wszyscy go lubią, chętnie zasięgają jego zdania, a zwłaszcza chętnie dzielą się z nim własnymi opiniami, opowiadaniami, plotkami, kłopotami;

rzekłbyś niemal, żadna sprawa decydująca za Karola II o losach Anglii, lub o czyichkolwiek losach osobistych nie może się obejść bez jego udziału, rady, a przynajmniej obecności. Jeśli brać jego dziennik od strony dobrego humoru, którym postawa autora wobec życia w wysokim stopniu się odznacza, to można by nazwać pana Samuela czymś w rodzaju politycznego Figara. Pepys tu, Pepys tam, nigdze go nie brak, wszyscy go potrzebują, jest zawsze i mile widziany i pożyteczny; przerasta inteligencją i sprytem wielu znacznie wyżej postawionych i utytułowanych, jest używany często do tak zwanego ratowania sytuacji, jest w tej roli należycie ceniony i wykorzystywany. Lecz wcale nie nazbyt honorowany. Balowi królewskiemu przygląda się tylko z galerii, uszczęśliwiony, że widzi tyle wspaniałości. Wezwany do Hampton Court na posłuchanie do króla, nie zostaje zaproszony do stołu. Je obiad u niższych dworzan pokojowych, zresztą w dobrym towarzystwie. Trochę mu przykro, lecz nie czuje się obrażony, bo gdy idzie o niego samego lubi sobie wszystko złe na dobre tłumaczyć. Jest niesłychanym strojnisiem i chętniej wydaje na piękne stroje dla siebie niż dla żony, którą kocha. Ma niemało próżności różnych rodzajów, ale bardzo mało snobizmu. Parę razy usiłuje wprawdzie z lekka dochodzić dawności swego rodu i napomyka o swym herbie. Ale zbyt wiele o to nie dba i sam przyznaje skromnie, że rodzina jego nigdy nie była znaczną. Według dzisiejszych komentatorów jego „Dziennika", ojciec Pepys'a, właściciel domu z ogrodem i małej działki rolnej w osadzie Brampton, był krawcem. Mógł być jednak i drobnym z pochodzenia szlachcicem, gdyż przemieszanie się warstw w Anglii XVII wieku, zwłaszcza po rewolucji Cromwellowskiej, znajdowało się w stadium demokratyzacji, wyprzedzającym nasze polskie stosunki o jakie półtora wieku. Wracając do pana Samuela, zabiega on bardzo umiejętnie i metodycznie o względy osób możnych i jest, jak piszą Anglicy, „przyjacielem każdego, kto jest kimś"; ale nie opuszcza przyjaciół, którzy wypadli z łaski lub nawet podlegli prześladowaniu, a między możnymi odróżnia łotrów od ludzi jakiej takiej wartości umysłowej lub obywatelskiej. To już dużo, jak na te czasy zepsucia. Mimo umiejętności lawirowania, maskowa-

nia się i wszelkich talentów koniecznych do robienia kariery w okresie ciągłych zmian, odważa się, przynajmniej w swym dzienniku, mieć zdrowy, krytyczny, a nawet bardzo surowy sąd o złych stronach rzeczywistości, której służy. Time-server — „służka czasu“, według świetnego wyrażenia angielskiego; ale nie w takim stopniu, jak większość współczesnych mu dygnitarzy, nie w takim zwłaszcza, jak wielu znakomitych pisarzy jego czasu (z nieśmiertelnym autorem „Robinzona Kruzoe“ na czele), do których, nie wiedząc o tym, miał się pewne prawo zaliczać. Mimo istotnego sprytu do robienia interesów, pan Samuel zna o tyle o ile granicę uczciwości, której, zwłaszcza w dojrzalszych i rozważniejszych latach, nie przekroczy. Oszczędny i nawet skąpy z wyjątkiem wydatków na stroje, na książki, dzieła sztuki i urządzenie domu, pan Samuel doszedł w tych czasach rozrzutności i klęsk publicznych do tak znacznego majątku, że pożyczał wkońcu zubożałemu królowi oraz niejednemu z diuków i lordów. A choć z zawodu jest biurokratą, jego stosunek do dóbr materialnych i cały temperament życiowy pokazują nam w nim klasycznego mieszczanina, wczesnego prekursora okresu Wiktoriańskiego i przyszłych angielskich Forsytów.

Ale trudno zbyć go tym określeniem. Zdaje się postne. Nie mieści się w nim cała barwność postaci Pepys'a. Świetny reżyser swej kariery i swego losu, tak. Lecz jest on chyba najbardziej artystą i amatorem życia, drgającym czule na każdy jego przejaw. Zainteresowania Pepys'a są tak rozliczne, że można prawie powiedzieć — nieograniczone. Nie ma prawie dziedziny spraw tego świata, na której choć cokolwiek by się nie znał, albo której by przynajmniej z dziecięcą wręcz ciekawością nie pragnął poznać. Z równą żarliwością opisuje swe spostrzeżenia co do wartości przędzy używanej w tkactwie angielskim, co wielkie wydarzenia dziejowe; z jednaką pilnością mówi o gminnych zabobonach, jak o wielkich odkryciach ówczesnej nauki angielskiej, z tą samą siłą przejmuje się wdziękami kobiet, co nędzą i cierpieniami ludu; z rozkoszną niekonsekwencją gorszy się zepsuciem dworu, a jednocześnie zamiera z uwielbienia nad urokami dam dworskich i podkochuje się skrycie w oficjal-

nej królewskiej nałożnicy. Jest często w swej szczerości śmieszny, trywialny, a nawet zdaje się cyniczny, osobliwie w początkach, gdy jak to bywa w czasie przewrotów usiłuje robić błyskawiczną karierę. Lecz i świat dokoła niego posiada wiele cynizmu i cynizmem zaraża. Trywialne są nieraz i gusty tego miłośnika książek, teatru i muzyki, którą sam uprawia, lecz i miłośnika niewybrednych, a nawet ordynarnych, okrutnych i brutalnych widowisk. Ale bardziej istotną jego cechą jest bezpośredniość, świeżość, prawie naiwność zachwytu lub zdumienia nad życiem i nad światem. Jego ciągłe nad wszystkim wykrzykniki: „To bardzo dziwne" lub: „Jeszczem czegoś podobnie cudnego nigdy w życiu nie widział!" są wprost uroczo sympatyczne. A zapisywanie jednym tchem, bez żadnej pauzy tylu tak różnej wagi spraw, nieraz tragicznych pospołu z trywialnymi, czyni z jego dziennika podniecający coctail artystyczny, w którym uważny czytelnik dopatrzy się pewnej hierarchii przedmiotów.

Ale nade wszystko, pośród wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek sami siebie podziwiali, pan Samuel Pepys jest najbardziej bez granic w sobie zakochanym angielskim gentlemanem. O wiele więcej w sobie, niż w swojej drogiej żonie. O pani Pepys (dzieci nie mieli) wiemy z dziennika jej męża dosyć dużo. Wiemy, że chodziła z panem Samuelem do teatru, że przylepiała sobie na twarzy czarne muszki, że miała taką a taką suknię, lub że najpiękniej z wszystkich dam wyglądała. Wiemy, że raz pobiła swą pannę pokojową, że robiła mężowi sceny zazdrości i to właśnie m. in. o swe piękne panny pokojowe, do których, wielce nad tym ubolewając, pan Samuel nie mógł, bodaj platonicznego, upodobania powściągnąć. W sumie pani Pepys w porównaniu z mężem zdaje się być mało interesującą osobą. Ale oto pod sam koniec „Dziennika" wychodzi na jaw, że działy się w jej życiu duchowym rzeczy, których pan Samuel zgoła nie przeczuwał. Mężowi, który z takim nakładem trudów, pracy i dyplomacji życiowej utrwalił właśnie swą lojalność protestancką, majątek i karierę, a niedawno co skoczył do oczu samej Izbie Gmin i w wielkiej mowie obronił przed Parlamentem ze wszystkich zarzutów siebie i cały Urząd Marynarki — pani Pepys oznajmia nagle, że... została katoliczką.

Lecz Pepys posiada tak w sądach, jak i w postępowaniu ten szczególny zmysł umiarkowania i tolerancji, który nazwałabym jego cechą najbardziej wyprzedzającą swój czas, a dziś — najbardziej angielską. Cechą, która stanowi doskonały i skuteczny hamulec dla potężnych i tak nieokiełznanych kiedyś namiętności angielskiego narodu. I która, dając przykład z omawianych tu czasów, kazała Anglii postawić w Londynie zarówno pomnik ściętego Karola I-go, jak pomnik Olivera Cromwella.

Pan Samuel więc i w tym wypadku okazał właściwy sobie umiar angielskiego gentlemana. Umiar tak wielki, że aż zdający się obłudą. Pomyślał może: „To bardzo dziwne“, ale poprosił tylko żonę, by nie odmawiała mu chodzenia nadal razem do anglikańskiego kościoła i nie afiszowała się ze swoją nową wiarą publicznie. I nadal żyli [2] naprzemian burzliwie i pogodnie, ufni w siebie, w Boga, w pieniądze, w bieg rzeczy i w wartość życia mimo wszystko. Gdyż dobre czucie się w bycie mimo wszystko — jest istotą Pepysowskiej Mieszczańskowości Wspaniałej. A może i cechą mieszczańskości w ogóle. Płodną i cenną do czasu, póki brak płodnego i cennego niepokoju nie przeobrazi jej w zastój.

5

Prof. Julian Krzyżanowski mówił mi o tym, że ś. p. Roman Dyboski porównywał „Dziennik“ Pepys'a z naszym Pamiętnikiem Paska. I ja to czyniłam niejednokrotnie w czasie mej pracy nad Pepys'em. Porównywałam go jednak również z innym dziełem pamiętnikarskim naszego XVII wieku — z wymienionym tu już Dziennikiem Albrychta Radziwiłła. Dziennik Radziwiłła jest wcześniejszy. Obejmuje koniec panowania Zygmunta III i całe panowanie Władysława IV-go. Pisany, jak wiadomo po łacinie, dopiero w XVIII czy nawet w początku XIX wieku przełożony został na język polski. Mimo to nie nabył większej popularności, a szkoda. Codzienne bowiem zapiski Albrychta Radziwiłła, kanclerza litewskiego i bywalca tak na dworze królewskim, jak na sejmie i we wszystkich środowiskach, gdzie się ów-

---

[2] Zresztą niedługo, bo pani Pepys w niespełna dwa lata potem umarła.

czesna polityka wykuwała i gdzie się najwartszym potokiem także inne sprawy życia toczyły, dają nam — podobnie jak „Dziennik“ Pepys'a — bardzo ciekawą sposobność poznania intymnej, zakulisowej, plotkarskiej niejako strony ówczesnych dziejów. A te niedyskrecje ileż bywają bardziej zajmujące, a często i bardziej prawdziwe, od nadęcie uroczystej historii oficjalnej.

Pamiętnik Paska jest mniej więcej współczesny Pepys'owi. Mniej więcej, bo zaczyna się w latach dużo wcześniejszych, a kończy późniejszymi. Żył jednak Pasek ściśle w tym samym czasie co pan Pepys, byli zdaje się niemal jednolatkami. Podobny jest i los ich dzieł, odnalezionych tak późno i na pośmiertną nawet sławę tak długo czekających!

Do Radziwiłła natomiast podobny jest Pepys formą dziennika codzień prawie zapisywanego i wysokim stanowiskiem, które pozwalało im obu o tajemnicach ówczesnej polityki wiedzieć o wiele więcej niż wiedział i mógł wiedzieć pan Pasek, skromny żołnierz i szlachcic wiejski o horyzontach umysłowych bardzo ciasnych, mimo że człek był z niego dosyć w świecie otarty.

Od obu dzieł polskich dziennik Pepys'a różni się tym, czym Anglia była różna od Polski: oba przypomina tym, czym Anglia ówczesna Polskę ówczesną przypomina. A podobieństwa były niekiedy tak znamienne, że czytając Pepys'a chciałoby się czasem wykrzyknąć: „Ależ to zupełnie jak u nas!“ Radziwiłłowski opis posiedzeń sejmowych za Władysława IV jest łudząco podobny do kilku opisów Izby Gmin u Pepys'a. Radziwiłła pomstowanie na dwór Władysława IV-go tej samej jest natury, co pomstowanie Pepys'a na dwór Karola II. Z tą różnicą, że jak u Radziwiłła, tak we wszystkich źródłach naszych Władysław IV, mimo swych przywar na lepszego i większego zakrawa i króla i człowieka niż Karol II. Gdy z kolei przypomnimy bunty wojska o niepłacenie żołdu, albo płacenie go kwitami, tak dokładnie opisane przez Paska, to ich odpowiednik znajdziemy natychmiast w opisie buntów marynarzy u Pepys'a. Historia nienawiści szlachty do kanclerza Mikołaja Prażmowskiego, tak nam siarczyście podana przez pana Paska, jest w pewnym sensie bliźnią hi-

storią nienawiści szlachty do kanclerza Edwarda Hyde of Clarendon, opisanej przez pana Pepys'a.

Dla tych, co słabo się orientują w dziejach naszego XVII wieku ta strona smakowitości dziennika Pepys'a w znacznym stopniu oczywiście przepada.

Dziennik Albrychta Radziwiłła nie należy do historii literatury, Dziennik Samuela Pepys'a bodaj też ledwo ledwo. Pamiętnik pana Paska wszedł do naszej historii literatury jako jej znakomite dzieło. W samej rzeczy piękny to pomnik starej polszczyzny, niepozbawiony w lepszych swych częściach zaczątków stylu jakby ludowej epopei. Muszę jednak wyznać, że jak na mój gust, suche kronikarskie notatki pana Pepys'a, mimo swych skrótów myślowych i niedbania o język ani składnię, zawierają nie mniej wartości artystycznych. Tylko że to jest artyzm innego rodzaju, rzekbyś — potencjalny; i dodałbyś — trudniejszy. Ten styl stenograficzny trzeba sobie dopełnić, dosmaczyć, dośpiewać własną wyobraźnią i bogactwem skojarzeń, o ile mamy szczęście być w nie wyposażonymi. A wtedy zacznie się nam on iskrzyć mnóstwem kolorów, zacznie nas przejmować i setnie bawić, ile że humoru i groteski (mimowolnej niekiedy) więcej u Pepys'a niż u Paska. Za to, jak mi ktoś w rozmowie powiedział, Pasek ma być moralniejszy i zacniejszy od pana Pepys'a. Mimo że bardzo lubię pana Paska i że pragnęłabym wywyższyć jego dzieło nad wszystkie inne utwory tego rodzaju, nie całkiem podzielam tę opinię. Pan Pasek jest niewątpliwie zacnym i poczciwym człowiekiem. A jeśli nie oburza się na dobijanie rannych, obrabowywanie jeńców i żywcem wypruwanie im kiszek oraz tym podobne praktyki, można to przypisać t. zw. duchowi czasu i okrucieństwom rzemiosła wojenego lub wreszcie — spokojowi epika. Epickości jego stylu duchowego możnaby przypisać również to, że pan Pasek nie zmienia się przez całe życie, jest ciągle taki sam. Lecz pamiętnik nie jest jednak czystą epiką, nawet kiedy ujawnia epickie nastawienie autora. Pamiętnik jest również subiektywnym i uczuciowym ujawnieniem dziejów duszy i jej stosunku do spraw życia. Otóż trzeba przyznać, że dzieje duszy miłego pana Paska są bardzo ubogie. Pan Pasek po-

siada kilka maksym politycznych i moralnych wdrożonych mu przez jakie takie wychowanie klasyczne, przez praktykę życia obywatelskiego i przez kościół; maksym, nad którymi nigdy się głębiej nie zastanawia. Pan Pepys przygląda się wprawdzie egzekucjom publicznym, nie skrywa swego upodobania do wszelkiego rodzaju dóbr tego świata i przyjemności zmysłowych; popełnia mnóstwo t. zw. grzechów powszednich. Ale pan Pepys zmienia się, rozwija, dojrzewa życiowo i duchowo. Dla pana Pepys'a istnieje już mnóstwo zagadnień moralnych natury i osobistej i ogólnej. Są w nim nawet przebłyski zagadnień moralności społecznej, których istnienia Pasek nawet się nie domyśla. I w tym pan Samuel bliższy jest chyba naszemu Radziwiłłowi. Ten stary magnat i bigot, nienawidzący heretyków, zdobywa się przecie po klęsce korsuńskiej na słowa: „Nasi wozy pod Korsuniem u Kozaków zostawili, bo były naładowane substancją chłopską i przeto chłopom się dostały. Za opresję chłopów, chłopami Bóg nas pokarał".

6

Przekład, który podjęłam, jest, jak już było wspomniane, skrótem „Dziennika" Pepys'a[3]. Więc należy się czytelnikowi parę wyjaśnień — jakiej trzymałam się metody przy dokonywaniu tego skrótu.

Zacznę od opuszczeń. Pominęłam więc zbyt szczegółowe opisy drobnych okoliczności, nie charakteryzujących specjalnie ani Anglii ani samego Pepys'a. Opuściłam również detale rachunkowości tyczącej się bądź domowych budżetów Pepys'a, bądź finansów jego Urzędu czy Skarbu Królewskiego. Nie chciałam nimi obciążać wyobraźni czytelnika, do którego książka ma, zgodnie z mym zamierzeniem, trafić. Pominęłam niektóre anegdoty, których sens owoczesny częściowo dzisiaj zwietrzał, częściowo nie mógł być przeze mnie dość precyzyjnie zrozumiany na skutek niedostatecznej znajomości wszystkich tajników owoczesnego życia towarzyskiego Anglii. Opuszczałam mniej charaktery-

---

[3] Muszę zresztą nadmienić, że wszystkie znane mi wydania Pepys'a są w mniejszym lub większym stopniu skrótami.

styczne historie albo przygody osób, które pojawiają się w ,,Dzienniku“ raz jeden i o których nie ma już potem więcej mowy. Opuszczałam wreszcie powtórzenia opisu tych samych rzeczy, zdarzające się zawsze i każdemu przy pisaniu dziennika. Chyba, że było w takim powtórzeniu coś charakteryzującego umysłowość lub uczuciowość Pepys'a.

Mimo to znajdzie się w mym przekładzie jeszcze sporo miejsc, które się zdadzą nudne czytelnikom nieobznajmionym z historią i nie umiejącym z nią obcować, która to nieumiejętność zdaje mi się zawsze wielką luką w najprzeciętniejszym nawet wykształceniu. Nie sądzę jednak, by należało czytelnikowi stawiać nazbyt już łatwe zadania.

Starałam się zaś przetłumaczyć z największym pietyzmem i w całej rozciągłości następujące rzeczy.

Przede wszystkim to, co stanowi obraz tragicznego wówczas położenia Anglii i daje nam do myślenia z jakich upadków naród dzielny i mądry może się dźwignąć na szczyt wielkiej a zasłużonej potęgi. Następnie to, co wskazuje nam, jak poprzez wszystkie rodzaje wstrząsów i ustrojów politycznych, jak nawet w dobie reakcji i wbrew jej rządom nieprzerwanie rozwijała się w Anglii demokracja, i poczucie wolności oraz odpowiedzialności za dzieje kraju. W dobie Pepys'a dają temu wyraz między innymi: znaczenie opinii publicznej; strach wszystkich piastujących władzę przed Parlamentem, odczuwanym, pomimo prób jego krępowania, przekupywania i odraczania, jako naczelna władza narodu; a na koniec wspomniane już pomieszanie się warstw społecznych. Mnóstwo utytułowanych dygnitarzy, o których pisze Pepys pochodzi z drobnej szlachty, mieszczaństwa, a nawet z warstw rzemieślniczych. Dość powiedzieć, że sławny i umiłowany przez żołnierzy admirał Sir Krzysztof Mings jest synem szewca i aż do śmierci z ran otrzymanych na wojnie — człowiekiem niezamożnym.

Z największą starannością przekładałam wszystko to, co jest w dzienniku plastycznym obrazem obyczaju, kultury i krajobrazu oraz dnia powszedniego ówczesnych ludzi angielskich.

Nie potrzebuję chyba podkreślać, że pilnie przykładałam się do wydobycia w przekładzie wszystkiego, co ukazuje

nam pana Samuela Pepys'a, jako jedną z najbardziej zajmujących postaci nie tylko historycznych, ale i literackich.

Nie mniej pilnie tłumaczyłam to wszystko, co przypomina elementy naszych dziejów. Z przyczyn, które nie potrzebują uzasadnienia, lecz także i z czystej radości, jaką nam sprawia podobieństwo rzeczy.

Publiczność nasza nie zna jeszcze prawie upodobania do lektury źródeł dziejowych, takich nawet, które zawierają pierwiastki artystyczne. Będę rada, jeśli przekład Pepys'a tego upodobania jeszcze bardziej nie osłabi, a szczęśliwa, jeśli je może roznieci. I zachęci powołane ku temu osoby czy instytucje do szerszego rozpowszechnienia także polskich źródeł dziejowych, których tyle zebrał i opublikował nasz pracowity XIX wiek. A które drzemiąc na półkach wielkich Bibliotek, i wykorzystywane jedynie przez powieściopisarzy lub uczonych, doczekały się w końcu — nie poznane przez ogół — spłonięcia.

WYJĄTKI Z „DZIENNIKA" SAMUELA PEPYS'A

(okres czerwiec—grudzień 1667 r.)

Dla zilustrowania mojej przedmowy do Pepys'a podaję kilka luźnych urywków z jego „Dziennika", tak dobranych, aby stanowiły choć drobną część przykładów na tę Anglię i tego Pepys'a, o jakich się w przedmowie napomykało.

Oto — pod wpływem wieści o zbliżającym się najeździe Holendrów — jedno z cichych westchnień świeżego rojalisty. 3-go czerwca pan Samuel pisze:

„Wszystko to przez niedbałość naszego Pana, co miał był moc i ludźmi i pieniędzmi sobie danymi onym rzeczom zapobiec i jeszcze by w to potrafił, gdyby chciał interesów państwa pilnować. Ale ponoć to doczekamy, że i to Królestwo zginie na zawsze i jego dobra sława; luboć tak wielką reputację miało zdobytą i zachowaną przez onego rebelianta, co był przed królem teraźniejszym... Przechadzając się z Creed'em tam i sam po ogrodzie, gadaliśmy o dzisiejszym sprawowaniu rzeczy, nierównie gorszym, niż było za czasów ostatniej rebelii, kiedy to ludzie jedni ze strachu, drudzy przez pobożność patrzyli swych powinności, czego dziś żaden nie czyni, zbywszy i strachu i religii".

A oto z kolei jeden z licznych obrazów paniki, gdy Holendrzy posuwając się w górę rzeki zagarniają jedną po drugiej twierdze obronne Londynu będące dziś już przeważnie dzielnicami stolicy. 11. VI. pan Samuel notuje:

,,Przyszedł Brouncker, który się wybiera do Chatham na żądanie Komisarza Pett'a, wzywającego w wielkim strachu przed Holendrami pomocy w imię Boga, Króla i Państwa... Brouncker przyniósł nam też wiadomość, że opuściliśmy Sheernesse wczoraj wieczór po paru godzinach oporu. Nieprzyjaciel zawładnął tą warownią, co bardzo smutne i mamy teraz wielkie obawy o Chatham. Do urzędu i do naszych spraw; najmujemy brandery, otrzymując bez mała co godzinę listy od Sir Wil. Coventry, w których woła o więcej branderów; i rozkaz od Tajnej Rady, pozwalający nam brać okręty prywatne; a Sir Coventry w liście do nas powiada, że będąc, jak to wyznaje, pod inwazją, król bez wątpienia może na mocy prawa brać dobro każdego człowieka. Nad tym do późnia, a potem do domu, gdzie bardzo s e r i o rozmówiliśmy się z żoną o smutnym położeniu, w którym jesteśmy; a osobliwie o biciu tej nocy w bębny dla zwołania milicji, by pod karą śmierci wszyscy zjawili się jutro rano pod bronią z kulami i prochem i z pieniędzmi na zaopatrzenie się w prowiant na dwie niedziele; zważywszy na wyjście wojska do Chatham i w insze strony, wygląda to, jakby chcieli zrujnować miasto i poddać je, wydając na zginienie; co jak słyszę przyprawia spokojnych obywateli o bardzo czarne myśli.“

W miarę rozwoju panicznych nastrojów pan Samuel, świetnie przezierający przyczyny i konsekwencje najazdu, ale całkiem pozbawiony uczuć bohaterskich przechodzi nagle od spraw publicznych do przyziemnych trosk natury osobistej, tak dobrze znanych każdemu spośród nas. że będziemy dla nich po ludzku pobłażliwi. 13-go więc czerwca pan Samuel zapisuje:

,,Ledwiem wstał, usłyszałem potwierdzenie smutnej wiadomości o wzięciu przez Holendrów okrętu ,,The Royal Charles“, który teraz dla siebie przyszykowują (a który Pett miał na nasze liczne rozkazy ściągnąć w górę rzeki i wart jest szubienicy, że tego nie uczynił) i o spaleniu kilku innych naszych okrętów; i że nowa flota nieprzyjacielska nadciąga od strony Hope... Co wprawiło mnie w taki strach, żem natychmiast postanowił wyprawić żonę i ojca

na wieś; i we dwie godziny po zawiadomieniu ich o tym, wyruszyli dzisiaj powozem, wziąwszy do sakwy podróżnej około 1,300 funtów w złocie. Boże, daj im dobrą podróż i natchnij ich dobrym staraniem około ukrycia tego, jak przyjadą na miejsce! Lecz serce mam pełne strachu. Kiedy odjechali, dalej trwożyłem się i truchlałem, co zrobić z resztą... Około południa postanowiłem wysłać pana Gibson w ślad za moją żoną z drugim tysiącem złotych funtów pod pozorem ekspresu do Sir Jeremiego Smith'a, który jak słyszę stoi z kilką okrętów w Newcastle; i w samej rzeczy posłałem tam Gibson'a; i zapewne wyświadczę dobrą usługę królowi, bo w tym gwałcie możebna jest, że nie pomyśleli o tym na dworze, a koszta ekspresu mało znaczą dla Króla... Posłałem też, mając umysł mocno stroskany, Saunder'a za żoną i ojcem, aby dogonił ich na noclegu i dowiedział się, co z nimi słychać. Wieczorem posłałem po moją krewną Sarę (Gyles) i jej męża, którzy zaraz przybyli; powierzyłem im skrzynkę z dokumentami tyczącymi się Brampton, z papierami mego brata Tomasza i z moim Dziennikiem, który w wielkiej mam cenie; a dwa srebrne flakony posłałem do Kate Joyce; tak rozrzuciwszy wszystko co mam, może przecie cośkolwiek ocalę. Sporządziłem też sobie pas, w którym nie bez mitręgi noszę na sobie dokoła ciała 300 funtów w złocie, abym nie został bez grosza w razie, gdyby mnie zaskoczyły niespodziane okoliczności; bo myślę, że, w każdym inszym oprócz naszego narodzie, ludziom, co tak zdają się (gdyż nie jesteśmy nimi naprawdę) winni jak my, pozdejmowanoby głowy z karku... Spisałem dziś moją ostatnią wolę, dzieląc wszystko, co mam porównu między żonę i ojca"...

Z kolei parę cytat o sprawie wojska i żołdu tak nam dobrze znanej z naszego pana Paska. 14. VI. Pepys pisze:

Wielu marynarzy przychodziło dziś do mnie, by mi powiedzieć, że jeśli się przyczynię za nimi, aby mieli żołd zapłacony, to pójdą i będą się bić z Holendrami, a jeśli nie, to nie będą życia narażali, ani tracili tego, za co już się dosyć nawystawiali; tak że byłem zmuszony radzić, jak mogłem, by im żołd wypłacono.

Mamy tylko trochę pieniędzy, którymi musimy co wieczór

płacić tutejszych ludzi, bo inaczej nie chcieliby nic robić. I w samej rzeczy serce i afekt marynarzy odwróciły się od nas; większość ludzi, z którymi rozmawiałem, powątpiewa o tym, czy zdołamy powstrzymać zbiegostwo naszych marynarzy do Holendrów; a na ulicach Wapping z góry na dół wszędzie jawnie i publicznie kobiety krzyczały: „To wszystko przez to, że nie płacicie naszych mężów, a teraz róbcie sobie sami waszymi rękoma, co nic nie umią robić, a patrzcie końca!“ Mówią w Westminster, że wczoraj lud pospolity jawnie wołał po ulicach: „Dawać Parlament! Parlementu chcemy!“

Zajmę jeszcze uwagę czytelników paru soczystymi charakterystykami zachowania się Dworu w owym krytycznym czasie. 2. VI. pan Samuel pisze:

„Dziś przyszły wieści z Harwich, że nową Holenderską flotę widzą we sto żagli wielkich i małych ku nim nadciągającą; którą będą sposobni, jak mniemają, odeprzeć; wszelako lament podnoszą na odpadanie marynarzy; niewielu przy nich zostało, a i ci mdłego ducha... Był u mnie dzisiaj pan Cholmly i mówił mi, że Dwór po staremu szaleje; i że tego dnia, kiedy Holendrowie spalili nasze okręty, król wieczerzał z panią Castlemaine i księżną Monmouth i wszyscy jako szaleni zabawiali się polowaniem na marną ćmę.“

23-go zaś — informuje nas na ten sam temat.

„wieczorem chodziłem godzinę albo więcej z panem Povy po ogrodzie i rozmawialiśmy o rzeczach publicznych. Powiedział mi, że według jego opinii nie ma podobieństwa, byśmy zdołali uniknąć zguby; nie jesteśmy albowiem w mocy uczynić nic z tego, co jest konieczne dla ocalenia Królestwa; leniwy Król, żadnej Rady, żadnych pieniędzy, żadnej reputacji ni w kraju ni u postronnych. Mówi, że Król, jak zawsze się uganiał, tak po dziś dzień ugania się za kobietami... Rzekł mi też, ubolewając nad szkaradną jego zniewieściałością, że król zużył dziesięć razy więcej starań i trudu, by pogodzić panią Castlemaine z panną Steward, kiedy się poważniły, niżby ich podjął kiedykolwiek dla ratowania państwa“...

Przytoczę jeszcze parę zdań świadczących o ówczesnym znaczeniu opinii publicznej. Nie owego oglądania się w błahych światowych rzeczach na to, „co ludzie powiedzą“, od czego bogata w cie-

mne i jasne odcienie dusza pana Samuela też nie jest wolna, lecz opinii publicznej w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. W tejże samej notatce z 23-go czerwca znajdujemy u Pepys'a taki ustęp:

„Mówił mi jeszcze Povy, że król od niejakiego czasu zaprzątany jest przez lorda Arlington'a jakowąś budowlą, którą ów lord wznosi w okolicy Norfolke i na co wykłada wielkie sumy; i że on, Povy, zważywszy na niepewność łożenia pieniędzy w takich czasach, a jeszcze bardziej na zgorszenie i onego hrabstwa i całego królestwa, patrzącego na to, że lord buduje i zatrudnia robotników, gdy cały lud pospolity ze wsi brany jest na wybrzeże dla obrony kraju, sądził przyzwoitym pójść do lorda Arlinton'a i poradzić mu, aby trzymał nieco ręce przy sobie; lecz Milord ani słuchać go chciał."

Do tej samej kategorii należy też nawias w zdaniu notatek z 12-go czerwca:

„Wnet po obiedzie żona pojechała kolaską do swojej matki; ja zasie, w innym powozie (gdyż bałem się, aby mnie nie zobaczono w tak ciężkich czasach w jednym powozie z kobietą, jak gdybym zażywał sobie wczasów) do pana Turnera" etc.

I wreszcie — opis inspekcji nowych umocnień na Tamizie zapisany 1. VII.

„Wzięliśmy powóz nade dniem, a będąc bardzo śpiący, drzemaliśmy całą drogę do Gravesend, gdzieśmy wysiedli i oglądaliśmy nowe baterie, bardzo zacne; ale słyszeliśmy prostego człowieka, wykrzykującego na głupotę królewskich urzędników, żeby wydawać tyle pieniędzy na fortalicje w Woolich i Deptfort i topić porządne okręty[4] naładowane takim dobrem, kiedy umocniwszy pierwej to miejsce można je było wszystkie zachować. I myślę, że to nie tylko prawda, ale że najmędrsze nasze postępki są jeszcze tak nierozumne, że lud najpospolitszy zaczyna już to przezierać i potępiać."

Wtargnięcie Holendrów na brzegi Anglii było już ostatnim aktem kilkuletniej wojny. Rozpaczliwość położenia zmusiła Anglię

[4] Anglicy pod wpływem paniki przy odwrocie zatopili wiele własnych bogatych okrętów, sądząc, że tym sposobem utrudnią żeglugę w rzece wrogom.

do zawarcia pokoju. Oto więc parę notatek Pepys'a malujących wrażenie, jakie ów pokój wywarł na społeczeństwie angielskim:

„8. VII. Nasi parlamentariusze przybyli z Bredy, jak to było oczekiwane; lecz wbrew oczekiwaniom przywieźli parę artykułów traktatu, które nie podobały się królowi; jako to: żeby ograniczyć naszą Ustawę Nawigacyjną; żeby postanowić, jakie towary uznaje się za kontrabandę; a na koniec, że te osoby, zbiegłe z Anglii, które znalazły schronienie w Prowincjach Niderlandzkich mają być tam chronione i bezpieczne od jakichbądź prześladowań. Czy to dosyć, żeby się o to pokój zerwał, trudno mi rzec; wszelako postrzegam, że pewność zawarcia pokoju się rozwiała... 12. VII. Spotkałem w White Hall Sir H. Cholmly, który mi powiedział, że... wczoraj słyszał króla przemawiającego na Tajnej Radzie za pokojem... Insi z Rady takoż za pokojem argumentowali... Tedy musiał się Król zgodzić na te trzy warunki, przywiezione przez naszych parlamentariuszy z Bredy... Wyrachowano, że Parlament dał królowi na samą tylko tę wojnę ponad 5,000,000 funtów, co jest ogromną sumą. Dziwne to, jak każdy w dniach teraźniejszych wspomina Olivera Cromwella i zachwala go, co za dzielnych rzeczy on dokonał, jak we wszystkich postronnych monarchach respekt i trwogę budził; gdy tu, Król przywrócony z taką miłością i modłami i dobrymi życzeniami swego ludu i śród tak wielkich oznak wierności i gotowości służenia mu swymi majętnościami, że żaden naród podobnie się nie pokazał, wszystko to tak prędko postradał, aż to się widzi prawie cudem, jakich sposobów mógł dobrać człowiek, by tak wiele w tak niedługim czasie utracić... 13. VII. Rzecz to dziwaczna i smutna, że choć teraźniejszy pokój będzie gorszy niż ten, cośmy go dawniej mieli, wszyscy w trwodze, czy tylko Holendrowie wytrwają przy swoich warunkach, teraz, kiedy Król zgodził się już na wszystko, czego chcą... 29. VII... Nakazano nam zrobić wszystko dla rozładowania i rozbrojenia okrętów, by królowi ciężarów ująć; jasne tedy, że wojna już skończona.

I oto we wszystkich rzeczach: w roztropności, męstwie, sile, w znajomości naszych własnych wód i w powodzeniu Holendrowie pokazali się lepszymi od nas i skończyli tę wojnę

zwycięstwem po ich stronie... 22. VIII... Tego dnia wieczorem pan Pelling, aptekarz, odwiedził mnie i powiedział, że tylko co nadeszły listy holenderskie i że pokój ogłoszono tam już 19-go tego miesiąca; i że już koniec wszystkiemu; jakom żyw, nie wiem, mam-li się cieszyć albo smucić z tego pokoju, co tak potrzebny, a z tak złymi warunkami zawarty... 24. VIII. Dzień św. Bartłomieja. Tego ranka proklamowano pokój pomiędzy nami a Zjednoczonymi Prowincjami Niderlandzkimi, a takoż pokój nasz z królmi Francji i Danii; popołudniu zasię proklamacja była już publikowana w druku; na wieczór dzwony dzwoniły, ale ognisk radośnych, jak słyszę zewsząd, nigdzie nie rozpalano; częścią dla drożyzny paliwa, lecz najwięcej z przyczyny, że nie nadto ludzie są radzi temu pokojowi...

Choć bardzo nierad pokojowi niekorzystnemu dla ojczyzny, pan Samuel natychmiast po ustaniu działań wojennych rzuca się chciwie w naprzemian sielankową, frywolną lub artystyczną radość życia, jako że człowiek to młody. Więc już 14. VII. w niedzielę o piątej rano wybiera się z żoną i jej znajomą najętym powozem — (mimo swych zasług państwowych Pepys dopiero w następnym roku dochrapie się powozu własnego) — do Epsom, gdzie źródła wody mineralnej.

„O ósmej przybyliśmy do źródła w Epsom, gdzie już dużo wesołej kompanii i piłem ową wodę; panie nie piły, ale ja wypiłem dwie kwarty. Tedy do miasta do gospody... gdzie dostałem z moimi niewiastami lepszy pokój i tamże dobry obiad, bardzo wesoły... Po obiedzie wszyscy położyliśmy się spać, ile że było bardzo gorąco i dobrześmy sobie chrapnęli; a potem wstaliśmy... i wziąwszy powóz pojechaliśmy zażyć powietrza, bo na dworze był przyjemny wiaterek; zawiozłem panie do źródła i napełniliśmy parę butelek tamtejszą wodą, żeby ją zabrać do domu; i rozmawiałem z dwiema kobietami, co dzierżawią źródło od właściciela tych dóbr za 12 funtów rocznie... Potem przechadzaliśmy się... po Pastwiskach Gminnych, gdziem widział stado owiec; i był to najwdzięczniejszy i najbardziej niewinny widok, jakim kiedykolwiek w życiu oglądał; zastaliśmy tam pasterza, którego mały syn czytał mu Biblię zdala od wszelkich ludzkich siedzib i ludzkiego wzroku; tedy prosiłem chłopca, żeby mnie coś przeczytał, co uczynił tym wyciąganym donośnym głosem, ja-

kim dzieci zwyczajnie czytają; rozczuliwszy się dałem chłopcu coś niecoś i poszedłem do ojca i rozmawiałem z nim... Bardzo był rad, że mi się podobało czytanie jego syna i dziękował za niego Bogu, a sam tak był podobien owym starożytnym patryarchom, żem nigdy w życiu takiego drugiego nie oglądał i ten widok przez kilka dni potem przywodził mi na pamięć starodawne wieki świata... Pasterz ów bardzo sobie chwalił swojego psa, który mu zawróci do stada każdą owcę, kiedy je pędzą ku owczarni; powiedział mi, że ma koło czterystu owiec w stadzie i że jak rok okrągły dostaje 4 szylingi na tydzień za ich pilnowanie“...[5].

Ale nie wszystkie wczasy pana Samuela po wojnie holenderskiej miały tak biblijno-sielankowy charakter. 1. VIII. czytamy:

„Byliśmy na obiedzie u Sir W. Pen'a; podano pasztet ze zwierzyny, który śmierdział jak sto diabłów... A nie dostaliśmy wiele więcej ponadto prócz baraniego uda i paru kurczaków. Byłem wesoły, a po obiedzie na prośby pań poszedłem z nimi do teatru, pierwszy raz od czasu najazdu Holendrów na nasze brzegi. Byliśmy w Teatrze Królewskim na sztuce „Wiejskie obyczaje“. Teatr prawie pusty — nigdym jeszcze tak pustego nie widział — a sztuka zła. Po teatrze poszliśmy za kulisy, by porozmawiać z Knipp[6], którą zabraliśmy powozem w stronę Chelsy do Neat Houses i tam w loży z pnia dębowego siedzieliśmy śpiewając i gadając i jedząc; moja żona była bez humoru, jak zawsze, kiedy ta kobieta jest z nami.“

Dobry pan Samuel nie chce narażać żony swej na zły humor. Tedy 12. VIII. notuje:

...„moja żona z dziewkami swymi pojechała w górę rzeki do Whisters'a, blecharza płócien, z bielizną i ma tam próbować nowego sposobu prania. Tedy po obiedzie sam pojechałem do Królewskiego Teatru i tak mi się tam zdarzyło, żem siedział przed panią Pierce i panią Knipp, która ciągnęła mnie za włosy; tedym się ku nim obrócił i rozmawiałem z nimi przez wszystkie przerwy

[5] Te zainteresowania Pepys'a stanowią jedno ze źródeł obliczania zarobku robotników rolnych w XVII wieku.

[6] Sławna aktorka, w której Pepys się podkochuje.

w sztuce i częstowałem je owocami... Po przedstawieniu wziąłem te panie i panią Corbett, co była z nimi, do kolaski, ile że padał deszcz i pojechaliśmy do pani Manuel, wdowy po Żydzie, niegdyś muzyku, i słuchaliśmy jak śpiewała z pewnym Włochem, który tam był u niej; i w samej rzeczy przednio śpiewa, całkiem na włoską manierę; wszelako nie podoba mi się to tak, jak ta lub owa z pieśni pani Knipp na angielską melodię i według naszej mody, która jest bardziej naturalną. Potem do domu, a i moja żona niezabawem wróciła; tedy nie mówiąc jej nic, gdzie byłem, siedliśmy do kolacji, a zaś pograłem na flecie i do łóżka.‟

Nie jestem w stanie odmówić sobie — dla zamknięcia całości — podania jeszcze opisu jak złoto pana Pepys'a wraca ze swego ukrycia do jego domu. Pan Samuel wybrał się po nie do Brampton dopiero w październiku, czterokonnym powozem w towarzystwie żony, jej pokojowej oraz dwu przyjaciół eskortujących powóz konno. Nie można powiedzieć, żeby się gorączkował; po drodze zwiedza wesoło mijane miejscowości, a dotarłszy do domu ojca i nacieszywszy się nim, dopiero na trzeci dzień zabiera się do swego skarbu. Oto skrócony opis końca tej eskapady:

„10. X... Wieczorem ja i ojciec w towarzystwie mojej żony poszliśmy z zaciemnioną latarnią do ogrodu i zabraliśmy się do wielkiego dzieła wykopania mojego złota. I wielki Boże!, jaki strach miotał mną przez niemały kęs czasu o to, że oni sami dobrze nie wiedzą, gdzie je schowali; ale szturchając ziemię rożnem, wreszcieśmy je znaleźli. Lecz, o Boże! jak oni to niedołężnie zrobili! ani na pół stopy głębokości! i na widoku, że ze stu miejsc zobaczysz, gdyby kto wonczas był w pobliżu; i nawprost okna sąsiadów!; To tylko jedno, że ojciec, jak powiada, czekał aż wszyscy sąsiedzi powychodzą do kościoła (ile że to była niedziela) i dopiero wziął się do roboty nad złożeniem owych pieniędzy. Alem odchodził prawie od zmysłów, osobliwie zaś, gdy odwalając skibę rydlem, poczułem, żem rozrzucił sztuki złota po trawie i po zruszonej ziemi; a gdym podjął żelazne hełmy, w których złoto było złożone postrzegłem, że ziemia się dostała między złoto i od wilgoci worki całkiem zbutwiały, a też zapiski, tak że anim wiedział, co na to rzec i jak dojdę, czyli co tutaj nie przepadło, albo czy Gibson czego nie zgubił, wywożąc mi część złota; alem wreszcie wydobył zabłocone

hełmy i zebrałem tyle pomięszanych z błotem sztuk złota, ile ich tylko mogłem dostrzec przy świecy; zaniosłem to wszystko do pokoju brata i tam zostawiłem zamknięte, póki bym nie zjadł czegobądź na kolację; potem, kiedy już wszyscy poszli spać, ja i Hewer, całkiem sami, szczotką i kilku wiadrami wody odmyliśmy na koniec sztuki złota z brudu; i oddzieliwszy złoto od błota, zaczęliśmy liczyć według zapiski podającej wartość wszystkiego pospołu (którą zapiskę miałem na szczęście w kieszeni). I znalazłem, że było niewiele ponad sto sztuk, co mnie wprawiło we wściekłość; a uważając, że dom sąsiadów jest tak blisko, iż niepodobna, by nie słyszeli, jakeśmy na owym placu, gdzie było złoto zakopane, rozmawiali (tym bardziej, że ojciec jest głuchy) i że muszą oni wiedzieć, cośmy tam porabiali, zląkłem się, że mogą po nocy przyjść i pozbierać resztę złota, wyprzedziwszy nas, gdybyśmy chcieli czekać jutra; tedy wyszliśmy znów około północy (bo już tak się zrobiło późno) z Wilem Hewer i przy świecy poszczęściło nam się znaleźć jeszcze sztuk czterdzieści i pięć. Wróciliśmy i jęliśmy je czyścić; gdyśmy skończyli, była już druga nad ranem; więc do łóżka, z umysłem dosyć uspokojonym, żem odzyskał tak dużo. Leżałem w łóżku wysuwanym, bo nasza służebna położyła się z żoną; i tak leżałem, trochę niespokojny, licząc godziny, aż się zrobiło jasno.

11. X. Wil Hewer i ja z wiadrami i sitem zamknęliśmy się o świcie sami w ogrodzie; zebraliśmy wszystką zruszoną ziemię w owe wiadra i przesiewaliśmy ją przez sito w jednym z letników ogrodu (tak właśnie jak to czynią w innych stronach świata z dyamentami); i ku naszej wielkiej radości, około dziewiątej godziny wczorajsze nocne czterdzieści pięć sztuk złota urosło nam do sztuk 79, tak że brakuje około trzydziestu sztuk do tego, co według mego mniemania powinno było tam być;... dosyć tedy jestem kontent, że moja strata nie jest zbyt wielką i dziękuję Bogu, że się to miejsce tak dobrym okazało...“

Tegoż jeszcze dnia pan Pepys wyjeżdża z Brampton ze swym złotem pod eskortą wzmocnioną przez dwu jeszcze ludzi: swego brata Jana i pachołka Bowles'a dodanego mu przez możnych sąsiadów z rodziny hr. Montague-Sandwich. Skracając opis tej podróży do paru szczegółów — oto jak ona wyglądała:

„Włożyłem złoto we worki, siedliśmy do śniadania i około dziesiątej rannej kazaliśmy zaprzęgać; żona, Willet i ja w powozie, a Wil Hewer i Murford oraz Bowles i mój brat, Jan — konno; a tak mając ich czterech przy sobie, czułem się dosyć bezpieczny. Złoto włożyłem w koszyk i ustawiłem pod siedzeniem; to przez całą drogę co kwadrans tom zaglądał, czy z nim wszystko w porządku i tak jechaliśmy cały dzień z wielkim strachem“...

Ten sposób wiezienia złota nie zdał się panu Samuelowi dość pewny. Toteż nazajutrz, 12. X. notuje:

„Wstaliśmy i zjedli śniadanie i wyruszyliśmy około dziewiątej rannej do Barnett, gdzie popasaliśmy. O piątej po południu przybyliśmy do domu, gdzie wszystko zastałem w porządku; i ku radości mego serca przywiozłem cało moje złoto; lecz tego dnia, tośmy go już nie wieźli w koszyku pod siedzeniem, jeno w naszych ręku; pokojowa żony trzymała jeden worek, żona — drugi, a ja resztę; bośmy się bali, żeby nam się pod tym złotem wóz na zadzie nie oberwał.“

31. XII. po wielu jeszcze perypetiach z groźnym, sądzącym i dochodzącym przyczyn klęski wojennej Parlamentem, pan Samuel zapisuje:

„Tak kończy się ten rok wielką szczęśliwością moją i mojej rodziny co do zdrowia i dobrej kondycji w świecie, za co niech Bogu będzie chwała! Ale i z wielkim niepokojem co do rzeczy publicznej, gdyż nie zostało nam żadnej nadziei, by cały naród nie obrócił się rychło w niwecz, bądź przez domowe zamieszki... bądź przez obcą inwazję, której musielibyśmy ulec, gdyby jakaś w tym złym czasie na nas przyszła; o co król Francji snadnie się może postarać.“

WACŁAW BOROWY

O DRUGIEJ I CZWARTEJ CZĘŚCI „DZIADÓW"

1

Utwór, który wypełnił większą część drugiego tomu poezyj Mickiewicza (wydanego w Wilnie w r. 1823) pełen jest „dziwności" — nawet w zewnętrznych swoich rysach. Sam już tytuł, „*Dziady*, poema", jest manifestacyjnym odrzuceniem klasycystycznych formalnych dystynkcji „rodzajowych": bo obydwie główne części utworu mają postać dramatyczną. Numeracja tych części wskazuje na brak początku i lukę w dalszym ciągu. Ballada *Upior* i krótka przedmowa prozą, które je poprzedzają, bynajmniej nie tłumaczą tego niezwykłego układu. Nie tylko dla pierwszych czytelników wyglądał on zagadkowo.

A jednak wszystkie te osobliwości łączyły się z prądami literackimi swojej epoki.

Była to epoka, która miała poza sobą falę wielkich odkryć filologicznych i falę wielkich filologiczno-literackich fałszerstw i *pastiche*'ów. Odkrycia filologiczne nauczyły cenić utwory zachowane choćby tylko w szczątkach; w fałszerstwach i *pastiche*'ach dla iluzji autentyczności często umyślnie była stosowana kompozycja fragmentaryczna (już wydany w r. 1760 przez J. Macphersona pierwszy tom pieśni rzekomego Ossjana nosił tytuł: *Fragments of Ancient Poetry*). Stąd i inne utwory literackie zaczęto publikować fragmentarycznie. Do naśladownictw zachęcał zwłaszcza przykład Goethego, który pierwszą wersję swego *Fausta* ogłosił (1790) w postaci urywkowej (*Faust, ein Fragment*).

Wcześniej jeszcze w utworach narracyjnych, zwłaszcza w powieściach, rozpowszechnił się zwyczaj stosowania fikcji

(użytej m. i. już przez Cervantesa w *Don Kiszocie*), że autor tłumaczy, przerabia, albo zgoła wydaje tylko cudzy rękopis. (Do tego typu utworów należały m. i. wierszowane *Contes de Guillaume Vadé* Woltera). Pozorne korzystanie z cudzego skryptu pozwalało i na fikcję luk w skrypcie, braku zakończenia albo początku; jakoż i z tej fikcji obficie korzystano. Przykładów nie brak nawet w literaturze polskiej (Krasickiego *Powieść o narożnej kamienicy w Kukurowcach*, *Historia na dwie księgi podzielona*, Niemcewicza *Dwaj panowie Sieciechowie*). Środek ten, który zasadniczo miał służyć wzmacnianiu wiarogodności relacyj powieściowych, został szczególnie szeroko i w szczególnie jaskrawy sposób wyzyskany przez Sterne'a w związku zarówno z jego tendencjami humorystycznymi jak — przede wszystkim — z jego drobnostkowym realizmem, odrzucającym wszelkie efekty romansowej fabuły i intrygi. Jego *Podróż sentymentalna* urywa się nagle w toku opowiadania. W *Tristramie Shandym* nie tylko brak zakończenia, ale jest luka w paginacji, opuszczone są całe rozdziały, porządek innych jest przestawiony, zamiast jednego z rozdziałów mamy tylko dwie białe kartki, itd. Przykład Sterne'a znalazł licznych naśladowców, zwłaszcza wśród romantyków niemieckich.

Mickiewicz zastosował był już typ kompozycji fragmentarycznej w balladzie *Tukaj* i w przygotowanym dla *Wiadomości Brukowych* opowiadanku „sternowskim". W *Dziadach* mamy do czynienia z tymże typem kompozycji, aczkolwiek wydaje się on czymś odmiennym ze względu na zupełnie odmienną skalę zamysłu i zupełnie odmienny ciężar gatunkowy utworu.

W dziewięć lat później miał Mickiewicz napisać i wydać jeszcze jedną część poematu *Dziady*, kompozycyjnie w pewien sposób złączoną z wcześniejszymi częściami. Po upływie następnych lat dwunastu, drukując ostatnie za życia wydanie zbiorowe swoich poezyj, pozwolił wspomnieć o istnieniu jeszcze innej (mianowicie pierwszej) części jako znajdującej się „w rękopiśmie u autora" i o zamierzonej — po jej ogłoszeniu — zmianie „porządku" części dotychczas wydanych. Czy wiadomość tę należy brać *à la lettre*, czy jako jeszcze jedną fikcję kompozycyjną — na to pytanie odpowiedzieć nie podobna.

To pewna, że, skoro części II i IV zostały osobno ogłoszone, musiał je poeta uważać za całość artystycznie samostarczalną.

I myśmy więc winni rozejrzeć się w nich przede wszystkim jako w takiej całości. A pierwsza rzecz, z której musimy zdać sobie sprawę, to szczególny charakter jej kompozycji.

Kompozycja ta zewnętrznym swoim fragmentaryzmem przestrzega nas niejako przed doszukiwaniem się zupełnie ścisłego związku treściowego pomiędzy poszczególnymi częściami. Przyzwyczajenie jednak do kompozycji tradycyjnej, „klasycznej" tak jest u nas silne, że większość krytyków związku takiego się właśnie doszukiwała, a umyślne niedomówienia poety zszywała swoimi domysłami (nieraz *nb.* przy tym wychodząc poza sferę danej w tekście treści utworu i sięgając do jego domyślnego autobiograficznego podłoża: często więc u tych krytyków zamiast o Upiorze, Gustawie, Pasterce itd. słyszało się o Adamie Mickiewiczu, jego miłości do Maryli Wereszczakównej itd.[1], co naturalnie z krytyką estetyczną nic nie ma wspólnego). Trafiając w tych usiłowaniach na nie dające się usunąć sprzeczności, krytycy ci tłumaczyli je zazwyczaj omyłkami poety.

Tak było m. i. nieraz przy interpretacji wstępnej ballady *Upior*, w której — z nawyku do klasycznej spoistości pomiędzy członami jednego dzieła — chciano widzieć poetyckie streszczenie części dramatycznych, ich *argumentum*, w rodzaju tych, które zamieszczane były często przed poszczególnymi księgami epopej klasycznych (zamieścił takie *argumentum* i Mickiewicz na początku I pieśni *Kartofli*). A więc uznawano, że Upior z ballady to nie kto inny, tylko Gustaw. Ależ kara upiora (co roku powstającego z grobu, powtarzającego swoją mękę i samobójstwo) jest zupełnie inna niż kara Gustawa (który jako duch krąży dokoła kochanki i z jej zgonem dopiero ma się dostać do nieba). Jeśli Upior i Gustaw mają być jedną postacią, to jest tu jakaś jaskrawa niekonsekwencja. I takich niekonse-

---

[1] Kallenbach np. w objaśnieniach do *Upiora* (w wydaniu utworu w „Bibliotece Narodowej" [1920]) pisze, że „ww. 57—64 odnoszą się prawdopodobnie do narzeczonego Maryli, Wawrzyńca hr. Puttkamera"; Chlebowski (w wydaniu „Wyboru pisarzów polskich" 1907, str. 50) „różne paciorki, wstążek okrajce" w obłąkańczym ubiorze Gustawa komentuje jako „pamiątki, drobiazgi otrzymane od Maryli"; wedle Windakiewicza *(A. Mickiewicz,* 1935, str. 45) poeta „na obchód ludowy w kaplicy wprowadza Puttkamerową w przebraniu za pasterkę w żałobie" itd. itd.

kwencyj jest więcej. Bo czyż np. Gustawa „egzorcyzmem chłostano“?

Zamiast obciążać poetę tylu niekonsekwencjami — jest rzeczą chyba słuszniejszą uznać, że poeta w tym wypadku konsekwencji wcale nie pragnął: że *Upiora* z częścią IV bynajmniej nie łączy tożsamość bohaterów. Naturalnie, *Upior* wiąże się z dramatycznymi częściami *Dziadów* i nastrojem i podobieństwem motywów, ale to tylko podobieństwo, nie identyczność. Ballada jest jedynie introdukcją, jak gdyby nastrojową uwerturą cyklicznego utworu.

W dziele wielkiej oryginalności jest to zarazem część najmniej oryginalna, pełna konwencjonalizmów literatury balladowej na tematy upiorowe, która rozwielmożniła się była na Zachodzie, a i w Polsce miała już w tych czasach swoje pozycje [2].

Wspaniały jednak jest wstęp tej ballady: te cztery wiersze, które rosyjski poeta Balmont wybrał kiedyś dla charakterystyki jędrności polszczyzny [3]: ów szereg krótkich zwartych zdań, gromadzących rysy umarłego, by jego charakter dobitnie ujawnić dopiero w odpowiedzi na pytanie retoryczne. Zbyt rychło jednak narracja balladowa pogrąża się w zdawkową dekoracyjność („smutnie jęczał i płomieniem buchał“, „oczy na gwiazdę poranną wywrócił“ itp.); zbyt też rozwlekle wystawia historię upiora i powtarza jego rozwlekły monolog.

W tej rozwlekłości jednak wyróżniają się siłą wiersze przedstawiające nieszczęśliwą miłość. I tym bardziej siła ta uderza, że łączy się z nią wielka dyskrecja i prostota:

Kiedyś patrzyła, musiałem jak zbrodzień
Odwracać oczy; słyszałem twe słowa,
Słyszałem co dzień i musiałem co dzień
    Milczeć jak deska grobowa.

---

[2] O literackich antecedencjach *Upiora* zob.: Ign. Górski: *Ballada polska przed Mickiewiczem,* [1920], str. 64; M. Szyjkowski: „Upior w poezji Adama Mickiewicza“, *Przegląd Powszechny,* 1917, tom CXXXVIII str. 102; Wilh. Bruchnalski: „Przyczynki do genezy *Upiora* i drugiej części *Dziadów*“, *Księga pamiątk. Uniw. Lwowsk.,* 1911, str. 7; H. Życzyński: *A. Mickiewicz,* I, 1936, str. 114. Mniej w *Upiorze* „rzetelności“ folklorystycznej, gdyż, jak twierdzi Stankiewicz (str. 217), w wierzeniach białoruskich upiory są duchami groźnymi i mściwymi; wygląd ich jedynie wyglądowi upiora mickiewiczowskiego odpowiada.

[3] K. D. Balmont w porównaniu języka polskiego z rosyjskim w piśmie *Zolotoje Runo* w r. 1907.

Podobna dyskrecja a zarazem czułość przebija i poprzez dalsze — równie proste słowa:

Tylko, o luba, tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu...

Wiersze te ostro się odcinają od reszty, w której dekoracje romantyczne („trupiej [...] głowy", „grobowej [...] mowy" itp.) łączą się z konwencjonalnymi uprzejmościami w dawnym stylu klasycystycznym („może raczysz cierpliwie", „daruj [...] winę" itd.).

2

O ile ballada jest introdukcją nastrojową, o tyle następująca po niej przedmowa prozaiczna poświęcona jest legitymacji tła etnograficznego. Uwaga o tym, że w obrzędzie dziadów „we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzec pewne dążenia moralne i pewne nauki gminnym sposobem zmysłowie przedstawione" wyraźnie nawiązuje do programowej „przemowy" przed pierwszym tomem *Poezyj* Mickiewicza (1822). Poeta zaznacza oryginalność własnego dzieła („poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu"), zapewnia jednak o dużym stopniu wierności dla swoich źródeł folklorystycznych („śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacje są, po większej części, wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte").

Czy zapowiedź tę należy traktować jako podaną *bona fide*, czy też jako jeszcze jedną *supercherie* literacką? Odnoszono się do niej przeważnie sceptycznie. Okazuje się, że niezupełnie słusznie. Z badań Stanisława Stankiewicza [4] wynika, że materia etnograficzna weszła tu w mierze wcale znacznej.

A więc: — uroczystość dziadów święcona jest wśród ludu białoruskiego dotychczas dwa razy do roku; — obchodzi się ją w chacie i na cmentarzu (wszelako nie w kaplicy i nie tajemnie; a duchowieństwo zarówno prawosławne jak i unickie samo nieraz w obrzędzie bierze udział); — w chacie przewodniczy obrzędowi gospodarz lub najstarszy członek rodziny: intonując modlitwy, wygłaszając zaklęcia, wzywając przodków, odkła-

---

[4] Stanisław Stankiewicz: *Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej,* część I, Wilno 1936, str. 176.

dając dla nich jadło; na cmentarzu wykonywa te czynności niekiedy wędrowny żebrak (*starec*); tu i owdzie funkcję kierownika pełni stale ten sam człowiek.

Nazwa jednak guślarza nieznana jest ludowi. Natchnienie do utworzenia tej nazwy i tej roli dał poecie, jak można przypuszczać słownik Lindego, gdzie wyrazy: *guślarz*, *gusłarz*, *guślnik* — o znaczeniu: czarownik, kuglarz czarnoksięski, *der Schwarzkünstler*, związane są — zarówno jak *gusła* — z wyrazem *gęśle* (= skrzypce), a więc nazwą instrumentu uznawanego wtedy za pradawny i charakterystyczny szczególniej dla Słowian; — równocześnie zaś (etymologia ówczesna na taką dwutorowość pozwalała!) miał to być ten sam wyraz, co serbski *kozlar* (tak nazwany *ab hirco quod hircus diabolo servit*, co cytuje Linde z Frenza: *De cultu capri apud Slavos*, powołując się i na Hartknocha *De festis veterum Prussorum*). Że zaś kroniki pruskie mówiły o pogańskiej uczcie kozła wśród Litwinów (odnośne cytaty zamieszczone zostały w przypisach do *Grażyny*), poeta rozszerzył przez tę etymologię perspektywę w głąb historii, — związał też obrzęd dziadów z tragedią klasyczną, wynikłą, wedle dawnych filologów, z uroczystości dionizyjskich Anthesteriów, tj. starogreckich zaduszek, połączonych z żałobnymi śpiewami odzianego w koźle skóry korowodu Dionyzosa [5].

Wśród inkantacyj II części *Dziadów* jest kilka ustępów, które istotnie, jak stwierdził Stankiewicz, podobne są do śpiewów obrzędu ludowego (mianowicie początkowe wezwanie wszystkich duchów czyśćcowych, zapytanie czego im trzeba i odpędzenie ich okrzykiem: *a kysz*, *a kysz*). Obrzędowe jest też rozróżnienie pewnych kategoryj duchów (mieszkających w ogniu, na powietrzu, w wodzie [6]). Autentycznym rysem obrzędu jest również palenie ziół (w przeszłości było jeszcze i za-

---

[5] Zob.: Stanisław Pigoń: *Do źródeł „Dziadów" kowieńsko-wileńskich*. 1930, str. 77. W gruntownej tej pracy nie został jeszcze wzięty pod uwagę słownik Lindego.

[6] Występująca w dalszym ciągu obrzędu klasyfikacja duchów — na lekkie, ciężkie i pośrednie — jest już czysto literacka. Wywodzi się ona od neoplatoników i kabalistów, ale rozpowszechniona została przez książkę Villarsa *Le Comte de Gabalis* w drugiej poł. XVII w., a bardziej jeszcze przez *Pukiel porwany* Pope'a w w. XVIII. Zob. Wilh. Bruchnalski: *Mickiewicz-Niemcewicz*, 1907, str. 101; tenże: „Przyczynki", j. w., str. 14.

palanie wódki, a także może kądzieli). Prawdziwe jest częstowanie zmarłych pokarmami i napojami. Należy też do uroczystości wspominanie zmarłych przodków (acz nie jest ono skupione w końcu obrzędu). Ludowa, dalej, jest wiara, że w dniu dziadów Bóg pozwala zmarłym opuścić miejsce pobytu i odwiedzić bliskich żyjących (duchy zmarłych wszelako są według wierzeń ludu niewidzialne: mogą się ukazywać chyba w postaci motyla nad płomieniem świecy, albo pary z gorących potraw; kto by chciał je zobaczyć w ludzkiej postaci, musi czynić indywidualne zabiegi, trudne i niebezpieczne).

Znawca folkloru białoruskiego twierdzi nadto, że i obrazy sprawiedliwości pozagrobowej w poemacie, acz nic nie mają wspólnego z obrzędem dziadów, odpowiadają wyobrażeniom ludowym przejawiającym się w baśniach (pokuta wietrznicy, męka złego pana, choć zresztą baśni nic nie mówią o duchach poddanych, które by się pastwiły nad dawnym swoim ciemiężycielem). Tyle materii folklorystycznej weszło do II części *Dziadów*[7].

3

Pomysł poetycki zasilony tą materią ukształtował się w charakterystycznej dla epoki formie operowej. Już pierwsze słowa utworu, które wśród aktorów wymieniają „starca pierwszego z chóru" i „chór wieśniaków i wieśniaczek" wyraźnie co do tego orientują.

Pamiętać trzeba, że wiek XVIII był to okres pierwszego wielkiego rozkwitu opery, okres Glucka i Mozarta, po nim zaś w początkach wieku XIX nastąpił okres równie bujny, błyszczący nazwiskami Webera, Rossiniego i Belliniego. Równocześnie z operą kwitły pokrewne jej formy mniejszych rozmiarów: kantata i oratorium (uprawiane przez Händla, Bacha, Haydna, Beethovena, Rossiniego i in.). Rozkwitowi tych form muzycznych towarzyszyła bujna produkcja literacka. Teksty do oper i oratoriów układali wybitni pisarze. Metastasio librettami zdobył wielką sławę poetycką i popularność w całej Euro-

[7] Związki folklorystyczne motywu oburzenia na niewrażliwość wobec miłości jeszcze przed Stankiewiczem ukazał Julian Krzyżanowski ("Z motywów folklorystycznych u Mickiewicza", *Paralele,* 1935, s. 142). Ale motyw ten można znaleźć i w jednej z sielanek L. Osińskiego („Miłość do Palmiry" w *Zbiorze zabawek wierszem,* 1799).

pie (łącznie z Polską; o czym przekonać może choćby przejrzenie dziesięciu kolumn, które wydania jego utworów wypełniają w *Bibliografii Polskiej* Estreichera). J. J. Rousseau był i kompozytorem, i librecistą zarazem. W spółczesnych wykładach estetyki traktowano operę szeroko jak nigdy potem. W teorii rytmiki uwzględniano rozlegle jej warunki. U nas J. F. Królikowski w dziele swoim *Prozodia polska czyli o śpiewności i miarach języka polskiego* (1821) zamieścił osobny ustęp o „operach dramatycznych" i dał w nim szczegółowy wykład o *arii, recitativie, duetach:* o tym, jakie materie w nich się winny mieścić i jakie rytmy mogą im służyć; zachęcał też poetów, aby do muzyki pisali.

Mickiewicz dość ściśle się do zaleceń Królikowskiego dostosował i stworzył dzieło, które bez zmian mogło potem być użyte jako libretto przez Moniuszkę.

Wywody Królikowskiego były oparte na operach XVIII w. i odpowiadały ich stylowi. I utwór Mickiewicza bynajmniej się ze stylem tym nie kłóci. Choć bowiem tyle w nim materii etnograficznej, której odpowiedniość dla poezji dopiero romantyzm uznał, otacza tę materię atmosfera w dużej mierze osiemnastowieczna.

Duchy dzieci „trzepiocących się" pod stropem kaplicy mają jakiś rokokowy charakter w swojej aparycji (i nie bez racji Wyspiański, inscenizując *Dziady*, szukał dla nich plastycznego wzoru w jednym z późno-barokowych ołtarzy krakowskich). Ich kara (za życie wśród samych pieszczot i słodyczy) wiąże się też z ideami wychowawczymi XVIII wieku (które u nas głosił m. i. Krasicki w *Doświadczyńskim*). W scenie z tymi duchami w ogóle przemawia raczej pisarz-wychowawca w typie XVIII stulecia niż poeta nowoczesny.

Widmo złego pana, które się ukazuje jako ostry kontrast ze zjawą dzieci, jest obrazem w duchu romantyzmu jaskrawym i wprowadza charakterystyczny dla wielu utworów romantycznych nastrój okropności, ale myśl humanitarna, która przenika całą scenę z tym widmem, rzuconą na tło stosunków społecznych, to myśl wyhodowana przez wiek XVIII, dziedzictwo po satyrach Naruszewicza, wierszach społecznych Trembeckiego, Karpińskiego i Kniaźnina, pismach publicystycznych Staszyca i Jezierskiego.

Zosia z „kraśnym wiankiem“ i „zielonym badylkiem“ (wchodząca na scenę po tamtej zjawie w sposób „romantycznie“ kontrastowy) to znów postać o aparycji typowej osóbki z sielanek osiemnastowiecznych; a z aparycją w zgodzie jest i *aria* jej i *recitativo*, w których tyle słyszymy o „wietrzyku“, „motylkach“ i „gołąbkach“. Podobna jest ta Zosia do Maryli z ballady *To lubię*; choć zresztą, stwierdziwszy to podobieństwo, musimy zaraz stwierdzić różnicę: Mickiewicz się nie powtarza (już nawet w tym wczesnym okresie!). Nastrój, wytworzony przez obrząd i poprzednie zjawy, jest zupełnie inny niż w balladzie: sceny z Zosią nie możemy traktować jako parodii; patrzymy na nią przez oczy gromady skupionej na obrzędzie: dostrajamy się do rozumowania ludowego, które — jak życie bez ziarnka goryczy uważa za życie o niewypełnionym przeznaczeniu — tak i za życie o niewypełnionym przeznaczeniu uważa życie tego, co „nie dotknął ziemi ni razu“, życie w oziębłości serca. Powagę zaś momentu podnosi jeszcze ton pieśni chóralnej. I sama wreszcie kara pomyślana jest tu inaczej niż w *To lubię*. Tam była sztuczka: dusza Maryli miała być zamknięta w ciasnym obrębie dopóki nie padną słowa magiczne (choćby w zupełnie innym znaczeniu!); tu Zosia ma wyznaczoną pokutę do określonego terminu („latać z wiatrem przez dwa roki“). To, co tam było motywem makabrycznym poetyckiego żartu, tu nabiera znaczenia ludowej mądrości.

Trzy sceny z tymi duchami składają się na rozwinięcie pewnej myśli, myśli o prawdziwym i pełnym człowieczeństwie (*die Idee der vollen und ganzen Menschlichkeit*, wedle określenia niemieckiego tłumacza *Dziadów*, Lipinera). Występuje ona tu wyraźnie i w sposób dydaktyczny, zupełnie jak w tylu utworach pisarzy XVIII wieku. Dobrze o tym mówi Pigoń: „Poeta wprowadza zjawę duchową nie po to, żeby wywołać w czytelniku przerażenie, grozę czy litość [...], lecz żeby mieć sposobność do wygłoszenia morału. Nie szczere wzruszenie estetyczne, ale *sui generis* dydaktyka jest tu rzeczą najważniejszą. Przedstawionemu wydarzeniu brak autonomii estetycznej“ [8].

---

[8] St. Pigoń: *Do źródeł etc.* str. 54. Pigoń przypomina, że gnomami moralnymi kończyły się nieraz i sceny w tragedii antycznej (u Aischylosa np. w przemówieniach bóstw). Ale tam następowały po wydarzeniach mających „autonomię estetyczną“. Podobnież u Szekspira.

I sama forma gnomów przez chór śpiewanych przypomina gnomy, które w XVIII w. były rozpowszechnione. H. Życzyński przypomniał np. [9] czterowiersz niejakiego Ludwika de Pontis (cytowany w 1785 roku w *Nowym dykcjonarzu historycznym)*, którego druga połowa brzmi:

> Qui ne meurt longtemps sur la terre,
> Ne vivra jamais dans les cieux.

Związków więc z wiekiem XVIII niemało: sama istota głównych pomysłów mieści się w świecie jego wyobrażeń, a i forma zewnętrzna, w którą się te pomysły ucieleśniły, to forma kantatowo-operowa, także dla tego stulecia wysoce znamienna. Te związki przebijają poprzez etnograficzną materię i oryginalną inscenizację. Wyczuł ten charakter utworu doskonale Moniuszko. Jego też opera *Widma*, mająca tyle osiemnastowiecznych elementów w swojej muzyce, jest najlepszą interpretacją II części *Dziadów* i harmonizuje z jej tekstem jak rzadko muzyka z poezją.

Nie porwani całością tego utworu jako koncepcją poetycką, możemy się jednak lubować maestrią zastosowanych w nim środków stylistycznych — tu i owdzie przypominających pewne maniery literackie — na ogół jednak prostych, nieraz brzmiących tonem ludowym („Zamknijcie drzwi od kaplicy i stańcie dokoła truny"), — a przecież ewokujących (w krótkich rozmiarach utworu!) jakże dużą rozmaitość nastrojów i obrazów.

Trzy sceny z duchami trojakiego „ciężaru" skomponowane są symetrycznie (zaklęcia Guślarza, spowiedź duchów, usiłowania pomocy dla nich, pożegnanie: wszystko równomiernie przeplatane wtórami chóru i jego obrzędowymi refrenami) i składają się na strukturę przypominającą pospolitą w XVIII wieku trójdzielną kompozycję kantaty. Po nich dopiero następuje krótki i nieoczekiwany, ale bardziej dramatyczny finał — ze zjawą milczącą. Dramatyczność jest w samej aparycji widma — ze „wzrokiem dzikim i zasępionym", z „pąsową pręgą", co „od piersi aż do nóg sięga", — w jego zachowaniu się i w wi-

---

[9] *Ruch Literacki* VIII 159. Gnomów takich dużo krążyło w różnych dziedzinach literatury od czasów renesansu.

domym związku jego dziejów z osobą Pasterki. Poza tym zresztą wszystko w tym dramatyzmie jest zagadkowe. Teatralnie efektowna, scena ta nie wnosi samoistnych wartości estetycznych, stawia tylko jakby znak zapytania, każe się zastanawiać nad dalszym ciągiem. Scena ta czyni z II części *Dziadów* „kompozycję otwartą", w rozumieniu Wölfflina (tj. kompozycję każącą się domyślać, albo oczekiwać czegoś niedopowiedzianego).

Kierunek naszym domysłom nadaje podobieństwo nastrojowe tej sceny z *Upiorem*. Myślimy sobie: Może to taki sam upior? Może to właśnie jego ukochana? — Może! Ale nic nie wiemy na pewno. To jest kompozycja nie tylko „otwarta", ale i „niejasna" (również w znaczeniu wölfflinowskim): niby te bryły marmuru, w których gubią się kształty wyrzeźbione, albo obrazy o ciemnym tle czy też zagmatwanych częściach.

Pod tym wrażeniem przechodzimy do lektury cz. IV poematu.

Po dziewięciu latach (w ostatniej scenie *Dziadów* części III) dał poeta — w rozmowie Guślarza z kobietą na cmentarzu — interpretację tej sceny („On żył może, gdym go badał" — mówi tam Guślarz o duchu bezmownym i tym tłumaczy jego milczenie). Czy to interpretacja obowiązująca?

Obowiązująca jest zapewne, jeśli traktujemy *Dziady* jako zespół wszystkich części ogłoszonych, tj. kiedy spoglądamy na nie z punktu widzenia chwili historycznie późniejszej. Jeśli jednak rozważamy osobno *Dziady* „wileńskie" z punktu widzenia czytelników w r. 1823, tj. traktujemy je tak, jak tym czytelnikom były podane, — musimy stwierdzić, że tłumaczenie milczenia widma w sposób wskazany później nie jest sprzeczne z tekstem; owszem, da się z nim zgodzić całkowicie; ale też nic nie ma w tekście takiego, co by nasuwało konieczność przyjęcia tego właśnie wykładu. W granicach tekstu części II jest to tylko moment tajemniczy i zagadkowy [10].

---

[10] Nawet folklor, którego pewną znajomość mógł poeta u swojego czytelnika przypuszczać, nie daje tu wskazówek orientacyjnych. Wierzenia bowiem ludu białoruskiego znają wprawdzie dusze opuszczające chwilowo ciało, z którym są złączone; nie znaleziono jednak żadnych podań o wywoływaniu takich dusz i o ich przymusowym milczeniu (Stankiewicz, *l. c.* 195).

4

Pod wrażeniem tajemniczej zjawy przechodzimy do lektury dalszej części poematu, która oznaczona jest jako IV. Wzmacnia jeszcze to wrażenie motto z Jean Paula, mówiące o podnoszeniu całunów grobowych, co w trumnach struchlały.

Otwiera się przed nami wprawdzie sceneria zupełnie temu wrażeniu nie odpowiadająca: zaciszna i powszednia: sceneria, która mogłaby służyć za tło jakiejś realistycznej idylli czy komedii mieszczańskiej.

Ale tylko przez krótką chwilę możemy się łudzić co do nastroju, jaki tu zapanuje: tylko dopóty, dopóki się nie zjawi tajemnicza postać Pustelnika, której wspomnienia i skargi wypełnić mają resztę utworu.

Czy ten Pustelnik, rozpoznany później przez Księdza jako dawny jego uczeń Gustaw, to ta sama postać, co milczące widmo z końca części drugiej?

Oczywiście mowy nie ma o bezpośrednim związku czasowym tej części poematu z częścią II. Obrząd, który wypełniał tamtę, zakończył się o północy; tu Pustelnik przybywa do domu Księdza w wieczór dnia zadusznego: oczywiście więc to jakieś inne czasy. Wygląda też Pustelnik inaczej niż milczące widmo (nie słyszymy np. nic o „pąsowej wstędze“, która krwawiła na sercu widma). Nie jest milczący!

Ale o tamtym widmie wiemy tak mało, że właściwie brak materiału i do odpowiedzi twierdzącej, i do przeczącej. Ta postać jest bardzo dziwna, i tamta również. Może to ta sama postać, tylko w jakichś różnych okresach życia? Może w jakichś odmiennych formach istnienia (godzi się i to przypuścić, skoro mamy do czynienia z utworem, w którym granice pomiędzy światem a zaświatem są zatarte)?

Lecz — jakiegoż rodzaju istotą — już w świetle samych wskazówek tekstu części czwartej — jest ów Pustelnik, oszalały z miłości, a tak trzeźwo rewindykujący prawa ludu do obchodzenia dziadów? Czy to człowiek żywy? czy upior? czy może duch żywego człowieka, wywołany z uśpionego ciała, wedle praw guślarskich, o których mówi zakończenie późniejszej części poematu?

Którekolwiek z tych możliwych przypuszczeń uznamy za prawdę, nie unikniemy sprzeczności.

Dar słowa przekreśla przypuszczenie ostatnie (aby to był duch z ciała żywego człowieka wywołany), jeśli te same zasady „pneumatologii" obowiązują tu co w innych częściach tego cyklicznego utworu.

Marą bezcielesną też chyba nie jest, jeżeli właściwości mar są takie jak w części drugiej; Ksiądz go przecież „bierze za rękę"; całe jego zachowanie się w stosunku do Księdza i dzieci jest takie jak człowieka żywego. (A więc tym bardziej nie można mówić o tożsamości jego z „Upiorem" z wiersza wstępnego).

Jeżeli to jednak żywy człowiek, to jak sobie tłumaczyć jego zniknięcie, co sądzić o przebiciu się sztyletem, po którym nie pada trupem? (Nastrój utworu usuwa przecież możność traktowania go jako kuglarza!)

Dezorientują jego liczne aluzje do śmierci, a zwłaszcza wywód o trzech jej rodzajach! — Niemałym też czynnikiem dezorientacji jest jego szaleństwo. Czy upior może być wariatem? A czy szalony może być duch żywego człowieka z ciała wywołany? — Chyba nie. Nie słyszeliśmy o czymś podobnym. To by skłaniało znowu do uznania, że to żywy człowiek, czemu — jakeśmy widzieli — inne okoliczności się sprzeciwiają.

Cóż więc sądzić?

Pisałem przed laty [11], że usunięciem logicznych sprzeczności — bez podejrzewania niekonsekwencji ze strony poety — byłoby przyjąć, że czwarta część *Dziadów* jest kompozycją pomyślaną jako wielka wizja senna: wizja samego nieszczęsnego kochanka Gustawa, albo wizja tej tajemniczej „Pasterki" z obrzędu dziadów, której wyobraźnię wstrząsnąć musiała tajemnicza zjawa. Byłoby to niejako szerokie rozwinięcie motywu, który poeta już przedstawił był w *Romantyczności.*

Prawda, że poeta nie nazwał IV części *Dziadów* wizją (tak, jak nazwie niektóre części *Dziadów* późniejszych); interpretacja ta więc nie jest pewna, ale tylko domyślna.

Podobnie możliwą interpretacją byłoby przyjąć, że wszystko się tu dzieje w świecie baśni.

---

[11] W. Borowy: „Zagadkowość w kompozycji *Dziadów* i próba jej wyjaśnienia", *Przegląd Współczesny* 1922, przedruk w książce *Kamienne rękawiczki,* 1932, str. 128 i n.

Ściśle jednak mówiąc, jest to[12] „miejsce niedookreślone". Stanowisko poety jest takie, jakby mówił: Może to sen? może baśń? tłumaczcie sobie, jak chcecie! Mógł tu wchodzić w grę nawet pewien element przekory. Przejawia się on przecie i w rozmowach Gustawa z Księdzem!

Dzisiejsza sztuka (zwłaszcza malarska) zna takie kompozycje, w których mieszają się warunki różnych sfer rzeczywistości. Naturalnie jednak utwór należy brać nie w związku ze sztuką późniejszą, ale na tle jego epoki. Do rysów zaś epoki *Dziadów* należały m. i. tendencje teozoficzne, zainteresowanie dla zjawisk psychicznych pozanormalnych, skłonność (nawet teoretycznie motywowana) do zacierania granic pomiędzy jawą a snem. W siedem lat po moim studium o zagadkowości w kompozycji *Dziadów* wyszła książka Augusta Viatte'a *Les Sources occultes du romantisme* (1928, 2 tomy), która stwierdziła ponad wątpliwość, jak szeroko te wyobrażenia były rozpowszechnione.

Ile tych wyobrażeń weszło do *Dziadów*, uprzytomnić sobie możemy, przeglądając choćby *Pamiętnik Magnetyczny Wileński*, wydawany przez Ignacego Lachnickiego w latach 1816—1818.

Te asocjacje teozoficzno-magnetyczne tłumaczą wiele z atmosfery i akcji scenicznej utworu: owe gasnące światła, głosy z kantorka, motyle nad świecą, które w innych okolicznościach musiałyby być wzięte za jakieś kuglarskie hokus-pokus, — które zresztą i dziś, nawet znającym atmosferę epoki, przeszkadzają trochę w recepcji dzieła i wydają się „naczyniem dziwnego nabożeństwa", jak się wyraził Józef Tretiak[13]. Jest to zresztą rzeczywiście tylko „naczynie": zespół zewnętrznych czynników teatralnych.

To bowiem co jest istotne w zawartości utworu, to jedynie monodramat Gustawa: historia jego nieszczęść serdecznych;

---

[12] „Miejsce niedookreślone" jest wyrazem w duchu terminologii Romana Ingardena, aczkolwiek nie jest z niej zaczerpnięte. Ingarden posługuje się zupełnie dla mnie niemożliwym terminem: „miejsce niedookreślenia". Projektodawcą „poprawki" jest Julian Krzyżanowski.

[13] Józef Tretiak: *Młodość Mickiewicza*, t. II, 1898, str. 213. Podobnież Juliusz Osterwa wyrzekał kiedyś, że w każdej inscenizacji IV części *Dziadów* tyle zadań przypada mechanikowi teatralnemu.

ogromna skala emocyj, przez które przechodzi; wielki obraz życia uczuciowego, który daje nam poznać. Zapominamy o sztafażu i dziwacznym kostiumie, kiedy Pustelnik-szaleniec, uderzając się w piersi, „śpiewa“:

Nie wiesz, jaki tu żar płonie,
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
Nieraz chwytam śniegu, lodu,
Na gorącym cisnę łonie:
I śnieg tonie, i lód tonie,
Z piersi moich para bucha,
Ogień płonie.

Szaleniec nie przestał tu być szaleńcem; niby-„upior“ utwierdza jeszcze w tej piosnce rysy, które mogą być wzięte za rysy „upiorowatości“; a przecie nie myślimy o tej masce scenicznej, pochłonięci potęgą monologu, który jest czystą, ludzką liryką. Czujemy się poniekąd tak, jak podczas podróży okrętem, kiedy spostrzegamy, że już się skończyły *preliminaria* portowe i jesteśmy naprawdę na morzu.

Porównanie z żywiołem ma w dziejach *Dziadów* swoją tradycję od Mochnackiego, który był pierwszym krytykiem poematu. „Wytrysk ognistego ducha, strumień najczystszego uniesienia, najwyższa liryczna inspiracja, płomień miłości, — to czwarta część *Dziadów* Adama Mickiewicza“: tak pisał wielki krytyk o tym utworze. I dotąd to najświetniejsza formuła krytyczna, którą później przeważnie tylko rozwijano i uzupełniano. „Tylko — mówi np. Józef Tretiak — z tym lotnym, nieuchwytnym a strasznym żywiołem, ciągle zmieniającym kształty i barwy, da się porównać ten poemat miłości“. O żywiole każe, rzeczywiście, myśleć olbrzymia skala uczuć w tej wielkiej serii monologów miłosnych, która wypełnia poemat — od cichej tkliwości aż po obłąkaną rozpacz, dziki gniew i sardoniczną ironię. O żywiole każe też myśleć chaotyczność spowiedzi Gustawa, którą przecież się rozwija idąc za przygodnymi asocjacjami, nie trzymając się porządku chronologicznego ani żadnego innego.

Ów element żywiołowego jakby bezładu stanowi zarazem jeden z potężnych czynników ekspresji poematu, nadaje mu siłę i cechę prawdy.

Ten sposób komponowania jest odkryciem XVIII wieku. Sterne zastosował go w utworach o piętnie humorystycznym. Rozszerzyć i wydoskonalić jego użycie miała literatura XIX i XX wieku. Jest on zupełnie czym innym niż klasyczne opowiadania, zaczynane *media in re.* Bo, zacząwszy tak, poeci klasyczni ciągnęli już *in continuo.* Tu zaś panuje właśnie nieciągłość i raz po raz zmieniają się perspektywy chronologiczne, umożliwiając rozmaite naświetlenia wypadków.

Uzasadnienie wewnętrzne takiej kompozycji może być różne. W IV części *Dziadów* tłumaczy ją szaleństwo bohatera. (I ten więc rys, z pozoru czysto akcesoryczny, ma głębsze artystyczne znaczenie).

Kompozycja nieciągła i „bezładna" (w istocie: pozornie bezładna) stała się sceniczną formą liryki potężnej i rozmaitej. Rozmaitość jej jest ogromna. Pewne stany uczuciowe są w niej wyrażone w obrazach, jakie tylko obłąkanie bohatera mogło uzasadnić, jak ustęp o „zawiązce" z włosów, co „pierś przejada [...] w ciało tonie", albo ten:

W myślach jak na fali,
Ustawna burza, zawieja,
Błyśnie i zgaśnie;
Mnóstwo się zarysów skleja...

Ale niemniejsza (jeśli nie większa) potęga poezji bije z tych wierszy, które się składają ze słów najprostszych, z wyrażeń języka rozmowy:

Ach, odtąd dla niej tylko, u niej, przez nią, za nią.
Nic! nic! ach jednę miłość mam za sobą.
Z nią rano, w dzień koło niej, koło niej z wieczora.

Przypomnijmy sobie po tych wierszach wiersze epicko-malarskie, jak o ptaku „do nieba przybitym za skrzydło", o pajączku, o „srebrnopiórym karpiu, pstrągu z kraśną cętką". A potem przypomnijmy sobie o „ogniu, jakim zawiść pali", o „sumienia sztyletach"; przypomnijmy demoniczne przekleństwa monologu „Kobieto, puchu marny"; przypomnijmy ustęp o „książkach zbójeckich" i o lotach do nieba „na skrzydłach modłów": — a uprzytomnimy sobie ogromny diapazon tej liryki. Mimo zaś supremacji liryki są tu przecież i ustępy wstrząsające dramatycznie, jak choćby sławna wymiana pytań pomiędzy Księdzem a Gustawem:

— Znasz ty Ewangeliję?
— A znasz ty nieszczęście?

Monodramat był formą znaną już w literaturze [14] (sławny jej okaz — *Pygmalion* Jana Jakóba Rousseau — był przełożony na język polski przez Węgierskiego). Mickiewicz jednak nie tylko ją wzbogacił ogromną skalą uczuć, ale i swoiście ukształtował.

Zewnętrznie monodramat dzieli się tu na trzy godziny (miłości, rozpaczy i przestrogi), ale to, istotnie, tylko podział zewnętrzny, uprzytomniający czytelnikowi (czy widzowi) jedynie upływanie czasu. Miłość i rozpacz panują tu wszędzie, a przestrogi nie mogą z nimi się mierzyć znaczeniem. Części różnią się tylko mniejszym lub większym nasileniem szaleństwa bohatera.

W pozornym jednak chaosie skarg, wybuchów i wyznań Gustawa zawarta jest cała historia jego życia i miłości. Zabawy szkolne, młodzieńcza egzaltacja książkowa, spotkanie później umiłowanej, uświadomienie wspólnych z nią upodobań, burza uniesień serdecznych, a potem „zdrada" ukochanej, nieuchronne pożegnanie, nieszczęście i rozpacz osamotnionego: wszystko to daje nam poemat nie tylko odczuć, ale i z dużą wyrazistością zobaczyć.

W obrazowym ukształtowaniu dziejów Gustawa dużo jest elementów konwencjonalnych, zaczerpniętych z repertuaru literatury dawniejszej i spółczesnej [15]. Jest więc Gustaw kochan-

---

[14] O monodramacie wcześniejszym i spółczesnym Mickiewiczowi zob. St. Zetowski, *Ruch Liter*. 1933, Kleiner: *Mickiewicz,* I, 1934, str. 366 i 375.

[15] O związkach literackich IV części *Dziadów* zob. zwłaszcza: Konst. Wojciechowski: *Werter w Polsce,* wyd. 2, 1925; Kleiner, *l. c.* 348 (o pustelnikach w literaturze); J. Tretiak *l. c.* II 225 (Gustaw a Ofelia i błazen z *Króla Lira);* Zygm. Matkowski: *„Don Kichot* a *Dziady* wileńsko-kowieńskie", *Pam. Lit.* 1918, przedruk w *Studiach literackich,* 1924; Zygm. Matkowski: *Rousseau-Mickiewicz („Dziady" wileńskie a „Emil"),* 1910, przedr. w *Stud. lit.,* 1924; Józ. Kallenbach: „Czwarta część *Dziadów* Ad. Mickiewicza", *Pamiętnik Ak. Umiej.* 1888 i odb. (m. i. o stosunku do *Nowej Heloizy* i Jean Paula); P. Chmielowski: *Ad. Mickiewicz,* wyd. 2, 1898, I 245 (pokrewieństwo między Gustawem z *Dziadów* a Gustawem z *Valérie);* Henr. Schipper: *Sentymentalizm w twórczości Mickiewicza,* 1926; Bohd. Korzeniewski: *„Drama" w warsz. Teatrze Narodowym 1814—1831,* 1934, s. 61 (o „halucynantach i obłąkanych" w popularnych utworach scenicznych

kiem samobójcą — jak Werther i bohaterowie licznych (nawet i w Polsce) „werteriad“. Jest kochankiem pustelnikiem — w duchu mody „tkliwej“ poezji XVIII wieku. Jest kochankiem szaleńcem — jak Ofelia, jak Cardenio z *Don Kiszota*, jak jedna z epizodycznych postaci w *Cierpieniach Werthera*. Jego nieszczęście serdeczne związane jest z górnym kierunkiem, jaki jego wyobraźni nadały książki i wychowanie, — podobnie poniekąd jak w wypadku bohaterów *Emila* Roussa. Na spowiedź swoją nakłada Gustaw maskę dydaktyki, traktując przedstawiony obraz namiętności jako przykład pouczający dla innych — niby Rousseau w *Nowej Heloizie*. Samo nawet imię Gu-

---

końca XVIII i początku XIX w.; jeden z nich, bohater sztuki J. H. D. Zschokkego *Die Zauberin Sidonia*, „zjawiał się obszarpany, ciągnąc wielką wiechę za sobą“).

Studia o koneksjach literackich *Dziadów* cz. II i IV są obfite; wszelako nie zawsze przeniknięte poczuciem właściwych proporcyj i perspektyw. Wilh. Bruchnalski np. („U jednego źródła“, *Słowo Polskie* 25 grud. 1920) stwierdził podobieństwo pomiędzy mickiewiczowskim „Kto nie doznał goryczy ni razu, — ten nie dozna słodyczy w niebie“ a kilku zdaniami z jednego z dialogów Grzegorza Wielkiego. Cóż jednak mówi nam takie stwierdzenie, które nie zahacza ani o historię, ani o psychologię? Innym przykładem jest studium p. Zofii Szmydtowej „*Dziady* wileńskie w świetle dialogów Platona“ (*Przegląd Humanistyczny* 1933, i odb.). Zestawiwszy różne podobieństwa pomiędzy naszym poematem a dziełami Platona, podobieństwa, z których jedne są bardzo ogólne (i sprowadzają się głównie do platońskiego pojęcia miłości, znanego nawet tym. co się z dziełami Platona bezpośrednio nigdy nie zetknęli), inne bardzo drobne, jeszcze inne dosyć wątpliwe, kończy autorka wnioskiem o szczególnie silnym jakoby wpływie myśliciela greckiego na *Dziady*: „Jako twórca *Grażyny* sprzymierzył się [...] Mickiewicz z Homerem, jako twórca *Dziadów* z Platonem“. Ale przecież oddziaływania poety na poetę nie można stawiać na tym samym poziomie co oddziaływania myśliciela! Platon był wprawdzie i artystą, ale autorka jego wpływ traktuje ryczałtowo, a przystąpiwszy do dowodzenia swojej tezy, zapomina jak gdyby, że porównywa utwory o zupełnie różnych założeniach i zadaniach. A ostatecznie ataku Gustawa na „książki zbójeckie“ nie można uważać za walkę Mickiewicza z „literackim kierunkiem w wychowaniu młodzieży“, podobnie jak okrzyku „Ty mnie zabiłeś! ty mnie nauczyłeś czytać“ nikt nie uzna za propagandę analfabetyzmu. Podobieństwo więc z Platonem nie sięga istoty rzeczy, bo Platon naprawdę ze swojej wzorowej rzeczypospolitej chciał usunąć poezję i to z głębokiej racji teoretycznej: dlatego mianowicie, że w swoim systemie nie znalazł (żeby się wyrazić dzisiejszym językiem) miejsca dla wartości estetycznych. Tezę p. Szmydtowej z małymi zmianami akceptował Kleiner (I 352 w przypisku).

staw jest literackie: powtórzone za imieniem z głośnej spółcześnie powieści pani Krüdener *Waleria*. Konwencjonalizm literacki przejawia się w drobnych nawet motywach topicznych, jak np. w wielkiej roli przyznanej rozłamanemu listkowi cyprysu, w ukształtowaniu rozstania jako malowniczej sceny ogrodowej przy księżycu, albo we wprowadzeniu obrazu uczty w domu ukochanej, którą nieszczęśliwy kochanek ogląda spoza okna (była taka już u pani de Lafayette, a w bliższych czasach w *Walerii* pani Krüdener, była nawet w *Nierozsądnych ślubach* Bernatowicza!).

I w stylu dużo tu też pierwiastków konwencjonalnych. Jedne z nich pochodzą z zasobu osiemnastowiecznego sentymentalizmu („wzrok pasterza, kochanka, poety“, podążanie „śladem lubego anioła“, „utulanie“ głowy „w krzaczek“. „łezka w oku“, „usteczka“, „kwiateczki“ itp.). Inne należą do tradycji klasycystycznej (jak „poświęcone krzewiny u Greków“, „lekkie zefiru powłewy“, „oddech Minerwy“, „gwiazda Platona“, „oko niebianki“, „lampa w rzymskim grobie“, „skrzydlaty złoczyńca“, „boskie lice“ etc.). Jest też w utworze dużo aluzyj literackich (wzmianki o Homerze, Tassie, *Nowej Heloizie* Roussa, Goethem), są dłuższe cytaty (z Schillera, pseudo-Goethego, piosenek ludowych). Wszystko to niewątpliwie celowe, zważywszy że jednym z motywów spowiedzi bohatera-Pustelnika jest rozprawa z „książkami zbójeckimi“, wydelikacającymi uczucia. Obfitość wszelako tych elementów czysto literackich jest tak znaczna, że zrozumiałe są do pewnego stopnia głosy krytyków, twierdzących, że utwór jest nieco zanadto obciążony literaturą, że — jak się wyraża Kleiner — jest w nim jakiś „nadmiar kostiumu czy maski“.

A jednak przez tę maskę stylizacyj literackich przebija niewątpliwie własne oblicze poety!

Sam Mickiewicz za „miejsce najlepsze w *Dziadach*“ uważał ustęp z rozpamiętywań Gustawa nad porzuconym przez kochankę kawałkiem listka cyprysowego:

Długo z nim rozmawiałem i o wszystkom pytał:
Jak ona rano wstaje? czym się bawi z rana?
Jaką piosnkę najczęściej gra u fortepiana?
Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?
W jakim najczęściej lubi bawić się pokoju?

Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?
Czy sama czasem nie chcąc nie wspomina o mnie?

Jest to, niewątpliwie, typ liryki najbardziej dla niego znamiennej, typ, który sobie przede wszystkim wyobrażamy, kiedy myślimy o jego poezji. Jeden z najistotniejszych rysów jego poetyckiej indywidualności przejawia się w tym przejmującym wyrażaniu uczucia za pomocą wyboru obrazów ze zwyczajnej, codziennej rzeczywistości i za pomocą najpowszechniej używanego, najzwyklejszego słownictwa. Wrażenie uczuciowej prawdy tych wierszy udziela się nam właśnie przez ich skrajną prostotę, przez zupełny brak wszelkich elementów retoryki i wirtuozji stylistycznej, — przez naturalny jakby rygor ograniczania się tylko do słów niezbędnych. Taki charakter będą miały i później niektóre z największych liryków Mickiewicza. Ale już w tym utworze dwudziestoczteroletniego poety, jakim jest IV cz. *Dziadów*, widzimy go na wysokości mistrzostwa. Skala uczuć, wyrażających się w tym poemacie, jest ogromna, a nie ma uczucia — czy to będzie najgwałtowniejsze uniesienie, czy głucha rozpacz, czy bolesna ironia, czy cichy żal, czy najłagodniejsza tkliwość — które by nie znajdowało wyrazu w wielkiej prostocie słowa i tą prostotą właśnie nie przejmowało.

Umrzeć! Kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!

Oto przykład pierwszy z brzegu. Taką samą siłę mają inne wiersze-gnomy, jak choćby ten — jeden z najbardziej znanych:

O! tak, przeklęci, którzy nic nie płacą.

Tę samą siłę mają wiersze dramatyczne. Poprzestańmy znów na jednym przykładzie:

Myślałem, że bez duszy... tylko bez rozumu:

Ileż takich przykładów można by przytoczyć! Są to te tak znamienne i dla późniejszej poezji Mickiewicza, a tu już występujące w obfitości wiersze-ogniska, które raz po raz kondensują jak gdyby energię emocjonalną utworu. Te wiersze pozwalają zapomnieć o scenerii i stylizacji. Bo ich zawartość (i ich forma nawet) nie mają już nic (albo tylko bardzo mało) wspólnego z konwencjami obrazowo-stylistycznymi literatury klasycystycznej, sentymentalnej, czy... romantycznej.

Największe, najbardziej indywidualne mistrzostwo i najwyższą siłę sugestii poetyckiej osiąga Mickiewicz tam, gdzie każe liryce wyrażać się pośrednio — poprzez opis czy opowiadanie [16]. Słusznie też do najbardziej wielbionych ustępów poematu należą takie jak opis rozstania z ukochaną, opowiadanie o odwiedzinach w domu rodzinnym, wspomnienia o latach szkolnych, opowieść o znalezieniu połówki listka cyprysowego w altanie. Niemałą zresztą siłą odznacza się i cokolwiek operowa, oparta na konwencji z wcześniejszej literatury scena oglądania bankietu przez okno ogrodowe. Bo i motywy konwencjonalne uzyskały tu w niejednym wypadku nową świeżość przez zespolenie ze szczegółami z realnego życia, przez przejmująco proste słownictwo, w którym są wyrażone.

Prostota tego słownictwa nie cofa się i przed granicą potocznej humorystycznej dosadności: Gustaw mówi przecie o „zawrocie głowy" i o „szale romansowym", dziękuje ironicznie księdzu za „arcy-przednią" radę (za co Ksiądz odwzajemnia mu się uwagą o gościńcu „arcy-długim"); ironicznie charakteryzuje rady udzielane przez ukochaną przy rozstaniu („Właśnie, właśnie to była do kazania pora!"); swoją reakcję na nie wyraża pospolitym zwrotem idiomatycznym o grochu, który „całkiem od ściany odpada" [17]. Cała nawet istota nieszczęścia Gustawa jest w swojej fatalności i elementarności ujęta w prostych słowach dwuwiersza, który Gustaw w porywie szaleńczego humoru niby to powtarza za robaczkiem świętojańskim:

Kto temu winien, że piękna dziewczyna?
Żeś czuły? nie twoja wina.

---

[16] Kleiner nazywa ten typ liryki („którego Mickiewicz był władcą samoistnym") „liryką zobiektywizowaną, liryką sprawozdawczą" (*l. c.* str. 355).

[17] Dodać można, że na równi z ogólnopolskimi zwrotami idiomatycznymi występują tu w obfitości i nowogródzkie prowincjonalizmy poety: „rozdejmijcie pięście" (w. 137), „wygodna zacisza" (w. 185), „jakieżkolwiek grzechy" (w. 250), „łańcuch [...] się nie spęka" (261), „dobranoc daję" (557), przyjaciel co „nie upuścił śmiechu" (563), iskra co „cały objaśnia krzaczek" (653), „nic ani szaśnie" (701), „nie nakazać słówka" (742), „raz jeszcze na życiu" (756), „gościńca wziąwszy po pierogu" (784), „wrzaski pojezdnych i karet tarkoty" (923), „drzwi przemknięto" (926), „poparłem ramiona" (936), „moja ojczyzna" w znaczeniu: moja ojcowizna (730), „biały włos" w znaczeniu: jasny włos (1267) itp.

A ten straceńczy humor na tym się jeszcze nie kończy: ciąg dalszy rozwija przecież porównanie między Gustawem a robaczkiem świętojańskim. To przecie robaczek niby jeszcze mówi o sobie:

I, póki żyję, te iskry nie zgasną.

A Gustaw dopiero „po pauzie“ powtarza za nim, „pokazując na serce“:

Tak, póki żyję, te iskry nie zgasną!

W jednym momencie ze sfery gorzkich co prawda, ale bądź co bądź żartów przenosimy się w sferę wysokiego patosu — dzięki zwykłemu powtórzeniu. To jeszcze jeden przejaw mickiewiczowskiego mistrzostwa w prostocie. Pospolite powtórzenie staje się u niego potężnym środkiem wyrażania intensywności emocji. Oto np. rozkoszując się przez chwilę myślą o zjawieniu się przed ukochaną w postaci upiora-szaleńca, Gustaw waży jak gdyby elementy swojej zemsty w powtarzaniach:

Pójdę, lecz pójdę bez broni,
Pójdę tylko spójrzeć na nią
. . . .
Przy godowym huczą stole . .
. . . .
Wnijdę i stanę przy stole . .
. . . .
. . . .
. . . .
Ani słowa nie odpowiem
. . . .
. . . .
. . . .
Nie odpowiem ani słowa
. . . .
. . . .
. . . . . Ja nic nie odpowiem;
Tylko na nią cisnę okiem.

Nie cytuję dalszych, zbyt znanych wierszy o „oku jadowitej żmije“.

Podobny charakter ma wielokrotne, obsesjonalne powtarzanie wyrazu „złoto“ w monologu „Kobieto, puchu marny“.

Prostota tych powtórzeń staje się jednym z czynników wrażenia prawdy. Zdaje się, że mamy tu do czynienia z jakąś

kłębiącą się falą bezpośredniego przeżycia, z zupełnym brakiem kunsztu. Przypomnijmy sobie cytowany już początek pieśni, którą Gustaw śpiewa po „arcy-przedniej" radzie Księdza! Trzy razy były tam powtórzone słowa o ogniu płonącym. A w dalszym ciągu jeszcze się ten obraz powtarza, przy czym jak refren powracają trzy wiersze wcześniejsze. — „Ogień płonie!" — woła Gustaw, „pokazując kominek":

> Gorszy niż ten tysiąc razy,
> Milion razy!
> I śnieg tonie i lód tonie,
> Z piersi moich para bucha,
> Ogień płonie!

Na równi z powtórzeniami wyrazowymi obficie występują w IV cz. *Dziadów* powroty motywów. W pozbawionych zewnętrznego ładu wybuchach są one czynnikiem jedności kompozycyjnej. Jest to jednym z rysów natury uczuć Gustawa, że pewne wspomnienia wiążą mu się nierozerwalnie z pewnymi okolicznościami zewnętrznymi, przede wszystkim z pewnymi szczegółami krajobrazu. Szczegóły te prawie niezmiennie wracają w tych samych połączeniach. Przypomnijmy np. opis nocy:

> Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
> Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
> Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
> A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
> Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
> Spójrzę... jak raz nade mną świeci gwiazdka wschodnia...

A oto ranek:

> Ranek był... wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:
> Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
> W dolinach tuman, nakształt prószącego śniegu,
> A na łąkach zaranna połyska się rosa;
> Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu,
> Jedna tylko nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
> Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.

A oto znów wieczór:

> Teżsame cieniowane chmurami niebiosa,
> Tenże bladawy księżyc i kroplista rosa,
> I tuman nakształt z lekka prószącego śniegu,
> I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu,
> I taż sama nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
> Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.

Przy odmiennych szczegółach, ilustrujących odmienne pory dnia i roku, powtarzają się tu przecież identyczne czynniki, które nabierają przez to szczególnego znaczenia emocjonalnego. Podobnież powtarza się, i to w słowach prawie nie zmienionych, relacja z rozmowy pożegnalnej. Podobnie powtarzają się słowa charakteryzujące przewrażliwienie zakochanego nieszczęśliwca:

> Jeślim płochym obraził zapałem...
>
> Czylim ją śmiałym przeraził wejrzeniem?
>
> Znam to; nigdym śmiałymi nie zgrzeszył zapędy.

W taki sam sposób powtarza się motyw wspólnych upodobań nieszczęśliwie zakochanego i przedmiotu jego miłości.

> Ten sam powab we wszystkim, to samo niechcenie,
> Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie...
>
> Tak znaliśmy nawzajem czucia własnej duszy,
> Co jedno pomyśliło, to drugie odgadło...

Te motywy powrotne są tutaj czymś więcej niż czynnikiem kompozycji. Nasuwa się nieodparcie ta myśl, kiedy spostrzegamy, że obok powrotów wewnątrz poematu mamy tu do czynienia także z powrotami motywów z dawniejszych utworów poety. Tak w rozmowie z dziećmi opowiada Gustaw o wydarzeniu, które przypomina treść *Romantyczności.* Później przedstawia się jako świadek śmierci Maryli, która była przedmiotem romancy *Kurhanek Maryli,* i z tej romancy pierwsze wiersze śpiewa; a opowieść o śmierci młodej dziewczyny, która następuje potem, jest do szczegółów tego utworu upodobniona. Mówiąc o dążeniach swoich lat szczęśliwszych, spędzonych w atmosferze przyjacielskiej, „śpiewa" Gustaw kilka wierszy z *Ody do Młodości,* a nawiązuje do niej jeszcze potem, mówiąc o iskrze co „raz tylko w młodocianym zapala się wieku". Mówiąc później o swojej ukochanej, igra tożsamością jej imienia z imieniem Matki Boskiej — co już miało miejsce w poprzedniej twórczości poety, mianowicie w *Dudarzu.* Zwracając się przeciwko tym, co „nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy", przypomina Gustaw motto *Romantyczności,* a słowa o „zimnym cyrklu" w wierszu następnym są kontrastowym odpowiednikiem przepięknego wiersza o cyrklu „uniesień ducha" z *Pieśni Filaretów.* Ta obfitość powiązań z wcześniejszą twórczo-

ścią poety, ta mnogość aluzyj do dzieł jego własnych świadczyła jawnie, że ten utwór jest w szczególnej mierze osobisty, że jest nie tylko etapem, ale w pewnym sensie także i sumą całego okresu.

Cóż utwierdzał poeta przez to dzieło i co wnosił w nim nowego?

Już w *Odzie do Młodości* dał się poznać jako poeta górnych marzeń. Jest nim i tutaj, choć mówi o marzeniach innego rodzaju. — Już z utworów filomackich znało się go jako poetę przyjaźni i jako malarza obrazów z rzeczywistości, przesyconych humorem i serdecznością. Jest nim i tutaj — we wspomnieniach z dzieciństwa i lat szkolnych; tylko teraz serdeczność znacznie się pogłębiła, a humor wysubtelniał. Już też w poezji filomackiej ujawnił Mickiewicz ten animusz arcypolski, który tu znajduje tak świetny wyraz w podziwianym — od czasów książki Stanisława Witkiewicza o Juliuszu Kossaku [18] — opowiadaniu o dziecinnych bitwach uczniowskich.

Utwierdzając te rysy swojej twórczości wcześniejszej, stawał tu jednak Mickiewicz przede wszystkim jako poeta miłości; i po raz pierwszy stawał jako poeta wysokiej miary.

Jego epoka i epoka, która ją bezpośrednio poprzedziła, były to czasy, w których poezja miłości rozkwitła z bujnością dawno nie widzianą. Chcąc zdać sobie sprawę z istoty poetyckiej wizji Mickiewicza, musimy ją rozważać w związku z tymi wizjami miłości, które szczególnie długo wówczas całą Europę fascynowały. Takimi były przede wszystkim: wizja Roussa z *Nowej Heloizy* i wizja Goethego z *Cierpień młodego Werthera.*

Nowa Heloiza Roussa (1761) była najsilniejszą reakcją przeciwko zmysłowej i frywolnej erotyce XVIII w., tej erotyce, po której pozostało wspomnienie wielkich kurtyzan i wielkich „sportsmanów" miłości w rodzaju Casanovy. Był to niejako, żeby się posłużyć analogiami z nazw prądów filozoficznych, okres czystego sensualizmu w miłości. Jego wyrazem w literaturze była obfitość zmysłowych, przeważnie lekkich, nieraz

[18] „W tym wspomnieniu zabaw dziecinnych, wywołanym żalem za utraconą miłością, Mickiewicz pokazał, jakby niechcący, całe swoje mistrzostwo obrazowania słowem życia" (St. Witkiewicz: *Juliusz Kossak,* 1900, str. 149).

swawolnych, często wdzięcznych „rokokowych“ anakreontyków, obfitość pamiętników w rodzaju właśnie wspomnianego Casanovy (którego nazwisko stało się rodzajem symbolu) i powieści rozwijające motywy analogiczne. Rousseau, wielbiciel natury, wystąpił w *Nowej Heloizie* jako poeta instynktu, któremu jednak towarzyszy związek dusz, związek budzący w kochankach przeświadczenie, że zostali dla siebie przeznaczeni niejako metafizycznie. — *Un eternel arrêt du ciel nous destina l'un pour l'autre* — pisze bohater tej powieści. — *Le ciel nous a fait l'un pour l'autre* — wtóruje bohaterka. Są to zaś zdania typowe dla nastroju całości dzieła. Jest to miłość zmysłowa, ale połączona z górnymi uniesieniami i ogromną tkliwością. Przedstawił ją Rousseau z mistrzostwem języka — namiętnego i serdecznego zarazem. Powieść nie jest żywym dziełem sztuki jako całość, ale porywa wielu ustępami o charakterze liryki miłosnej w prozie. Działanie miłości jest tam nieodpartym urokiem, który się udziela całemu otoczeniu kochającego: stąd jest Rousseau także poetą krajobrazu i poetą potocznych drobiazgów. W połączeniu tych pierwiastków jest mistrzem Mickiewicza.

Ale obok tych podobieństw są między *Nową Heloizą* a *Dziadami* także i różnice wielkie. Miłość u Roussa jest znacznie mniej bezgrzeszna niż u Mickiewicza (choć nie ma słów bardziej u niego nadużytych niż „cnota“ i „niewinność“). Równocześnie zaś nie zawsze jest przekonywająca harmonia pomiędzy uczuciem a jego przejawami i wyrazami. Rousseau wielokrotnie nadużywa słownictwa namiętności i czułości. Za dużo w *Nowej Heloizie* — zwłaszcza jak na atmosferę powieści realistycznej, którą miała być w założeniu — łez, omdleń i słów tkliwych. (Ta właściwość utworu wytworzyła jeden z typów manieryzmu sentymentalnego w późniejszej literaturze). Rousseau nie poprzestał też na liryce i psychologii: chciał być nie tylko poetą, ale i filozofem, i moralistą. Chciał być także satyrykiem współczesnego sobie społeczeństwa. Stąd dzieło stało się zbyt heterogeniczną mieszaniną, „zbiorowiskiem — jak się wyraża francuski krytyk Le Breton — usypiających tyrad i czarujących pieśni, obrzydliwych sofizmatów i najwznioślejszych tęsknot“. Miłość, acz potężna, zostaje u Roussa zwyciężona przez rozum i cnotę — w ten sposób, że kochanek staje

się przyjacielem męża kochanki, nauczycielem ich dzieci i współdziała w ich wzorowym gospodarstwie. Jest rzeczą charakterystyczną, że *Nowa Heloiza*, która dostarczyła tyle natchnień Mickiewiczowi, mogła była dostarczyć także podniet Krasickiemu dla... *Pana Podstolego!*

Cierpienia młodego Werthera Goethego (1774) to piękna powieść o miłości czułej i gwałtownej, która się zamyka cała w tęsknocie i jednostronnych wyznaniach, a kulminuje w jedynym pocałunku. Miłość ta, w równej mierze zmysłowa i duchowa, jest z gruntu nieszczęśliwa. Ale bohaterem jej jest człowiek, który i bez tego jest nieszczęśnikiem, fatalistą, dotkniętym jakąś jakby atrofią instynktu życiowego. Jest to zresztą człowiek o szlachetnej naturze, pięknych porywach uczuciowych, wielkich uzdolnieniach i rozległej kulturze umysłowej, które jego dzieje czynią tym smutniejszymi. Jego modlitwa jest modlitwą o śmierć. „Nigdy nie czynił tajemnicy z tego, że pragnie ten świat porzucić". Kiedy kończy samobójstwem, nie mamy bynajmniej przekonania, że samo nieszczęście serdeczne do tego go przywiodło. Rysem fatalności—znamiennym—jest w nim już to, że zakochuje się w kobiecie, która jest cudzą żoną i nie może, ani nie chce być mu wzajemna.

Gustaw daleki jest i od przezwyciężonej miłości bohatera *Nowej Heloizy* i od fatalistycznego nieszczęśnictwa Werthera[19].

Jakaż jest jego miłość?

Wiele jego wyznań świadczy o dużym przeczuleniu (w duchu osiemnastowiecznego sentymentalizmu). Szczególnie to przebija w przedstawionej przez niego charakterystyce kochanki jako istoty o nieprawdopodobnej mimozowatości:

---

[19] O Roussie zob.: A. Le Breton: *Le Roman au XVIII-e siècle*, 1898, str. 226, i bibliografia w pracy Maur. Manna *„Nowa Heloiza" Jana Jakóba Rousseau*, 1917. O *Wertherze* Goethego: Bened. Croce: *Goethe*, 1918, roz. III; K. Wojciechowski *l. c.;* wstęp Z. Zagórowskiego do przekładu F. Mirandoli w „Bibliotece Narodowej" (seria II. nr. 22). Różnice pomiędzy Wertherem a Gustawem szczegółowo rozważał Józ. Tretiak, *l. c.* II 241, później Wojciechowski, *l. c.* 120, i Kleiner, *l. c.* I 378. O miłości sentymentalnej: E. Lucka: *Die drei Stufen der Erotik*, 1913, cz. III roz. 1. (*„Ihr Wesen* [*i. e. der sentimentalen Liebe*] *scheint mir darin zu liegen, das sie vom Seelischen ausgehend, doch im Seelischen nicht Genüge findet, sondern nach einer seelisch- körperlichen Einheit strebt und nun einer leichten Disharmonie, eben der Sentimentalität, verfällt*).

A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy
I lada rosa obrywa.
Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnie;
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie.

Rys ten służy zresztą dla uwydatnienia fatalności uczucia Gustawa, które całe się rozwinęło i wybuchło niejako samo z siebie — bez zachęty jakiejkolwiek ze strony ukochanej:

Czyli mię słówkiem dwóznacznym podwiodła?
Czy wabiącymi łowiła uśmiechy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałemże od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję?

Miłość ta w relacji Gustawa jest pozbawiona bezpośrednich znamion zmysłowości i tym się różni i od miłości bohatera *Nowej Heloizy* i Werthera. Zmysłowość jednak przejawia się tu pośrednio: w samych kontrastach pomiędzy czułością a przeplatającymi ją gwałtownymi wybuchami, w tych obrazach piekła i nieba, które nieustannie powracają; — przejawia się zarówno w uniesieniach jak w atakach mściwej furii i sarkazmu; — przejawia się w wyczuwalnym zbliżaniu się do jakichś aluzyj:

Lecz kiedy!... och, czujecie wy, coście kochali,
Jakim zawiść ogniem pali!

— aluzyj, które jednak zostają zahamowane; — przejawia się w poetyckim szaleństwie słów, takich jak:

Nie! nie mogę zapomnieć o niej i umarły.

Szaleństwo w tych i innych podobnych słowach Gustawa ma znaczenie nie tylko czegoś kostiumowego i kompozycyjnego: — to szaleństwo jest czynnikiem *katharsis* w poemacie. Jako całość bowiem czwarta część *Dziadów* jest gloryfikacją piękna miłości, a zarazem demonstracją jej siły złowrogiej i niszczącej. Degradacja duchowa tak świetnej, tak uzdolnionej, tak bogatej duchowo i silnej jednostki jak Gustaw ukazuje tę groźną potęgę w całej pełni.

Bo jakimż charakterem jest Gustaw? — Określają go wspomnienia *Ody do Młodości*, rozrzewnienie nad rycerskimi zabawami młodości. To nie rezoner jak St. Preux Roussa w drugiej fazie swego życia. To nie fatalista-nieszczęśnik jak Werther. To złamana przez żywioł tęga jednostka, świadoma swojego złamania. Tą świadomość jej, jej szaleństwo zarazem, polaryzują niejako złowrogi urok przedstawionej pasji; dają nam wizję pełną: w duchu teorii tragedii antycznej przynoszą strach i oczyszczenie. Że Mickiewicz na tym nie poprzestał, ale jeszcze w ostatniej części utworu kazał Gustawowi szczegółowo wyłożyć istotę własnej winy, podać motywy kary i przytoczyć zasadę moralno-metafizyczną, na której podstawie został ukarany: — okazał przez to, że i tu, będąc tak już śmiałym i samoistnym poetą, był jeszcze uczniem dydaktycznego wieku XVIII. A raczej — że zachowywał maskę takiego ucznia.

WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI

HISTORYCZNOŚĆ „POTOPU“

Po wielu latach tryumfów i poczytności nastał z kolei czas mniejszego zainteresowania Trylogią Sienkiewicza. Obszerna ta epopeja historyczna schodzi powoli do roli powieści dla dorastającej młodzieży i dla abonentów bibliotek wiejskich. Coraz mniej spotykamy ludzi wykształconych zabawiających się zgadywaniem, z którego miejsca pochodzi, jakiego epizodu dotyczy wybrany na chybił trafił cytat, powiedzenie Zagłoby, Kmicica, czy Wołodyjowskiego. Coraz rzadziej słyszymy o jednostkach, które przynajmniej raz do roku muszą przeczytać od deski do deski całą Trylogię. Co więcej nawet wśród młodzieży dość szybko mija pierwotny zachwyt dla nieporównanego batalisty. Jeszcze w latach dwudziestych pytając historii przy maturze wiedziałem, że nawet najsłabszego ucznia wyratuję, dając mu temat związany z wojnami kozackimi lub szwedzkimi za panowania Jana Kazimierza. W tym wypadku bowiem uczeń nawet niezbyt przygotowany z historii odpowiadał niemal śpiewająco dzięki dobrej znajomości Trylogii. Z czasem jednak zaobserwowałem uderzającą zmianę. Uczniowie coraz mniej orientowali się w zawiłych perypetiach wojennych połowy XVII wieku, a odwoływanie się do Trylogii prowadziło do wstydliwego wyznania, że Trylogię czytali raz jeden i to bardzo dawno.

Nie naszą jest rzeczą zastanawiać się nad tym zjawiskiem, ani też nie pragniemy wydawać sądów o artystycznej i literackiej wartości tego dzieła. Konstatujemy jedynie fakt. Jeśli jednak tym samym wpływ tego dzieła Sienkiewicza na wykształconą część społeczeństwa polskiego wydatnie zmalał, to pogląd na ten okres dziejów polskich, jaki

społeczeństwu polskiemu narzucił Sienkiewicz, utrzymał się dzięki sugestywności Trylogii prawie bez zmian. Przeciętny Polak, jakkolwiek już znacznie rzadziej sięga po tomy powieści Sienkiewicza, zapytany o ocenę faktów czy osób z połowy XVII wieku, odpowiada w większości wypadków sądami wyjętymi żywcem z powieści.

Jak silnie narzucił Sienkiewicz swą artystyczną wizję przeszłości historycznej społeczeństwu polskiemu, świadczy chociażby fakt ogromnego oburzenia i szerokiej polemiki wywołanej ostrym i pełnym temperamentu wystąpieniem Olgierda Górki przeciw poglądom Sienkiewicza na okres wojen kozackich. Zapewne, siłę oburzenia wzmógł fakt, że atak był prowadzony z wielkim temperamentem oraz cum ira et studio, zarzuty zaś były chwilami niewątpliwie przejaskrawione. W każdym razie reakcja była bardzo żywa. Gdy w Krakowie szereg zarówno znanych, jak i początkujących historyków zabierał głos w obronie Sienkiewicza na wieczorze dyskusyjnym urządzonym przez akademickie koło historyków, wielka sala Kopernika była wypełniona po brzegi, mówców zaś oklaskiwano gorąco jako obrońców świętości narodowej.

Dziś po upływie szeregu lat, po ukazaniu się wielu wnikliwych studiów dotyczących poruszanych wówczas kwestii, gotowiśmy się zgodzić, że, jakkolwiek zarzuty stawiane przez Górkę były przejaskrawione, obraz wojen kozackich stworzony przez Sienkiewicza w pewnych punktach wymaga korektur i retuszów. Atoli tę świadomość posiada niewątpliwie nie ogół, tylko stosunkowo szczupła garść specjalistów zajmujących się tymi problemami.

Jeśli dziś po latach powracamy ponownie do tego tematu, to nie po to, by odgrzebywać argumenty sprzed lat kilkunastu, ale dlatego, że dość dziwnym zbiegiem okoliczności ówczesna dyskusja dotyczyła prawie wyłącznie pierwszej części Trylogii, pozostawiając na uboczu „Potop" i „Pana Wołodyjowskiego". Tymczasem właśnie „Potop" jest dziełem, które podobnie jak „Ogniem i mieczem" narzuca czytelnikowi dość wyraźny pogląd tym razem na dzieje wojen szwedzkich, a więc na specjalnie ciekawy rozdział dziejów polskich.

Przystępując do tego zagadnienia chciałbym zaraz na wstępie zastrzec się, że nie myślę rozstrzygać sprawy, czy Sienkiewicz pisząc Trylogię chciał stworzyć realistyczny i prawdziwy obraz przeszłości, czy też jak to twierdzi Zygmunt Szweykowski w stosunku do „Ogniem i mieczem", tworzył świadomie rzeczywistość baśniową. Problem ten pozostawiamy do rozstrzygnięcia historykom literatury. Chodzi mi jedynie o skontrolowanie w świetle nowych opracowań i wydobytych na światło dzienne źródeł wizji przeszłości, jaką powieść Sienkiewicza narzuca czytelnikowi. Nie myślę również zajmować się zagadnieniem poruszonym wyczerpująco przez J. Kijasa w jego rozprawie o źródłach historycznych „Potopu", mianowicie wyszukiwaniem źródeł, na których Sienkiewicz oparł swój obraz historyczny, ani też sprawą sposobu ich wykorzystywania. Uwagi, jakie w tej dziedzinie wypowiedział Kijas, są słuszne i przekonywające. Ostateczny też sąd jego, „że podobnie jak w „Ogniem i mieczem", tak i w „Potopie" okazał się Sienkiewicz nie tylko doskonałym historykiem, opierającym się ściśle na źródłach i umiejącym z nich świetnie korzystać, ale także artystą, doskonale wyczuwającym, gdzie bez szkody dla historii a z korzyścią dla sztuki wolno mu puścić wodze twórczej wyobraźni", można bez większych zastrzeżeń podpisać. W artykule naszym chcemy zająć się głównie problematyką historyczną postawioną przez Sienkiewicza, jeśli zaś dokonamy pewnych korektur co do przedstawienia poszczególnych faktów, osób lub zagadnień, to w większości wypadków odnosić się to będzie do spraw, na które źródła dopiero niedawno wydobyte z archiwów rzuciły snop nowego światła.

Problemem, który góruje nad całą powieścią i w sposób ścisły splata się z fabułą i indywidualnymi losami bohaterów powieści, jest zachowanie się społeczeństwa polskiego w czasie najazdu szwedzkiego. W tej sprawie sąd, który Sienkiewicz narzuca czytelnikowi, jest jednoznaczny i prosty. Po stronie Szwedów stawali jedynie zdrajcy lub otumanieni (ci ostatni nieliczni), kto cnotliwy, ten pozostał wierny Janowi Kazimierzowi. Trzeba przyznać, że sąd ten może być tym łatwiej przyjęty przez czytelnika, że szereg podręczni-

ków historii akceptuje go bez zastrzeżeń. Nawet wybitni historycy pisząc o tym okresie nie lubią bliżej precyzować swego sądu w tej kwestii i po największej części milcząco przyjmują również takie założenie.

Tymczasem przy bliższym wejrzeniu sprawa, jak to niedawno słusznie zauważyła Maria Dąbrowska, nie przedstawia się wcale tak prosto. Już sam fakt, że poza nieliczną garstką większość narodu odpadła od Jana Kazimierza i oddała się pod protekcję Karola Gustawa, narzuca nam, przyzwyczajonym do szanowania głosu większości, konieczność zastanowienia się nad tym, czy można tu mówić o zdradzie. Dołącza się do tego fakt drugi. Wszak przy Szwedzie stanęli wówczas nie tylko renomowani zdrajcy jak Krzysztof Opaliński, Janusz i Bogusław Radziwiłłowie, ale również ludzie tacy, jak obaj hetmani koronni Potocki i Lanckoroński, szereg wybitnych senatorów, oraz jednostki tak szanowne, jak np. Jan Sobieski lub Wacław Potocki. Nawet biskup krakowski Piotr Gembicki, a więc człowiek z racji swego stanu zasadniczo niechętnie wobec Karola Gustawa usposobiony godził się z myślą, by król szwedzki został obrany królem polskim. Co więcej nawet wysławiany przez potomność obrońca Jasnej Góry ks. Augustyn Kordecki w liście pisanym do Müllera umieszcza te słowa: „Ponieważ JKMść króla Szwecji całe królestwo uznaje i za swego pana wybrało, przeto i my z naszym miejscem świętym... pokornie poddaliśmy się Jego Królewskiej Mości".

W związku z tym wydaje mi się też, że w gruncie rzeczy można mówić, i to jeszcze z pewnymi zastrzeżeniami, o zdradzie pod Ujściem, gdzie 15.000 wojska polskiego bez walki kapitulowało przed 17.000-ą armią szwedzką. Można uznać za zdradę krok Janusza Radziwiłła. Ale późniejszego przyjmowania przez szlachtę protekcji Karola Gustawa nie można określać jako zdradę.

By ocenić stanowisko szlachty, trzeba pamiętać o kilku momentach. Tak więc w pierwszym rzędzie trzeba dostrzec, że ówczesna sytuacja polityczna Polski przedstawiała się naprawdę beznadziejnie. Wszak w chwili, gdy do Polski wkraczały wojska szwedzkie w łącznej sile przeszło 30.000 ćwiczonego żołnierza, wojska moskiewskie dochodziły do

Wilna, Ukraina i Podole znajdowały się w rękach Chmielnickiego. Innymi słowy znużona już przeszło 7 lat trwającą wojną Rzeczpospolita musiała podejmować wojnę z trzecim z rzędu nieprzyjacielem.

Dalej trzeba pamiętać, że królestwo polskie było królestwem elekcyjnym, w którym prawo obierania monarchów należało do szlachty, że od chwili pojawienia się wolnej elekcji szlachta trzykrotnie wybierała obcokrajowców i wobec tego mogła rozumować, iż w sytuacji, która wydawała się na pierwszy rzut oka bez wyjścia, może i ma prawo poddać się pod protekcję Karola Gustawa i z czasem obrać go królem. Rozumowanie takie występuje dość wyraźnie w uchwałach poszczególnych sejmików. Tak więc np. sejmik ziemi bielskiej wyraźnie stwierdza, że skoro król Jan Kazimierz opuścił ziemię polską, szlachta tamtejsza nie widzi innego wyjścia, tylko „ex nunc et in perpetuum abdicant Regem Johannem Casimirum... atque Ser. et Potentissimo Sueciae Regi Carolo Gustavo seu vero suo Regi fidem obsequiumque et devotionem... ab hanc die praestabunt". Sejmik wyszogrodzki jest bardziej skrupulatny i stwierdziwszy, że sam na własną rękę nie ma prawa stanowić o losach korony, poddaje się pod protekcję króla szwedzkiego i prosi go, by na formalnej elekcji dał się obrać królem polskim i polecił się prymasowi koronować. Wojsko stojące pod komendą hetmanów idzie dalej, mianowicie formalnie godzi się na wybranie królem Karola Gustawa, tylko wysuwa odpowiednie warunki. Szlachta ziemi ruskiej i bełzkiej zebrana w Zamościu stwierdziwszy, że dochowała wierności Janowi Kazimierzowi, godzi się jednak na wysłanie posłów do Warszawy, by tam stanowili o przyszłych losach Rzeczypospolitej, pamiętając jedynie o tym, by nie doprowadzili do podziału państwa.

Pewne światło na rozumowanie szlachty rzuca również akt konfederacji tyszowieckiej z 29 grudnia 1655 r. Przyznaje tam szlachta, że król szwedzki „od wojska i w s z y s t k i c h niemal województw jest już za protektora przyznany". Jeśli też przeciw niemu występuje, to dlatego, że Karol Gustaw nie dotrzymał poczynionych obietnic.

Jak więc widzimy dokonał się pewnego rodzaju plebi-

scyt. Dokonało się powszechne uznanie Karola Gustawa za protektora państwa, jako wstępny akt do późniejszej zamierzonej elekcji.

Dla należytej oceny tego zjawiska warto jeszcze zwrócić uwagę na inne jego aspekty. Tak więc warto podkreślić, że już z chwilą kiedy Jan Kazimierz znalazł się na Śląsku, prowadzono rokowania w sprawie porozumienia między nim a Karolem Gustawem, streszczające się w projekcie, by Jan Kazimierz uznał swoim następcą Karola Gustawa, wzamian za co król szwedzki miał go z powrotem osadzić na tronie polskim. Wcześniej jeszcze zaś, mianowicie już w sierpniu 1655 r., a więc w czasie swego pobytu w Krakowie, zdecydował się Jan Kazimierz na odstąpienie korony polskiej po swej śmierci za cenę pomocy synowi lub bratu cesarza niemieckiego Leopolda, nawet w tym wypadku, gdyby cesarz zgłaszał w zamian za to pretensje do Prus i miast spiskich. Trochę później ofiarowywał Jan Kazimierz Leopoldowi koronę polską dziedzicznie z tym, że w wypadku przyjęcia tej oferty przez cesarza miał podlegać jego rozkazom.

Nie bez znaczenia dla nas musi być dalej ustosunkowanie się poszczególnych wiernych królowi senatorów do zdrajców. I tu spotykamy się z charakterystycznymi zjawiskami. Oto Jan Leszczyński, który pociągnął za królem na Śląsk, którego sam król nazywał „republicanus bonus", odzywa się późną jesienią 1655 r. do zdrajcy spod Ujścia Krzysztofa Opalińskiego. Czy z wyrzutami? „Nie turbuj się o tym proszę — pisze do Opalińskiego — że male informati de actionibus WPanu magnam partem ruiny tej Ojczyzny przypisują, bo zawsze się oponuję o gloriam WMPana, ukazując na oko, że transakcja Ujska publicae confusioni, diffidentiae inextricabili między nami, n a m s a m y m ma być, n i e WMPanu przypisana. Abunde to wywiodłem siełu, ale osobliwie teraz Królestwu JMciom." Zaprawdę dość dalekie te słowa skierowane pod adresem głównego zdrajcy od oskarżeń, które Oleńka rzuciła w twarz biednemu panu Andrzejowi w Kiejdanach.

Pozostaje wreszcie ostatni moment, na który chcielibyśmy w związku z tym zagadnieniem zwrócić uwagę. Otóż

za mało dotąd jeszcze pamięta się o tym, o czym wiedział Kubala, że panujący wówczas w Polsce Jan Kazimierz był specjalnie w przededniu wojny szwedzkiej bardzo niepopularny. Pozostawiamy na uboczu zagadnienie, czy zarzut dążenia do absolutum dominium stawiany wówczas królowi był słuszny czy nie. Pozostaje sam fakt, że szlachta go o to podejrzewała i że senatorowie byli z tego powodu wobec niego nieufnie nastrojeni. Cytowany już wyżej Leszczyński, wojewoda łęczycki pisze w początkach 1655 r. „Nie kieruję się próżnością, bom ja kontent z króla JMPana mego, cokolwiek do mojej osoby należy, alem nie kontent, że nas swoim postępowaniem gubi, nie kontent, że nikomu z senatu nie ufa, że mu każda rada podejrzana... Cudowny to pan, że mu się nigdy senatu jego rada nie podobała tylko pokojowych młodszych i upodobanie ma w ostrych słowach". Kiedy indziej zaś stwierdza: „Żaden z królów polskich tyle nie przyczynił państwu, jako ten stracił przez nic, tylko przez same podejrzenia. Dla Boga, niech się spostrzeże. Rzadki senator, którýby osobistej nie miał urazy... Skromniejsi nie szkodzą, ale gwałtowniejsi mścić się zwykli na Rzeczypospolitej, bo tak zwykle bywało".

Jeśli takie były opinie senatorów, to podobny nastrój panował wśród urabianej przez senatorów szlachty. Skoro zaś podejrzewano króla o dążenie do absolutum dominium, skoro dalej słusznie czy niesłusznie zarzucano mu, że nie umie bronić państwa przed nieprzyjaciółmi i nie potrafi zapobiec grożącemu rozbiorowi, nie było właściwie idei, w imię której można było walczyć z Szwedem, zwłaszcza jeśli Karol Gustaw obiecywał zaprzysiąc istniejące prawa i wolności.

Przytoczone przez nas argumenty dowodzą chyba wyraźnie, że główny problem powieści Sienkiewicza wygląda w rzeczywistości nieco inaczej, niż go autor przedstawił.

Drugą zasadniczą historyczną tezą Sienkiewicza jest stwierdzenie, że jakkolwiek szlachta polska posiadała wielkie wady, to jednak posiadała i zaletę, dzięki której wydobyła się z toni „Potopu". Zaletą tą było przywiązanie do religii katolickiej. Wystarczy tu przypomnieć słowa Kordeckiego wypowiedziane do Kmicica w chwili, gdy po raz

pierwszy rozmawiał z panem Andrzejem. W związku z tym powieść jest tak skonstruowana, by przekonać czytelnika, że właściwy opór przeciw Szwedom rozpoczął się w Koronie dopiero po uderzeniu Szwedów na Jasną Górę.

Teza ta jest niewątpliwie słuszna, wymaga jednak pewnych zastrzeżeń.

Tak więc nie można zaprzeczyć, że oblężenie Jasnej Góry przyczyniło się w dużej mierze do rozbudzenia ruchu oporu w szerokich kołach społeczeństwa polskiego. Przyznaje to skwapliwie dzisiejsza historiografia szwedzka. Co więcej niebezpieczeństwo związane z oblężeniem Jasnej Góry widzieli nawet współcześni wojskowi szwedzcy. Znany nam dobrze z powieści Sienkiewicza Wrzesowicz pisze o tym oblężeniu do Karola Gustawa: „Es ruinieren sich totaliter darüber die Regimenter, Quartier und das Land, und man greifet an der Pohlen S e e l e und ist zu befürchten... umbsonst und vergebens". Wszystko to prawda, atoli genezy ruchu oporu należy szukać wcześniej i w gruncie rzeczy gdzie indziej.

Ruch powstańczy zaczyna się mianowicie w Wielkopolsce i przybiera tam jeszcze przed oblężeniem Jasnej Góry poważne rozmiary. Przyczyną zaś skłaniającą nie tylko szlachtę, ale również mieszczan i włościan do powstania były nieznośne rabunki i nadużycia popełniane przez niekarne i rozzuchwalone wojska szwedzkie. O tych wykroczeniach Szwedów w Wielkopolsce pisze Twardowski: „Żołnierze dopuszczali się rozbojów i trudno się było pokazać na ulicy, bo przypadł żołnierz i jeśli żywotem darował, przynajmniej do stopy zrewidował i odarł do koszuli". Dowiadujący się zaś o tym z relacji swych znajomych Leszczyński pisze w październiku 1655 r.: „Mamyż exemplum, jako to pravum particulares czynić transactiones, w Ujskiej nieszczęsnej transakcji, kiedy specie securitatis imposita praesidia tak crudeliter naszych tractant, że ich ad novos motus excitant".

Toteż fakt rozpoczęcia się ruchu powstańczego właśnie w Wielkopolsce ma swą wymowę. Wszak Wielkopolska pierwsza poddała się Szwedom, najwcześniej też mogła się przekonać, jaką wartość mają czynione przez nieprzyjaciela

obietnice i dawane przez niego gwarancje. Jeśli jednak tak się rzecz przedstawiała, to nic dziwnego, że szlachta uznała, iż niewarto poddawać się Szwedom, nie można z nimi wchodzić w układy, skoro w tym wypadku naraża się na rzeczywiście tyrańskie rządy. Jest też rzeczą więcej niż pewną, że to zagrożenie osobistej wolności, narażenie na rabunek własnej majętności, uświadomienie sobie, że rządy szwedzkie są dalekie od tego, co szlachta rozumiała przez rządy wolnościowe, było decydującym motywem, sprawiającym, że jeszcze pod koniec roku 1655 szlachta dość powszechnie chwyciła za broń. Że tak istotnie było, świadczy między innymi akt konfederacji tyszowieckiej. Posłuchajmy jakie zarzuty stawia w nim szlachta polska królowi szwedzkiemu. „Tenże król Szwedzki państwa koronne wojskom swoim pustoszyć, miasta i dwory szlacheckie rabować i w niwecz pozwala obracać, — stan szlachecki i innych wszelakich ludzi, exakcjami daleko większymi niżeli ich możność i intraty zniosą, uciąża, i one bez wszelkiego sejmowego postanowienia w ścisłym czasie ex arbitrio suo wydawać rozkazuje, — urzędy i sądy wszelakie, tak duchowne jako i świeckie zwyczajami dawnymi prawami pospolitemi stwierdzone pessundat, i ich potestatem do gubernatorów, ludzi narodu cudzoziemskiego, prawa i zwyczajów ojczystych niewiadomych transtulit, którzy non audita nec judicata causa, kapłany boże i szlachtę męczyć i wystrzeliwać każą, — a nade wszystko wprzód kościoły pańskie ze wszystkich skarbów i splendorów despoliowawszy, zakonniki o srebra kościelne jakoby zachowane inkwirując, na śmierć mękami różnymi mordują“. Jak więc widzimy, dopiero na czwartym miejscu wymieniono sprawy religijne, a na piątym zaledwie umieszczono oblężenie kościoła Jasnogórskiego.

Nie pomylimy się więc, jeśli stwierdzimy, że oblężenie Jasnej Góry, w ogóle moment religijny był ważnym, ale raczej wtórnym, późniejszym motywem skłaniającym szlachtę polską do chwycenia za broń. Motyw religijny stanowił zdaniem naszym do pewnego stopnia motyw emocjonalny, ideowy, który przyczynił się do rozkołysania wszczętego już ruchu. O wiele silniejszą rolę odegrał on w warstwie chłopskiej. Ta warstwa bowiem pozbawiona wszelkich praw nie

mogła występować w obronie swej wolności. Za to hasło obrony kościołów, świętych obrazów, hasło głoszone przez najbardziej zagrożoną warstwę, mianowicie przez kler, mogło w tej warstwie o dużej, choć nieco formalistycznej religijności odegrać wielką rolę.

Z problemem tym łączy się kwestia przedstawienia epizodu, który w powieści Sienkiewicza zajmuje centralne miejsce, mianowicie oblężenie Jasnej Góry. Wspomnieliśmy już wyżej, że Kordecki podejmował walkę ze Szwedami nie tyle w imię wierności wobec Jana Kazimierza, ile w celu uchronienia klasztoru przed profanacją i rabunkiem przez wojska szwedzkie. Wszak jeszcze znacznie wcześniej reprezentanci zakonu złożyli Karolowi Gustawowi submisję i dzięki temu otrzymali list żelazny dla klasztoru. Jeśli chodzi o samo oblężenie, to w świetle nowszych źródeł inaczej nieco przedstawia się kwestia liczebności wojsk biorących udział w tej akcji. Według Sienkiewicza, idącego w tym wypadku za współczesnymi polskimi źródłami, liczba wojsk szwedzkich dochodziła do 9.000, podczas gdy klasztoru broniło zaledwie 200 osób zdolnych do walki. Przy takiej proporcji obrona klasztoru urasta do rzędu czynów niezwykłych. Tymczasem w świetle nowych badań przeprowadzonych przez ks. Frąsia sprawa wyglądała całkiem inaczej. Użyta do oblężenia armia Müllera wynosiła zaledwie 1100 żołnierzy, z tego 700 jazdy mało użytecznej przy oblężeniu. Innymi słowy proporcja wygląda nie 200 do 9.000, ale 200 do 1.100. Dodajmy, że tych 200 żołnierzy broniło się nie w jakimś kurniku, jak to sugeruje Sienkiewicz, ale w małej, za to całkiem dobrze umocnionej fortecy.

Sprawa oblężenia Jasnej Góry prowadzi nas do analizy przedstawienia przez Sienkiewicza poszczególnych faktów, sportretowania przez niego wybitniejszych postaci historycznych. Niesposób naturalnie zajmować się tu wszystkimi nawet ważniejszymi faktami, konfrontować portrety poszczególnych osób z rzeczywistością. Uczynimy to dość dowolnie, w stosunku do kilku postaci i pewnych momentów.

Niewątpliwie jedną z centralnych postaci „Potopu", jeśli chodzi o bohaterów historycznych jest Stefan Czarniecki. Sienkiewicz przedstawia go dość wiernie, jako nieugiętego żołnierza, wiernego do końca swemu władcy, zapominają-

cego o sobie. I niewątpliwie taki Czarniecki był. Czy był równocześnie tak wielkim wodzem, za jakiego go ma Pasek i bohaterowie „Potopu“, jest conajmniej wątpliwe. Czarniecki był wielkim mistrzem wojny partyzanckiej, bił bez większego trudu wojska kozackie i słabiej wówczas wyszkolone wojska moskiewskie, atoli postawiony wobec równie silnych oddziałów szwedzkich przegrywał. Wystarczy przypomnieć bitwę pod Gołębiem lub bitwę pod Kłeckiem, zwaną nieraz bitwą pod Gnieznem, obie przegrane przez Czarnieckiego. Wprawdzie można przeciw temu wysunąć kontrargument, mianowicie bitwę pod Warką. Tak, ale trzeba pamiętać, że pod Warką walczył Czarniecki na czele oddziału liczącego 10.000 żołnierza przeciw nieprzyjacielowi rozporządzającemu jedynie 3500 żołnierzami.

Jako żołnierz nie miał Czarniecki żadnych względów na siebie, ale też nie żywił żadnych względów dla przeciwnika. W roku 1655 idąc na Ukrainę obiecuje sobie „miasta pełne rebeliej ogniem i szablą“ znosić. Bez widocznego też sprzeciwu bierze udział w strasznej wyprawie karnej na Ukrainę, która dzięki współudziałowi Tatarów zamieniła się w zgrozę budzące polowanie na ludność ruską. „Lada Tatarzyn miał na 30 dusz (jasyru) — pisze o tej pacyfikacji wojewoda czernichowski. — Dzieci po samych drogach i fortecach podławionych na 10.000 zostało. Kazałem je popom chować i w jeden dół 270 rzucono, ostatka i zaniechano chować. Nie było starszego między nimi na rok jeden, bo starsze orda zabierała“. Nic dziwnego, że gdy w latach sześćdziesiątych niepłatne wojsko polskie strajkowało, nieznający żadnych względów Czarniecki doradzał królowi, by przeciw własnym żołnierzom sprowadził Tatarów.

To że Czarniecki pod koniec panowania Jana Kazimierza należał do obozu reformistycznego, że podpis jego figuruje na obligu senatorów, który zobowiązywał podpisujących do wybrania za życia króla następcy, to należy niewątpliwie zapisać na dobro ówczesnego wojewody ruskiego. Wolelibyśmy jednak, by nazwisko Czarnieckiego nie znajdowało się równocześnie na liście biorących zapomogi od posła francuskiego. Wprawdzie fakt brania pieniędzy od przedstawiciela obcego państwa nie był równoznaczny z dzisiejszym przekupstwem. Brali pieniądze wszyscy wybitniejsi

magnaci i ministrowie, niemniej można stwierdzić, że delikatniejsze sumienia odczuwały niewłaściwość takich zapomóg.

Przechodzenie całej galerii postaci historycznych powołanych do życia przez Sienkiewicza i konfrontowanie ich z rzeczywistością historyczną zajęłoby nam za dużo czasu. Stwierdźmy więc jeszcze, że zarówno Janusz jak i Bogusław Radziwiłłowie są przedstawieni wyjątkowo wiernie. Podkreślmy dalej, że Jan Kazimierz jest naszym zdaniem przedstawiony zbyt idealistycznie. Wprawdzie historycy ostatnio biorą w obronę tego nieszczęśliwego władcę, ale naszym zdaniem słuszniej ocenił go doskonały znawca tych czasów Ludwik Kubala. Prawdziwość jego surowego osądu potwierdzają relacje bystrego posła francuskiego de Lumbres, jak i mądrego brandenburczyka Jana Hoverbecka. Tym razem też wydaje nam się, że bliższym prawdy był mistrz Sienkiewicza Jan Chryzostom Pasek, niż autor „Potopu".

Z powodzi różnych faktów i epizodów historycznych podanych przez Sienkiewicza chcielibyśmy zwrócić uwagę na dwa. Pierwszy to epizod z Michałkiem. Pamiętamy wszyscy tego bohaterskiego chłopca, który poprowadził chorągiew Czarnieckiego na kwaterę Karola Gustawa. Otóż Michałko jest postacią historyczną, tylko losy jego przedstawione przez T. Nowaka wyglądały nieco inaczej niż w Trylogii. Michałko był bowiem chłopem z Prus Królewskich i w czasie okupacji Prus przez Karola Gustawa został przymusowo wzięty do wojska szwedzkiego. Dopiero w r. 1657 wydostał się na wolność i natychmiast przystąpił do organizowania oddziału partyzantów, na czele którego dał się Szwedom dobrze we znaki. W rok później dostał się w bronionym przez siebie Starogardzie w ręce szwedzkie i byłby jako dezerter z wojska szwedzkiego rozstrzelany, gdyby nie wstawiennictwo samego Jana Kazimierza. Sejm w 1658 r. nobilitował go, podkreślając, że Michałko „wiele postrzałów w różnych okazjach wojennych z znacznym majątku swego i zdrowia uszczerbkiem odniósłszy, ostatecznie na usługach Rzeczypospolitej zostawa."

Drugim epizodem zasługującym na skonfrontowanie z rzeczywistością jest znany i piękny epizod obrony Jana

Kazimierza przez górali. I ten epizod dzięki swej dramatyczności wbił się zapewne mocno w pamięć czytelnika „Potopu". Nie tak dawno opowiedział nam w ciekawej pracy o udziale chłopów w obronie Rzeczypospolitej Stanisław Szczotka, jak ten fakt wyglądał w rzeczywistości. Mianowicie w okolicy Orawskich zamków napadli na orszak Jana Kazimierza zbójnicy orawscy pod wodzą Macieja Klinowskiego i Sobka Jabłonowskiego i zażądali wydania wiezionych skrzyń z rzeczami. Na prośby o względy mieli zbójnicy krótką odpowiedź: „Idźcie swoją drogą, a my pójdziemy swoją, inaczej za bezpieczeństwo nie ręczymy". „Jakże inaczej wygląda to zajście od wspaniałego opisu obrony króla Jana Kazimierza przez górali podhalańskich, jaki zamieścił Henryk Sienkiewicz w „Potopie" — zauważa nie bez racji Szczotka.

Z ogólnych przedstawień chcielibyśmy jeszcze zwrócić uwagę na dwa zagadnienia. Podnoszono już nieraz tę specyficzną właściwość opisu Sienkiewicza, że jego obrazy wojny są typowo salonowe. Nawet jeśli Sienkiewicz usiłuje możliwie jak najplastyczniej oddać grozę wojny, jego walczący żołnierze pozostają odświętni, na polach bitwy czujemy zapach prochu, nie czujemy zaduchu i smrodu pobojowiska. Dodajmy, że jego żołnierze (z wyjątkiem wolontariuszy Kmicica w pierwszej fazie opowiadania) nie kradną, nie rabują, nie palą domów. Właściwie nie trzeba by dodawać, że wizja ta jest daleka od rzeczywistości. Wystarczy wziąć do ręki jakąkolwiek dokładniejszą monografię z tego okresu, wsłuchać się w źródła, by się przekonać, że tak nie było. Nawet żołnierze ukochanej przez Sienkiewicza dywizji Czarnieckiego dopuszczali się wielkich nadużyć. W czasie pobytu w Danii, a więc w kraju sprzymierzonym, dotkniętym podobnie jak i Polska inwazją szwedzką, Czarnieccczycy hulali w ten sposób, że król duński skarży się Czarnieckiemu, iż jego żołnierze dopuścili się w stosunku do Duńczyków czynów „okropnych i okrutnych, w czym samego nieprzyjaciela przewyższyli". Inna rzecz, że Polacy nie stanowili wówczas jakiegoś wyjątku. Komisarze duńscy po bliższym wglądnięciu w zachowanie się polskich chorągwi w Danii relacjonują królowi, że w gruncie rzeczy Polacy nie

zachowywali się ani lepiej ani gorzej niż inni sprzymierzeńcy, a więc w tym wypadku Austriacy i Brandenburczycy.

Niedomaga jeszcze jedna strona przedstawienia sienkiewiczowskiego i to zarówno w „Potopie" jak i w całej Trylogii, mianowicie przedstawienie religijności społeczeństwa polskiego w XVII wieku. Zarzut ten może się wydać niesłuszny. Przecież wszyscy bohaterowie od Zagłoby poprzez Kmicica do Skrzetuskiego — to ludzie religijni, prawi katolicy, czciciele Marii. Można jeszcze inaczej argumentować. Wszak właśnie w XVII wieku religijność polska była taka, jak ją Sienkiewicz przedstawił, uczuciowa, płytka, aczkolwiek szczera. Wystarczy zaglądnąć do Paska i jego pamiętników. Uwagi te jednak będą tylko częściowo słuszne. Większość społeczeństwa polskiego odnosiła się do spraw religijnych podobnie jak bohaterowie Sienkiewicza, równocześnie jednak żyły i działały jednostki o religijności znacznie głębszej, odważnej, nietuzinkowej. Wobec tych jednostek religijność nawet Kordeckiego w przedstawieniu Sienkiewicza może się wydawać blada.

Podobnych korektur można by zapewne jeszcze przeprowadzić więcej, można by skontrolować dalsze poszczególne przedstawienia faktów historycznych. Ostatecznie jednak dzieło Sienkiewicza nie jest dziełem historycznym. Chodziło nam, przystępując do pisania, o zwrócenie uwagi na najważniejsze problemy poruszone przez autora i mamy wrażenie, że te najważniejsze problemy wyczerpaliśmy. Czy zdołaliśmy przekonywająco udowodnić, że przedstawienie Sienkiewicza jest błędne, musi ocenić sam czytelnik. Nie mamy jednak co do tego złudzeń. Siła artyzmu Sienkiewicza jest tak wielka, że jeszcze przez długie lata jego dzieła będą kształtowały poglądy czytelników na omawiane okresy dziejów naszych.

Do artykułu powyższego wyzyskałem następujące opracowania: L. Kubala, Wojna szwecka w roku 1655 i 1656, Lwów b. d., St. Szczotka, Chłopi obrońcami niepodległości Polski w okresie Potopu, Kraków 1946. T. Nowak, Oblężenie Torunia w roku 1658, Toruń 1936. Karol Marcinkowski, Stefan Czarniecki w dobie potopu szwedzkiego, Kraków 1935, Wł. Czapliński, Polacy z Czarnieckim w Danii (1658—1659), Rocznik Gdański, IX, X. Gdańsk 1937, Ks. L. Frąś, Obrona Jasnej Góry w r. 1655. Częstochowa 1935, L. Ku-

bala, Szkice historyczne, Seria III, Wojna moskiewska, Warszawa 1910, T. Korzon, Dola i niedola Jana Sobieskiego, Kraków 1898. i kilka innych. Akt konfederacji tyszowieckiej cytowany według J. Michałowskiego, Księga pamiętnicza, Kraków 1864, akty submisji poszczególnych województw cytowane według oryginałów i odpisów znajdujących się w Archiwum Państwowym w Sztokholmie. Oblig senatorów podpisany przez Czarnieckiego znajduje się w odpisie w rękopisie PAU 1065, który to rękopis jest kopiariuszem tajnego archiwum J. S. Lubomirskiego. O religijności polskiej w XVII wieku mówię na podstawie przestudiowania szeregu dzieł Łęczyckiego i Drużbickiego oraz po zapoznaniu się z literaturą hagiograficzną tego okresu.

WOJCIECH NATANSON

PROBLEM SZEKSPIROWSKIEGO JAGONA

Zagadnienie p r z e w r o t n o ś c i ludzkiej nurtowało Szekspira stale. „Można się uśmiechać, a być łotrem!" mówi Hamlet. „Ryszard III" jest przenikliwą analizą nie tylko ambicji, ale i — żądzy szkodzenia. W „Królu Learze" niewdzięczność, która tak przeraża bohatera, ma kształty upiorne. Przykłady można by mnożyć. Złość ludzka staje się w świecie szekspirowskim — zjawiskiem autonomicznym, niezależnym od pobudek i motorów, monstrualnym. Jeszcze Makbet zabija tylko dlatego, by usunąć przeszkody ze swej drogi, ale i Jago i Ryszard III i Edmund z „Króla Leara" działają w sposób taki, że trudno u nich nie dostrzec perwersyjnej rozkoszy zadawania cierpień. Nawet wspaniale roześmiana komedia „Wiele hałasu o nic" mąci się w pewnej chwili i zabarwia ponurym okrucieństwem, pod wpływem działającego ukradkiem reżysera krzywdy. Nad fenomenem okrucieństwa pochyla się geniusz poety. Ta sprawa, jak stały motyw muzyczny, powraca w całej dramaturgii Szekspira.

Jago przytacza kilka powodów, które go skłaniają do torturowania Otella. Wszystkie są nieprzekonywające. Brak między nimi związku i konsekwencji. Słyszymy skargę Jagona na pominięcie w awansie. Ale to nie jest powód istotny. Jago nie ustaje w intrygach i grze podstępnej, nawet gdy już usunął Kasja i zajął jego miejsce. Zresztą: jakże niewspółmierna jest krzywda pominięcia w awansie wobec ogromu zła, które Jago wyrządza. Gdyby wszyscy oficerowie i urzędnicy mieli się za pominięcie w „ruchu służbowym" mścić jak Jago — świat byłby już wyludniony i nie musielibyśmy się martwić bombą atomową...

W innym miejscu wspomina Jago, że chce zapłacić za pogłoski o flircie Otella z Emilią. Nikt temu motywowi nie daje wiary. Pogłoska ta nie jest prawdopodobna już choćby ze względu na pogardliwy i niechętny ton Otella wobec rzekomej kochanki. Zresztą i Jago nie kocha swej żony, traktuje ją brutalnie i zimno, jako narzędzie. Nie wierzymy, by głębiej mógł nim wstrząsnąć motyw zazdrości i małżeńskiej zdrady.

Jest jeszcze trzeci powód, raczej domyślny zresztą, niż wypowiedziany jasno. Jago daje nam do zrozumienia, że kieruje nim niechęć i animozja rasowa (z pogardą wymawia słowo „Murzyn"). Ale taką samą nienawiścią i tak samo bez cienia wyrzutów sumienia, czy żalu krzywdzi Jago własnych rodaków: Desdemonę, Kasja, Rodryga. Jeśli nawet odczuwa wobec Otella szczególną niechęć, to raczej sam sobie rasowy motyw podsuwa, sam siebie usiłuje oszukać.

Snujmy dalej wątek analizy. Dostojewski w „Zbrodni i karze" pokazał mordercę bezradnego i oszołomionego swą zbrodnią. Inaczej Szekspir. Jago cały czas panuje idealnie nad aparatem swych myśli, pragnień i woli. To, co Jago czyni, nie jest (mimo pozornych analogii) podobne do „acte gratuit" Gide'a, czyli do czynu bez psychologicznej motywacji, bez „pokrycia". Jago to nie Lafcadio. Cieszy się wyraźnie (więc nie jest jak Lafcadio obojętny) i upaja torturą, zadawaną bliźniemu. Swoje zbrodnicze natchnienie jeszcze potęguje — wytężoną pracą. Okrucieństwo Lafcadia jest obojętną nieczułością natury, niszczy człowieka jak to np. czyni obsuwający się lodowiec. Jago jest siłą absolutnie świadomą i zmierzającą do zła. I nawet nie w tych doświadczalnych celach, co Caligula w dramacie Camusa, który pragnie zgłębić absurdalność rzeczy. Jago — to zło, jako cel samo w sobie!

W końcowej scenie tragedii Otello dwukrotnie nazywa Jagona szatanem (Mówi np.: „Spytaj się tego szatana, dlaczego mi tak opętał duszę i ciało!"). Zastanawiałem się nad sensem tych słów. Szatańskość Jagona jest niezwykle skomplikowana. Tyle w niej elementów ludzkich, co i mon-

strualnie, nadrealnie — pozaludzkich. Jednym z najbardziej zdumiewających czynów Jagona i arcydziełem jego przewrotności jest osobliwy „przerzut", który mu się udaje. Własna nikczemność, własne łajdackie pomysły „pożycza" osobom, które oczernia: Desdemonie, Kasjowi.... To ma ważny rezultat, znów dla Jagona pomyślny. Normalnie prawda jest lepiej skonstruowana niż kłamstwo i zawsze przedziera się jakimiś szczelinami, jak woda przez kamienie w górskim potoku. Tutaj rzeczywistość psychiczna kalumniatora pożycza swych kształtów zmyśleniu — stąd płyną źródła Jagonowego sukcesu.

Czy Szekspir aprobuje epitet „Szatana", który Otello daje Jagonowi? Chyba raczej — nie. Złość Jagona jest monstrualna i nieumotywowana, ale bardzo ludzka. Jest jednak w tragedii miejsce, gdzie (w sposób bardzo zresztą poetycki) Szekspir rzuca tajemnicze światło jeśli nie na istotę, to na przekonania Jagona. Oto, gdy Otello składa przysięgę na „błękit niebios, z całą należną czcią dla świętych ślubów", Jago przyłącza się do tej przysięgi, wzywając na świadków „wiecznie tam u góry tlejące światła", czyli gwiazdy, a więc nie siły dnia — tylko nocy.

Wiąże się z tym dramat Otella. Dwaj krytycy polscy podjęli ostatnio próbę odbrązowania tej postaci: Jerzy Broszkiewicz w „Naprzodzie" i kryptonim kjw w „Odrodzeniu". Broszkiewicz występuje przeciw Otellowi z surowym aktem oskarżenia. „Postępki Otella — pisze — dyktuje nie tylko namiętność — dyktuje je także... głupota... Słuchajmy uważnie: oto Otello bezmyślnie, siłą ciężkości, siłą cudzego sprytu (i cudzej mądrości) niszczy dwie najważniejsze ludzkie sprawy: swoją miłość i swoje życie. Inteligencji, sprytowi i logice Jagona przeciwstawia brak przenikliwości i fałszywą logikę. Jest marionetką tańczącą do cudzej muzyki — jest bardzo tragicznym błaznem". Broszkiewicz nawet idzie tak daleko, że — jak twierdzi — „mądrość Jagona jest tylko refleksem definitywnej głupoty Otella".

Kjw widzi u Otella głównie cechy najemnika i kondotiera: „Najemnik żołnierski, chociażby się dosłużył najwyższych zaszczytów w swoim fachu, stał będzie zawsze

trochę poza nawiasem społeczeństwa, któremu służy. Obyczajowo, towarzysko, nawet w sensie ogłady osobistej, Otello jest wyraźnie poza tym nawiasem". Desdemona według kjw, miała być lekarstwem na kompleksy Otella. „Miłość jego, a później zazdrość, to raczej parawan dla innych przeżyć": dla przeżyć ambicji, dla przeżyć karierowicza. „Otello" byłby więc „nie tylko studium zazdrości, ale również tragedią kariery".

Zdaje się, że obaj krytycy nie doceniają wielkości Otella. Przecież w wielu okolicznościach na początku tragedii daje on dostateczne dowody inteligencji, szlachetności, godności, jasnego pojmowania sytuacji, a nawet zimnej krwi. Zachowanie się jego na zebraniu Rady Weneckiej jest bez zarzutu; góruje wyraźnie nad otoczeniem. Tak samo w scenie pijaństwa. Umie on także zdobywać serca ludzkie, jest wodzem nie tylko na polu bitew. Świadczy o tym gorący ton uwielbienia, jaki wobec niego przybiera Kasjo. A i Desdemona śliczna i młoda patrycjuszka, zakochała się w Otellu chyba nie dlatego — że był głupcem?

Czy Otello działa jak karierowicz? Ależ całe jego zachowanie się od chwili powzięcia podejrzeń jest takie, jakby Otello sam, dobrowolnie chciał zniszczyć swą karierę, zburzyć gmach zbudowany wysiłkiem całego życia; jakby zapominał o wszystkich względach i wszystkich rachubach; jakby działał w malignie, w gorączce. Zresztą i początek tragedii nie dostarcza rozstrzygających argumentów za tezą o motywach kariery. Można — wprost przeciwnie — udowodnić, że Otello dlatego tak gorąco przywiązał się do Wenecji i przejął jej sprawami, że ojczyzna jego żony stała się i jego krajem ojczystym z wyboru. Czyż historia nie dostarcza podobnych przykładów?

Dlaczego Otello tak łatwo daje się zwieść Jagonowi? Dlaczego wykazuje tak wielki brak krytycyzmu? Zdaje się, że rację ma Władysław Bodnicki, który wykazał, iż załamanie się Otella ma sens głębszy niżby się wydawało. Otello działa w rozpaczy. Wraz z wiarą w Desdemonę załamuje się w Otellu wszelka wiara w ludzi. Otello był optymistą. Kochał ludzi, był im życzliwy, potrzebował ich, cieszył się ich sympatią, miłością, szacunkiem. Słowa ludzkie przyj-

mował za dobrą monetę (jak król Lear), ponieważ wierzył w człowieka. Otóż wiadomo dobrze, że najłatwiej ugodzić wiarę człowieka, gdy mu się zabierze to — co on kocha. Jago genialnie wymierzył cios. Czyż sam tylko Otello stracił równowagę dlatego właśnie, że nieszczęśliwie kochał? Sięgnijmy po analogię literacką. Kto może oskarżyć Wokulskiego z „Lalki“ o głupotę? Pewno, że nie ma podobieństw między niewinną Desdemoną a wyrafinowaną panną Izabellą. Ale jest podobieństwo między hipnotycznym stanem Otella, szarpanego przez rozpacz, a Wokulskim, który mówi: „chciałbym umrzeć, ale to tak zupełnie, aby nawet proch po mnie nie został“.

Na wstępie pisałem o tym motywie zła i krzywdy bezcelowej, który na wskroś przenika twórczość Szekspira i wraca raz po raz jak motyw przewodni. Jago jest jedną z manifestacji tej właśnie siły. Trudno go traktować jako zjawisko odosobnione. Ale i Otello także, jako przedmiot działania tej destrukcyjnej siły, ma w innych dramatach Szekspira analogie ustawiczne. Uporczywość tego konfliktu nasuwa pewne przypuszczenie. Szekspir był pisarzem czerpiącym obficie z zasobów obserwacji. Na tym właśnie polegała jego siła, na tym jego urok w porównaniu np. z mało empirycznymi pseudoklasykami. Nasuwa się przypuszczenie, że w życiu swoim spotkał prototyp owej postaci, z której potem wyrósł i Jagon i Ryszard III i inne „uśmiechające się łotry“. Wątpię, by stało się to na dworze królewskim, czy w armii. Szekspir nie wiele miał tam dostępu, a jeszcze mniej mógł mieć z tymi sferami powiązań, które by usprawiedliwiały taką pasję. Rozwiązanie zagadki wydaje mi się proste: ten motyw szekspirowski wyrósł w atmosferze teatru! Tam właśnie, w środowisku z konieczności skazanym na codzienne i bliskie współżycie mógł Szekspir napotkać Jagona.

Rzecz ciekawa, że zagadnienie podobne zdawało się też dręczyć Moliera. Przypomnijmy sobie „Świętoszka“. Czyż intrygi i makiawelizm Tartuffe'a nie nasuwają podobieństw z Jagonem? Otóż właśnie i Molier był także aktorem. I on także mógł się zetknąć z działaniem podobnej siły w podobnych warunkach obserwacji.

I dlatego myślę, że nie trzeba uważać „Otella" ani za dramat starcia się dwóch karierowiczów, ani za „tragedię ludzi głupich" (antycypującą „Ich czworo" Zapolskiej). Otello wydaje mi się jednym z największych i najnamiętniejszych w literaturze świata oskarżeń przeciw złu, nikczemności i podłości — zaobserwowanemu w środowisku najbliższym i transponowanemu w okoliczności odległe.

JERZY KORNACKI

WIARA

FRAGMENTY

I

1. Słowo w i a r a w pamięci pokoleń polskości brzmi polsko i słowiańsko, — więc może nas dziwić odległe pokrewieństwo dźwięku i znaczenia z łacińskim słowem v e r u s, mówiącym o prawdzie, — a jednak wiernie jakąś sprawę przedstawić, albo zachwycić się wiernym odbiciem wysokich brzegów w zwierciadle jeziora znaczy tłumaczyć sprawiedliwie i okazać dokładnie, więc zgodnie z prawdą.

Słowo wiara, jako słowiańskie i polskie, wyraża zespół pojęć niby niepodobnych, jak wierzenie i pewność, prawda, sprawiedliwość, szczerość, ufność i wierność, — rzecz znamienna, że w językach od polskiego odległych, słowa inaczej brzmiące, bo angielskie f a i t h, czy t r u t h, wyrażają podobne sploty pojęciowe, gdzie cudownie ze sobą mąci się i miesza możność wierzenia i cnota bycia wiernym.

Przyroda tego splotu zachwyci każdego humanistę, każdego polityka, badacza i artystę w kulturze, — słowo w i a r a na niebie ludzkiej pamięci dziejowej raz zobaczone, a świecące dwojako i czule, niby dwugłos dialogu o wzajemności, rozbłyśnie wieńcem całej konstelacji gwiezdnej spraw międzyludzkich, gdy jeszcze dłużej będziemy nań patrzeć i myśleć.

2. Właśnie wiara jest żywiołem wiązania się ludzi w osobne światy spólnot, — stąd ludzka wiara jest odwiecznym twórcą szczęśliwych mocy wzajemności dwojga, wzajemności w gromadzie, wzajemności w rzeszy. Wiara z osobnych części tworzy spólną całość, jawiąc się jako geniusz wszelkiego ustroju w jego hasłach i klątwach, w du-

chu jego praw, w które ludzie wtedy wierzą, kiedy są im wierni...

Bowiem cnota wierności, jak magnes, łowi i ciągnie serdeczny kruszec wierzenia z wysypisk mniemań, poglądów, przekonań, więc wszelkich wiedzeń i wszelkich wątpień w pamięci, — wierność określa wierzenie, właśnie jako to w pamięci, czemu człowiek jest wierny. Więc być wiernym także znaczy — wierzyć. Stąd wiernym może być tylko wierzący.

3. Gorąco wierzeń i światło wierności, żary tęsknoty ku radościom gromadnie wzajemnym, wiara wiążąca ludzi ramionami spólnot, — gdzież ognisko tych mocy? Czyżby nie gdzie indziej, tylko ciągle w przyrodzie cielesnej ustroju, tkanego pracowicie od poczęcia do śmierci, ciągle na nowo, jakby chyba z wiarą w życie, jakoś szczęśliwe wszystkich tkanek razem w jednej spólnej całości...

Socjologia z biologią mąci się i miesza, wiara jawi się sensem zdrowia serca i płuc, i celem zwinnych nóg, i szczęściem rąk w uścisku, — a w dziejach świata najochotniej wierzą i najofiarniej są wierni właśnie młodzi i zdrowi.

II

1. Wierzący wszystkich czasów, oczywiście ci szczerze wierzący, głoszą z dziwnym uporem pewność swoich wierzeń, — umyślnie mówię: pewność, a nie słuszność, bowiem człowiek w ciągłych czynach codziennego dnia łatwo mija się z drogą, jaką pokazuje i nakazuje głos grzmiący z przekonań, — słuszność ludzkich przekonań jest mimo pozoru czymś raczej innym, niż mocna pewność wiary, która góry przenosi — niekiedy na głowy wierzącym...

Wierzymy w to, po prostu, co nam się podoba, — jednak ogólnoeuropejskie słowo m o d a, wypowiedziane nawet z odpowiednim patosem, nie znaczy bo nie mieści tej mocy, co wiara, choć występuje razem ze słusznością i z wiarą na wszystkich scenach i na wszystkich frontach odwiecznej walki bojowców nowinkarstwa z obrońcami staromodności we wszechświecie. Między słusznością i modą jest wiara najmocniejszym orężem tego samego żywiołu, który jednych ludzi łącząc, innych ludzi dzieli, — oto

nam podoba się zgoła coś innego, niż wam i niż im, — stąd wprost możność stosowania pojęcia niewierni, jako wyrazu obcości wzajemnej, dzielącej ludzi przepaściami różnic zarówno wierzeń takich albo innych, jak i wierności takiej albo innej...

Bowiem od dawiendawna, pewnie od początku dziejów, i w dalszym ciągu stają sobie naprzeciw ludzie wspaniali w wierności i ludzie nikczemni w zdradzie, — między nimi, z góry na dół i z dołu do góry, jest wierność jak drabina o wielu szczeblach poziomów, czyli różnicach nasileń, gdyż rozmaicie człowiek może być wierny temu, w co wierzy.

I rozmaite bywają wierzenia, którym człowiek jest wierny, — olbrzymie w wiekach i maleńkie jak dzień... Wieki mijają, w mnogich sprawach codziennego dnia, obok zdrady czy niemocy wiary, jeszcze ciągle, tak samo we wszystkich czasach, jawi się cud dziwaczny człowieczej wierności, najżałośniej beznadziejnej i najśmieszniej bezrozumnej pod słońcem, a przecież mocnej, — społecznie mocnej, dziejowo mocnej.

— W to wierzymy, po prostu, co nam się podoba. Wbrew słuszności dzisiejszego dnia, na przekór innym obok, wierzymy ciągle i pewnie, mocno i twórczo.

2. Jeszcze przypatrzmy się tym mocom. Każdy z nas nosi niebo nad głową, niebo pamięci, chociaż nie każdy lubi patrzeć cicho w dziwaczne gwiazdozbiory, w ciemności, wysoko, pokazujące i nakazujące ludzkim krokom codziennie niechybną drogę. Oto gwiazdozbiór strachu, cały zwierzyniec gwiezdny, gorejący ślepiami drapieżników nad drobiem, nieruchomym w niemej grozie, — chociaż na chwilę oderwijmy wzrok od nich!... Oto gwiazdozbiór zysku, łyskający wciąż zmiennie, jakby pękał i pęczniał, znowu pękał z zawiści i znowu pęczniał w pysze, — chociaż przez chwilę przestańmy go podziwiać!... Bo oto on, w niebie na wprost, gwiazdozbiór wiary, — świeci nam wszystkim jakoś dwojako w oczach, równo i czule, niby dwugłos dialogu o wzajemności...

O wzajemności miło jest słuchać i miło mówić, — że najmocniejszą wcale nie jest ta, która w pierwszym spojrzeniu, w pierwszym podobaniu, łączy dwoje niepodobnych,

bo różniących się wszystkim, — najmocniejszą wzajemnością dopiero jest ta, która poprzez wzajemne podobanie się umiała upodobnić stokrotnie nawzajem dwoje ludzi w rodzinę, a gromadę w zespół, i zbiegowisko w obóz. Tak już jest, że z wzajemności podobania się zawsze kiedyś wynika wzajemne podobieństwo, — i stąd w wielu językach słowa: być p o d o b n y m i p o d o b a ć s i ę brzmią prawie tak samo, bo znaczą prawie to samo, bo są dwugłosem widzenia mocy wzajemności...

Przed nami, w niebie na wprost... Na czyimkolwiek niebie, na naszym, na waszym, wiara zawsze jest znakiem podobania się i podobieństwa ludzi tej samej krwi, tej samej okolicy ziemskiej, tego samego wieku życia, tej samej płci, tego samego rzemiosła, tej samej rozkoszy, tych samych dziejów, tej samej pamięci, tego samego nieba...

3. Może być modne należenie gdzie indziej, może być słuszne uczestniczenie w czymś innym, ale czy chcemy czy nie chcemy, należymy do rozmaitych światów ludzi rozmaicie podobnych nam, i uczestniczymy w zmiennej doli nurtów właśnie takich wzajemności, a nie żadnych innych. Gdy wola czyjaś obca chwyci nas i rzuci w odmienną rzeczywistość samych niepodobieństw, będziemy nie tylko tęsknić, będziemy siły wytężać, by wrócić i znowu być razem. Z ludzkich pasji najbardziej ludzkimi są rozpacze szukania i radości spotkania ludzi jakoś podobnych, — stąd nasza wiara zawsze jest znamieniem przynależności, więc uczestniczenia w jakimś wzajemnym podobaniu się, które jest ciągle jeszcze równie niezbadane, jak wielomocne.

III

1. Śród rozmaitych ludów i w rozmaitych czasach, gniazdo wiary, więc zarówno wierzeń jak wierności, widziano nie w mózgu ludzkim, ale właśnie w sercu. Powszechność tej ludowej baśni o człowieku miejmy więc na uwadze, gdyby mimowoli przyszło nam mieszać i mylić gwiezdną wiarę ludzką ze słoneczną słusznością przekonań. Nie w mózgu, lecz w sercu wczorajszy człowiek widział imponderabilia tajemnych mocy, tworzących kulturę ludzi sobie po-

dobnych. Nie mózg, ale serce dalej ciągle jest splotem niewidzialnych więzów, łączących nas najbliżej, najmocniej, najmilej, bo wzajemnością. Żywe serce ludzkie jeszcze długo będzie domem i narzędziem wiary, — ono wierzy i ono umie być wierne.

Tę baśń, wspólną wielu ludom i czasom, wymyślili artyści, — jakby na przekór mniemaniu, że zapasy wiadomości bogacą najwięcej i że poprzez kształcenie władz umysłowych człowieka rozszerza się najpełniej jego władztwo nad światem. Trudno powiedzieć, czy w zestroju ludzkich możliwości ciągłe mnożenie skarbów encyklopedycznych, ciągłe kształcenie narzędzi mózgowych, osłabia więc uboży moc serdeczną wiary. Nie odstępując od tamtego, pragnijmy i to zachować. Żywioł wiary także bogaci człowieka, także rozszerza jego żywą obecność, — wprawdzie inaczej, ale na pewno co najmniej równie skutecznie...

W obliczu książek na półkach mego pokoju często sobie powtarzam krótki wierszyk angielski o małej dziewczyneczce, rachującej uparcie: — Jest nas siedmioro!... Bo jeden brat i jedna siostra leżą na cmentarzu, a dwoje mieszka w innym mieście, bardzo daleko, a jeszcze dwóch żegluje po morzu, jeszcze dalej stąd, a ja w domu tylko z matką jestem sama jedna, więc razem jest nas siedmioro!

2. Dla wątpiących są zawiłe katechizmy i rozległe traktaty, — wierzący i wierni mówią krótko i prosto o swojej wierze. Śród wszystkich ludów i przez wszystkie wieki, w ciągłym pochodzie mijania, towarzyszą wierzącym — pobudka, hejnał, piosenka, credo w zaklęciu i w haśle, słowo przysięgi śród zwierzeń, a na sztandarach orzeł, lew, gryf, słoń, jeleń, sowa, gwiazda, księżyc lub słońce, sierp z młotem, ręce w uścisku, krzyż albo fasces, wawrzyn, palma, dąb — i twarz herosa.

Tajemnice każdej wiary rozmaicie świecą znakami magii i brzmią różnojęzycznie w zgiełku wszelkich klątw, — a przecież kryją w sobie te same zasady, takie same dla każdej: wierność ofiarna dla podobnych sobie czyli dla swoich, oraz wierność wrogości dla obcych w niepodobieństwie, dla zdrajców i dla tchórzów. Istota wszystkich wspólnot jest zawsze i wciąż ta sama, — sroży się, pręży, tężeje

w wierności dla wierzeń wspólnych, nadobnych wspólnie, bo zrodzonych z wzajemności podobieństwa.

Wierzymy w samych siebie, we własne siły, — wiara je właśnie ustokrotnia, bo zawsze jest przymierzem z innymi w podobieństwie, — gromada towarzyszy zawsze kipi nadmiarem sił. Przez przynależność, przez uczestniczenie, czerpiemy i rośniemy, — napełniamy się łącząc... Gniazdo wiary, serce ludzkie, mieści rozmaicie cały świat żywych mocy, płynących ze wspólnot drużebnych i małżeńskich, rodzinnych plemiennie, rodzinnych w okolicy, narodowych w dziejach, rzemieślniczych w zawodzie, tworzących w kulturze, — encyklopedia wierzącego serca także i tym się różni od encyklopedii umiejącego mózgu, że na sam zew pobudki jak na hasło zaklęcia i jak na znak sztandaru, człowiek idzie w bój, rzucając mienie, zdrowie, życie — dla wierności.

3. Wiara ludzka jest nie tylko tworem ludzi już podobnych, — ona także wzmaga podobieństwo, ona je właśnie tworzy. Ciągłość niektórych wspólnot, tych ogarniających nie tylko rzesze współczesności dzisiejszej, ale całe pokolenia wiązane następstwem, owa ciągłość wzajemności sprawuje się przecież przez wychowanie w wierze. Żywotność takich wspólnot daje się mierzyć metodą doświadczeń najłatwiej i najprawdziwiej właśnie przy szczepieniu gotowych wierzeń młodocianym sercem, — bez sprawnych nauczycieli, bez szczerych artystów wyniki będą nikłe. Powtarzam raz jeszcze, że wierzenia w ludzkich sercach gnieżdżą się tym milej, im bardziej się podobają, — więc nie ma znaczenia, czy są błędne czy słuszne w innych obcych oczach. Wiecznością wierzeń, więc wiecznością wspólnot jest wierność młodych.

Zdrowa młodość ludzka łaknie wierzeń, bo cała jest gotowością wyciągniętych rąk dla szczerego przymierza. Łatwowierność młodych, niekiedy błędnie mylona z wiarołomstwem, zawsze wynika z braku wzajemności w wierze, więc z niedostatku wierzących nauczycieli i wierzących artystów. By szczepić ogień wiary, trzeba go nosić w sobie, — stąd warunkiem rozwoju wspólnoty w długowieczności, warunkiem jej ciągłości i rośnięcia w sercach, jest obecność i działalność artystów i nauczycieli prawdziwie wierzących,

szczerze natchnionych, żywiołowo wiernych. Wierzeń nie można tworzyć i nie można szczepić dla zysku czy ze strachu, — niewierni nauczyciele i niewierni artyści są objawem, więc dowodem choroby w wspólnocie, strasznej choroby, której na imię — groza.

VII

2. Dopiero tutaj, właśnie we wzajemności, jest wiara ludzka, — nie tylko wiara władcy, który podoba się swym poddanym, ale wiara poddanych, gdy podobają się swemu władcy. Błędem jest mylić różne pojęcia wiary i grozy, kłamstwem jest twierdzić, że wiara wynika wprost ze zwycięstwa przemocy nad pokonanym, — głupstwem jest mniemać, że legendę wierzeń tworzą płatni pochlebcy, ci najnędzniejsi ze sług. Groza i wiara są żywiołami odmiennych mocy i sprzecznych zasad, chociaż gnieżdżą się w tych samych żywych sercach ludzkich, a żywe ręce ludzkie wprawiają przemożnie w ruch takie same czynności.

W ustrojach władzy groza nie daje wiary ani tym groźnym, ani tym oniemiałym .Tym więcej wdzięczy się władca przed poddanymi, tym pyszniej i tym śmieszniej twarz stroi, by się podobać, im bardziej sam się brzydzi plonem swojej władzy, więc nędzną łatwowiernością i tanim wiarołomstwem swoich poddanych. Gwiazdozbiór wiary na niebie ludzkiej pamięci jest jak okno zwierciadła, w którym wdzięczą się twarze wszystkich łaknących. Wiara jest jak powietrze, — żyć bez niej nie mogą nawet niewierni.

Jednak, proszę raz jeszcze, nie mylmy wiary i grozy, choćby władcy tego świata lubili takie złudzenia. Kłamstwo wiernego sługi towarzyszyło jak cień wszystkim dynastiom domów feodalnych, póki ta sama dłoń wiernego sługi nie spoczęła bez drżenia na grdyce feodała. A czyż najmilszym złudzeniem wszelkich fabrykantów nie jest właśnie filantropia, budująca pozory serdecznej wzajemności? Rządzący i rządzeni rzadko kiedy tworzą razem jedną wspólnotę, opartą na zasadzie podobania się i podobieństwa, czyli — wiary. A tylko takie ustroje, przeniknięte żywiołem wspólnoty, nazywamy bez śmiechu i nie ze strachu — demokracją.

Chojnasty — Warszawa. Lato — jesień 1947

NANKER

AKT II.

(Wschodnia strona ratusza, na której oparły się pierwsze promienie poranne. Jest pusto i głucho. Na kamiennym progu siedzi skulony Medyk. Promienie załamują się z prawej ostro, mijając cień gotyckiego szczytu przeciwległej kamienicy. Godzina ranna, zwykle pełna spokoju — tutaj jest jakaś niepokojąca, dziwna. Może przyczyniło się do tego ostre, sztuczne słońce, wniesione na scenę a może też świadomość tego, co się stało we Wrocławiu. Dopiero po chwili oko dostrzega, że skulony Medyk drży, może nawet płacze. Z lewej twarde, powolne, pewne siebie kroki. Na scenę wchodzi Wiertelnik. Ubrany jest z żołnierska, ale przed chłodem minionej nocy otulił się jakąś opończą. Halabardę dźwiga bylejak, tak chyba Baryków z chłopa król dźwigałby berło. Nachyla się nad Medykiem).

WIERTELNIK: Cóż tyż to, dobry człowieku, nie masz domu, lebo co? Mówiłem koło północy już: Idźże stąd. Ale jak dotąd nic nie ukradłeś... (ogląda Medyka). Mówię ci, żebyś sobie poszedł. Przecie nie jesteś kupna dziewka, żebyś tu stał. (Po chwili). Wiesz, mówią, że kto rano pod ratuszem się mota, tego wieczór pewnie przeklnie ciota (śmieje się). Aha, widzisz, to ja sam wymyśliłem.

MEDYK: Rycerzu!...

WIERTELNIK: A to co innego. Nazwałeś mnie rycerzem, masz rację. Pewno nim zostanę. Każdy wiertelnik nosi w tłumoku kord rycerski. Ale (wzdycha) nie każdy może go stamtąd wydostać. (Siada obok Medyka, halabardę opiera o ścianę, szczyt jej zanurza się w słońcu). Dobry człowieku, uszczypnij mnie, może ci to przyniesie ulgę.

MEDYK: Rycerzu, medykiem jestem.

WIERTELNIK: Bardzo szanuję, wszyscy wiertelnicy szanują medyków. Zapamiętaj sobie, dobry człowieku.

Ortografia nazwiska: *Nanker,* została zachowana na życzenie Autora.

MEDYK: Medykiem jestem Nankera. Ale nie wrócę tam już nigdy.

WIERTELNIK: Masz rację, dobry człowieku, któż by dziś wracał do Nankera. Wszyscy Niemcy od niego wieją.

MEDYK: Nie jestem Niemcem.

WIERTELNIK: To dobrze, dobry człowieku.

MEDYK: Wiodłem Przemka, proboszcza, do Nankera. Wczoraj to było. Cesarscy napadli nas w drodze. Jego pojmali, orszak rozpędzili halabardami, mnie zbili. Ot, widzicie rycerzu, nie mam poco wracać do Nankera bez Przemka. Nie wypełniłem swego obowiązku rycerzu.

WIERTELNIK (oglądając się, półszeptem): Nie nazywaj mnie rycerzem. Jeszcze może ktoś nadejść i pomyśli, żem ci to lub owo nałgał o swoim pochodzeniu, a tego nie wolno. Cóż, służba! (głośniej) A to co powiedziałeś, to niedobre, naprawdę niedobre, dobry człowieku.

MEDYK: I ja tak myślę.

WIERTELNIK: A gdzież to zamknęli tego tam, Przemka?

MEDYK: W ratuszu. Po to tu siedzę.

WIERTELNIK: Aha!... Trzeba być zaiste wiertelnikiem, żeby tak prostej rzeczy nie odgadnąć. I myślisz, że to był proboszcz?

MEDYK: Proboszcz, uczony człowiek.

WIERTELNIK: Hm, hm... bo przyznam ci się, dobry człowieku, że ja się niewiele na tym znam. Nawet nie wiem, za co ci Niemcy tak nie lubią Nankera. Ja mam swoje sprawy i Nanker pewnie też ma swoje. Ja wiem za co ja nie lubię Niemców, ale za co oni nie cierpią Nankera — ani z mieszka pojąć nie mogę. A co do tych uczonych, to ci powiem, że Niemcy uczonych nie lubią, bo się ich boją. Bo uczony, kiedy Niemiec żgnie kogoś pod biodro, powie, że to jest źle, a Niemiec chciałby, żeby mówiono o nim, iż postąpił dobrze i słusznie, bo tego wymagało miasto, porządek, może nawet Opatrzność. Czyż nie tak, dobry człowieku?

MEDYK: Istotnie. Ale co będzie z Przemką? Co będzie ze mną?

WIERTELNIK: Z tobą to ja nie wiem. Właściwie nie mam powodu, żeby cię aresztować, a potem głodzić albo odstawić pod pręgierz. Ale wiem, co będzie z tym... Przemką.

MEDYK (gorąco): Powiedz, powiedz. Ja tu jestem obcy, z Flandrii, północne wiatry mnie tu na śmierć zagnały, nic nie wiem, nikogo tu nie mam, Bracie!...

WIERTELNIK (poważnie): Tego Przemka... tego Przemka, hm, dobry człowieku, mogą — zatłuc.

MEDYK: Nie może być. Toż to uczony.

WIERTELNIK: Hi, hi, hi. Widzisz, ty Niemców nie znasz. Ten Przemko to Polak, a Niemcy się tu rozczapierzyli i Polakom mówią po prostu: wio. A tym bardziej uczonym. Położyli go pewnie między szczurami, pomiędzy zwykłych złodziei i opryszków, i najpierw tamci będą go grzmocić za to, że nie jest oprychem a potem owi, że nie jest Niemcem. A tak, tak, dobry człowieku.

MEDYK: No i cóż mam robić. Radź mi, radźże, jużem cały chory od zgryzoty. Bracie!

WIERTELNIK (ogląda się w prawo): Poczekaj, dobry człowieku. Przyjdź tu, kiedy przeminie pierwsza gorącość południa. Coś ci może poradzę. A teraz znikaj, bo śpieszą jacyś księża i rycerze, (konfidencjonalnie) prawdziwi rycerze, bo ja tak tylko żartem. Ja jestem w gruncie rzeczy porządnym człowiekiem.

(Medyk dźwiga się, wychodząc, Wiertelnik bierze halabardę, obciąga opończę, chrząka, spogląda na ratusz. Odgłos żywej rozmowy, wchodzą na scenę, gestykulując żywo, Kanonicy I i III oraz Józko de Reste, bankier).

KANONIK I: Bankierze, wątpię czy się da dzisiaj zebrać taki sam tłum. Nanker wyklął Luksemburczyka...

JÓZKO DE RESTE: Wiem, bo sam byłem świadkiem wyklęcia. Jan był potem w doskonałym humorze.

KANONIK I: Wyklął Jana i wyklął całe miasto. Dziś msze nie odbyły się. Polacy pilnują interdyktu, wdziewają pokutne szaty.

KANONIK III: Tłum jest nieco przygnębiony. Puściliśmy na miasto całą czeredę igrców, mają na placach śpiewać nową piosenkę o Nankerze. Wyszydza biskupa znakomicie.

JÓZKO DE RESTE: Doprawdy? Zanućcie mi ją kanoniku.

KANONIK III: Sami ją usłyszycie. Ale piosenka nie obali jeszcze wiary w biskupa.

KANONIK I: Zwłaszcza, że chodzi o to, by Polacy prze-

stali w niego wierzyć. Naszych Niemców nie trzeba przekonywać tak długo.

KANONIK III: Rozumiecie bankierze, o co nam chodzi. Pieniędzy mamy mało. Nie mamy dzisiaj czym zabrzęknąć na ulicach miasta.

JÓZKO DE RESTE: Kasa cesarska pusta, kanoniku. Uczta wczorajsza wydarła nam z kasy sto ciężkich polskich marek. A i wyprawa pod Milicz drogo mnie kosztowała.

KANONIK I: Przecież miasto opłaciło wyprawę... Naprawdę, nie zaciemniajcie bankierze sprawy. Jesteście bankierem Jana a wszystko co robimy, Nankerowi i legatom papieskim na złość, Janowi tylko służy a kto wie, może i koronę polską mu przybliża.

JÓZKO DE RESTE: Luksemburczyk już przestał marzyć o koronie polskiej.

KANONIK III: Tak czy owak, gdy wokół Nankera śmierdzi, Jan ma więcej wonniejszej i wolniejszej przestrzeni.

(spostrzega Wiertelnika, który ukrył się w cieniu ratusza i słuchał).

A cóż ty, podciepie, posłuchujesz? To taka twoja służba? Czemu nie chodzisz wokół ratusza?

WIERTELNIK: Wybaczcie najjaśniejszy, ale tu właśnie moja służba się kończy. Mam pilnować, dobrzy ludzie, tej ściany, po której właśnie słonko pełznie, dopóki murarze i cieśle nie przyjdą na budowę.

KANONIK III (do Kanonika I i Józka): Człowiek nawet własnego szeptu nie jest pewny w tym Wrocławiu. Podsłuchują, szpiegują.

JÓZKO DE RESTE: Ty Polak jesteś?

WIERTELNIK (chytrze): Tutejszy. Ze Śląska. Mówią, że Polak.

KANONIK I: Mówią... Aha! Wynoś się w tej chwili! Pilnuj sobie na tamtym rogu. A halabardą tak nie wywijaj, bo jeszcze szlachetnemu rycerzowi brzuch pokłujesz. Rozumiesz, pogłupiałku?

(Wiertelnik cofa się w zupełny cień).

KANONIK III: No i spójrzcie, bankierze. Czyż nie mamy racji, domagając się ustawicznie pieniędzy?

KANONIK I: Za mało mamy konfidentów. Nie wiemy, co Polacy szepcą. Wczoraj zebraliśmy na ulicach Niemców,

bogatych i ubogich, pod pałac biskupi wysłaliśmy kupę ladacznic. One doskonale rzucają kamieniami. Ale to wszystko kosztowało, drogo kosztowało.

KANONIK III: Kapituła nie ma pieniędzy, a gdyby i miała, Polacy łatwo zwąchaliby, skąd je mamy. A zresztą Mikołaj z Bancz obiecał nam, że szlachetny Józko de Reste na wszystko pieniądze da.

JÓZKO DE RESTE: Dałbym, ale nie mam.

KANONIK I: Popatrzcie, jakie ulice dziś puste. Ludzie się czegoś polękli. Nie zaludnimy dziś Wrocławia, jeśli nie sypniemy grosza. Lud musi i dzisiaj protestować, krzyczeć, śpiewać. Broń Boże, nie może odczuć, że nad miastem zwisa gradowa chmura, owa wczorajsza Nankerowa ekskomunika.

KANONIK III: Trzeba kościoły gwałtem odmykać. Księży polskich, wiernych ekskomunice, pojmać i w ciemnicach głodzić. I na to trzeba pieniędzy.

KANONIK I: No i nie na tym koniec, owego szewca, heretyka tak nam pomocnego, opłacić trzeba. Szewc żąda półtora złotego guldena diety dziennie.

JÓZKO DE RESTE: Półtora złotego guldena! To akurat tyle, ile nuncjusz papieski Galhard dziennie otrzymuje. To przecież gwałt i wyzysk.

KANONIK III: Rewolucje kosztują wiele, zapamiętajcie to sobie bankierze. A trzeba i to pamiętać, że ani jednej cząstki Śląska nie wzięli dotąd Niemcy za darmo. Niejedno piastowskie książątko udusiło się od naszych pieniędzy i od pieszczot naszych córek.

JÓZKO DE RESTE: Powiedźcie mi, skąd ja na to wszystko mam wziąć pieniędzy. Jan przychodzi i mówi — dawaj Józko pieniądze. Potem przychodzi wasz starosta Kunad z Falkenhaynu, wyciąga ręce i skrzeczy: dawaj pieniądze bankierze. A przy tym cuchnie padliną, złym winem i tanimi dziewkami.

KANONIK I: Ale cóż nas to wszystko obchodzi? Chce Jan, by tu poginęli Polacy, chce by go sławił lud — płaćcie.

KANONIK III: Szewcowi trzeba dać, bo bluźni przeciw Nankerowi i śmieje się z interdyktu.

KANONIK I: Na tłum trzeba sypnąć grosza, bo wypłasza Polaków z Wrocławia.

KANONIK III: Konfidentów trzeba opłacić sowicie, bo łatwiej poszperają w tłumie i powyciągają naszych wrogów.

JÓZKO DE RESTE: No, dam, dam! Tylko nie nudźcie mnie więcej; pozwólcie mi przynajmniej pomyśleć, skąd by się dało coś wyciągnąć.

KANONIK I: Nie myślcie zbyt długo, bo zaraz zaludni się plac, słyszycie? (Ochrypły głos śpiewa piosenkę, towarzyszą mu piski kobiece) To właśnie nasz szewc. Tu miewa kazania. Usłyszymy, jak mi się zdaje, nową piosenkę. Wyszydza Nankera znakomicie, jak rzekłem. Naprawdę warto za nią zapłacić, bankierze.

JÓZKO DE RESTE: Chyba nie powiecie, że ten szewc ją ułożył.

KANONIK I (prawie do ucha i wyciągając dłoń): To ja ją zmyśliłem (nie otrzymawszy nic, cofa rękę i patrzy spode łba na bankiera. Śpiew cichnie, piski i śmiechy przetaczają się na scenę. Wchodzi Szewc z rudą czupryną. Snać wychylił niejeden kieliszek wina, bo bardzo jest wesoły i bezpośredni. Czepiają mu się u ramion cztery ladacznice, może i ładne, z pół obnażonymi piersiami. Piszczą z uciechy, kiedy Szewc zataczając się, opukuje je po bokach lub roztrząsa włosy. Kanonicy z bankierem usuwają się na bok sceny, Szewc siada na kamiennym progu).

LADACZNICE: Szewcuniu ukochany. Zaśpiewaj jeszcze tę piosenkę! Jeszcze raz!

SZEWC: Nie jestem szewcem, jestem księdzem od wczoraj.

LADACZNICE: Księżulku! Tę piosenkę! Tylko raz jeszcze, zanim będziesz miał kazanie.

JÓZKO DE RESTE: Wiecie illustrissimi, to naprawdę wstyd. Nie mogliście wynaleźć innego, więcej zmanierowanego heretyka? Akurat takiego przybłędę, pijaka i rozpustnika przeciwstawić pragniecie Nankerowi?

KANONIK I: Nie było innego...

KANONIK III: Ludowi się podoba. Ladacznice duży mir mają w mieście. Kilka tysięcy ciężkich marek oddają rocznie podatku do miejskiej kasy.

LADACZNICE: Biskupiuniu kochany! Papieżuniu, ojczulku święty! Zaśpiewaj, zaśpiewaj jeszcze raz.

JÓZKO DE RESTE: Nie dam ani grosza.

KANONIK I: Musicie. Król sobie tego życzy. Ten szewc wczoraj biskupa omal do śmierci nie przywiódł. To pod jego przewodem ladacznice obrzuciły pałac kamieniami.

LADACZNICE: Patrończiu biednych, święty poniewieranych niewiast, zaśpiewaj. Tylko jeszcze raz.

SZEWC (spostrzega tamtych): Ale tamci panowie nie mogą słuchać.

LADACZNICE (odwracając się i spostrzegając stojących): Nie szkodzi, niech sobie słuchają, na pewno grosza dadzą. Papieżuniu...

JÓZKO DE RESTE (szarpiąc się): Zrozumcie, ja jestem kupcem. Ja nie mogę pieniędzy wyrzucać na takie oto... Królewskich pieniędzy, za które ja swoim honorem i nazwiskiem odpowiadam. Ja muszę wiedzieć, co ja za te pieniądze kupuję.

KANONIK III: Kupujecie Wrocław, Wrocław wolny od Polaków i Nankera. Czy to mało?

JÓZKO DE RESTE: Tak, ale pełny oto takich...

KANONIK I: Szlachetny Józko de Reste, rewolucje tworzą tacy oto nędzarze, szewcy...

JÓZKO DE RESTE: ...bluźniercy i ladacznice...

KANONIK I: ...Szewcy i ubogie niewiasty, — oni tworzą rewolucje a my je — kupujemy.

JÓZKO DE RESTE (złamany): Niech i tak będzie. To wszystko dla króla — jedyna stąd moja pociecha.

SZEWC: Ano, to może i zaśpiewam. Tylko daj gęby, ty z prawa, i ty z lewa, i ty...

LADACZNICA IV: I ja, i ja.

SZEWC (Obciera usta rękawem, wstaje):

Biskupa brzuch rozbolał wczora, oła, oła, oła...
Urodził ci on nam bachora, hihi, hihi, hihi...
Przy chrzcie Łokietek król, co pomarł, oła, oła, oła...
Pobłogosławił mu bachora, hihi, hihi, hihi...
Jaki to wstyd-ci dla Wrocławia, ojoj, ojoj, ojoj...
Że Nanker w dziewkę się zabawia, hehe, hehe, hehe...
Już się i Kaźmierz go wypiera, hihi, hihi, hihi...
Nie biskup to, lecz kiep i sknera, haha, haha, haha...
Długoż to bracia, towarzysze, ohej, ohej, ohej...
Jeszcze ów staruch nam podyszy, nono, nono, nono...

Wczoraj urodził nam bachora, a tak, a tak, a tak...
Jutro na świat wyda potwora, ojej, ojej, ojej...
Bachor się niby Polską zowie, nono, nono, nono...
Więc, bracia, drągiem go po głowie, a bum, a bum, a bum...
Potwór się może zwać niewolą, a tak, a tak, a tak...
Ale mu kije łeb odgolą, hihi, hihi, hihi...

(Ladacznice podchwytują refreny, w międzyczasie słońce zalewa scenę).

KANONIK I: Cóż, nie piękna? Nie miałem racji? „Potwór się może zwać — niewolą". Od łyczka do rzemyczka, pozwólmy tylko zanadto Nankerowi a zobaczymy... A wtedy i wy, dumny Józko de Reste, nie będziecie mieli wiele we Wrocławiu do szukania. (po chwili) Cóż dumacie? Sypnijcie skotami.

(Józko de Reste bez słowa zanurza rękę pod kurtkę, sieje złotymi pieniążkami, rzucają się na nie Ladacznice, Szewc trzęsie się ze śmiechu; Kanonik I wyciąga rękę, Józko mierzy go pogardliwym spojrzeniem — nie otrzymawszy nic, podnosi pieniążek z ziemi i podrzuca go w zamyśleniu na dłoni).

JÓZKO DE RESTE (pochmurnie): Uważam, że król otoczony jest przez gromadę łajdaków i szarlatanów.

KANONIK I: Król taki sam łajdak.

JÓZKO DE RESTE (ostro): Zamilczcie kanoniku. Wiedzcie zresztą, że i was mam na myśli (wychodzi szybko).

KANONIK III: Zbyt jasno mu wyłożyłeś swoje chęci. On tego nie lubi. Z kupcami nie można tak. To arystokraci.

KANONIK I: A ja ci powiem, że ten de Reste to kiepski Niemiec. Gdybym miał bliższy dostęp do króla, chętnie bym mu o tym wspomniał.

KANONIK III: Dlaczegóż to ma być kiepskim Niemcem? Czy dlatego, że nie dał ci pieniędzy?

KANONIK I: To rzecz mniej ważna, aczkolwiek bankier królewski nam, sługom króla i w dodatku kanonikom, niczego odmówić nie powinien. Uważam jednak, że on przez żonę swoją od niemczyzny ucieka.

KANONIK III: Aha!

KANONIK I: Ożenił się z Polką. Mieczyca go do Polski ciągnie. Opiera się jej ale powoli topnieje. Trzeba nań zwrócić baczne oko.

KANONIK III: Tybyś tylko wszystkich pilnował.

KANONIK I: Bo ja i Bogu nie dowierzam, cóż dopiero królewskim urzędnikom. Wierzę tylko Polakom, bo wiem, że są przeciwko nam. Tym zaś, co z nami idą, nigdy całej wiary darować nie można. Niemcy są rozmaici. Jedni jak smoła przylepiają się do rodzinnego dachu, inni zaś jak śnieg odpadają od niego, kiedy tylko ktoś ich ciepło pogłaska. I z takimi, towarzyszu, mamy odbierać Polakom Wrocław.

(W międzyczasie nazbierało się więcej ludzi, są suto ubrani mieszczanie i jest sporo solidnie ubranych rzemieślników).

SZEWC: No i co obywatele, czyż nie mówiłem wam wczoraj? Nanker staruszek na Najmiłościwszego Króla się porwie, on, który łaziebnikiem jego nałożnic być powinien, czyż nie tak?

KANONIK I: Chodźmy, będzie kazanie.

KANONIK III: Poczekaj. Posłuchamy tych bredni. Skoro porywają lud, może i nam się na coś przydadzą.

GŁOSY (skandują): Śmierć się kłania staruszkowi. Weźcie klucze biskupowi...

SZEWC: Dzwony nie biją. Głucho we Wrocławiu. Ludzie, mamyż się z tym pogodzić? A do diabła z takim biskupem. Tfu, tfu z polskimi czartami na wrocławskim tronie.

GŁOSY: Tfu, tfu! Pięknie mówi.

SZEWC: Ludzie, wyklął nas wszystkich, kościoły nam pozamykał, dzwony powiązał, — cóż to za biskup, cóż za przyjaciel ludu? To już lepszy byłby brzuchaty Zygfryd...

GŁOSY: Zygfryd, Zygfryd. Dawajcie Zygfryda!

KANONIK III: O tobie mówi!

KANONIK I: A żeby go diabli! Mam dość kłopotów, pastorału by mi jeszcze trzeba!

SZEWC: Albo włochaty Tomas albo też syn jego Ottokar, z drugiej żony spłodzony.

KANONIK III: Cóż to za szewc? Wszystkich zna, wszystko wie.

KANONIK I: Nie na darmo rajcą miejskim został. Prawdziwa demokracja zakwita we Wrocławiu.

SZEWC: Przeto widzicie, iż dość mamy ludzi, którzy by biskupem zostać mogli. Ale nasi, niemieccy! Precz z Nankerem i jego zausznikami, długonosymi kanonikami i szambelanami.

GŁOSY (podchwytują okrzyk szewca).

SZEWC: A jak będziecie grzeczni, to wam jeszcze pokażę, gdzie Nankera będziemy na stosie palić.

GŁOSY: Pokaż! Pokaż! Śmierć się kłania staruszkowi...

SZEWC: No to chodźcie! Chodźcie ze mną. Bo potem muszę trochę urzędować, przeciem rajca, no nie?

LADACZNICE: Prowadź, papieżuniu! Pokaż nam stos dla Polaka.

(Pojawia się kukła Nankera, wzniesiona wysoko, ale twarz jej jest smutna. Potrząsana kukła chwieje drewnianą głową, która spada na ziemię. Tłum nie zauważa tego, przechodzi na lewą stronę sceny, Ladacznice uwieszone u ramion Szewca piszczą radośnie. Za tłumem powoli wysuwa się z prawa Pieczko, ubrany w postrzępiony, franciszkański habit, zrazu nie do poznania, z kapturem nasuniętym na głowę. Schyla się po leżącą głowę kukły, po którą równocześnie schyla się Kanonik III. Kanonik III poznaje Pieczkę, mierzy go długim spojrzeniem, mówi przeciągle przez zęby).

KANONIK III: Nie radzę ci, Pieczko, włóczyć się za tłumem. Mogą cię poznać. Tłum chciwy jest krwi.

PIECZKO: Czasami lubię iść z tłumem.

KANONIK III: Czyżby?

PIECZKO: Czasami lubię robić to samo co tłum.

KANONIK III: Czyżbyś się zmienił? Wczora byłeś taki wyprostowany, kamienny prawie od wierności...

PIECZKO: Lubię, to co lubi lud, wtedy jestem bliżej zwycięstwa.

KANONIK I (zbliżając się): Mówisz zagadkowo, Pieczko. Powiedz jaśniej. Nie jesteśmy tak uczeni jak ty, brzuch mój jest dziś pełen dobrego wina, ciężko mi myśleć...

PIECZKO: Widać to. (wybuchając) Przysłuchiwaliście się. Patrzyliście. Jesteście chrześcijanami, członkami świętej — kapituły. Co wy na to?

KANONIK III: Lubisz zadawać nagłe, obcesowe pytania.

KANONIK I: Istotnie. Mów wolniej.

PIECZKO: Nakazaliście rozpędzić biczowników. Byli to ludzie błędni ale — wierni Męce Pana Naszego. Czemu nie nakażecie rozpędzić tego bluźnierczego tłumu?

KANONIK III: Wiesz, że to nie w naszej mocy.

PIECZKO: W waszej.

KANONIK I: Może Mikołaj z Bancz by ci coś poradził, może starosta miejski Kunad, może sam Luksemburczyk. Ale nie my.

KANONIK III: Zresztą, bracie Pieczko nic byśmy nie wskórali. Wiesz, jak nie lubią powszechnie Nankera.

PIECZKO: Nie nazywaj mnie bratem. Jesteś mi wrogiem.

KANONIK III: Jesteś chrześcijaninem, członkiem świętej kapituły jak ja. Czy tak się godzi?

PIECZKO (ciągle ważąc w rękach głowę kukły Nankera): Mam w ręku cenną relikwię. Relikwię obłędu. Wiedzcie, że obłęd ten zostanie potępiony. Ta głowa zaś wywyższona. Wywyższona w ziemskiej ojczyźnie, polskiej, wywyższona tu we Wrocławiu i wywyższona w ojczyźnie niebieskiej.

KANONIK I (twardo): Zostawisz tę głowę.

PIECZKO: Nie na darmo tropię tłum, nie na darmo śpiewam z nim bluźnierczą piosenkę, nie na darmo pozwalam się całować przez tuzin ladacznic. Chcę wszystko wiedzieć, wszystko ujrzeć. Tę relikwię zdobyłem słusznie. Odeślemy ją papieskiemu nuncjuszowi Galhardowi (tuli strzęp głowy do piersi).

KANONIK I: Ach, ty psie!

PIECZKO: Uspokój się Zygfrydzie. Nie chciałbym zanosić skargi na ciebie do świętego trybunału.

KANONIK I (ochrypły prawie): Zostawisz tę głowę i powiesz biskupowi, żeby pilnował swej prawdziwej głowy, bo rychło się o nią upomnimy.

PIECZKO: Bluźnisz!

KANONIK I: Zostaw!

PIECZKO: Nieee!

KANONIK I: Zostaw, bo... (odgarnia pelerynkę, ukazuje się błyszczący kord, do którego sięga tłusta ręka).

PIECZKO: Ach! Więc i to jeszcze. Ty kanonik, przepisy mijasz.

KANONIK I (krzyczy): Wszystko, co ten przeklęty Polak ustanowił — minę. Będę nosił dwa kordy.

PIECZKO: Zapłacisz dwa wiardunki. Tak napisano w statutach.

KANONIK III: Głupi jesteś Pieczko. Ani Zygfryd nie zapłaci ani ja. Nie jesteśmy już w Nankerowej władzy. Ani

tym bardziej w twojej. Ekskomunikowano nas razem z królem. Będziemy nosić kordy i podawać wino w karczmach i nosić szaty purpurowe, spinane złotymi broszkami...

PIECZKO: Antychryst opętał was. Nanker porządku, prawa kościelnego bronił. Słusznie postąpił, słusznie!

KANONIK I: Nie krzycz, Pieczko. Może tłum zawróci po zagubioną głowę kukły, nie obronimy cię wtedy.

PIECZKO: Wiem.

KANONIK I: Nie obronimy cię, chocieś brat. Bądź rozsądny (odbiera drewnianą głowę). Stój tak, może gdy cię słonko ogrzeje, zmądrzejesz. Słonko jak maść cudowna wygładza powierzchnię oka. Lepiej wtedy widać świat.

KANONIK III (pokazuje na swój kord): I nie wszystko co błyszczy jest wtedy złe. Uczył Krystus, że i dobro jest błyszczące (odchodzą).

PIECZKO (w czasie jego słów wchodzi na scenę Wiertelnik, bez halabardy): Czuję, jak się zrodziły nagle dwa olbrzymie światy. Czuję więcej, że ten jeden wrocławski świat, ten jeden świat Śląska, to była niebezpieczna fikcja, której i Nanker ulegał w chwilach, w których mnie nie chciał słuchać. Historia stworzyła doskonały komentarz dla tego rozłamania się Śląska: niemiecki tłum sprzedawczyków, ladacznic, kupców. On śpiewa refren piosenki, która z jednakową zajadłością śpiewana była pod Miliczem, gdy padał, i w klasztorze św. Jakuba, gdy stamtąd wychodził Nanker, wykląwszy wyłaniający się z rozłamania wrogi spiczasty świat, spiczasty jak hełm, noszony ongiś przez germańskich brodaczy. Szkoda, że jestem tylko aktorem w tej wielkiej historycznej grze o Śląsk. Dobrze, że jestem aktorem — Polakiem. Ale ani na Nankerze ani tym bardziej na mnie gra się nie kończy (patrzy na ratusz). Wrocław nie skończył się budować. Dopóki rosną rzeczy martwe, dopóty trwać będzie o nie walka. A tutaj walka toczyłaby się nawet o ruiny. Bo i ruiny będą nasze...

WIERTELNIK (podchodzi, Pieczko nasuwa kaptur): Coś mi się nie podoba wasza mowa, dobry człowieku.

PIECZKO: Masz rację. Jestem dobrym człowiekiem. Gdybym nim nie był, Nanker zwyciężałby tu krok za krokiem.

WIERTELNIK: Ależ ja tego nie myślałem naprawdę. To takie moje przysłowie, przygadanie do ludzi. Do psów mówię po prostu: psie.

PIECZKO (oschle): Nie używaj zatem tego... przysłowia.

WIERTELNIK: Ale nie o to mi chodzi. Jestem stróżem porządku. Wprowadziłem właśnie murarzy na budowę, której pilnowałem całą noc. Słyszałem, że mówiliście o ruinach. Czyżbyście mieli ochotę spalić miasto? he?

PIECZKO: Pan spalił je po raz pierwszy Nankerowym interdyktem. To, po czym od wczoraj stąpamy obaj po Wrocławiu — to są zgliszcza i popiół. Tyle pozostaje po złych ludziach, po złych czasach.

WIERTELNIK: Dziwnie mówicie. Nie lubię tego słuchać. Mam trzy dziewki we Wrocławiu. Jedną służebną na Piachu, jedną u Smolarzy pod Świdnicką bramą i trzecią najtęższą za bramami za Oławą na błotach. Pomyślcie dobry człowieku, co by to było, gdybym musiał do nich biegać przez zgliszcza. Nie lubię sobie parzyć stóp dla niewiast.

PIECZKO: Wyszukałbyś sobie takie same trzy bliżej, w środku miasta.

WIERTELNIK: Nie znajdziecie tu takich. Wiecie, że tu wszystko dla Niemców, nawet dziewki. (nagle, groźnie) Kto wy jesteście?

PIECZKO: Nie poznajesz mojego habitu?

WIERTELNIK: Eee, wielu się dzisiaj kręci w habitach, sutannach, w czerwieni biskupiej nawet. Pouciekało to z klasztorów, zawóniały im dziewki, jakaś dzika swoboda.

PIECZKO: No mów, mów dalej.

WIERTELNIK: A będę mówił. Dość mam tego. Ja tam do kościołów nie chodzę często, ale biskupów się boję. Więcej niż króla.

PIECZKO: Mów dalej. Dobrze mówisz, mów!...

WIERTELNIK: A co to dziś nie wyrabiają! Nankera byle jaki szewc podrabia, poubierali w nowe szmatki obnoszoną tu parę lat temu kukłę Andrzeja z Weroli i Nankerem ją zwą i przeklinają i śmieją się. (po chwili) Wy mnie tak słuchacie a ja was nie znam. We Wrocławiu kląć trzeba szeptem.

PIECZKO: Znasz mnie.

WIERTELNIK: Nie znam. A chciałbym wiedzieć do kogo mówię.

PIECZKO (odrzuca kaptur, po czym nasuwa go): Znasz mnie, popatrz mi w oczy.

WIERTELNIK: Może was kiedyś widziałem, na jakiejś procesji, tak wyglądacie...

PIECZKO: Nie o to chodzi. Patrz w moje oczy. Znasz mnie, bo jestem twój brat. Prawdziwy brat, Polak.

WIERTELNIK: Ja tam taki łatwowierny nie jestem. Raz mnie zwą człowiekiem, ale tylko wtedy, kiedy trzeba dla innych pracować. Innym razem mówią mi: przyjacielu, ale też tylko wtedy, gdy się trzeba o cudzą skórę bić. Teraz wy mnie nazywacie bratem.

PIECZKO: Jesteś mi bratem nie dlatego, że się razem znajdujemy na tej scenie wrocławskiej, ale dlatego, że nas tu zostawiła Polska, sama cofając się. Jak fala cofa się z brzegu, ostawiając na nim ryby, wierząc, że wytrzymają do jej powrotu.

WIERTELNIK: Nie podoba mi się ta mowa. Ryby zostawione na brzegu nic by nie mogły zrobić, rzucałyby się tylko, broniłyby się przed śmiercią.

PIECZKO: Słusznie, a my prócz obrony musimy jeszcze budować, wznosić. Jak ci murarze, których wprowadziłeś na tę ścianę.

WIERTELNIK: Tak mniej więcej.

PIECZKO: Podobasz mi się. Poprawiasz uczonych.

WIERTELNIK: To i wy jesteście uczony?

PIECZKO: Nie wierzysz?

WIERTELNIK: Istotnie. Trzeba być wiertelnikiem, by tego od razu nie zauważyć. Będę się mógł wieczór przynajmniej Jagnie pochwalić — bo dziś idę do tej na Piachu, nazywa się Jagna, mówię wam, jakie ma pośladki, większe od beczek Janowego wina, którym wczoraj pojono lud — otóż pochwalę się jej, jakie to dziś miałem szczęście do uczonych.

PIECZKO: Z kim jeszcze mówiłeś?

WIERTELNIK: Zaraz rano — z Medykiem Nankerowym.

PIECZKO: Znam go. Co tutaj robił?

WIERTELNIK: Płakał.

PIECZKO: Ci od północy często płaczą we Wrocławiu. Czemu płakał?

WIERTELNIK: Mówił, że nie spełnił rozkazu. Ja to znam, bo ja jestem miejskim żołnierzem. Pojmali mu w drodze Przemka, proboszcza, którego wiódł do biskupa.

PIECZKO: Kłamiesz!!

WIERTELNIK: Dobry człowieku, obrażacie mnie. To Niemcy kłamią.

PIECZKO: Przebacz mi bracie. Nie chciałem uwierzyć. Nie mogę uwierzyć. Choć byłem przekonany, że Nanker popełnił błąd, wzywając Przemka. Zresztą po co ja ci to mówię. Ty nawet nie wiesz, kto to jest Przemko i co on dla nas znaczy.

WIERTELNIK: Nie wiem. Ale pewnie jakiś znaczny proboszcz.

PIECZKO: Mądry, uczony proboszcz!

WIERTELNIK: Masz ci. Trzeci uczony. Ależ to Jagna wypinać będzie z radości lica, skoro się dowie, ilu uczonych poznałem. Ho, ho...

PIECZKO (sucho): Nie pójdziesz dziś do tej swojej Jagny.

WIERTELNIK: A cóż to?... Wasza to Jagna?

PIECZKO: Nie pójdziesz, rozumiesz? Mamy wspólny obowiązek. Trzeba szukać tego Przemka.

WIERTELNIK: Kiedy ja wiem, gdzie on jest.

PIECZKO: Mów!

WIERTELNIK: A tu. W ratuszu.

PIECZKO: Trzeba go stamtąd wyprowadzić. Uwolnić! Musisz mi w tym pomóc.

WIERTELNIK: Ha, już obiecałem Medykowi. Ale łatwo obiecać, trudniej dokonać (zbliżająca się wrzawa i śmiechy).

PIECZKO: Tłum, tłum narasta. Ta inna fala. Musimy wyzwolić Przemka. Bez niego nie wolno odejść Nankerowi z Wrocławia.

WIERTELNIK: A cóż to? Biskup zamierza drapnąć?

PIECZKO: Może.

(Na scenę wchodzi Szewc jak poprzednio, tłum wiedzie gęstszy i bardziej zróżniczkowany pod względem strojów i nastrojów, w tłumie giną Pieczko i Wiertelnik).

SZEWC: No więc wiecie już, gdzie będzie palony Nanker.

LADACZNICE: Papieżuniu!

SZEWC: A teraz precz, bo muszę urzędować. Przecie wiecie, że obrano mnie rajcą miejskim.

LADACZNICE: Pomożemy ci, biskupiuniu. Będziemy pieczętować twoje dokumenty.

SZEWC: A to chyba gołym tyłkiem, bo nie mam żadnych pieczętnych tłoków. Nie dali mi. Widocznie nie ufają mi jeszcze tak bardzo.

KTOŚ Z TŁUMU: I ty się zgadzasz na to?

SZEWC: Co mam robić. Jestem rajcą z cudzej łaski.

KTOŚ Z TŁUMU: My cię podeprzemy, nie lękaj się niczego. Ulica wrocławska wiele może. Biskupów nawet obala.

LADACZNICE: I my cię podeprzemy, szewcuniu.

SZEWC: Dobrze, dobrze, ale idźcie już, bo naprawdę muszę urzędować.

LADACZNICE: Kiedy nam tu jest tak dobrze.

SZEWC: No ślicznie gołąbeczki, ale musicie odejść, bo inaczej was wysmagam tak, że wieczorem nie rozłożycie nóżek.

LADACZNICE: Ojej. To przynajmniej pobłogosław nam, biskupiuniu.

GŁOS Z TŁUMU: Tak, pobłogosław nam.

SZEWC: Dobrze (wstaje). Niech się wam szczęści, niech się wam pieniądze sypią, niech was kobiety cenią i kochają, niech wam Polacy jak zające lękliwe z drogi ustępują i niech wam Wrocław służy, niemiecki po wsze czasy i po wieki wieków.

TŁUM: Amen!

SZEWC: Aha. Byłbym zapomniał. Żebyście mi pamiętali przyjść jutro pod pałac Nankera. Będziemy sobie znowu używać, prawda gołąbeczki? I kamykami fiu, fiu w okienka i w tego łotra, naczelnika straży i w samego biskupa, w starucha i trupa, aby tu przepadła jego władza i zasługa i polska dusza na wieki wieków.

TŁUM: Amen.

(Tłum rozchodzi się w obie strony, Ladacznice długo żegnają się z Szewcem, który je odpycha, ktoś przynosi stolik z papierami, Szewc siada, przewraca papiery, scena pusta, tylko w rogu pozostał Józko)

JÓZKO DE RESTE (podchodząc, ostro): Urzęduj. Czemu nie urzędujesz?

SZEWC: A bo to umiem?

JÓZKO DE RESTE: Byłeś heretykiem. Głosiłeś błędne nauki Jana z Oliwy...

SZEWC: O panie, tylko bez tykania takich świętych jak ów Jan z Oliwy.

JÓZKO DE RESTE: A teraz jesteś bluźniercą i łajdakiem.

SZEWC (mruży oczy): Hm, he, czy ty przypadkiem nie... biskupski?

JÓZKO DE RESTE: Nie. Królewski jestem. Bankier Jego Królewskiej Mości.

SZEWC (wstaje): Ho, to wyście wielka figura. To wy mi płacicie żołd?

JÓZKO DE RESTE: Ja.

SZEWC: I tym wszystkim, co krzyczą przeciw Nankerowi?

JÓZKO DE RESTE: To ty wiesz o tym?

SZEWC: Ho, ho, ja nie taki głupi. Rewolucje tworzą tacy oto nędzarze...

JÓZKO DE RESTE (ostro): Kto ci o tym mówił?

SZEWC: Zygfryd.

JÓZKO DE RESTE: A łajdak. Co zamierzasz robić przy tym stole?

SZEWC (siada): Ja? Hm, ja mam urzędować. Więc przesłucham najpierw proboszcza z Piasku, Przemka.

JÓZKO DE RESTE: Kto go pojmał?

SZEWC: Wasi. Królewscy. Bluźnił.

JÓZKO DE RESTE: Jeśli bluźnił to sprawa kościoła. Trzeba go było oddać Nankerowi albo Mikołajowi z Bancz.

SZEWC: Ale bluźnił przeciw królowi.

JÓZKO DE RESTE: Za to samo należałoby pojmać wszystkich was. — Dalej, co będziesz dalej robił?

SZEWC (myśląc): Skażę Przemka.

JÓZKO DE RESTE: Od tego są sądy. Pilnuj swoich zajęć, za co ci płacą?

SZEWC: Za bunt.

JÓZKO DE RESTE: Milcz!

SZEWC: Przecie to prawda. Za bunt przeciw Nankerowi płacą mi. Co innego tu nie mam we Wrocławiu do roboty. Przecie nawet pan sam mi to daje.

JÓZKO DE RESTE: Jestem królewskim urzędnikiem,

moim obowiązkiem jest słuchać. Ty zaś, biorąc od króla pieniądze, masz jeden ogromny obowiązek: milczeć!

SZEWC: Może być. (po chwili trzymając jakiś obojętny papier w ręce i udając, że go czyta) Ale, ale płacą mi za mało.

JÓZKO DE RESTE: Czy wiesz o tym, że tyle akurat dostaje papieski legat?

SZEWC: Ale legat jest waszym wrogiem. Ja wiodę tłum również i przeciwko legatowi.

JÓZKO DE RESTE: Jesteś bezczelny.

SZEWC: Panie, ja jestem szewcem ale ja też mam swój honor.

JÓZKO DE RESTE: Nie dostaniesz ani grosza więcej. Puszczasz pieniądze na wino i dziewki.

SZEWC: Panie, a co ma innego robić kawaler, do tego szewc, który mógłby zostać biskupem, a nie jest nim?

JÓZKO DE RESTE: Plamisz honor niemiecki.

SZEWC: I tak już nic nie wart. Zapytajcie się Polaków, co o nim sądzą. Włosy na głowie stają.

JÓZKO DE RESTE (groźnie): Plamisz honor królewski!

SZEWC: Dobrze, że pana spotkałem. Będziemy mogli przynajmniej załatwić tę podwyżkę.

JÓZKO DE RESTE: Nie drażnij mnie, jeśli nie chcesz, bym cię zaczął traktować jak zwykłego szewca-przybłędę.

SZEWC: Panie, bo ja mogę wzburzyć miasto i przeciwko wam.

JÓZKO DE RESTE: Grozisz?!

SZEWC (wstając): Nie boję się was. Mam wielu przyjaciół w mieście. Szewca wszyscy znają, szewca lubią. Nawet król o mnie niejedno dobre słowo słyszał.

JÓZKO DE RESTE: Uważam, że jesteś skończona kanalia, że nie powinieneś dostać ani grosza, ni feniga, nie mówiąc już o skotach czy wiardunkach.

(wchodzą Kanonicy I i III)

KANONIK I: Znowu Józko w kłótni. Cóż się tak o nieswoje pieniądze martwicie? (ciszej) Po cichu wam powiem, wystrzegajcie się szewca.

JÓZKO DE RESTE (wzburzony): Właśnie powiedział mi to samo.

KANONIK I: Nie drażnijcie go. Jest nam potrzebny. Po co mu psuć nerwy. Szewcy też mają nerwy.

JÓZKO DE RESTE: Toż to wieczysta hańba dla kapituły, miasta i króla. Ten szewc przechodzi w historię.

KANONIK I: Na razie historię piszemy my. To w niej zostanie, co będziemy uważać za właściwe i potrzebne.

JÓZKO DE RESTE: Wy żyjecie wszyscy w jakimś obłędzie.

KANONIK III: Patrzycie ze stanowiska wroga.

JÓZKO DE RESTE: Nie dostrzegacie Polaków w tym mieście. A przecież oni są, na nas patrzą, nas sądzą i zapamiętują takimi, jakimi jesteśmy.

KANONIK III: Cóż, mała garstka wokół Nankera.

JÓZKO DE RESTE: A kupcy co?

KANONIK I: Tych da się przekupić. Ustąpimy im miejsca na targu. Będą radzi.

JÓZKO DE RESTE: A szlachta, panowie i rycerze?

KANONIK I (przenikliwie): Tak jak Polki opętały niektórych naszych, tak nasze córki opętają tamtych.

JÓZKO DE RESTE: Wiecie, że mam żonę Polkę. Chyba nie uważacie, że jestem przez nią opętany.

KANONIK III (do Kanonika I słodko): Czy ty tak uważasz Zygfrydzie?

KANONIK I (do Kanonika III): A może ty tak myślisz?

OBAJ (do Józka, z udaną szczerością): Nie moglibyśmy tak myśleć o was, szlachetny bankierze. Zbyt dużo dobrego nam wyświadczacie.

JÓZKO DE RESTE: Więc tylko to.

KANONIK I (z wahaniem): To.

JÓZKO DE RESTE (sztywno): Jestem wierny królowi i wierny miastu. Jestem stąd i dlatego widzę jaśniej od was.

KANONIK III: Jesteście Niemcem?

JÓZKO DE RESTE: Widzę, że zagraża tu niemieckości wysoka polska fala, która tu jest od początku, którą wyście tylko okryli swoją polityką, swoją chytrością, swoim bogactwem.

KANONIK III: Potwierdzcie nasze poprzednie pytanie, czy jesteście Niemcem.

JÓZKO DE RESTE: Wiem, że radzibyście iść do króla i rzec: Ten Józko de Reste to szpieg polski. Otóż powiem wam (bierze się pod boki): jestem Niemcem.

KANONIK I (półgłosem): Szkoda.

JÓZKO DE RESTE: Mówiliście coś?

KANONIK I (półgłosem): A tak, mówiłem. Że... ci de Reśte zawsze byli Niemcami.

SZEWC: Nie wadźcie się, wielmożni. Przeszkadzacie mi jeno w urzędowaniu. Przecie nie chcę brać pieniędzy za darmo.

KANONIK III (pogodnie): A cóż to szewcuniu zapisujesz?

KANONIK I (j. w.): Do papieża pisać zamierzasz ?

SZEWC: Nic nie piszę. Spać mi się chce. Piliśmy taką dechę, że teraz jeszcze dech zapiera.

KANONIK I: Trzeba by, szewcuniu, znowu z tłumkiem po mieście przejść.

SZEWC: Zamówiłem ich na jutro. Pójdziemy znów pod biskupa.

KANONIK III: Miasto się martwi. Kościoły zamknięte. Polacy rozpowszechniają jakieś groźne wieści.

SZEWC: Polacy głupcy. Boją się interdyktu, którym św. Piotr zwyczajnie rzyć sobie obciera.

KANONIK I: Zawsze po interdykcie były pożary. Niewiadomo kto i niewiadomo jak. Tego się tłum boi.

SZEWC: Powiemy, że taki a taki podpalił. Polak. Powiesimy go dla uspokojenia.

KANONIK III: Trzeba by mieć kogoś takiego.

SZEWC: Przecie mamy. Przemko, proboszcz.

KANONIK III: Ee, za znaczny. Przyjaciel Nankera.

KANONIK I: Dobry na zakładnika ale nie na szubienicę.

JÓZKO DE RESTE (który przysłuchiwał się bokiem): Właśnie...

KANONIK I i III (odwracając się): Co: właśnie?

JÓZKO DE RESTE: Właśnie o tym Przemku chciałem wam rzec. To jeniec królewski. Królewscy go pojmali.

SZEWC: Bluźnił.

JÓZKO DE RESTE (z niechęcią): Mówiłem ci już raz, że jeśli bluźnił, to sprawa władz kościelnych.

SZEWC: Przeciw królowi.

JÓZKO DE RESTE: Zatem sprawa króla. Nie macie prawa rozporządzać do woli losami więźnia.

KANONIK I: Wiecie bankierze, skoro mówiliście o pieniądzach, to jeszcze mogliście mieć rację, ale w tych sprawach to naprawdę nie macie nic do powiedzenia.

JÓZKO DE RESTE: Nie bądźcie więcej królewscy od Luksemburczyka, który radzi się mnie we wszystkim.

KANONIK I: Być może, ale my tu reprezentujemy miasto.

JÓZKO DE RESTE: W r. 1335 przeszło na własność króla.

KANONIK III: Wiemy, wiemy. Ale poza tym reprezentujemy tu interes — Niemców. Prawdziwych Niemców.

JÓZKO DE RESTE: Takich jak — wy.

KANONIK I: Istotnie. Takich właśnie. P r a w d z i w y c h!

JÓZKO DE RESTE (powoli): Zaczynam wierzyć w to, co mówicie. Zaczynam wierzyć w siłę obłędu. Wiem, że tacy Niemcy jak ja — giną. Wstaje nowa wielka rasa takich jak wy. Wy opanujecie świat, choć myśmy nie mogli opanować małego Wrocławia. Ale za to na naszych grobach szczęśliwszy naród pozwoli sadzić kwiaty, podczas gdy na waszych wiatr będzie tańczył i suche badyle giął.

KANONIK III: Ha, ha, ha, bankierze, macie wspaniałe sny.

SZEWC (rechocąc): Hi, hi, śliczne sny i zwidzenia. Prawie jak ja.

KANONIK I: Widzę, że służy wam atmosfera rodzinna. Zawsze twierdziłem, że Polki wróżbą się zajmują i sny łatwo wszczepiają. Ot, wystarczy, że chuchnie wam w ucho i już macie sen. Straszny. Potężny. Kosmopolityczny. Ha, ha, ha...

KANONIK III: Ha, ha, ha...

SZEWC: Hi, hi, hi...

(wchodzą Pieczko, Wiertelnik: na ich widok śmiech gaśnie)

PIECZKO: Wesoło.

SZEWC (do Kanonika I): Kto to jest? (mierzy Pieczkę spode łba).

KANONIK III: Mówiłem ci, Pieczko, byś się nie włóczył po mieście. Pilnuj lepiej Nankera, by mu głowa nie spadła.

PIECZKO: Wesoło wam.

KANONIK I: Szukasz koniecznie guza. Jesteś zdolny scholastyk, może nawet kiedyś zostaniesz biskupem (Szewc zaczyna rechotać, ale Kanonicy oraz Józko mierzą go groźnym okiem). Pilnuj zatem lepiej swojej skóry. (Do Wiertelnika) I ty co tu robisz? Ty w służbie byłeś.

PIECZKO: Był w służbie i jest w służbie. Teraz mnie będzie służył.

KANONIK III: Miejskich ludzi buntujesz.

PIECZKO: Myślcie o własnym buncie przeciwko Panu.

KANONIK I: Nie mieszaj Boga w nasze wrocławskie spory.

PIECZKO: Od Polski się zaczęło. Uszłoby wam to bezkarnie. Nawet karząca dłoń biskupa wydałaby się wam tylko łaskotaniem.

(Szewc śmieje się jak zwykle ludzie niemądrzy, ale ponieważ podchodzi doń Józko, ucicha i bawi się papierami).

PIECZKO: Zapomnieliście już dawno, że Korona Polska umie również karać.

KANONIK III: Phi, ładna mi korona, Nanker, staruch trzęsący się i nerwowy. To jego dłoń karze, nie Polski.

SZEWC: Właśnie.

PIECZKO (przygarnia Wiertelnika): Znowu głębiej poznałem Wrocław. Wiem, że miasto jest nasze, naprawdę nasze.

KANONIK I (do Józka): Bankierze, ów kanonik zaprzecza temu, coście przed chwilą powiedzieli. Przecie prawdę rzekliście, że w r. 1335 miasto przeszło na własność króla.

JÓZKO DE RESTE: Są dwa sposoby posiadania miasta. Jeden — pieczętny. Tak posiada miasto Luksemburczyk. Ale i oni posiadają Wrocław.

SZEWC (który słuchał, jak zwykle ludzie niemądrzy tej wspaniałej rozmowy z otwartymi ustami): Właśnie. (Spostrzegł się jednak, że powiedział głupstwo, co się głupcom często zdarza). Eee, właśnie tacy jak my posiadamy.

KANONIK I (groźnie): Wrocław.

SZEWC: Wrocław.

PIECZKO: Naprawdę nasz. Wszędzie cierpią tu nasi i do nas, silnych, wzdychają. Musimy być silni. I musimy zbierać siły. Tu w mieście i na całym Śląsku.

KANONIK III: Mówisz, jakbyście się zwoływali do bitwy.

PIECZKO: Rano rzekłeś, wybiegając z biskupiego pałacu: Wojna, wojna!

KANONIK III: Tak rzekłem. Ale to był mój krasomówczy zwrot. Chciałem biskupa nastraszyć. Może by się pogodził co do Milicza.

PIECZKO: A zatem to był fałsz. Wszystko co mówiłeś.

KANONIK I: Ojojoj, Pieczko, Pieczko. Nie można z tobą mówić spokojnie.

PIECZKO: Milicz to był próg. Próg do wielkiej wojny, która trwać będzie wieki całe. Nie pierwszy to próg i nie najwyższy.

KANONIK I: Już zaczynasz sądzić historię. Wiesz, że tego nie lubię. Mówmy o dniu dzisiejszym.

SZEWC: Zygfrydzie, kanoniku, to już ja najwięcej będę mógł powiedzieć. Niech ja coś powiem.

KANONIK III: Siedź w kącie, gdy mówią członkowie świętej kapituły.

PIECZKO: Pozwól, niech się przypatrzę temu szewcowi, którego na tronie biskupim osadzić chcecie.

KANONIK III: Nie przesadzaj Pięczko. Mamy przecież swoich. Świątobliwych i uczonych. To heretyk.

PIECZKO: Ale potrzebny wam. Ceniony.

KANONIK III: Zastępuje miejską biedotę i rzemieślników w radzie miejskiej.

PIECZKO (z ironią): Można by sądzić, że demokrację we Wrocławiu wprowadzacie. Ale ponieważ was znam, to wiem także, że dopóty schlebiacie biedocie, dopóki pomaga wam w niszczeniu Polaków.

KANONIK I: Jesteś więcej Polakiem, niż krześcijaninem.

PIECZKO: Trudno być innym na Śląsku, na granicy Polski, kiedy prawy policzek dotyka was a lewy takich oto szewców, biskupiuniów, papieżuniów.

KANONIK I: Nie zazdrość mu sławy.

PIECZKO: Nie zazdroszczę mu żaru piekielnego, w którym topniało będzie jego robaczywe ciało.

JÓZKO DE RESTE: Kanoniku Pieczko. Przykro mi, że jestem świadkiem tej rozmowy. Wiem, że was ten szewc obraża.

KANONIK I (zdenerwowany): Bankierze. Nie macie prawa mieszać się do naszej rozmówki.

JÓZKO DE RESTE: Jesteście łaskawi i wielkoduszni w stosunku do tego szewca. On ma prawo. Ja nie. Coraz tragiczniejszy jest wasz obłęd.

KANONIK III (chrapliwie): Mów Pieczko czego chcesz i zmykaj do domu. Wrocław cały wzburzony i my też jesteśmy wzburzeni. Nie mam czasu na te dyskusje. Mamy sporo roboty.

KANONIK I: Nie mówilibyśmy z tobą tak obszernie,

gdyby nie to, że głosiłeś najpiękniejsze kazania w kapitule. Tego się nie zapomina. Ale cierpliwość nasza jest na wyczerpaniu.

KANONIK III: Jeśli zaś nic nie potrzebujesz i jeśli tylko myszkujesz po mieście z prostej ciekawości, musimy cię ostrzec raz jeszcze przed poważnymi niebezpieczeństwami, na jakie się narażasz, — i skończyć tę rozmowę.

PIECZKO: Szukałem was.

KANONIK I: Więc mów.

PIECZKO: Zwolnijcie Przemkę.

KANONIK III: Non possumus.

PIECZKO: Nie zastawiaj się tarczą z łacińskich słów.

KANONIK I (występując): Non possumus. Jest królewski. (Józko chce zdziwiony coś powiedzieć, ale Kanonik I przerywa mu ostro). Tak, królewski to więzień.

PIECZKO: Ale trzymacie go w ratuszu.

KANONIK I: Być może.

SZEWC: A mówiłem. Trzeba go było zaraz rano powiesić. (Nikt nie zwraca uwagi na te słowa).

PIECZKO (gorączkowo): Wydajcie Przemkę, dam wam innego zakładnika.

KANONIK I i III: Kogo?

WIERTELNIK (występując): Mnie.

KANONIK I: Phi!...

KANONIK III: Ty miejski jesteś. Nie mamy ani prawa ani powodu pakować cię do królewskiego więzienia.

WIERTELNIK: Przed chwilą zmieniłem służbę. Jestem sługą biskupa.

KANONIK III: W takim razie należałoby cię karać za zdradę.

PIECZKO: Nie mówmy o zdradzie. Żaden z was nie ma prawa o niej mówić. Decydujcie się tak jak... on się zdecydował.

KANONIK I (do Wiertelnika): Ostrzegam cię, że możesz umrzeć.

WIERTELNIK: Wierzę w prawo.

(Szewc śmieje się)

KANONIK III: Nie miej złudzeń.

WIERTELNIK: Dobrze.

KANONIK I: Co ty na to, szewcuniu?

SZEWC (ogląda Wiertelnika): Mógłby nawet zostać ukrzyżowany. Na pokaz. To silny człowiek.

JÓZKO DE RESTE (do Kanoników): Uprawiacie wstrętne targi. Wszystko przeciw prawu i przeciw królowi.

KANONIK III (nie zwracając na to uwagi, do Szewca): Zgadzasz się?

SZEWC: Trochę mi żal urzędowania. Miałem przesłuchać Przemkę. Ciekawym, jak piszczą uczeni proboszczowie, gdy się im przypala boki. Ale ten też dobry. (do Wiertelnika) Ale ty Polak?

WIERTELNIK: Polak.

SZEWC (poważnie, co się zdarza idiotom, gdy mówią o śmierci): To dobrze. Będziesz wisiał.

(Szewc pierwszy podchodzi do ratuszowych drzwi, odmyka je, wszyscy wchodzą do środka, jedynie Józko przypatruje im się wszystkim, potem zły na siebie, że zachował się tylko jak statysta, odchodzi na lewo).

KONIEC AKTU II

GĄSZCZ

URYWKI

W dwa tygodnie potem dostał od pani Augustyńskiej zaproszenie na wieczór literacki. Poszedł i zobaczył ją inną, obmurowaną krytykami. Musi się ich zapraszać, są o wiele ważniejsi od literatów. Sami nie pytani o talent, mogą go innym przyznawać lub odmawiać. Symbolizują literaturę; jeżeli jej nie ma, zastępują ją. Działają odwrotnie, niż mrówki, których zapach leczy reumatyzm: mrowisko krytyków nabawia reumatyzmu. Nie można słuchać tego, co mówią, a mówią to, co piszą. Po tym stylu powtórkowym łatwo ich poznać, i po okrągłych syntezach; to przyczepia się do człowieka, który dwa razy na tydzień miewa je drukowane. Gdy porównać z pisarzem to, co oni o nim mówią, pisarz jest pełen sensu, ubogi w pomysły, nie połapany w literaturze, jak oni. Powstaje z ich słów stos mądrości, do której literatura nie daje chyba powodu: głównie o kompozycji: rzeczy, którą pisarz spełnia (albo nie), ale dla niej nie pisze, chyba że jest tapicerem literackim. Ci, co niełatwo jadają ryby, najlepiej pamiętają ich ościec, a podobni im smakosze literatury dłubią w kompozycji. Dłubiąc skubie, skubiąc dłubie, i tak powstaje recenzja. Krytyk idealny (którego nie ma) wyciąga z dzieła układ tak, jak ościec z ryby: jednym chwytem.

Każdy pracuje w przemyśle literackim, recenzuje dla firm, musi ręczyć, że to pójdzie kasowo; powoli, bo z natury jest trudny, przyzwyczaja się do tego, że literatura potrzebuje przychylnej krytyki; pisze ją, czasem dla autora, ale głównie dla firmy: lansuje, nauczył się tego od przemysłu. Pretensje autorów go nie nużą, jest nieźle płatny i sam do-

syć pretensjonalny, pracuje w branży, która wymaga pogłębienia psychologicznego. Garderobiana w teatrze wskazuje miejsce za biletem, a krytyk wspanialej: pan tu siądzie. Autorowie cisną się do pierwszych krzeseł, krytyk rozkłada ręce (pieszczone, ale nie pieszczące): do tyłu, panowie! Miłych znajomych sadza wysoko. Zaszczyceni wyskakują z tych miejsc po śnie jednej nocy, jak korek z pukawki.

Pełno tego było w salonie, po kanapkach i pod oknami. Dzieło literatury wyszło dziś rano, ktoś już je miał w kieszeni. Wyjdzie za tydzień, pokazują korekty. Autor czyta półgłosem kawałek rękopisu, szuka nakładcy: wyjdzie, nie wyjdzie. Młody człowiek opowiada pomysł dzieła w siedmiu tomach: heptateuch, doradzają mu ten tytuł. Niezmiernie interesujące, ale cóż, dotychczas drobi same artykuliki. Jest projekt ankiety, latają druczki. Ktoś wypełnia natychmiast wiecznym piórem: dwa dramaty, jedna komedia, powieść i cztery tomy studiów. Napisze wszystko, w rozmowie jest tego pewien. Ankieta da oszałamiającą wizję literatury, na którą nie starczy papieru, czcionek, nakładców, publiczności i krytyków. — Hucpa — mówi pani Kolkiewiczowa i notuje na odwrotnej stronie druczku, co ma kupić jutro na mieście. Redaktor ankiety jest spokojny, zjada przystawki. Literatura go nudzi, z literatami kłopot, bo dwu dobrych po kolei artykułów nie wydobędzie z nikogo. Ale robi się interes na publiczności, która wierzy we wszystko, byle co tydzień w co innego. Poloniści z prowincji wypisują listy do redakcji chwaląc pisarzów w sposób tak wypracowany, że chce się więcej podziwiać polonistę, niż pisarza: jest to dowód, że pisarzów jest więcej, niż ci, którym się udało znaleźć wydawców, i to, zdaje się, chcą uświadomić uczestnicy ankiety. Nie szło jednakże o takie pomnożenie literatury, sami pisarze są zmieszani, bo pokazuje się, że piszą dla lepszych od siebie, ale co szło, to seria numerów z odpowiedziami na ankietę. Gdyby słuchać głosów publiczności, ankieta ciągnęłaby się przez lata. Rozserdecznili się, ale redakcja nie: kawał udał się (jedziemy na lato za granicę), o to szło, nie o polonistów. W ustępach krytyczniejszych nie poprawiano stylu, samo to nadwątlało krytykę. Namyślają się, jaki nowy kawał puścić: jakieś coś o czymś, czy coś bez czegoś, jakiś ktoś z kimś, dwugłos o twórczości, sąd nad powie-

ścią, co czytam najchętniej, dwie książki na wyspie, czy lubię opisy natury, wspomnienia z kołyski. Podobno coś wyszło w Zamościu, pytają meklerów literatury, któryś tam był na pogrzebie babki, nic nie wie o dziele, ale przez minutę rozmawia się o babce: bardzo miła babka. Niedawno ktoś kogoś w twarz uderzył, a ktoś inny przez to ustąpił z redakcji (nieregularnie płacili, ale jest do wzięcia, namyśl się Józieczku). Wychodzi recenzent teatralny, mniej więcej wie już co napisze, więc lekko idzie na przedstawienie, wdziewa zarzutkę Wiktora, znajduje w kieszeni książkę z dedykacją, nie dziwi się, podrzucają mu. Antykwariat płaci mniej za egzemplarze uszkodzone przez dedykujących, autorowie winni dedykację załączać osobno: arogancja! W drugiej kieszeni nie znajduje szalika, to go skłania zwrócić zarzutkę (zresztą przyszedł bez zarzutki i bez szalika). Wiktor odbiera zarzutkę i wydobywa z niej egzemplarz dedykowany. Siada w kącie i przerzuca: słabe, ale literatura. Autor stara się być literatem, a ci tu nie: znudziło im się. Spróbuj bracie tak dwa razy na tydzień cerklować, najesz się literatów! Wiedzą to, więc jak najmniej tego dodają do swoich zjawisk. Nie obchodzi ich taki pan z prowincji, coby jak w eon chciał tu się wduchowić. Wiktor jak po mdłej lemoniadzie wrócił w dym papierosów i w świegot wypchanych okazów literatury. Maklerzy płynniutko. Jak kurs giełdowy, lały się syntezy, uchwyty, paralele, syrop słodkawy literatury przyjętej, oprocentowanej i kanonizowanej, przeciw której recenzent już nic nie może: chowa swoją poetykę do kieszeni, obkuwa nową, w razie potrzeby kilka, bo ma poczucie rzeczywistości literackiej, nie jednej, lecz wielu, rynek jest chłonny, literatura robi się na zbyt, tylu ludzi czyta, że powstaje kilka literatur, kilka estetyk, cała polityka literatury. Istnieje nawet literatura odkłamana literacko, wroga literaturze i twórczości. Sprzyjają temu kierunkowi, w którym jedynym literatem jest publicysta. To wzmaga samopoczucie, ale i konkurencję. Roztkliwia ich ta konkurencja, któreż arcydzieło osiąga nakład ich artykułów prasowych? Publicysta nie deklaruje się wobec literatury, jak i wobec polityki: jutro może być inaczej, i on też będzie jutro inaczej sądził, z powołaniem się na swoje poprzednie artykuły. Książka sprzedaje się, na razie nie jest faktem literackim,

lecz księgarskim. Robi się dla niej publicystykę księgarską. Przychodzi nowa książka i dla niej także się robi, choć według sumienia, jedno chwaląc, trzebaby drugie zrzucić ze schodów. Takie jednorazowe rozważania mają na sobie cechę dnia, jak jajko stemplowane: gwarancję świeżości, i mogą być spożywane w stanie surowym. Wszyscy młodziaki. Firmy przyjmują prosto z jajka. Stare, szanowne, prawie klasyczne wydawnictwa odświeżają się, młodnieją z wysiłkiem. Młodziak łapie nozdrzami powietrze literackie, aportuje nastroje. Kredyt literacki, jak każdy kredyt, jest na krótki termin, każda pierwsza książka idzie, literatura z samych pierwszych książek jest świeża, jak rezeda. Nie ma historii literatury, są nowości. Można przepchnąć nowość, ale nie masywną twórczość, publiczność także wierzy więcej tym, co się jeszcze nie położyli. Wydawca odzyskuje koszta z rozprzedaży kilkuset egzemplarzy, reszta na koszyki, ale recenzje zrobiły swoje. Nie nabiera się dwa razy publiczności na tego samego autora, zwykle zresztą autor zraził sobie wydawcę i recenzentów, biorąc poważnie swój występ literacki. Nie przyjmują go, idzie nowy autor: znaleziono go śpiącego w nieukończonej budowli, ledwie dał sobie wydrzeć rękopis. Pani Augustyńska opowiada o urzędniczku ministerstwa, który od trzydziestu lat pisze powieść teozoficzną, już kończy siedemdziesiąty piąty tom. Nikt nie śmie zapytać jej, czy czytała. Owszem, czytała ustępy, bardzo oryginalne, namawiała, czy by coś z tego nie ogłosił. Odmawia, tylko całość wydrukuje. Jest uczucie katastrofy, nie wiadomo, czy dlatego, że takie dzieło może przepaść, czy dlatego, że może być wydrukowane. Arcydzieło, czy wybryk natury? Mimowoli myśli się jednak o najpotworniejszej grafomanii. Afektują się mimo to, nie często słyszy się coś takiego. Młodziaki grzecznie wyrażają zdumienie, ale każdy wie, co taki schowany w kącie człowiek potrafi, który nic nie wie, co się dzieje na świecie, czym oni są. Taki zatabaczony okaz niewspółczesności imponuje im tak samo, jakby ktoś przespał życie, stojąc na jednej nodze. Najwięcej podziwiają panią Augustyńską, że czytała: nie cofa się przed niczym, ani przed ich galanterią, ani przed takim nosorożcem literatury. Jest bez uprzedzeń, a nie cyniczna. Jaka świeżość (mówiąc niedosłownie) w jej po-

staci! Jej sądy są o tyle trafne, o ile podsłuchane u nich. Bo pani Augustyńska podsłuchuje. Nawet kiedy rozmawia z nimi, nie słucha, lecz podsłuchuje: wyławia coś, co może się jej przydać (a im nie, mają tego nazbyt). Z tym urzędniczkiem, to fimfa: mówią to samym tylko tonem głosu.

Jest dwu profesorów, obaj siwi, jeden osiwiał w filozofii, drugi w medycynie zwierząt domowych. Filozof ma usta obwisłe, lekko otwarte (astma). Głowa okrągła, bezczelna, satyr o kapuścianej głowie. Powłóczynoga (odnoga astmy). Mówi powoli i bezczelnie, uśmiech spływa mu z ust, jak ślina. Przygarbia się, góral zjełczały w filozofii. Ciągle czegoś się uczy, coś czyta i o tym mówi. To, co czyta, jest wyjątkowe, kanonizuje to. Zajmują go rzeczy oryginalne (omawiane w miesięcznikach): rysunki dzieci, Bierdiajew, G. Stein. W jego jakby dziecinnej prześmiewności nie dostrzega się myszkującej ambicji kabotyna: łatwiej przychwytują go panie, kiedy próbuje je szczypać albo mówi im obrzydłe świństwa. Zachowuje się ordynarnie: przynajmniej w ten sposób chce być artystą. Lubi tańczyć (utykając) w kabarecie z narzeczonymi swoich młodych przyjaciół: tańczy powoli, właściwie obraca się, nie próbując tańczyć, ale za to próbując całować (otwarcie, jakby rozdawał odznaczenia). Nie gniewa się też, że tymczasem przy stole żonę jego trzyma wpół pijany (wpół ją trzyma, a pijany jest znacznie więcej) geniusz z Drohobycza. Ten obustronny flirt dziwi tylko młodych narzeczonych, którzy naradzają się półgłosem, czy wybić profesora filozofii po twarzy. Nie biją, profesor jest tęgi i uważany za coś, a narzeczone mówią, że to jest bez znaczenia, i jak się kręcić z takim włóczynogą bez innej atrakcji, jak odpędzanie jego całusów? Lekarz zwierząt domowych jest równie długi, szczupły, zarost, broda, czupryna; tyle włosów, że można by tą głową oczyścić wszystko, do czego się zmieści: raz okręcić, i załatwione. Twarz zatroskana, chłopczykowata. Mówi, jakby nie miał zębów (ale ma), kłapie wargami, które są jakby wymoczone w spirytusie (ale pija tylko mleko). Oczy udręczone, patrzące nieuważnie. Zgrabny, niby uprzejmy, a niecierpliwy. Czyta wszystko, od Homera po Uniłowskiego. O wszystkim mówi galanteryjnie i zupełnie bez instynktu, a z wielkim przekonaniem: popełniając rażące błędy, jak ten,

co się zacieka we wszystko naraz. Obaj się nie cierpią, ale często są skazani na swoje towarzystwo, bo reprezentują naukę, rzecz która płoszy ludzi. W tej chwili zgadzają się, bo mówią o pisarzu, który pisze językiem gangstera, alfonsa, kiwacza: nareszcie nie talent, lecz smród, dziwkarstwo (po princesse lointaine, która zbałamuciła ich młodość), latryna: uchwyt dna, podnoszenie literatury do góry za to, co ma od dołu. Kręcą się koło pani Augustyńskiej, emablują ją. Zna większych, umie być miła i dla nich, ale trochę apatycznie miła. Profesor, to kultura, ale nie taka własna. Kłopotliwe zjawisko. Co prawda każdy umie czytać, ale profesorowie robią z tego sałatkę, to oszczędza czasu, chociaż nigdy nie jest świeże.

Wiktor siedział przy wolnym stoliku, kiedy przysiadł się pan tęgi, siwy, o barbarzyńskiej twarzy, rozmawiający nie wiadomo dlaczego po francusku, w czym mu ciągle brakowało wyrazów, zastępował je polskimi, ale miał o to urazę do tego, z kim rozmawiał. Spojrzał na Wiktora groźnie, jakby za to, że siedział przy stoliku, do którego on się przysiadł. Starszy pan miał widocznie niegdyś możność przyjmowania petentów, bo zapytał Wiktora o zajęcie. Był może dlatego o to niespokojny, że sam jako emigrant żył nie wiedzieć z czego. Wiktor go uspokoił, że ma z czego żyć. Spodziewał się grubej napaści, i to też nastąpiło: coś w duchu Jasnej Polany, ze stanowczością prymitywnego starca. Nie powinno się mieć z czego żyć, upaść trzeba, a z upadku podnosić się pracą. Mówił to ze złością, jakby Wiktor odebrał mu chleb, a pachnął perfumą, starannie ubrany na czarno. Wiktor wyjął papieros, zapalił, zapałkę stłumił w kieliszku, który wytworny kozodój przyniósł z sobą. Nieznajomy roztropnie wstał natychmiast i odszedł, był emigrantem. Za chwilę perorował ostro opodal: równie łatwo stawał się z brutalnego rozsądny, jak i na odwrót. Wiktor widział, że było jeszcze kilku samotników, którzy czyhali na towarzystwo zrezygnowanych, jacyś, podobnie jak on, po raz pierwszy będący na takim zebraniu. Z przyjemnością był sam, a oni nie. To różnica, nie myślał jej zacierać. Ile razy ktoś się zbliżał z niemądrym uśmiechem, tyle razy Wiktor zapadał w taką drętwę, że nieznajomy

obchodził go jak martwą mysz polną i znikał. Wiktor napełniał się wstrętem, jak żmija ma swoje godziny, w które napełnia się jadem. Leżał z wielką prostotą w krzesełku, a dwie panie szepnęły koło niego: Boże, zawsze coś takiego się zdarza z takim panem samotnym, który nie chce rozmawiać.

Pani Augustyńska nie obawiała się krytyków tak, jak awangardzistów literackich. Ceniła sprawność zawodową ludzi w miarę trudnych, trochę już obojętnych na łudzące nowości, próbujących dłużej i inaczej piszących o słabej książce wybitnego pisarza, a inaczej o dobrej początkującego. Wolała też recenzentów życzliwych od utalentowanych. Rozmawiała z nimi o ciekawostkach, erudycyjnie. Znała wiele rzeczy niepozbieranych przydrożnie, lecz tam, gdzie kultywuje się znawstwo: śród umysłowości, które już zaspokoiły surowe głody i stały się oględnie podejrzliwe. Nikt przy niej nie znalazł się przypadkiem. Publicysta był wysłannikiem prasy, a prasa jest dla literatury tą młodszą siostrą, która zrobiła lepszą partię; eksploatuje się tę gratkę. Młodszej siostry to nie rujnuje, a starsza za to potrafi być obłudna.

Publicyści mieli niebawem pierzchnąć przed dyplomacją, która zwolna zjeżdżała w limuzynach. Wiktor nie miał nawet możności powitać pani domu. Widział z daleka i po raz pierwszy, długie, tłuste, białe ramiona, zakończone brzydkimi rękami, tłusto lśniący jedwab czarnych fałdów, głowę nieruchomo zawieszoną, kędzior nad uchem założony jak kwiatek, spojrzenie wyćwiczone według portretu, chwilami, kiedy ktoś młodszy nadchodził, młodzieńczo świeże. Zobaczył pokój, w którym niedawno przecież był, obity czerwonym adamaszkiem, meble z ciężkiego mahoniu, lampę o wielu słabych żarówkach, w oknach wykuszy filodendron i jakieś ogoniaste krzączysko. Ludzie na tle ścian jak postacie sarkofagu, sztucznie stłoczeni, jedni rysowali się płasko, jakby byli tylko profilami, inni wychylali się mocnym gestem w wolne powietrze, zaświetlone źrenicami zazdrośników spod przeciwnej ściany. Nagromadzenie tylu oczu uważnych, tylu ust znudzonych podniecało powietrze. Otwartym oknem w sąsiednim pokoju wpływał wiatr wil-

gotny, gęsto bity dym, z siwego błękitnawy, cofał się chmurą.

Wiktor rozmawia z panią Reną. Mocna jej głowa wystaje z białej gufrowanej kryzy. Niechętnie patrzy na suknie i twarze innych kobiet. Nie ma tu ani jednej osoby, która by ją zajmowała. Najchętniej leżałaby w swoim nowym łóżku i bawiła się psem, ale skoro nie może, rozmawia z panią Katabańską, która nosi uśmiech jak sztuczną szczękę źle zrobioną i sztucznie ożywionym głosem chwali samą siebie. Wiktor dostrzega drwiące spojrzenie pani Reny, skupione na mięsistych, jak u murzyna, wargach pani Adeli. Lubi ją teraz. Woli jej przejrzyste oszustwa i poczciwie kłamliwe prawdy, niż prawdziwą niestety ważność tamtych. I pani Adela jest ważna i miłosierna dla takich ludzi, jak pan Nierusz. Ale tutaj niestety jest tylko żoną swojego męża, nic to że nie pierwszą (bo któraż tu jest pierwszą), ale tak całkowicie żoną, tak chętną kogoś uznać i ośmielić, a tu nikt się nie zgłasza. Czuć tu po niej młodość marzycielską i niezbytkowną. Owszem, mówi śmiało (ale i tak naiwnie), za dużo o dzieciach, o Iwanku. A co o kim innym powie, także jest prowincjonalne. Jest zbyt szczera, zbyt chętna, w humorze zaczepna: a tu nikt nie chce być z kimś przeciw komuś, chyba że to nie będzie nudne, i ktoś powie coś, co się spodoba, ale on sam nie. To trzeba wiedzieć, żeby mówić dowcipnie: tak, jakby ktoś powiedział do tych samych ludzi o nim samym i tak samo ich ubawił. Pani Adela mówi tak, jakby sama była miła, to nic, ale jakby była bardzo światowa: to jej szkodzi. Stolica, myśli Wiktor, niedosyć ciąży, uzupełnia się i nie jest jeszcze sobą. Pani Adela uważa się za szlachetną. Niecierpliwi się, aby to pani Renie jak najprędzej wyjaśnić. Ale pani Rena nie słucha jej: patrzy okrągłymi oczami w swojego byłego męża i męskim głosem drwi z jego zakłopotania. Małżeństwo to, powstałe z wielkiej miłości, rozeszło się bez kłótni i bez przyczyny. Widoczne było tylko nowe małżeństwo pani Reny z milionerem. Nie udawała, że wyszła za niego z miłości, ale ukazywała się w coraz to piękniejszych futrach. I była zmęczona, bo młodziutką aktorką będąc wyszła za mąż za aktora, który umarł, czy gdzieś przepadł; potem był rzeźbiarz, potem znowu aktorowie, poeta laureatus i w końcu milioner. Ach, to jego wła-

śnie, wychodząc z ich mieszkania, Ludwika spotkała raz na schodach. Zgarbiony, smutny, z głębokimi zmarszczkami, uśmiechnął się, gdy ją zobaczył, zabłysły szkła i wąskie, cięte oczy chytre i zrozpaczone. Chodził lśniąco czysty, sławny z kilku procesów i wielu legend. Miał ogród otoczony wysokim murem, hodował rzadkie i piękne rośliny, z posiadłości dojeżdżał na dworzec osobną kolejką, żeby nie widzieć tłumu. Wstawał o szóstej rano, pracował do dziewiątej w swojej bibliotece. Miał chciwą pamięć kolekcjonera. Osiem godzin dziennie spędzał w zarządzie fabryki, często wracał późno do domu. Nie grał w karty, nie urządzał zabaw (ale koncerty salonowe), nie lubił ludzi. Coś jakby ascetyczny milioner albo milioner stoik. Wyśmiewał bogatych filantropów i tych, którzy twierdzili, że się wstydzą swojego majątku. Znosił mężnie swój milionerski stan, nie bał się rewolucji ani spojrzeń literatów lewicujących. Stał teraz obok dwu prezesów literackich i rozmawiał. Pani Rena spokojnie patrzyła w tego nieartystycznego męża. Nie obawiała się, czy mądrze mówi. Fabryki, którymi umiejętnie kierował, dodawały wagi jego naukowym i estetycznym zachciankom.

Czarnymi fałdami sukni, rozwijającej się na plecach w skrzydła gęste gufrowanego jedwabiu, gospodyni nagoramienna płynęła ku młodej żydówce, która siedziała na brzeżku czerwonej kanapy. Z drugiej strony nieśmiało podchodziła ogromnego wzrostu literatka-mistyczka, dr hr, ubóstwo, tołstoizm, opiekuńczy stosunek do mniejszości. Tak nagle młoda osoba została otoczona wielkimi i dostojnymi kobietami. Pani Rena powiedziała Wiktorowi, że to żona powolnie piszącego poety i powieściopisarza, który zamęcza rodzinę, znajomych i nieznajomych neurastenią i bronchitem. Po latach poetyckiego milczenia napisał tkliwą kołysankę dla córeczki, a przez lata zadręczał żonę żądaniami spokoju niezakłóconego, o ten to spokój robił kłótnie. Ubiegał się o nagrody, wyjękiwał je, wymęczał (jak spokój), a potem przemykał się, ale tak, że go wszyscy widzieli: lekki, łzawo uśmiechnięty. Jeździł do lekarzy, bo w Warszawie żartowali z niego, i kazał sobie prześwietlać serce, trzustkę. Bał się, że ma raka, wadę serca. Codzień inną chorobę miał. Zresztą

miły. — Egipska czaszka pod jasnymi włosami. Widziałam egipskie, a psich nie, więc tak panu mówię.

Pani Malwina błyszczała także nagim ramieniem, wszak odbywał się tu zlot rusałek centralnego basenu literackiego, tuczonych przez publiczność i już podciężałych. Z drugim ramieniem schowanym w przeźroczystej pelerynce przechodziła przekątniami przez salon takim ruchem, jakby nagle miała zatańczyć i zrzucić z siebie pelerynkę i resztę. Nie uczyniła tego, ale prosiła Wiktora, żeby ją odwiedził; powiedziała to głosem kapryśnym małej dziewczynki: kapryśność powstała w niej z ciężkiego schorzenia i lirycznej uległości męża.

Z jadalni dochodził radosny ryk. Tłok fraków i smoków koło stołu: indyki w majonezie, sałatki, przekąski, ciasta wchodziły przez usta pod białe, sztywne gorsy. Trochę odęci i łaskawi wracali do salonu.

Między kreacje najdroższych krawców wszedł zadąsany chłopyś w pumpach pepito, w surducie z popielatej flaneli i w wielkich sportowych trzewikach. Zjawił się z paczki Felusia, ubłagany przez panią Augustyńską. Kobiety nazywały go porządnym chłopcem. Pochwała znaczyła tyle co: socjalista, dziecko proletariackie. Mówiły prawdę, ale z takim szacunkiem, jakby ta prawda wiele znaczyła. Czerwona twarz, niezgrabne, niespokojne ręce. Patrzył wyzywająco. Pani Tupadlina, lubiąca odkrycia i zaszyta między literaturę, patrzyła na niego, już uśmiechnięta, jakby miał powiedzieć jakieś rzeźkie chamstwo. Wydawało się to nieuniknione. Ale tylko zjadał kanapki. Przyszedł, żeby jeść, i powiedział to. Jadł, żeby pokazać, że nic sobie nie robi z nikogo. Hrabina Tu. poszła do kuchni, w której zresztą nigdy nie była, zabrała półmisek ze stosem kanapek i bez słowa postawiła przed chłopakiem, uśmiechając się życzliwie, jak do dziecka, które ma apetyt. To go dotknęło, odwarknął i wstał czerwony, wypiął bary i odwrócił się tyłem: odczytywał napis na starym sztychu, półgłosem wymawiając francuskie słowa z polska. Miało to oznaczać, że on, Karol Milikowski, modny epik podstryszy, latryn i melin, nie dba o to, co o nim myślą. Obejrzał się szybko i śledził miny. Pani Tu. wskazała mu główką laseczki fotel obok siebie: — Niech się pan nie męczy! — Była taka litosna, że

poprawiała obrazy na wystawach, jeżeli wisiały krzywo, i przemawiała do koni dorożkarskich: — Nie kop nóżką, bo cię zaboli! — Każdy chciał coś robić takiego, żeby zwrócić na siebie uwagę. Odradzała dobrotliwie i chętnie, szukała nawet sposobności do tego. Ile razy odkryła napastliwego literata (choćby tylko jej się tak zdawało), tłumaczyła mu długo, że nikt się nie obraża: — Bo my wszyscy wiemy, jacy jesteśmy. — Naprawdę wiedziała o wiele więcej od niego o gałgaństwie, była z tego dumna, ale gniewała się, że wszyscy chcą się teraz rozbijać, nawet kmiotki, których natura stworzyła do poczciwości, i to już prawie nie wybredne. — Biedni ludzie są ambitni, i przez to jest źle. Złodziejstwo i bandytyzm, to jeszcze nienajgorsze zło obecne. — Mówiła tak, że literat zaczynał się dorozumiewać, skąd jest i literatura w stanie ubogim. Pani Tu. nie chciała wydawać się ze swoim zainteresowaniem dla literatury, żeby taki pan, co pisze, nie męczył się za bardzo. Hrabskiej literatury nie lubiła czytać, to takie liche i tylko dla nieobytych ludzi, a biedni ludzie piszą, bo chcą się męczyć. — Niech pan się nie męczy! — przestrzegała literata i straszyła go złym przykładem: — Widzi pan tych ludzi, co teraz rządzą? — Jakby na to się męczyli rządami, żeby ją zainteresować, a z tego nic, świat podpalą, a ona w jego popiele pogrzebie laseczką i nic nie znajdzie.

Milikowski rozparł się w fotelu, a pani Tu. odwróciła się do Wiktora: — Co pan pisze? — Pytała go, jak chłopczyka w ogródku dziecięcym: a coś ty babci zrobił? Każdy pisze, a nikt nie chce się przyznać. — Nic, pani szanowna! — Więc pocośmy się tu znaleźli? — odezwała się współczująco, ale naturalnie miał odpowiedzieć za siebie, nie za nią. — Pani wie! — rzekł Wiktor, kłaniając się jej siwym włosom. — Pod zwierciadłem widziałam złoty zegarek — zaczęła szeptać. — Nikt nie ma odwagi go wziąć. Ona to naumyślnie robi, żeby mnie skusić, ale ja się trzymam, choć nie wiem, czy długo jeszcze, a te osoby piszące nie chcą, żeby w towarzystwie ministrów i nas biednych tytulaków przydarzyło im się coś takiego. Jakie mają o nas poczciwe pojęcia. Ach, ta imaginacja literacka, żal się robi! Jabym właśnie wzięła! — rzekła z chichotliwym zadowoleniem. A pan nie? — Wstał i przyniósł jej spod lustra zegarek w za-

ciśniętej dłoni. — Pozwoliłem sobie być wspólnikiem pani. — Włożył go jej w palce. Pani Tupadlina chichotała, ale bała się, czy sobie nie za dużo pozwolił z nią człowiek, który może żyje z drobnej płacy. — Niech pan nie odchodzi! — zawołała. Milikowski odpowiedział: — Jak pani życzy! — Nieraz przydarzało mu się odpowiedzieć, kiedy nie do niego mówili. Pani Tu. pokazała mu zegarek i rzekła porozumiewawczo: — Nasza gospodyni zastawiła na nas pułapkę. — Znowu tak wspólnie mówiła. Niechby schował zegarek do kieszeni, doradziłaby mu: niech się pan tak nie męczy, przecież nikt o tym się nie dowie, a pan będzie niespokojny. Czyta pan Nietschego? Niech panowie z inteligencji nie zrywają z moralnością po czterystu latach spania w szalafmycy o dziewiątej wieczorem, aż jeden zaczyna się rozbijać, i to alegorycznie. Moi przodkowie łupili ten kraj już wtedy, kiedy kmiotki i Jadźwingowie bili się pod Grunwaldem. — Milikowski skrzywił się, wziął zegarek i odniósł do sypialni. Potem nie interesując się panią Tu., znowu rozparł się w fotelu, ziewnął, wzniośle obojętny, popatrzył przed siebie spode łba i jakby gdzieś dostrzegł słowo przeznaczenia, wysylabizował namiętnym szeptem: nu-dzę-się. Czekał przez chwilę i nagle wyrzucił połową ciała ku obfitej w biuście pani w średnim wieku. — Pisała pani list do mnie? Nie? Ależ na pewno! Niech pani nie będzie taka zakłamana! Ale ja nie lubię odpisywać. Palce mię bolą, jestem taki wrażliwy, że muszę je obwijać w chustkę, gdy piszę. — Pan łże — powiedziała, śmiejąc się, malarka. — To Hamsun tak pisze o sobie. — Nie czytałem Hamsuna, w ogóle nic nie czytam, nawet siebie. — Onegdaj był odczyt o Hamsunie — melancholijnym, wodnistym głosem powiedziała pani Tu. Milikowski tupnął nogą w stolik, odłupał fornir. Wstał i poszedł do kuchni, gdzie dwie ładne panie siedziały na białej lakierowanej ławeczce; uciekły tu, żeby powiedzieć sobie, że się kochają. Zakręcił się na pięcie i niby przypadkiem zderzył się tyłem z służącą myjącą naczynie; odpowiedziała z wiejska radosnym skowytem. Narzeczony jej, malarz pokojowy, miewał wyszukane maniery: mówił o komuniźmie, a naśladował Coopera. Milikowski opowiadał jej, jak kocha matkę praczkę, jaką szkołą literatury była dla niego nędza, sutereny, magiel kołowy i sprzedawanie gazet. Służąca wi-

dząc obie panie, udawała, że nie do niej mówi, i wyszła w ciągu jego słów do spiżarni, a Milikowski kończył tak, jakby i do nich mówił, dokuczając im za to, że nie krępowały się wobec służącej. Kobiety słuchały niechętnie. Jedna, przesuwając szmaragdowy pierścionek, powiedziała spokojnie głosem, jakimby karciła synka za przechwałki: — Cóż panu na to poradzę? Już to słyszałam. Niech pan to opowie tam tej czarnej fabrykantce jedwabiu. Dawniej lubiła dzieci biedaków. — Milikowski spokorniał, ciągle jeszcze zbyt łatwo pokorniał, i zrobił tak zatroskaną minę, że je rozbawił. — Ale ja naprawdę nudzę się — zaczął znowu, przeglądając się w lustrze.

Pani Tupadlina nie doczekała się jego powrotu do salonu, bo wyszedł tylnym wyjściem na miasto. — Jeżeli taki pan chodzi na wolności, to chyba jest pisarzem awangardowym. — O czym pisze? — pytała Wiktora. — Czy nie o bezrobotnych na wsi? — Nie. O złodziejach. — No, to po cóż udawał? A ja nie pomyliłam się! — chociaż ciągle się myliła. — Pisze autobiografię? — Stylizowaną, uszlachetnioną. — To niepotrzebne. Na co złodzieje są tacy ideowi? Ale dobrze, że coś się znają, w dawnej literaturze strasznie zabawnie wychodzili apasze. A teraz ukradnie, a nie wie, co z tym zrobić. Ludzie bez pomysłu! — Czy pani przepada jedynie za tymi, co nie tylko kradną, lecz piszą? — powiedziała ze śmiechem pani Rena. Hrabina ożywiła się. Tępota zgłuchła w jej słowach, mówiła teraz metalicznym, a jabłecznym w zapachu głosem. — Kradzież jest interesująca, ale złodzieje nie. Zbójca-mściciel, to pomysł ludzi (Jouhandeau, zna pani?), którzy nie wierzą w gałgaństwo. A ja przypadkiem wiem, bo mój mąż ukradł mi cały majątek, a noweluli nie można by o nim ułożyć, przynajmniej tak myślę. — Wojewoda? — To nic, mógłby być ambasadorem brytyjskim w Waszyngtonie. Czy pani nie zastanawia, że nie powstaje literatura o największych dostojnikach? Więc dlaczegóżby miała powstawać o złodziejach? Jakie marne jest wszystko, co się czyta o zawodowych nierządnicach. Przecież one są takie niemądre, jak ambasadorzy, — Zawahała się i wyszła.

Brakowało tu jednej tylko postaci, i największej: tej, która od narodu odbierała honory koronne za li-

teraturę męża, równą orężowi wielkiego marszałka. Nie bywała nigdy śród literatury. Wielki zmarły stworzył Polskę, ale jej literatura zachowała się ironicznie wobec stylistycznej strony tego dzieła. Jak postarzałe literacko było to, co wielcy pisarze tworzyli dwadzieścia lat temu. Odrzucano te lata w ubiegłe stulecie, a zaczynano nowe, nie od wojny ani nie od Polski, lecz od siebie. Wdowa po wielkim pisarzu żyła jak zabytek poniekąd ludowy, mający cenę uczucia, a nie sztuki. Wiktor nie spotkał jej tu i przez to myślał o niej jednej: z tym samym prawem, z jakim tu bojkotowano literaturę fundamentalną. Pani domu opuściła nabalsamowanych, kapitulowała w imieniu wielkich, przyjęto ją, nie chciała być kajdaniarką. Otworzyła portyki świątyni kramarzom. Nie obawiali się duchów tego miejsca. Któż ich przepędzi? Kilku emerytów wielkiej literatury? Pani Augustyńska pojęła czasy tak, jak arystokratka carska, poślubiająca komisarza ludowego. Tu zwycięstw dokonało się bezkrwawo, sen wielkiej literatury spełnił się, ale to właśnie załatwiło wielką literaturę. Literaci winni śnić rzeczy nie do ziszczenia. Marząc razem z politykami, im oddają chwałę, a siebie przekazują do magazynów. Literatura ziszczona jest jak plaster z wyjedzonego miodu: nikt się go nie tyka. Opuszcza się ją jak łódź po szczęśliwej przeprawie. Pani Augustyńska nie była na tamtym brzegu razem z wielkimi, zaskoczyli ją młodzi: nie chroniła się od nich, nigdy tego nie czynią nimfy. Wiktor teraz jej nie cierpiał. Kobieta z przeszłością, ocaliła się od niej: jest współczesna. Rozglądał się po współczesności. Montaż. Żadna siła tego nie wydała. Ułożyli to, układają, mówią ciągle o tym, jak układać (wszystko jedno, co). Wysyłają reportera po temat: idźno na przedmieście. Albo robią kukłę powieści: konstrukcję. Pani Augustyńska modelowała z wycinków z gazet, z artykułów, starannie (staroświecko). Nieporozumienie, konstruktorzy śmiali się w kułak: sponiewierała w sobie wielką literaturę: przezwyciężyła się, mówiono, to już coś, a nie dotarła do nich: ale była w drodze, obrała ten kierunek (leci na nas, mówili). Nie było jej, siliła się, żeby jej nie było, z wysiłkiem myliła spojrzenie na nią. A tamta przechowywała w swojej postaci to, co było nieodzyskalne z niego: istnienie człowieka. Pi-

sarz demokracji duchowej, dla niej był pisarzem miłości. Idea jego dzieł stworzyła współczesne państwo polskie i tłumaczyła wszystko, co się w nim działo niespokojnie i żywotnie, jednak literacko wielki był przez nawiedzenie miłością dojmującą, jak ułomność, ponuro przyrodzoną jego naturze, jak myśl o śmierci. Trąd miłości zjadał muszkuły, charaktery, idee i uniesienia jego ludzi, każdy ich czyn był nim podżarty. Byli nieprawdziwi, upozorowani niekiedy na przywódców, a wewnątrz rojeńcy. To, o czym nie mówiono na obchodach, więziło dusze. Pani Józefa, bohaterska kochanka wielkich książek, żona triumfalna i kobieta stworzona na podobieństwo zjaw miłosnych, żyła i była jednym na stulecia romansem.

Wiktor poznał ją u pewnej malutkiej paniusi, autorki popularnych szmir teatralnych. Wdowa po wielkim pisarzu była jej przyjaciółeczką. Autorka szmir rozpowiadała niektóre zwierzenia pani Józefy, słupiało się, słysząc objawienia, od których rozjaśniały się najtajniejsze ustępy książek pisarza, opowiadane z werwą wodewilową, kobietkowato, i wiele rzeczy takich, które służba opowiada. Pani Józefa dawała się oplątywać kobietkom tak samo, jak dała się oplątać jedynej miłości. Żyła trochę jeszcze kokieteryjnie i nieśmiało powtarzała minki i uroki, lecz to pośmiertne wydanie epokowej miłości onieśmielało pospolitych amantów. Miała dużo rozumu i godziła się na małe życie, bo dostąpiła wielkiego. Znała wielu ludzi i była dobrze świadoma niezawinionej niczym jedyności męża.

Nie szukała też wielkich stosunków. Ludzie zamożniejsi nie przebaczyli jej mężowi Polski dzisiejszej, a ona także była lojalna wobec swojej wielkości, więcej niż demokratycznej: bo anarchicznej. Została niepretensjonalna, niesecesyjna, trwożnie prawdziwa i kobieca: taka, jaką ją stworzył wielki zmarły. Nie mogło jej zawieść to, w czym on sobie upodobał. Jego miłość, której pamięć nosiła w sobie cieleśnie, była autentyczniejsza od tego, co prasa pisała o jej mężu i co głosiły deklaracje obozów.

Wyjeżdżała co kilka lat za granicę z wycieczkami Orbisu, po powrocie przyrzekała nogi sobie uciąć, żeby jej więcej nie skusiło, i znowu wyjeżdżała. Wyjazdy te były, jak odwiedziny przyjaciółeczki: zwykłością życia, która

pierzchała tylko przed najrzadszymi ludźmi. Znała jedną wielkość i nie miała pretensji do ludzi, że z pomocą Bożą ratowali się od tego. Wiele bywała po kawiarniach. Panie w niebieskich, w srebrnych lisach rozmawiały o Prouście, Huxley'u, Joyce'ie, Laurence'ie i Mannie. Pani Józefa nie rozumiała tych autorów, a o poezji powtarzała wierszyk męża, jedyny, jaki twórca prozy niepodległościowej stworzył: pisać trudno, czytać nudno. Do lisów wzdychała wstydliwie. Piękne panie były o wiele więcej od niej wyrafinowane. W woni wanilii, migdałów i czekolady chrupały emaliowanymi ząbkami myśli samotników szczerych i nieprzekupnych; wypluwając, jak pestkę to, co niepotrzebne. Wyglądały ordynarnie wytworne, bydlęco naiwne w swojej trzepotliwości. Gdyby zrzuciły lisy srebrne i niebieskie, kapelusiki, wymasowane uśmiechy, umarłe słówka, gdyby nagle przestały istnieć, jeszcze zostałaby po nich skaza w powietrzu, jeszcze leżałby sfermentowany czas, kiedyś przez nie tu przeżyty. Czasem która poczuła się niebezpiecznie, oglądała się z wahaniem. Srebrny lis jest tylko skórą zabitego zwierzęcia, położoną na ramionach, a one same kobietami w swoich własnych skórach.

Co wieczór pani Józefa zasiada z powieścią w fotelu i uśmiecha się do tulipanów. Lubi jasno czerwone tulipany i przez pół roku je kupuje, a potem kwiaty polne. Czyta kilka zdań i znowu łagodnie pochyla się ku kwiatom, przytula do nich policzek; tak się odmładza niekosztownie. Rozchyla tulipany, wydobywa z ukrycia pąk. Czarne cienkie włosy staromodnie podnoszą się falą nad skroniami i skręcają się nad karkiem w węzeł. Tak ją malowano, tak wielki zmarły opisywał swoją wizyjną księżniczkę. Zwidywały mu się one, darząc go dumną i zawodzącą je miłością. O ćwierć wieku młodsza od męża steranego nieszczęściem pierwszego małżeństwa, ubóstwem i chorobą, była dla niego takim modelem księżniczek, jak wypchany koń w pracowni Matejki był koniem wszystkich jego królewskich płócien. Z niej kładł podobieństwa w najdumniejsze kobiety, z których czynił klejnoty do wyjęcia z oprawy korony polskiej i do rozpuszczenia w swojej drobnomieszczańskiej miłości. Co ludzie pospolici chcieli ziścić spółdzielniami i oświatą, to wielki pisarz demokracji spełniał w mezaliansach i skrytych

romansach kobiet wielkiego rodu i nazwiska. Dumę cór hetmanów i kanclerzy szczepił w krew Polski ludowej, ażeby zapragnęła wielkiego dziedzictwa. Zmora Polski wielkopańskiej stała mu nad głową i dawała marzeniom szlachetnym i ideowym sny lubieżne i gimnazjalne wizje łatwych oddań, Hołdu Pruskiego najdumniejszych ciał Polski. Niesprawiedliwość społeczną wyrównywał w uściskach tajemnych i za wieki blasków zmuszał hetmańskie córy do pokory i do świadczenia pańszczyzny ponurym ibseniakom z inteligencji surdutowej. Wywłaszczał je nie z majątków, lecz z łożnic rodowych. Nie chciał, żeby czuły demokratycznie, lecz żeby wybierając jego, czyniły królewskie wybory i uprowadzały go w tę Polskę, która mu się należała: w Polskę romansowości dworskiej i magnackiej. Taką magnacką miłość sam sobie przyrządzał, jak adwokat pije kawę na magnackiej mieszance, inżynier kropi wódki zamkowe, łyczek żłopie miody kasztelańskie, a każdy posiada Polskę, z którą, mówi to spokojnie, trzeba skończyć. Pani Józefa nie była księżniczką, lecz panienką z miasteczka. Uległa uporczywej i posępnej miłości starzejącego się pisarza, ale w głębi serca czuła się lekko obrażona, że potrzebował tej maskarady (której taniość ideową dobrze czuła), ażeby ją kochać tak boleśnie. Będąc z mężem w Paryżu oglądała serię kartek, wmuszoną w ręce pisarza na Placu Zgody przez ulicznego sprzedawcę: widziała na nich bujne służące o twarzach płaskich, gnioty mocnego mięsa w przepaskach i pozach królewien mitologicznych, Led, Danaj, Andromed i Ariadn, rzuconych na pluszowe kanapy w słodką uległość Aresom, Dzeusom i Tezeuszom z hal, portierek, ujeżdżalni i cyrków. Lękała się, czy mąż jej nie zarywa w podobną literaturę, ale ten lęk, tak straszny dla niej, stał się płonny. Nowa Polska powołała jej męża na swojego wieszcza i króla literatury niepodległościowej; a ona żyła jako jedyna w Polsce królowa-wdowa, wyższa duchem nad Bozanty, Pojaty i Zerwikapturzanki, piszące na maszynach po ministerstwach.

Fotografie z tych czasów pokazują wiotką, jak wierzbowe witki, dziewczynę o dużych czarnych oczach, ogarniętą jakimś spokojnym rozradowaniem. Była podobno zawsze pewna, że będzie szczęśliwa. Ale kiedy sławny już

w całym kraju pisarz wystawał w śniegu i nocy pod jej oknami, kiedy potem mówił do niej słowa po raz pierwszy rodzące się w tym języku, a miłość znajdowała zaklęcia czarujące ją w dożywotnią niewolę szczęścia i sławy, narodziła się w niej inna pewność: jedyności tego szczęścia. Była jego kochanką, żoną honorową, szczęśliwą matką ich dziecka, ale to nie wypełniało sensu tej jedyności. Bo od pierwszego widzenia, aż po ostatnie jego słowa przedśmiertne, ogarniał ją mocnymi oczami i chłonął każde z jej słów i to, co towarzyszyło tym słowom; swawolność uśmiechu, niedopowiedzenia kryjące się w głosie, w figlarności ust i dużych, ciągle jeszcze dziecinnych policzków. Jego uwaga dawała jej natchnienie. Zachęcał ją swoim zachwytem, podniecał rozpromienionym, nabożnym zasłuchaniem. Była ważna. Ona, figlarna Józefa, którą w szkole łajali nieważni nauczyciele, przemieniła się w domu sławnego pisarza w bóstwo dające mu szczęście i natchnienie. Z małego miasteczka, z małego domku o białych muślinowych firankach i zielonych klombach przed oknami wyjechała do stolic świata. Chciał jej pokazać świat, jakby to było jego dzieło, i w zachwyceniu młodych oczu odzyskać utracone widzenie młodości. A potem choroba i pogrzeb państwowy. Ulice, instytucje jego imienia. Pośmiertne wydanie, więcej pieniędzy, niż wielki pisarz oglądał za życia. W pokoju męża stawiała kwiaty, jak w kaplicy. W czarnych sukniach siadywała przed oknem, gdzie zawsze siadywali. Patrzyła na córkę, która po śmierci ojca upodobniała się do niego. Dom-kaplica przyjmował gości, i często śmiech rozsadzał ciszę niszczycielskiego wspomnienia. To pani Józefa się śmiała. Oczy miała smutne, jak podobno i dawniej, kiedy została żoną starego człowieka. Ale śmiała się. Młoda jeszcze była. W czarnej sukni wyglądała smukło, dziewczęco. Wielkie portrety, widma szczęśliwej epoki, odbijały jakąś inną kobietę, podobną do pani Józefy. Zastanawiano się nad jej młodością i żałobą. Przepowiadano. Ale pani Józefa spokojnie chowała córkę, dziwną i chorobliwie ambitną, jak matka nigdy nie była. Taiła w sobie zawstydzenie, kiedy córka nie chciała wyjść do gości, i była dla niej uprzejma, jak młodziutka gospodyni, lecz bez tej powagi. Ustawiała na stole szklany przyrząd do robienia kawy, zapalała knocik

i pokazywała, jak wrze i bulgocze w bańkach; a takie to tanie, chcą państwo wiedzieć, gdzie kupione? Widać było, że się trochę przymusza, żeby nie być jeszcze prostszą i serdeczniejszą. A także tylko przez nieśmiałość nie była dumna i rada mówiła o mężu, zgadując, że odwiedzali ją, żeby unieść jakieś wspomnienie jeszcze nieznane, gościniec za przyniesione kwiaty; ale mówiła tylko o jego drobnych humorach i zabawnych, czasem małostkowych i gruźlicznie zjadliwych powiedzeniach. Nie spostrzegała się, że opowiadając o takim na codzień człowieku, pomniejsza nieostrożnie jego wymiary brane z pism przez innych; powtarzane te wspomnienia nie z tym natchnieniem dobroci, z jakim ona w nie wtajemniczała, nic wielkiego nie umiejąc wyjąć z siebie. Wyglądało to tak, jakby pisarz żył z nią jakąś lichszą częścią siebie, albo że niedobrze robił, nie szanując swojej wielkości choćby wobec wielkiej kochanki. A może nawet miłość nie wystarcza, żeby dostrzec wielkość?

Drobniutko także o córce: jaka delikatna, ile to ojciec trząsł się nad nią i szalał z powodu jej katarków, a do przyjaciół dzwonił, jeżeli Jadwisia miała stołeczek. Taka też bezbronna była wobec uporów córki, opowiadała o nich bez nagany, obżałowując się, jak najlepsze matki: ile trzeba, żeby Jadwisia była zadowolona, i że musi jechać tu a tam, a kłopot z pieniędzmi. Jadwisia zaśmiewała się z koleżanką w drugim pokoju, nie dbając o to, że matka tłumaczyła ją katarkiem. Biegała z chłopakami, tak kapryśnymi, jak ona; ławą pod ramiona prowadzili się po północy z dancingów. Nie znali nawet książek jej ojca, ale ona odczytywała je religijnie z rękopisów, które zabrała matce. Przez cześć dla ojca wzbija się błażenkowato nad wszystko. Już piętnaście lat mając, była tak trudna i przepięta, taka wyzbierana z książek ojca, że znajomi cieszyli się, kiedy wybrała malarstwo, rzecz, jak się o tylu panienkach wiedziało, niewinną; bo będąc piękną i piersiową, mogła zniszczeć w nieprzytomnej ekstazie nad swoim istnieniem. Śniąc o Paryżu, jak ludzie książek jej ojca, pitoliła z podejrzaną dojrzałością obrazki: matka rozmieszczała je na sztalugach po mieszkaniu, nie śmiejąc dostrzec, że to także tylko chorobliwy, spadkiem wielkiego nazwiska zmylony snobizm. Urodziła

się z jednym ze stu (może mniej) nazwisk znaczących w Polsce, mówiono o niej dla tego nazwiska, jak mówi się o arystokratkach. W historyczny dorobek ojca wniosła przyczynek pindy.

Pani Józefa gospodarowała i pilnowała spraw z rosnącą praktycznością. Urok lubieżny osiadł, jak rosa na kwiecie. Starzejąca się kobieta wciąż jeszcze przynęcała tych, którzy ją znali z opisów. Słowa miłości do niej powiedziane, dla niej stworzone, podawała młodym ludziom, zdolnym do uczuć, ale nie umiejącym ich tak wyrazić do kobiet, które kochali. I dlatego ciągle jeszcze była ważna i żywa, ilekroć ktoś przyzywał ku sobie miłość.

Co wieczór dzwonił kanonik i grał do telefonu żałosną serenadę na harfie: dla niej. Lubiła to, jak tulipany. Córka przechodziła obok matki z zaciętą, obrażoną twarzą. To ona czuła się jedyną spadkobierczynią wielkości ojca. Ale czasami przypadała do matki i całowała ją namiętnie ogromnymi wargami. Pani Józefa przymykała oczy i przyciskała córkę do piersi. Ale choć ją kochała drapieżnie i wszystko poświęcała dla szorstkiej jedynaczki, nie o niej myślała.

1938

TADEUSZ KUDLIŃSKI

PRZYJAŹŃ JEST TRUDNA

Był sławnym poetą starszego pokolenia i dzieliła nas duża różnica wieku. Kiedyśmy się poznali, byłem początkującym pisarzem, który posiada na tyle ambicji i drażliwości, by ubezpieczać się właśnie skromnością, która dobrze chroni od urazów. Dzieliła nas ponadto oczywiście różnica talentu i dorobku, pokrywana przezeń lekceważeniem własnej twórczości a życzliwym zainteresowaniem moją, co wyrażał utartymi hasłami, jak: przed młodymi świat stoi otworem, do nich należy przyszłość.

Wreszcie — różnica stanu. Otóż to. Pochodzę ze średniej rodziny urzędniczej, wiodącej się z małorolnych chłopów, gdy on był hrabią, autentycznym hrabią — choć z poglądami wybitnie demokratycznymi. Mimo to pewien osad arystokratyzmu, napozór niedostrzegalny osiadał jakby na wargach, podobnie do posmaku niewidzialnej soli nawianej przeźroczystym wiatrem morskim.

Nie powiem, by mię onieśmielał salon Louis XVI mego przyjaciela, zasłany miękkim kobiercem, w pośrodku którego tkwił hieratycznie okrągły stół marmurowy. Salon pysznił się dyskretnie sciemniałymi płótnami obrazów, z których wychylały się widmowo blade plamy dumnych acz umarłych dawno twarzy, jakiś liryczny szczegół pejzażu, czy batalistycznego dramatu. Światło, przepływające przez szerokie okno weneckie, lśniło w mahoniowym zwierciadle fortepianu, przewiązanego po szlachecku srebrno-pastelową wstęgą słuckiego pasa. Nad drzwiami zastygły w znudzeniu polichromowane główki pyzatych aniołków, które złotymi skrzydełkami obsiadły gzymsy, spływające ciężkimi

fałdami portier ku wywoskowanej lśniąco posadzce. O tej posadzce będzie jeszcze mowa.

Nie onieśmielała mię więc atmosfera tego salonu, granicząca z patriarchalizmem jakiegoś muzeum, być może dlatego, że idealna czystość i schludność, brak najmniejszego pyłku czy plamki przywodziły mimo woli — może niesłusznie, a zapewne raczej przez przekorę — wrażenie filisterstwa.

Zresztą przyjaciel mój był artystą prawdziwym i pełnym, miał usposobienie szlachetne, żywe, gorące i serdeczne. Wspaniale mówił i rozprawiał, napełniając ten stary i dostojny salon niepokojem gwałtownych gestów i min rasowego oratora, urągających filisterskiej sztywności otoczenia.

Chętnie pozwalał się w tym ferworze krasomówczym częstować papierosami, ukradkiem, gdyż nie wolno mu było palić. Chory był na gruźlicę. Równie chętnie pozwalał wyświadczać sobie różne drobne usługi przyjacielskie, gdyż był znanym roztrzepańcem i zapominalskim, na którego nie działał żaden system zapobiegawczy, skąd — gdy wychodził do miasta — nie miał przy sobie ani zegarka ani pieniędzy, ani żadnej wartościowej rzeczy. Wszystko to wytwarzało nastrój wystarczająco poufały, którego bezceremonialność pochlebiała mnie młodemu.

Pamiętał czasy cyganerii, przybyszewszczyzny, wśród której wyrósł i lubił odgrzewać ten artystowski sposób bycia i życia, wyrastającego zuchwale ponad ustałe pokłady filisterstwa. Ponadto nie znosił najlżejszego napomknienia o swym hrabiostwie, którego jakgdyby się wstydził. Może dlatego, że hrabiowskie tytuły nie miały w Polsce uznania jako nie nasze własne.

Do harmonii obcowania przyczyniał się walnie miły jamniczek (mam słabość do jamników), którego bezceremonialna żywość i przyjacielskość wobec gości tłumiła demokratycznie filisterski arystokratyzm salonu.

Nie miałem w stosunku do przyjaciela szczególnej pokory czy uniżoności. Mimo wyjaśnionych już różnic, nie poddawałem się bynajmniej, gdy byłem odmiennego zdania, często nawet broniłem się zażarcie, czego on zresztą

nie oceniał źle, choć czasami wydawało mi się przecież, że myśli w danej chwili ze zniecierpliwieniem:

— A cóż u diabła! Czyż on nie czuje mej przewagi?

Podejrzenia takie miałem wówczas, gdy czułem się szczególnie pewny w rozmowie. Niemniej były to tylko podejrzenia, a nie fakty. Faktem było, że obcowaliśmy na równych prawach.

Przyszedł czas, gdy bez przesady (a może z przesadą?) oceniłem zażyłość między nami jako tak już ścisłą, że wymagała jakiegoś utrwalenia, wyrażenia czy upostaciowania znakiem zewnętrznym. Wydawało mi się, że powinniśmy wyrazić to zbliżenie swobodniejszym odnoszeniem się wzajemnym, ot po prostu, że moglibyśmy bez trudu mówić do siebie przez „ty". Jednak, oczywiście, z wyjawieniem tego spostrzeżenia bynajmniej się nie kwapiłem — choćby dlatego, że podobna zachęta musiałaby wyjść od niego jako starszego — po wtóre, miałem już wówczas wszczepione podskórne wyczucie, że nie zawsze to, co czujemy, myślimy, czego pragniemy — pokrywa się (mimo wszelkich pozorów) ze stanowiskiem drugich. To zmusza do ostrożności.

Gdyśmy wspólnie odbyli podróż artystyczną, w czasie której wygłaszaliśmy nasze utwory na różnych wieczorach i zebraniach, doszło między nami do zbliżenia już zupełnie serdecznego i przyjacielskiego.

Siedzieliśmy w wagonie restauracyjnym przy pierwszym śniadaniu, po jakiejś nieprzespanej nocy — nie powiem hulance, ale przyznam, że bawiliśmy się wesoło. Wspomnienia tego przyjacielskiego wieczoru, beztroski nastrój podróży i udanych występów przypomniały przyjacielowi memu najwidoczniej czasy młodości, o których cicha wieść niosła, że były nader szumne i nieokiełznane (porównaj wyżej o Przybyszewskim) — choć dziś nie było z tego ani śladu. Przyjaciel był praktykującym katolikiem, ze skłonnościami do ascetyzmu. Postać jego niewątpliwie rasowa, wysoka, szczupła i nerwowa — o wąskich stopach i dłoniach, charakteryzowała się czaszką gładko wygoloną, o twarzy wyrazistej i uczuciowej, w której żarliwa surowość — jakby mnisza — kojarzyła się dziwnie z zimnym ogniem namiętności.

Tak więc wyrwanie się poza codzienną atmosferę domową, która wiele niosła ograniczeń choćby ze względu na chorobę, dodawało mu teraz skrzydeł. Dość na tym, że spojrzawszy na mnie spod oka nieco szelmowsko, rzekł swoim matowym głosem gruźlika:

— Napijemy się koniaku?

Nie miałem nic przeciw wypiciu koniaku przy śniadaniu. Pomysł ten wydał mi się w miarę śmiały, kawalerski a niepozbawiony smaku, świadczącego o wytrawności doświadczenia. Gdyśmy ten koniak (powiedziawszy szczerze: kilka koniaków) — wypili, rzekł mój przyjaciel (nie powiem już, że matowym głosem, choć taki był istotnie: głuchy a natężony nieco, by nie dać się zgłuszyć wybijanemu ostro rytmowi pędzącego pociągu) — powiedział to, na co czekałem w alkoholowym oszołomieniu dającym czasem dar jasnowidzenia:

— Właściwie, dlaczego nie mówimy do siebie przez „ty"? Głupia historia, coś mię krępuje.

Milczałem, schowany w błogiej chmurze uśmiechniętej godności, czekając z leniwym zaciekawieniem, jak się ta sprawa rozwinie i zakończy. Radość i próżność pulsowały we mnie na zmianę jak prąd elektryczny. Studiowałem psychologicznie tę chwilę zawieszenia ze smakiem, jak widok dojrzałej jesienią jabłoni, z której za chwilę oberwać się ma bezgłośnie soczyste jabłko i stuknąć głucho o ziemię z milczącą koniecznością dosytu, bez wewnętrznego wysiłku i bez zewnętrznej przyczyny.

— Jednak — za duża różnica wieku — dokończył on niespodzianie i ku memu — wyznam — niemiłemu zaskoczeniu. Uśmiech, którym spotkałem pierwsze słowa, zwiądł nagle. Za szybą wagonu przelatywały falująco zdyszane krajobrazy. Patrzyłem tępo w zgięcie białej serwety leżącej obojętnie na stoliku, który nas rozdzielał.

— Nie będziemy swobodni. Nie trzeba, jednak nie. Prawda?

Nie mogłem zaprzeczyć, choć w młodzieńczej lekkomyślności, bagatelizującej przyszłość — nie przewidywałem trudności, jak on. Oczywiście, że on miał słuszność, ale wówczas byłem innego zdania. Czułem się urażony i zważony, ale z całą poprawnością odpowiedziałem grzecz-

nie: — Ma pan słuszność, tak — i jeszcze coś podobnego, choć byłbym go chętnie przekonywał i namawiał.

Ostatecznie miałem mu za złe nie to, że nie przeszliśmy na „ty“ — ale że wyruszył z tym projektem, z którego się potem nieprzyjemnie wycofał. I to było gorsze, niż gdyby się w ogóle z tym pomysłem nie wyrwał. Wydało mi się, że mię nieco spostponował. Nie przyszło mi na myśl, że on traktuje rzecz poważnie, do tyla, że nie chciałby jej narażać na niepowodzenie.

Reszta podróży zbiegła tak, jakbyśmy o sprawie tej zapomnieli. Gdy pociąg zajechał na stację w naszym mieście rodzinnym, poczułem niemiłą nudę powrotu, który był zakończeniem ciągu wrażeń odmiennych a już teraz minionych. Byłem też znużony i niewyspany. Przeszliśmy zakopconym tunelem, nad którym obco i nie dla mnie dudniły głucho pociągi w dalekie podróże. Zbliżaliśmy się do wyjścia. Trzeba się było rozstać. Przyjaciel mój, przekładając parasol z ręki do ręki, upuszczając trzymany pod pachą pled na przemiany z czapką sportową i czyniąc zwyczajne zamieszanie wokół siebie, wykrzyknął wreszcie na pożegnanie:

— Wiesz co? Wydaje mi się, że jednak możemy, no! — pocałowaliśmy się z dubeltówki z zadowoleniem — zdaje mi się — obustronnym. Byłem zmieszany, trochę zły ale przede wszystkim bardzo rad, może i dlatego, że poszło to z trudnościami, więc zyskiwało na powadze. Pomniejszałem ją, określając skrupuły przyjaciela jako ceremonialne fumy starszego pana. Nie wpadło mi na myśl, że zapewne on wyczuł przykrość, jaką mi sprawił, i starał się ją co rychlej naprawić. Trudno. Prawem młodości jest egoizm i bezwzględność. Przyjaciel wydał mi się trochę śmieszny. Przynajmniej nie czułem doń urazy.

Byliśmy więc odtąd na „ty“.

O ile on używał tego zwrotu oczywiście najswobodniej i chętnie, o tyle ja — ku własnemu zdziwieniu — przeciwnie, nie mogłem się w żaden sposób oswoić i poprostu kluczyłem, obchodziłem zwroty gramatyczne, byleby nie użyć przemowy wprost. Gniewało mię to, przypuszczam głównie dlatego, że czułem własną pomyłkę raczej, niż bym się

miał w istocie czuć niedorosłym z racji mego wieku czy — stanu. Ostatecznie na jedno to wychodzi. Faktem jest, że istniał we mnie teraz jakiś uraz niższości, zupełnie niespodziewany i nowy.

W końcu wyszły i te posadzki.

Była szaruga jesienna. On mieszkał na przedmieściu w osobno położonej willi. Było błoto, gdy szedłem go odwiedzić. W przedpokoju jamniczek obszczekiwał mię gościnnie, obwąchując z ciekawością dostępne mu wyżyny mych spodni, i merdał — z widocznym wzruszeniem — wężowo giętkim ogonem.

— Pan hrabia prosi — rzekła do mnie nad wyraz zimno pokojówka. Te osoby, o ile służą w domach arystokratycznych, mają dąsy znacznie głupsze niż ich oświeceni państwo. Zanim wszedłem do salonu, wybiegł naprzeciw mnie gospodarz w kurtce domowej i w ciepłych pantoflach, suwając się gładko po lśniącej posadzce. Wołał z daleka:

— Serwus! Strasznie się cieszę. — I zaraz dodał nieco obcesowo, zezując ku moim nogom: — Tylko błagam cię, wytrzyj dobrze buty, bo posadzka świeżo pastowana.

Siąkając nos z wilgoci jesiennej, odparłem mimo to życzliwie i — niespodziewanie łatwo przez „ty":

— Ależ mój kochany, niczego się nie obawiaj. Zawsze wycieram dokładnie i tym razem wytarłem. Nauczyła mię szanować świeżo pastowane podłogi — moja matka.

— Tak? — odparł on ze zwyczajnym ferworem — bo mnie — s ł u ż ą c a.

Do dziś nie wiem, czy była to złośliwość, czy prosta i pospolita prawda, jednak pamiętam, że wówczas poczułem to, jako dotknięcie, które nie pozwoliło mi swobodnie rozmawiać. Mało tego. Drobne to wydarzenie wprawiło mię w stan przeczulonej podejrzliwości. Odtąd często wydawało mi się, zapewne niesłusznie, że przyjaciel mój pozwala sobie na podobne złośliwostki.

Śmierć jego niespodziewana i nagła przerwała wszystko. Oczywiście poczułem żal za przerwaną i niedokończoną przyjaźnią, w której nierozpoznana i niewyjaśniona pozostała ta sprawa dyskretna a drażliwa, jakże teraz mizerna, mój Boże, i nic nie znacząca. Nic. Czułem się winien nie-

szczerości i niewyczerpania uczuć możliwych. Wiedziałem, że straciłem, że mogłem żegnać tę przyjaźń z pogodną żałobą, a nie — jak obecnie — z goryczą i niedosytem.

Gdy wraz z kolegami niosłem go w trumnie, niespodziewanie ciężkiego, ku rozkopanej, gliniastej mogile — a ostry kant niesionego ciężaru śmierci ugniatał i miażdżył mi niemal ramię, jakby mię przymuszając do jakiegoś ukorzenia się, do wyznania prawdy — pomyślałem gorzko, jak trudną jest sprawą pokora i ufność, jak lekkomyślnie i powierzchownie upływa nasze życie, jakże ciężka jest droga od człowieka do człowieka, tak że dopiero nieszczęście i śmierć odsłania proste na pozór prawdy.

Było słonecznie i jesiennie, opadłe listki brzozy lśniły kojąco na trumnie — jak złote.

WILHELM MACH

RDZA

FRAGMENT POWIEŚCI

Był na wsi zwyczaj, że interesant swojej sprawy tak długo nie przedstawia, dopóki się go nie zapytają. Nawet gdy wierzyciel do dłużnika przychodzi, to się pierwszy z dopominaniem o zwrot nie wyrwie. Nieraz pani Rotterowa, wśród lepszych ludzi obyta, pokpiwała sobie z takiej galanterii. Byle dziada czy innego podlejszego człeka zagadywało się zaraz po „pochwalony" — z czym przychodzi. Znaczniejszego trzeba było uszanować — a ceremoniał był taki, aby możliwie jak najdłużej powściągnąć ciekawość co do istotnego celu wizyty. Jeżeli gospodarze byli dostatecznie wyćwiczeni w owej neutralnej rezerwie, a gość nieśmiały lub czwany, to godzinami gadało się o pogodzie, o urodzajach, o wszystkich chrzcinach, weselach i pogrzebach w okolicy, kogo i za co nawyzywał ksiądz z kazalnicy, co świeżego w polityce... Nie obeszło się często gęsto bez sutego przyjęcia i popijawy przy tych karesach, nawet gdy sprawa była niemiła i skazana z góry na to, że się zakończy wściekłą awanturą, w której obydwie strony powetują sobie całą poprzednią powściągliwość, wypsioczając się gruntownie do trzeciego pokolenia wstecz i siódmego naprzód. Dopiero wtedy powracała zachwiana nieszczerą uprzejmością równowaga i znowu było wiadomo, co się o sobie nawzajem myśli.

Dość tego dobrego dla Boćka! Pani Rotterowa przeszła na ton urzędowy i zapytała wprost:

— Wy Szymonie, z jakim interesem do mnie?

Teraz rzecz potoczyła się gładko. — Ano, zaś on już mówił, o co idzie. O te kon-ty... właśnie! Pszenicy ździebełko przywiózł na przechowanie. Czas taki, że zawsze-to lepiej nie mieć wszystkiego w domu. A gdzież się udać zaś, w takiej potrzebie, jak nie do pani Rotterowej dobrodziejki? Po starej znajomości! Albo on to się mało tu nasłużył? Tak sobie i przypomniał tę szykowną piwniczkę pod stodołą, co ją przecież sam prawie zrobił, zanim z panem Osieckim poszedł na tamtą, pierwszą wojnę. Stodoła na górze, wilgoć nie dochodzi, sucho, — wejście z boku, pod przyciesią, niewielkie, — można mierzwą zatrząść, drewnami porąbanymi koło ściany założyć... Zresztą zboże w młyńskim obejściu — nie dziwota. Mogło się ostać jeszcze z lata, potem wojna — i ot, nie zdążyło się ludziskom zemleć, bo się młyn popsuł, tak i czekają worki na odbiór.

— A jeden worek to niech pani Rotterowa do swojego dosypie — już ją i tak dość objadają te Walerczyne bachory jego siostrzeńce; więcej pewnie z nimi uganiaczki, jak pociechy.

Za prezent podziękowała. Chleba jej, Bogu dzięki nie brak. Może to sobie szewc-niedojda bez butów chodzić, ale u młynarza, choć młyn stanie, to jeszcze przez siedem lat urodzaj. — A co do tej jego pszenicy...

Co miała robić, skoro tyli świat ujechał z tymi worami. Zakrzyknęła na Ignaca. — Nie rachowała ile tego było, nawet przez okno nie wyglądnęła, — jeszcze by, chytroń jeden, myślał, że ją bardzo o to głowa boli, — ale coś z osiem razy wóz poskrzypiał, ilekroć nowy worek staszczali. — O, pani Rotterowa ma jeszcze, na psa urok, dobre uszy na te różne ludzkie sprawy...

Zatarapatał jakiś wóz na moście. Porwała się żwawo, truchcikiem podreptała do jadalnego z widokiem na zachód. — Nie, to jacyś obcy, pojechali na Sośnice. — W pół do czwartej. Tu, od tej strony, całkiem jeszcze dzień jasny. Pogodnie było, dlatego. — A, trudno, chyba już nie przyjdzie.

Chyba już nie przyjdzie. Pewnie! co mu tam babka. Ma on teraz o kim myśleć. — Pani Rotterowa wraca na swoje ulubione miejsce, ale odwraca fotel, poręczą do nyży okien-

nej. Nie będzie już wyglądała na drogę za stawem, na lasek Adamców, na jaz — nie ma głupich. I tak sobie nie może darować teraz, że tak niemądrze dała się temu Boćkowi dzisiaj tumanić. Nabajdurzył jej, naplótł za wszystkie te czasy, kiedy go słuchać nie chciała, — rad, że mu się wreszcie udało złapać ją na babską ciekawość. Och, zła teraz na siebie, sama by się po twarzy wybiła, — ale jakże było nie słuchać, jakże się nie ciekawić, gdy niespodziewana zapowiedź Andrzejowych odwiedzin jakoś ją z miejsca omroczyła... Taka to i jej zawziętość, jej słuszna i sprawiedliwa wola: dopóki ktoś z tamtych, z Olchówki palcem na nią nie kiwnie. Nie! to znowu przesada. Mógłby sobie kiwać zięć Kajetan ile by chciał, aż by mu palec od kiwania spuchł, mogłaby i Julia, choć to córka rodzona... Ale właśnie: nie oni. Na Andrzejka się dała złapać. O, wstyd teraz, wstyd. Taki on sam, jak i tamci. Co za upokorzenie! Jak tam będzie Szymon szyderował! Gdy jej opowiadał o tej jego chorobie — głową kręciła, pokrzykiwała, — każdą rzecz kazała sobie dwa razy powtarzać, podpierając jego i tak już chętną mowę westchnieniami, o-jejami, zacudowanym w Boćkowej opowieści „cy-cy-cy"... I nie wzbraniała się przed tym ciepłym przypływem, co zagarniał i spychał na dno skamieniałe żużle dawniejszej urazy. Teraz, gdy był blisko, gdy każdej chwili mógł stanąć w drzwiach, gdy lada moment spodziewała się przycisnąć jego głowę do piersi, dała się ponosić wielkoduszności, przebaczała wszystko, — nawet to świeże jego narzeczeństwo...

Nawet Ignaca, Boże odpuść, wciągnęła w ten radosny odpust, gdy z Boćkowej opowieści wymiarkowała, że jego końska sprawa z Adamcem dopełniła się i zaokrągla niespodziewanie i nieomal cudownie. Bo i jakże się nie dziwować: rano godzi parobka i dowiaduje się od niego, mało zresztą uważając, o jakiejś tam księżej bratanicy, a w południe okazuje się, że to wcale nie „jakaś", tylko Andrzeja narzeczona! I ta jej siostra, co ją Ignac miał szukać — Bożyczku! żeby był tylko nazwisko wymienił, imię bodaj, to by mu przecież zaraz powiedziała: pannę Martę zna, a jakże.

A jakże! — a jakże! — Boćkowi aż ślepia gorzały, tak się przejął. I pani Rotterowej wydał się naraz przyjemniejszy,

nawet już w nim podobieństw nie szukała, ujęta jego szczerym zainteresowaniem i zapałem. Była mu wdzięczna, że dał wreszcie spokój z tym swoim ryciem, — z tą swoją Joasią... — Zatrzymała go na obiedzie. A potem poradziła mu, niech jedzie, nie czeka, — już ona wnuka zatrzyma u siebie, a jutro wybiera się do Zawadowa na jarmark, to go odwiezie. No więc opowiadał jej jeszcze to i owo, co tam tylko z olchowskich spraw wiedział — i odjechał. Z Ignacem długo jeszcze na dworze pogadywali — pewnie się go Szymon o tego konia wypytywał...

— Tak się dać oszukać, tak się przed tymi dwoma wygłupić — aa! na pewno sobie teraz i Ignac nie jedno pomyśli. Wygarnęła się do bebechów, zdradziła się z zazdrośnie krytą prawdą, — na wstyd. Wnuczek ją lekceważy. — Wolałaby o tym nie myśleć. E, co tam: nie myśleć! To sobie właśnie może i ma prawo powiedzieć, że świństwo, jakiego świat nie widział. Świnie, świnie! Nie uważali za stosowne powiadomić, gdy wrócił. Ani — że chory. Ani — że sobie żonę znalazł. Nie poradzili się babki. Sami wszystko między sobą załatwili. Co w tym po babce. Babka dobra jak umrze. I zostawi. Wtedy brać. — ,,O, czekajcie!“ Omiotła złym spojrzeniem pękate łóżko. — ,,Żebym nawet do wody wrzucić miała...“

Co to za diable nasienie — ta mucha. Od rana tak się tłucze. Nie ma gorszej rzeczy od takiej muchy w późną jesień. Uparte to, sprzykrzone, a jakby rozum miało — co spędzisz, to znowu — pac! ledwo to lata, niemrawiaste, ciężkawe, chore niby — a tak na złość lubi robić. Całe popołudnie bez przerwy nic ino buu — pac! Z ciastek na nogi, z nogi na ciastka, na przemian. — Pani Rotterowa wodzi za nią nienawistnym wzrokiem. — ,,Gdybym ja się lepiej mogła ruszać!“

I te ciastka! Serowiec! Wyniosła to-to do sypialni, żeby przy obiedzie nie wyjedli wszystkiego. Dla Andrzeja miało zostać. Lubił słodkie... — Mucha znowu na nodze. Obrzmiała stopa sinawą napuchlizną wypycha się ponad obręb pantofla, niby wyrosły rozczyn chlebowy, co chce się przelać poza krawędź niecki. — Schylić się — trudno, tusza przeszkadza; przytupnąć — boli. No, przeleciała sama, jucha

jedna znowu na talerz. Niech żre. Lepsze to przecież, niż jej stara krew. Chociaż taka zaraza to nawet na padło się ułakomi. A pewnie, woli nawet... — Nieboszczyk mąż latem zmarł. Gorąco było. Pchała się ta podła gadzina do ust, do nosa, do oczu — gdy już w trumnie leżał. Trzeba było opędzać a opędzać... — Wzdrygnęła się: mucha zmieniła utarty kurs i ugodziła ją niespodzianie w kąt oczodołu. — ,,Spieszy się i tobie do spadkobierstwa? Poczekaj...“

Ziąb ją przeszedł. Ogarnęła uważnie spojrzeniem cały pokój, sprzęt po sprzęcie. Zatrzymała się dłużej na lustrze, mglącym się w kącie niewyraźnie, bo od światła. I nagle zaciekawiło ją, jak ona sama wygląda. Tak rzadko w lustro patrzy, bo i po co, odkąd się nie musi czesać... Przezwyciężyła jednak pokusę. Uniosła tylko rękę i dotknęła nią mycki, ściśle przylegającej do głowy. — Nie ma się czemu w lustrze przyglądać, nie ma. — Przed dziesięciu może laty zaczęła gwałtownie łysieć. Nie poradził Goldman, zawadowski aptekarz, z którym — przez jego żonę — była w dobrej znajomości. Zdarza się czasem i u kobiet, w poważnym wieku, rzadko, ale się zdarza — tak powiedział. No i doradziła jej Goldmanka taką czapeczkę. Ludzie zwąchali zaraz co jest i — jak to na wsi — ubrali nowinę w przezwisko. Od tamtego czasu babka Rotterowa została ,,Kanonikiem“. Może było w tej dziwacznej nazwie coś więcej, niż doraźne następstwo jej niefortunnej przypadłości z włosami. — Kanonik — hm — po prawdzie, to wysoko odbiła ponad ludzi wolickich Karolcia, wiejska dziewczyna, młynarzowa córka...

Zadumała się. Przez chwilę tylko opuszczone na oczy powieki odgradzają od świata nieprzejrzystą ciemnością. Zwolna rozświetlają się znowu — lecz w nowym świecie, który się wyłania niby dzień z mgły porannej, jest wszystko inaczej jakoś, choć podobnie. Staw — taki sam. Ale nad stawem, zamiast dzisiejszego obszernego budynku z półpiętrkiem, z dużym gankiem, z czerwoną dachówką — stoi skromny dom rodziców z doczepionym na byle jak urządzeniem młyńskim. W sadzie drzewa, wyrosłe dziś — ledwo samą górą drobno ogałęzione. Na górce koło Adamców — niski kożuch młodej sośniny. — A ona sama jaka była? Jaka była w tym onegdajszym świecie, w tym czasie minionym?

O, to był czas, kiedy babka-Kanonik była jeszcze panną. Umiała wtedy trzymać się prosto, jak huzar i nosić głowę dostatecznie wysoko, by każdy mógł z miejsca jej przewagę nad światem zmiarkować. I nie szło to tylko z tego, że była córką najlepszego, bo jedynego w okolicy młynarza, który się na swoim młynarstwie ciężkiego majątku dorobił, choć z lada-czego zaczął. Ani z tych innych rodzicowi przypadłych honorów — a to, że za najbogatszego w Wolicy kmiecia go mieli, a to, że sołtysem został, że panowie z miasta w odwiedziny raz po raz przyjeżdżali... Wiedziała ona już wtedy, jakie piękne wiano sposobią ojcowie jedynaczce, ale i nie przez to harda była i ludziom nieskora. Dlaczego — sama nie wie. Usposobienie takie miała od maleńkości. — Najstarsi ludzie w Wolicy i sąsiednich wsiach umieliby ze zmurszałej pamięci wydobyć niejedną facecję, których bez liku zamotało się w suty ogon przez lata przędzonej gadki o dumnej młynarzównie. Rozgłos rozpoczął się od pamiętnych, w dziesiątki idących rekuz, jakimi broniła wytrwale swego dziewiczego wieńca przed natarczywością konkurentów. Wieść o uporze rosłej, dorodnej, na pytlowanym chlebie i tłustych pierogach odchowanej panny, rozeszła się niby fala magnetyczna, przeskoczyła rychło ciasne zbiegowisko wsiowych oskomców i zalotników, objęła „wyższe sfery", zagarnęła i przyciągnęła do wolickiego młyna trzech drobnych kupców zawadowskich, dwóch organistów i — to dopiero była uciecha! — jednego Żyda, targownika z Łęczkowa, co się gwałtem chciał wychrzcić, byle tylko — byle już! Był z nim kłopot nielada, bo i ksiądz się wmieszał i zaczął poddawać pod rozwagę wzgląd na zasługę niebieską, ale panna aż się zanosiła ze śmiechu; na niebo nie czuła nagłego łakomstwa, — zresztą, gdyby już chciała Panu Bogu sprawić przyjemność, to miała dwóch organistów do wyboru. — No i nie wychrzcił się ten Josek. Dobrze się nawet potem wżenił w delikatesy, piękny sklep mieli Joskowie zaraz koło Pocieja, w zawadowskim rynku. A ich córka za aptekarza wyszła: Goldmanka właśnie. Jakoś się nawet z latami bliższa znajomość między nimi zawiązała, choć to oni kształceni oboje, a pani Rotterowa prosta kobieta, tyle tylko, że nieco otrzaskana, no i nie biedna. „Moja — ty

córko niedoszła, mój — ty pół-zięciu szanowny" — tak ich nieraz tykała rubasznie, gdy była w dobrym humorze. Tych Goldmanów z apteki. A ot — nie ma już pół-zięcia. Takie to i życie...

Ale co tam Josek! Grubsze się ryby w Wolickie sieci nawinęły. Miała wtedy gmina jakieś gruntowe sprawy ze starszym panem Rozdolskim, nie żeby proces jaki, Boże broń, tylko hrabia nieboszczyk chciał, aby granice wyraźnie szły; bo to na wsi — jak na wsi: tu się miedza wykrzywi, tu znowu bydło kopczyki zatratuje, kołki w ziemię zatarasi, a tam jeszcze ten i ów drogę sobie-pańską wydrepta, wyjeździ i zużywa — a na drugi rok to na odmianę dworska służba w chłopskie włazi, żeby po staremu naprostować i tak poprawia, aż przeprawi. — A że to i samemu młynarzowi na porządku zależało, raz że był sołtysem, dwa, że po większości on sam z pańskimi gruntami sąsiadował, a po trzecie, — że honorny był z niego gospodarz, — to się tak po zgodzie z hrabią umówili o mierzenie. Rozdolski koszta urzędowe płacił, młode dąbczaki na paliki to też z lasu szły, a młynarz miał u siebie trzymać i wiktować tych panów od pomiaru. Było już wtedy gdzie gości pomieścić, bo jakoś na rok — dwa temu przybudował ojciec do starego domu dwie nowe izby z boku.

Sprowadziło się wtedy dwóch: podstawni geometra z Łęczkowa, kawaler zajadły, co — jak gadali — zaprzysiągł się, że na babę nie spojrzy, i taki dość młody jeszcze rachmistrz od hrabiego, co go pan Rozdolski niedawno na służbę u siebie przyjął. To właśnie on przyjechał z dworu pierwszy, o dzień wcześniej od geometry, i gdy się zjawił w młynie w tym satynowym surduciku i z czarnymi wąsikami pod nosem, taki mały a woniejący... Ale potem, jak się rozgadał, to się wszystkim w domu spodobał. Dał się lubić... W świecie był obyty, w Krakowie lata przesiedział, a przecie nie dmuchał na wielkiego pana. Przeciwnie, bardzo mu się na wsi podobało, nad każdym głupstwem się cudował, że aż nijako było słuchać: kpi, czy durnia struga... Dworską służbę — powiada — wybrał — żeby nie siedzieć w mieście, tylko bliżej prawdziwych ludzi. Wiejskich niby. I zaraz się z parobkiem umówił — na szczupaki z podrywką.

Ale do niej, Karolci, długo nie miał śmiałości. — Wieczorami łódką po stawie jeździli we trójkę, ten geometra, rachmistrz i ona. I już wtedy było wiadomo, że ten stary, co się od bab zarzekał, na dobre się rozpalił. Nagle to na niego przyszło, jak na psa słabość, — o ślubach zapomniał i zaczął się coraz wyraźniej o żeniaczkę przygadywać. Ludzie aż z zazdrości pękali, co za szczęście ma ta dziewczyna! Kto wie, jak by z tym wszystkim poszło — stary bo stary ale pan — uparta w cnocie młynarzówna zmiękła na dobre... Raz, gdy się tak łódkowali, geometra chciał mijaną lilię wodną przychwycić, wychylił się zanadto — i wpadło się staremu w wodę, jak nic. W ubraniu. Zaraz się wśród stawowego zielska zaplątał, a temu rachmistrzowi jakby rozum odebrało, nic, tylko w krzyk, a wiosłami tak wierzga, że coraz dalej, zamiast podjechać... Wskoczyła wtedy w mig, starego za brodę, do łódki go — i po krzyku. Potem w śmiech. Ten mokry, zębami kłapie, dusza w niego nie może trafić z powrotem — a już obrażony. Za to rachmistrz jakby ją pierwszy raz ujrzał, oczy na nią wybałuszył, gębę otworzył, nic tylko wąsik skubie, a postękuje — zachwycony na amen.

Nie mogło się ludziom w całym powiecie pomieścić w głowie, że się taki pan, szlachcic prawdziwy, z młynarzówną ożenił. Nie zaraz, jeszcze z pół roku był u hrabiego, ale się w swoim słowie dotrzymał. Ludzie jak ludzie, pyskowali ta dość, a że więcej z tego wszystkiego dla młynarza honoru jak korzyści, że golec, że te reńskie co ma to hrabiemu ukradł, że go Rozdolski na szachrajkach nakrył i na pysk z posady wyrzucił... — ale co tam! nikt ludzkim językom nie ujdzie, kto choć trochę odmienny albo lepszy od wsiowej hołoty.

Jedna była w tym prawda, że pan dziedzic z Górnej Olchowej rzeczywiście nie zanadto się ubijał o zatrzymanie swojego urzędnika. Może tam i było co między nimi... pani Rotterowa nigdy z małżonka nie wydusiła jasnych wyznań, skąd wtedy tyle tych pieniędzy miał. Nie wiele się też dowiedziała o nim samym i do dziś nie zna jego pochodzenia, bo różnie o tym pogadywał, raz tak, raz siak. To się z Czechów wywodził, to z jakichś Sudetów, a czasem się za Wę-

gra podawał, że niby przez to taki czarny. Ojcowie gdzieś tam w świecie pomarli, sam się ostał. W jednym tylko nie zmieniał mowy, — a to — że z pańskiego rodu. Tyle, że podupadłego i dlatego jego ojciec na rządowy, cesarski niby, chleb musiał się zgodzić. Urzędnikiem był w Galicji, z miejscową panną się ożenił, niebogatą, ale też z dobrego domu. I tak się już tu przyswoił.

Pod przymkniętymi powiekami świat się znowu miesza i burzy — jakbyś flaszką z chlebowym kwasem potrząsał. A gdy wraca wszystko znowu na swoje — już jest inaczej: drzewka w sadzie napuszyły się gałęźmi jak pomidory, za to Adamcową sośninę na wylot przejrzysz, bo wyrosła. A stary młyn trudno poznać, rozrósł się, roztył, poobrastał w przybudówki, w pięterko, w nowe młyńskie urządzenie, — aż się z tego zrobił jakby dwór jaki, czy dostatnia willa pańska nad wodospadem — bo to grzywiasta woda z upustu grzmoci, — tyle, że duże koło z boku zaraz przypomina: młyn; no i ten pył mączny, co wszystkie ściany obrósł jak sucha pleśń. — To były dobre czasy: nowy gospodarz, choć z panów, na podziw się w młynarzostwo wrobił. Miał dobrą rękę do każdej sprawy, z każdym umiał gadać, z chłopem i z panem, taka żyłka w nim była, i pieniądz mu się pchał w kieszeń, jak do inkluza jakiego. To chyba po ojcu, z tej obcej krwi, brała się ta obrotność, bo — Bóg świadkiem — nie widywało się czegoś takiego wśród swojaków. Po latach trochę jakby przychłopiał, mowa mu się zmieniła, ubierał się ta byle jak, aby-aby, a i golił tylko na niedzielę. Ale za to z żony panią wyrobił, czuło się, że taki ambit był u niego, żeby z niej wsioka-chama wykurzyć, ogładą prostactwo zakadzić. Co do niej — to mu się tam nie bardzo udało, złościła ją ta politura, zawsze była gwałtowna i uparta, nie lubiła udawania i przymusu, a z nałogów niełatwo zrezygnowała. Nieraz się o to ostro poprzemawiali, nie odzywała się potem do niego dzień—dwa; nie chciała się przyznać, urągając tej całej farbowanej pańskości i lekceważąc ją na pozór, jak głęboko raniła ją każda jego uwaga; na myśl o swojej — och, wiedziała, że on to w duchu tak nazywa — pospolitości, cierpiała nieznośnie, lecz przez przekorę nieustępliwą — popadała w tym jaskrawsze grubiaństwo. „Mo-

głeś się nie żenić — szydziła — czyś to nie wiedział, że cham chamem na wieki wieków amen? Kto ci kazał nos do łajna pchać?“ Nocą, w łóżku, płakała z gniewu, upokorzenia i odrazy do siebie i do niego. Przepraszał ją, perswadował — godzili się. Już on wiedział, czemu się z nią ożenił, — te nocne pojednania dawały mu co do tego pewność zupełną. Osiągnięty tryumf zamykała w sobie na cztery spusty — sprawiedliwa była, nie chciała przeciągać struny i kłuć go w oczy tą swoją sekretną przewagą. Nie obnosiła się chełpliwie z jego przywiązaniem i nieznużoną małżeńską ochotą. Owszem, to właśnie czyniło ją pokorniejszą i skłonną do pewnych drobnych ustępstw. — Kapelusza nie włożyła jednak nigdy, poprzestała na szalu z lśniącej, granatowej lancety. Ów szal, pośrednia forma pomiędzy wiejską chustką a zawojem czy kapeluszem „pań“ — wyobrażał nieźle stanową połowiczność i niezdecydowanie młynarzównej, tak jak wiekuisty krawat pod brodą męża, czarny tylko w niedzielę i w poniedziałek z rana, a pod koniec tygodnia wtopiony całkowicie w ogólną, brudnawo-białą barwę reszty stroju, zdawał się opowiadać historię o panu, co został młynarzem. Góra się pochyliła, dół podrósł — i stało się tak, jakby oboje małżonkowie, co wyszli naprzeciw siebie z niejakim wahaniem i oporami, przystając co krok i nawołując się ku sobie nawzajem, spotkali się wreszcie w połowie stromej drogi, jednakowo oddaleni od stanowisk wyjściowych.

Ale dzieci to już wspólnymi siłami, zgodnie, popychali znowu w stronę skąd przyszedł on. W tych dwóch córkach usiłowali własne życie dopowiedzieć i dopełnić. Dla niego była to sprawa powrotu, dla niej — dalsza wspinaczka. Toteż — nienauczna — zadyszała się prędzej i dała spokój, zdając obydwie, Anielę i Julię, doświadczeńszemu przewodnictwu ojca. To jemu zawdzięczały wszystko: pierwsze wykształcenie, nauczycieli sprowadzonych z miasta, książki, wycieczki, wojaże po różnych Krakowach i nie-krakowach, towarzyski polerunek. W miarę jak podrastały, strój ojca coraz więcej powracać zaczął na swój naturalny kolor, twarz się częściej z brzytwą widywała, krawat — nawet w sobotę, odróżniał się od koszuli; za to ona płowiała dzień

po dniu, rok po roku i więcej, odkąd młynarskie sprawy przeszły pod jej komendę. I dobrze się stało: gdy pomarł, nic się w robocie nie zacięło, młyn dudnił i hurkotał jak zawsze, koło nie stanęło nawet na dzień. Bo i po co? Ile to razy za życia mówił, że nie mógłby już zasnąć wieczór bez tego du-du-du — prr... a niech tylko w nocy zastanowią, to się zaraz budzi... A i ona sama, nie namęczyła się to niedawno dość, zanim się nauczyła spać w tej ciszy niezwykłej...

Przeklęta wojna, że też to i o taką zabitą deskami wieś zawadziła... I to wojsko nasze durne, uciekało to-to, a do samolotu się im zachciało akurat z jej podworca pukać, i to z takich zasranych karabinków, co takiemu szwabowi w górze ino śmiech... Tyle wskórali, że się diabeł zezłościł, nasiadł na nich jak jastrząb i kulami przerachował — a niech by! ale trzema jajami spaskudził się na dodatek — i ta jedna bomba akurat w koło młyńskie — dziurę w młynicy wydarło, maszynę popsuło... a, bodaj to wszystko!... Dobrze, że była akurat w oborze — a i tak się ledwo pozbierała. — Nie było nadziei na naprawę. Smutne dnie, smutne noce. Dom, drżący dawniej od nieustannej pracy, zdawał się w tej wrogiej ciszy wystygać, chłodnieć, niby zapomniany garnek na wygasłym palenisku. I — starzeć. — Aż się zadziwiła na tę myśl, ale — choć z lękiem — podjęła ją.

Tak. Dom starzał się też. — W bezruchu starość dokonywa się prędzej. — Popatrzyła znowu, zatrwożona, na swe opuchłe stopy. A nawet nie to, żeby chciała popatrzeć: sama głowa tak się ku ziemi chyli. Jakby w brodzie był kamień. Śmiesznie pomyśleć — ale starość to nawet nie tyle w tych bolących nogach siedzi, co w brodzie. Stąd taka ciężka, stąd taka nieposłuszna i trzęsie się, drga, że ani utrzymać.

O, już nie utrzyma. Minęły lata, kiedy zuchwale zadartą brodą straszyła świat. I odsłoniętą śmiało szyją. Dumnie do przodu podanym biustem. Rozdętymi nozdrzami i władczym spojrzeniem oczu, których barwy nawet córki nie były pewne, bo te oczy były do spoglądania z góry, spod przymrużonych rzęs, a nie do pieszczotliwych wypatrywań i zapatrzeń z bliska w dziewczęce twarze. — Ale, jak się jej dumie dziwić: uroda córek i — u nich już niefarbowana, lecz prawdziwa — pańskość obycia, wzbijały matkę w pychę.

Aniela była delikatna, tkliwa, skłonna do serdecznych uniesień. Bolała nad oschłością matki. — „Mamo, czemu ty nie masz serca, tylko kilowy ciężarek z młyńskiej wagi?“ — tak jej raz powiedziała, żartem niby, daremnie wspinając się na palcach, aby ją objąć za szyję. — Potem gdy się o nią oświadczył Kajetan i został przez matkę przyjęty, mimo opór, błagania i płacze dziewczyny, cisnęła jej Aniela w twarz podobne słowa, ale już bez żartu, — ze śmiertelną urazą: — „Mamo, ty masz serce w głowie, w mózgu, a nie w piersi, jak ja!“

Serce w głowie! — Pani Rotterowa próbuje się uśmiechnąć, ale drżąca, ciężka broda obciąga w dół kąty warg, jak gdyby kamień był u nich zawieszony na dwóch niewidzialnych nitkach. — Może. Może to ono siedzi teraz w tej brodzie i drży i przygina głowę ku ziemi, za karę, że taka była niegdyś wyniosła. Wtedy bujne włosy przeginały głowę też, ale inaczej... ot, huśtawka. — I ta jarmułka żydowska na łbie, a pfuj! — to za Joska, że się nie wychrzcił. Wszystko się mści.

Wszystko się mści. — Mucha psiakrew! nawet ona. — Tak, tak... — Kajetan — Aniela — Julia — i znowu Aniela, córka najdroższa — za późno najdroższa — w tym samym pokoju, co niegdyś ojciec, z rękami w krzyż na piersiach, w trumnie — tylko much tą porą nie było, zima...

Ale teraz wspomnienie staje dęba, niby narowisty koń, spłoszony nagle na równej drodze widokiem spróchniałej wierzby lub figury. Miała takiego: zawsze w tych samych miejscach, na skutek sobie tylko wiadomych urojeń, zarywał do tyłu, i dopiero smagany biczem, z ciałem wygiętym w kabłąk, jakby pod naporem niewidzianego a strasznego ciężaru, rzucał się w przód i ponosił wściekłym galopem, dudniąc zadnimi kopytami o wywiniętą muszlę bryczki, wśród oszalałego charkotu i rzężenia. Nie da się zapomnieć ten jego łeb przerażony, ściągnięty w bok lejcami tak napiętymi, że zdawały się tworzyć cięciwę żywego łuku. — Arab. Kajetana wierzchowiec z tamtej wojny. Potem, gdy Kajetana wyrzucili z wojska ...na miłość Boską! nie tak! — potem, gdy Kajetan podał się do dymisji — tak! tylko tak! biedna Anielcia... — wtedy Arab przeszedł do powózki. Ale

nie chciał chodzić w zaprzęgu. Aż dopiero — gdy się postarzał. Przecież to on wiózł Anielę na cmentarz...

Pani Rotterowa oddycha prędko, sękatymi od astmy tchnieniami; wierzchem dłoni ociera krople wilgoci z czoła i nosa. Siedzi przecież bez przerwy w tym samym fotelu — a czuje się, jak po męczącym, szybkim biegu. Chociaż jej nogi zapomniały już dawno, co to jest męczący, szybki bieg — ale pamięć pamięta. I to pamięć właśnie odbyła przed chwilą ten zawrotny cwał na wyprzódki z Arabem, byle tylko jak najśpieszniej przebyć najgorszą, najeżoną przerażeniem część drogi, — te lata z czającymi się w mroku zwidami próchna i złowrogich krzyżów: małżeństwo Anieli; narodzenie Andrzeja; Kajetan i Julia; „kupno" Olchówki; śmierć Anieli... — To chyba wolą, jak biczem, zacina się wspomnienia, by minęły w galopie niebezpieczny obszar zasadzki. — Udało się: jakoś jak gdyby pod osłoną tego poczciwego Araba. Kiedy znowu obluźnić wyprężone lejce — jest już zwyczajnie, tak mniej więcej jak dziś: tamci siedzą sobie w Olcówce, Bóg z nimi. Gdybyż tak można, myśli o nich, tak jak w dzieciństwie motyle, zmiąć w dłoni, cisnąć, wdeptać w piach...

Może by się i dało, ale takie myśli to nie motyle, tylko szerszenie. Kąsają. Ciągle ten sam jad sączą w krew. Jaki? że co? — Że niewdzięczni. Że zapomnieli o tylu latach jej opieki i starań. I wydatków. A teraz jej nie znają. Wstydzą się jej. Wstydzą się.

To najgorsze. W tej prawdzie najsroższym odwetem za całą pyszną młodość mści się los. Nie trzeba było tak przebierać, prostego chłopa za męża lepiej wziąć. Nie pnij się łajno na tykę, boś nie chmiel. Potem się zięcia — oficera zachciało. No i tak. Od Kajetana to się zaczęło. Już się wtedy sami w domu chcieli rządzić po pańsku. Gościom z miasta radzi by jej nie pokazywać: niech by ta w swoim kącie cicho siedziała, taka prosta kobieta. Jej mowa nie w smak im była; nic, ino to nauczanie ciągiem: mamo, nie mówi się wstajali tylko wstawali, nie z Wolice tylko z Wolicy, nie tak tylko siak — mogła się już mama przyzwyczaić. — O gorzko jej przyszło okupić zwycięskie porachunki nocne z nieboszczykiem — mężem. — Nawet Aniela nie dawała jej spokoju; nie

dziwota: majorowa. — Ile razy przyszło coś przy obcych przegadać, to z zapartym tchem patrzyli na nią we trójkę (a potem to i Andrzejek), i to tak jakoś bystro a ze strachem, że się jej od tego zaraz język pozawijał po staremu. Wtedy oni, wszyscy na raz, wpadali jej w mowę, rzucali na te wykręcone słowa, z nerwowym ożywieniem wykręcali je jeszcze bardziej, śmiejąc się hałaśliwie, jakby powiedziała z rozmysłem jakiś dowcip. Kajetan to nawet pokrzykiwał: — ,,O, ta nasza mama, patrzcie tylko! ona ci ma swój styl, oho!“ — i pomrugiwał ku niej niby to pochlebnie i z uznaniem, a chusteczką ręce wycierał z potu.

Toteż wychodziła do ludzi coraz rzadziej, odzywała się coraz mniej i to także był dla tych panów ,,jej styl“, że niby taka ona już jest od dziecka. Córki wyciągały chętnie przed gośćmi — słyszała nieraz — te przeróżne historyjki z jej młodości o ujeżdżonych koniach i odpalonych konkurentach. Tylko o organiście mówiło się: ,,jeden muzyk — pianista“, a o sklepikarzu — ,,pewien bogaty kupiec-hurtownik“. Czasem się mimochodem zaplotło w te opowieści napomknienie o zagranicznym herbie Rottera; co do jego osoby — dawano delikatnie do zrozumienia, że matka wyszła za niego jedynie z miłości. — ,,Oryginał z mamy, panie dziejaszku, oryginał!“ — przytakiwał Kajetan żonie i szwagierce, jak gdyby tą nazwą nadawał teściowej szczególną rangę, odpowiednią dla zestawienia z jego własnym stopniem wojskowym. — Na podłogach ścieliły się dywany i laufry, ze ścian wabiły oczy kilimy i ,,landszafty“ (obrazy święte dawno już powędrowały do kuchni, w sypialnym ostała się tylko para ,,serc“: Jezusa i Marii), meble były dostatnie, politurowane, kwiaty w szklanych kloszach — przy tej całej wspaniałości, odbijającej od reszty wiejskiej biedoty, można było z niejakim powodzeniem tuszować chłopskie pochodzenie młynarzowej.

O młynie nie mówiło się nigdy, chociaż on sam przypominał się nieustannym turkotem. Młyn — to była rzecz wstydliwa i niestosowna dla rozmów w takim towarzystwie, niby garb na plecach kaleki, który niby widzi, a niby nie. Oprowadzało się gości nad stawem, zachwalało się urok okolicy, zachodów słońca, ale cicha umowa wykrawała z tych

obrazów młyńskie koło. Podobnie uchylały się naoczności furmanki na dziedzińcu, wypchane worami zboża i mąki. Gdyby któryś z gości państwa Osieckich zatarł się gdzieś w przejściu rękawem o wymączone drzwi lub ścianę — usunąłby na pewno bielidło jak najdyskretniej. Bo sprawy młyńskie — to była krawędź, poza którą „oryginalność" pani Rotterowej, czyli „tej naszej kochanej mamy", stawała się żenującą już, więc wyklętą z rozmów, ekscentrycznością (nauczyła się ze słyszenia i tego paskudztwa, ale by na głos nie wypowiedziała za skarby!) Dom Rotterowej i Osieckich to dla „lepszego świata" nie był młyn, lecz właśnie — dom. A nawet więcej: to była Wolica. Zapraszało się właśnie tak: do Wolicy. Niby do jakiegoś świeżego dworu, którego nazwa, przynależna całej wsi, otrząsa się pogardliwie ze zbytecznego mrowia chałup, spowijając wyłącznie pańską siedzibę: flaga, co się skurczyła po wypraniu pachnącym mydłem.

Była to dobra praktyka dla Kajetana; przydała mu się bardzo po nabyciu Olchówki od młodego Rozdolskiego. Nauczył się być dziedzicem wcześniej, nim rzeczywistość upoważniła go do tej nazwy — w nikłym zresztą sensie, w dalszym ciągu bardziej udanym i umownym przez ludzką przypodchlebność, niż istotnym. Ale — bądź co bądź — ten nowy awans sypnął ludziom piaskiem w oczy, zwłaszcza — jeśli się nie znało sprawy od początku, lub nie umiało powiązać w całość jej członów. Różnorodność wersji na ten sam temat sprzyjała ukręceniu prawdzie łba. Z czasem ucichły gadki o malwersacjach w intendenturze łęczkowskiego garnizonu, które jakoby uprawiali major Osiecki i hrabia — dostawca. Przestało się też mówić o łatwości, z jaką major nabył, wygrał w karty (jak chcieli inni) czy też otrzymał za darmo pod byle jakim formalnym pozorem folwarczek olchowski: miał to być okup, złożony przez Rozdolskiego wspólnikowi za hrabski honor, zbyt nieoględnie ulokowany w cudzej kieszeni; honor, który mógł lada chwila wypaść z tej kieszeni w błoto koszarowego dziedzińca pod naciskiem służbowych dochodzeń karnych — i bodaj to się w tym błocie utopił! ale gdyby się tak pokatulkał, niby upuszczony pieniążek, poza kasarniane bramy? w świat? — Coś musiało

tam być do rzeczy, skoro jednak takie i siakie odgłosy przeciekły przez ściany wojskowych kancelarii. Dla najbardziej dociekliwych nowinkarzy cała afera łączyła się z rychłą dymisją Osieckiego. I znowu przebąkiwano, że tę łagodną nazwę „dymisja“, zamiast „twierdza“, wykupił nieopatrzny hrabia dla Osieckiego na własny koszt. Ktoś puścił wtedy dowcip: „Dwóch piwa nawarzyło, Osiecki wypił, Rozdolskiemu zaszkodziło“. Nawet podwójnie zaszkodziło, bo zwomitował dwa razy: Olchówką i łapówkami; rychło jednak wsiąkły ślady tych przykrych wydarzeń w miałki grunt pierwszych lat powojennych. Hrabia pozostał hrabią, a Osiecki — po zamianie munduru na dziedzicowski surdut z rogowymi guzikami — przypominał swoje ziemiańskie pochodzenie, w które o tyle łatwo było uwierzyć, że w tych stronach i tak nikt nie znał jego przodków, — i przez sam fakt posiadania Olchówki zdawał się powracać do właściwych jego sferze zajęć, po okresie ubocznych i nieistotnych zatrudnień. Jeden tylko Bociek, były ordynans, a w pierwszych latach po dymisji, kiedy jeszcze Osieccy mieszkali nadal w Wolicy — „administrator“ Olchówki — wyżymał niekiedy gębę w paskudnym i dwuznacznym uśmiechu, ile razy zapędził się wspominkami w tamten czas, w okres przelarwienia się majora w „dziedzica“.

— O b y w a t e l e, psiakrew! — Myśli pani Rotterowej burzą się znowu w nienawistnej pogardzie. — T o im tam właśnie, wszystkim w Olchówce, przewróciło we łbach. Wstydzili się młyna już za wolickich lat, a co dopiero potem! Ma się rozumieć. O b y w a t e l s t w o — to był piasek, którym zasuli tamte świństwa, tyle, że się po drodze przysypało i młyn, dla porządku. Co przed d z i e d z i c e m — to pod spód. Im większa góra z tego urośnie — tym wyżej Olchówka, a coraz głębiej niewygodna „babka“-młynarka. Jeszcze tylko trawę na tym posiać, drzewka posadzić — znaku nie będzie. Duszno od takich myśli i jakby ziemia w ustach. — Grób.

Wygadała się raz do niej Joasia, w dobrej woli, jak się to bardzo w Olchówce spodobało nowe dla pani Rotterowej nazwanie, ten „Kanonik“ właśnie. — „To tak godnie brzmi — zachwycała się Julia wobec jakichś tam ich mia-

stowych gości — naprawdę orygi-nalne!“ — O, prawie ich widzi, prawie ich słyszy, jak oni ją przedstawiają nowym swoim znajomym. Na pewno — więcej jeszcze niż przedtem — „oryginał“. I po trosze — jak o zdziwaczałej, schłopiałej szlachciance. Julia specjalistka od takich robótek. Ona to tak jeszcze ubierze, że się będzie wydawało, jak gdyby z Olchówki do Wolicy było z dziesięć mil. W sam raz tak daleko, aby się nie musiało zbyt dokładnie wiedzieć, co tam porabia wśród ciemnych wsiaków ta stara zbakierowana pani. Ot, za górami za lasami zadaje się biedna babcia z parobkami.

No więc i Andrzej. Co się dziwić. Wyrośnie tulipan z nawozu, ale jak zakwitnie, to się łajna wyprze. Pan.

— A widzisz, bydlę pierońskie! — masz! — krótkie plaśnięcie i okrzyk tryumfalny, pełen satysfakcji, poruszają ustałą ciszę pokoju. Z uciechą nasyconej zemsty przygląda się pani Rotterowa drgającym w ostatnich podrygach łapkom muchy. Sama po śmierć przyszła, tak akuratnie podlazła pod pułap wygiętej nad obrusem dłoni. Aż się skronie rozpulsowały od tej błahej, a jednak silnej emocji. Łup, pup, łup, — serce w głowie! — przypomina się skądś i mąci radość.

Zdychająca mucha — nóżki wykręcone do góry — to już było dziś — acha! sen, a potem rozmyślania poranne. Jak to już dawno! — Dźwiga się z fotela, podchodzi do kalendarza. Czas zrobić „jutro“. I znowu ni stąd ni z owąd — urągliwe, natrętne brzęczenie. Ożyła — czy co? Nie. Czarna kruszyna leży na stole jak leżała. To jakaś inna. Skąd się wzięła? Chorobskie nasienie. Trudno wytłuc. Lato było długie, nie chcą wyzdychać. Acha, to po oknie tak trzeszczy. — „Czekaj, dam ja ci suko, tylko z tym kalendarzem...“ Ale wyciągnięta ręka opada, jakby skoszona tym drwiącym pobrzękiem. — Oj, stare nerwy!... Pani Rotterowa gniewnie wpatruje się w wygiętą cyfrę. Jakby po raz pierwszy dopiero dzisiaj, z o b a c z y ł a ten kalendarz. Dwójka pochyla się w ukłonie, ale poza tą grzecznością — upór i odmowa. Niby sklepikarz, który zbywa klienta obojętnym: nie ma. I nagle gęsty dreszcz wyraja się na łysej czaszce pod jarmułką i rozłazi się po karku i po plecach: — „Jutro będzie jutro. Jutra można nie dożyć“.

Aż przysiadła. Obiema dłońmi pomaga wysilonemu zmarszczeniu brwi, jakby zagarniała w sam środek czoła rozpierzchły rozsądek. — Skąd taka myśl? Nigdy jeszcze!... Ten mały trupek na stole? Kalendarz? — W tej chwili zegar w przyległym pokoju wydzwania czwartą. Jakaś duża łyżka pcha się w mózg, z blaszanym łoskotem kłóci i miesza wszystko. Chwila przejmującej boleści; gdy się znowu ustało — już tylko to jedno: — Andrzej nie przyszedł. — Znowu trzy pary oczu wyłażą z kąta, coraz bliższe, coraz wyraźniejsze, — aż się wyginają w rogaliki od szyderczego śmiechu: — Wiesz już teraz babciu skąd?

Wie. — Ach, jałowy smak śliny — i koniecznie trzeba sprawdzić zęby językiem. Chrobot. Kamień w brodzie. Lecz próbuje się bronić: podwieczorku jeszcze nie jadła, czekała, dość tego! głodna jak pies. Zabiera się do ciasta i umyślnie wyławia co ładniejsze kawałki; gdzie się grubiej sera ułożyło. — No, wszystkiemu nie poradzi. Ale jeszcze jeden. Resztę Pietrowi i France, zasłużyli; i Ignacowi, acha!

Teraz, głośnym żuciem i łykaniem obronna, może sobie prawdę wyznać, spokojnie i na zimno, dlaczego się to przy kalendarzu tak zacukała: ot, wykrył się znienacka długoletni podstęp, z dnia na dzień ponawiany, takie dziecinne oszukiwanie samej siebie. Psioczyła w duchu, wymyślała na n i c h co nie daj Boże, ale miała ciągle jakąś nadzieję. Trudno się było do tego przyznać, że przecież spodziewała się; wierzyła. Dlatego tak z nikim nie chciała o n i c h mówić — ile to razy Goldmance, czy Joasi, czy jeszcze komu, zatykała prawie gębę — nie, dajcie spokój, nie chcę — słyszeć! — bo czekała, że to się wszystko jakoś samo z siebie wydobrzy bez pośredników. Przez to się dzisiaj Boćkowi tak z nią udało. — No i dlatego wybraniała się śmierci. Doczekać, dożyć! Zerwaną o noc wcześniej kartką kupowała życie jutrzejsze. Jak ją mogła znaleźć śmierć w godzinie, której jeszcze naprawdę nie było... Te przywabione z jutra cyfry zdawały się być jakimś zastawem i rękojmią obudzenia się po nocy. Dzisiaj nie ma już sensu to wszystko.

Zadziwiła się samej sobie: Jakto? więc gdy się w i e, to już przepadło? Znów się po skórze rozmrawia gęsty i zimny lęk. Więc: dęba? — uciec stąd! — nie da się w przód, to

wstecz, aż się oprze na takim gruncie, na który śmierć nie ma dostępu.

Widzi się znowu młodą, krzepką panną. Pomaga ojcu i młynarczykom. Aż się dziwują i wstydzą trochę. Bo: spory wór na plecy i jazda na młyńskie poddasze, gdzie pytel. Po schodach. Dość wysoko. I od połowy coraz ciężej; więc zęby zacina, aż szczęki chrupią, ale w skroniach zaczyna łomotać łup, łup, łup! — i darmo brodą do piersi przypartą pomaga wysiłkowi szyi i ramion, boli ta broda i ugniata, a tu zadycha ją łapie, kłodzieją nogi, rwie się oddech astmatyczny, świszczący...

Zadziwiła się po raz wtóry: więc o n a jest i z tej strony. Zabiegła drogę szybciej i jest już tam, na najwyższym stopniu — i czeka. Pewnie pomoże zdjąć wór z pleców. Coraz ciężej. Potykają się stopy o martwe, omączone myszki...

Śmierć. Mówią, że starość schodzi ku niej pochyłą drogą na dół. Dlaczego na dół? Może właśnie — pod górę, — i stąd ta obolałość nóg i plecy zgarbione i głowa ku piersiom leci i dychawica...

A, co tam! — Ta mucha chyba dziś nie przestanie?! — „Ty, zarazo, już ci teraz nie podaruję!“ — Sunie do okna. Rozpoczyna się nagonka grabiastymi palcami. Umyka, jucha! Tyle, że głupia i wciąż po szybie. To do góry, to na dół, to w bok — wreszcie przelatuje na prawą część półkoliście wygiętej nyży. Pani Rotterowa za nią...

Martwieje.

Po drugiej stronie jaru — Andrzej.

Adamiec nieco w tyle. Czerwony blask zorzy obejmuje ich głowy i piersi. Rozmawiają. Jasiek pokazuje ręką na młyn, pewnie na tę wyrwę ponad kołem. Teraz Andrzej wyciąga ramię. Cień wątłej wierzby od tyłu przetrąca je — dłoń gorzeje i jakby sama zawisła w powietrzu. Trwa ten obraz, niby zły sen. — Porusza się, próbuje butem giętkości desek na przełazie. — Nie, został, zawraca o krok. Pochyla się nad stawem, rozgarnia wodę palcami, czerpie w garstkę, przesiewa krople. Tak parę razy. Śmieje się do Jaśka, wyciera rękę o płaszcz. Jasiek ćmi papierosa i rozdmuchuje kłaczki dymu. Spluwa daleko na wodę — okrągła zmarszczka.

Aaa, zbudzić się. Nie, to j e s t naprawdę. Adamiec odszedł. Widać go dobrze wśród sośniny, na tle jaskrawych

smug od zachodu. Uwija się koło wozu z zaprzęgniętym koniem. Nie, nie odprzęga. Zdaje się, że zawołał, bo Andrzej odwrócił głowę i pokiwał ręką. Jeszcze raz w stronę młyna. Namyśla się? Patrzy wprost w t o okno. Boże, Boże!... Znów stopą na drewniany pomost. Ręka z namysłem na poręcz. Krok w przód. Przystanął. Znowu krok. — ,,No, Andrzej! no, Andrzej! Andrzej!!"

Odszedł.

Każde stąpnięcie, choć niesłyszane, zapada w mózg z głuchym łoskotem. Obolałą krtanią wali się w piersi. Rośnie, rośnie góra kamieni. Pani Rotterowa pochyla się coraz niżej. Ciężka broda tuż nad dolną ramą okna. Mucha wciąż jeszcze grzebie się w szkle.

Pani Rotterowa zaplata, zawęźla dłonie i przyciska je do lewej piersi, jakby dzierżyła uchwyt przewieszonego przez ramię wora. Drżą z wysilenia napięte mięśnie. Uginają się plecy. Nie udźwignie.

I nagle, po raz trzeci tego dnia, ogarnia ją zadziwienie tak wielkie, że zapodziewa się gdzieś wszystko inne, gdy raptowna i błoga niemoc podcina uparte do ostatka kolana. Oczy rozjeżdżają się w zez — podwójny krzyż okna — i jeszcze szum całego stawu w uszach. Urywają się spod szyi pokonane ręce i lecą w dół — spadły na podłogę — drobny stuk.

ANNA KOWALSKA

ZIARNO SZALEŃSTWA

Po przeciwległej stronie zatoki korynckiej białe Lutraki płonęło jeszcze wszystkimi swymi oknami olśnionymi zachodzącym słońcem, ale już wzgórze na prawo, jedna ogromna winnica ciągnąca się nieprzerwanie aż do sosen nad przesmykiem, z różowego zrobiło się fioletowe i uniosło się nad ziemią. Nie wiem dlaczego widok ten napełnił mi serce nieopisaną żałością. Nic się przecie złego nie działo, zwyczajnie minął jeszcze jeden dzień.

Na tarasie siedział właściciel hotelu Pelopidas, opasły olbrzym podobny raczej do Niemca niż do Greka, córka jego Kula, brzydka, nudna kobieta i matka hotelarza, chuda chłopka z okolic Janiny, wystrojona w czarne jedwabie.

W kawiarni pod palmami dwóch chłopów ciemniejszych od korynckich rodzynek sprzeczało się o demokrację. Podskakiwali na krzesłach jak koguty, trzaskali łyżeczkami, przysuwali się i odsuwali od stolików.

Zgrzyt żelaznych krzeseł, stukanie, śmiechy i okrzyki mieszały się i szumiały jak morze. A wody zatoki przywarły do białych brzegów nieruchome i płaskie jak cień.

Hotelarz zerknął spod ciężkich powiek na córkę. Nie było w tym spojrzeniu nic z czułości czy zachwytu, jak kupiec oceniał ile też była warta.

Przywitali mnie wszyscy troje z tą sztuczną serdecznością, jaka tu obowiązywała. Była druga połowa lipca i od tygodnia żaden cudzoziemiec nie stanął w hotelu oprócz młodego Anglika, który przybył bez walizek i jak się okazało bez pieniędzy.

Gdyby nie to, że „Piękna Helena" była jedynym czystym hotelem, od razu bylibyśmy go opuścili. Pelopidas narzucił

się nam od pierwszej chwili z serdecznością, która z każdym dniem więcej nas męczyła. Władczy i kapryśny obrażał się, gdy układaliśmy inną wycieczkę niż ta, jaką nam był doradził, a bez przerwy coś doradzał.

Kula jak zwykle zajęta była swoją osobą, właśnie trzymała lusterko i wpatrywała się w wargi, które oblizywała językiem. Gdy wargi wydały się jej dość błyszczące, zajęła się pudrowaniem grubego, lśniącego nosa, a potem końcami krótkich palców poprawiła loczek na czole, wreszcie oddaliwszy od siebie lusterko dotknęła złotego krzyżyka, zawieszonego między obfitymi piersiami. Zadowolona z przeglądu własnej urody podniosła na mnie za duże, za okrągłe oczy i uśmiechnęła się gnuśnym uśmiechem nudzącej się kobiety.

Kawiarnia pod palmami zaczęła się zapełniać na nowo gośćmi. Młodzi ludzie w jedwabnych ubraniach i płaskich słomkowych kapelusikach wykrzykiwali sobie w twarz uprzejme kalisperasas i zaraz potem słychać już było tylko cyfry.

— Joannis sprawił ci znowu pantofle — zapytał uradowany Pelopidas.

— A któżby jak nie Joannis — pochyliła się swym krótkim za krępym tułowiem nad nowymi pantofelkami. — Prawda, że w czarnej wężowej skórce noga najlepiej wygląda? — Nabrzmiałe jej usta wygięły się i obnażyły zęby lśniące białością.

Pelopidas podchwycił moje spojrzenie. — Amerykański technik zrobił jej zęby, śliczne, co?

Zapóźniony sprzedawca zatrzymał osła objuczonego koszami winogron przed kawiarnią i zaśpiewał pochwałę swego towaru z operową przesadą: — kala stafidia — podczas gdy jego rywal handlowy pod drugą palmą zasyczał nad koszami jasnych i ciemnych fig: syka fresca, syka fresca.

— Taki mąż jak Joannis co to za szczęście dla kobiety! — Pelopidas aż zakołysał się z zachwytu nad zięciem. — Jest komendantem policji u nas. Dumny jestem z niego. — Hotelarz popatrzył na mnie wyzywająco. — Ten zna się na swojej robocie. Korynt ma najludniejsze więzienie z całego Peloponezu, a przecież to nie portowe miasto. Ja mu czasem

dostarczam delikatnych wiadomości. Jak się ma hotel, to się niejedno wie. To się wie wszystko — powiedział z naciskiem i zaciążył spojrzeniem na mojej twarzy. — Jestem za silną rodziną — dodał po chwili — dlatego córki pilnuję. Nigdy nie jest sama.

Matka hotelarza przysunęła krzesło bliżej wnuczki i poprawiła fałd jej sukienki.

Zatrąbił autobus. Czerwone pudło podskakując zakręciło na drogę wiodącą do Aten.

Szofer wychylił się i krzyknął: Bracie, masz co do Aten to dawaj, a żwawo.

— Zaraz, zaraz. Apostolaki, moje okulary, Apostolaki, worek.

Długo wnoszono i wynoszono kosze i pudła. Pelopidas korzystał z każdej sposobności, żeby zarobić.

Kula przyglądała się oparłszy się na murze tarasu. Złoty krzyżyk przechylił się i spoczął na śniadej, obfitej piersi.

— Zostanie pani jeszcze na tarasie? — zapytała płaczliwym głosem matka Pelopidasa — skoczyłabym na chwilkę do siebie.

— Babka poszła zrobić sobie kawę, bo bez dzbanka mokki nie zaśnie — zaśmiała się Kula. — Wykradam dla niej z kredensu kawę, bo kiedy ona zajmuje się przyrządzaniem i piciem, mam chwile samotności. Wie pani o czym myślałam całe popołudnie? Jak w tej chwili wygląda plac Syntagma. Po ślubie byłam tydzień w Atenach. Jakie tam eleganckie cukiernie, sklepy. Kobiety tak ładnie ubrane...

Od strony dziedzińca doleciał głos Pelopidasa. Widać dobijał trudnego targu, bo wciąż powtarzał tę samą cyfrę.

Kula krótkimi, leniwymi zdańkami opowiedziała, że nie kocha ani ojca ani męża, że nie ma właściwie domu. Zajmuje z mężem jeden z hotelowych pokoi, tyle że stoją w nim wyprawne meble.

Zerwała goździk ze skrzynki i przycisnęła go do ust.

— Przepadam za tym zapachem — szepnęła nie odrywając kwiatu od ust — pociesza mnie, że jeszcze nie wszystko w moim życiu stracone.

Nad zatoką wzeszedł księżyc ogromny i lekki, patrzyłyśmy na niego jak na rzecz niezwykłą, gdy szybko szedł

w górę zalewając jasnością dachy, ulice i marszczki na powierzchni morza.

W tej chwili pogasły latarnie, to magistrat korynckı oszczędzał prądu wysługując się księżycem.

Na jezdni od strony restauracji pod palmami ukazał się wysoki, chudy mężczyzna. Poznałam w nim murzyna, który rano rozdawał nad morzem obdartym dzieciom bułki. Szedł z twarzą podniesioną, trzymał rękę wyciągniętą przed siebie jak człowiek, który próbuje czy pada deszcz.

— To Paweł — szepnęła zduszonym szeptem Kula i przywarła całym ciałem do parapetu — Paweł — powtórzyła z ustami przy murze. — On mówi tylko po francusku, wędruje po całym świecie żebrząc i rozdając biednym co użebrze. To święty. Ja czuję, że on wszystko może. — Paweł, Paweł — wykrzyknęła.

A murzyn wyciągnął się ku górze jakby rósł wspaniały w swoim dziwnym szaleństwie i zawołał śpiewnie na całe gardło aż echo poszło i odbiło się o mury domów: — Faîtes la charité. — Głos jego ciemny i ciężki od słodyczy wibrował i stworzył na chwilę kościół, w którym zamknięci byli słuchający, ich serca i namiętne przykazanie wołającego. Na chwilę przejrzysta cisza wypełniła ulice. Słyszałam ciężki oddech murzyna przed tarasem, szybkie zadyszenie Kuli i suchy szelest liści palmowych naprzeciwko.

Kula chwyciła mnie za rękę i uścisnęła, twarz jej przechylona wstecz wyglądała na twarz utopionej.

Murzyn znowu zaśpiewał, a głos jego płynął wzdłuż murów i bił w górę jak fontanna.

Kula otwarła oczy, ogarnęła spojrzeniem niebo a potem postać murzyna. Zdawało się, że rzuci się z tarasu jak ze skały w jego ramiona, ale ona tylko odpięła krzyżyk z szyi, włożyła go wraz ze zmiętym goździkiem w koronkową chusteczkę i przechyliwszy się przez parapet rzuciła jak w morze.

— Paweł — szepnęła namiętnie, gdy zamknęła się dłoń murzyna — Paweł! — Nigdy w ciągu tego nudnego popołudnia nie przyszło mi na myśl, że ta niepowabna, leniwa kobieta może przemówić takim przejmującym głosem.

Murzyn błysnął białkami, uśmiechnął się dziecinnie i odszedł powoli, a wraz z jego odejściem odczarował się świat, jak kiedy nagle ustaje muzyka.

— Byle mój ojciec nie zauważył — zatroskała się obejmując wydętą szyję krótkimi palcami.

Ale hotelarz spostrzegł brak krzyżyka na szyi córki, zanim zjedliśmy przystawki. Ani gęsty gazowy szal owijający szyję, ani skarżenie się na ból gardła nie zwiodły Pelopidasa.

Żuł w milczeniu oliwki (zwykle gadał z pełnymi ustami) nie spuszczając oczu z Kuli. Powieki i obwisłe policzki odęły się podejrzeniem.

— Ciekawam, co tam robi moja siemieniata kura — zamyśliła się stara chłopka.

Pelopidas ruszył się niecierpliwie.

— Co kochany? — zapytała.

— Dzióbie własne łajno.

Nadęty, ropuszy, łypiący złymi oczami i cały coraz grubszy od gniewu jadł szybko. Już w samym sposobie, w jaki jadł, nie gryząc a połykając, można było odczytać wzbierającą w nim pasję. Ubranie i koszula stały się nagle na nim za ciasne. Kołnierzyk wpijał się w gruby czerwony kark, mankiety koszuli uciekły w górę obnażając ogromne włochate ręce.

Było to nierozumne, ale czułam się czegoś winna i dreszcz przeszedł mi po grzbiecie.

Nagle komar zakrążył nad głową Pelopidasa. Hotelarz klapnął się w czoło, popatrzył na rozgniecionego komara i krople krwi na palcach. Wiedziałam, że teraz wybuchnie. Właśnie matka hotelarza nabierała drugą porcję ryżu z baranią wątróbką, kiedy Pelopidas brutalnie odsunął od niej półmisek.

— Jak mama nie spełnia tego, co poleciłem, to niech mama nie je.

Stara popatrzyła ze strachem na syna.

— Gdzie krzyżyk? — wrzasnął zrywając gazowy szal z szyi córki — czy mama może mi powiedzieć?

— Krzyżyk? — bełkotała stara.

— A, cizik, cizik — przedrzeźniał z wściekłością Pelopidas.

— Panaia mu — przeżegnała się stara.

— Panaia! Dużo nam pomoże? Co Joannis powie?! Jak ja mu się w oczy popatrzę? Czy mama całe popołudnie siedziała przy Kuli, cały wieczór?

— Wiesz, że nie opuszczam jej na chwilę — kłamała stara. — Nieraz nawet na stronę nie idę, tylko patrzę a patrzę.

— Coś ty z krzyżykiem zrobiła? Komuś go dała? Czy ty sumienia nie masz? Serca nie masz? Czy ty chcesz widzieć twego ojca w trumnie?

Kula odezwała się wreszcie. — Zgubiłam. Może się odnajdzie...

— Odnajdzie się! Tak jak bransoleta, jak pierścionek!

— A może to sroka kradnie — przerwała babka — u nas na wsi była jedna sroka...

— Zamilcz mamo, bo oszaleję. Sroka! Gachów się Kuli zachciewa, to im daje złoto. Złoto wynosi z domu! Jeszcze Joannis ją przepędzi. I będzie miał rację. Trzy lata po ślubie, a dziecka mu nie dała — wsparł się obu rękami o stół i dźwigał opasłe cielsko, ale w pół ruchu przystanął i wbił oczy w karafkę wina. Trwał tak, a Kula i babka wsunąwszy głowę w ramiona z otwartymi ustami patrzyły na niego. Pelopidas zaśmiał się krótko, wyprostował i młodzieńczym krokiem wybiegł z jadalni.

Tuż przy klatce schodowej w holu znajdował się pokój Anglika. Pelopidas zatrzymał się na chwilę z uchem przy drzwiach, zapukał i wszedł, zostawiając drzwi otwarte.

— Chciałbym zobaczyć moje pieniądze — krzyknął hotelarz. Tydzień mija, a grosza nie widziałem. Goście bez bagażu zawsze płacą z góry, a pan nawet teczki nie ma, jakby pan z nieba spadł.

— Czekam na telegram. Zapłacę. Zawsze płacę moje rachunki. Mój ojciec jest pastorem.

— Nie będzie żadnego telegramu. Znam się na tym. Ale i pana nie będzie w moim czystym, uczciwym hotelu. Proszę o pieniądze, albo niech pan idzie ze mną na policję.

— Dam panu wszystko.

— Co wszystko? — zastanowił się na chwilę Pelopidas.

Ale Anglik usiadł na łóżku i objął twarz rękami, jakby teraz dopiero zrozumiał, że jest w matni.

— Krzyżyk kraść, to ładnie. Anglik. Byron. Missolunghi — krzyczał bezładnie hotelarz.

Młodzieniec zerwał się. — Pan jest obłąkany, jaki krzyżyk znowu!

Kula podbiegła do ojca. — To nie on! — krzyczała szarpiąc go za połę brudnej jedwabnej marynarki.

A potem podeszła do Anglika i stanęła przy nim tak blisko, że prawie dotykała głową jego piersi.

— Niech lord przebaczy memu ojcu, on jest dla wszystkich taki.

— Lord? — zachichotał Pelopidas. — Lord? To zły człowiek, on nie ma pieniędzy. Mamo — krzyknął w stronę jadalni, gdzie stara chłopka zmiatała w pośpiechu wszystko, co zostało na półmiskach — niech mama przestanie jeść i zaprowadzi wreszcie Kulę do jej pokoju.

Odeszły i wtedy dopiero zobaczyłam Joannisa zaczajonego za skrzydłem drzwi wahadłowych. W brudnym mundurze, nieogolony, o przekrwionych oczach robił wrażenie ukrywającego się zbrodniarza i pewnie był nim, chociaż w tej chwili w imieniu prawa tropił przestępcę.

Cicho na gumowych podeszwach podszedł Joannis do teścia i łasząc się jak kot wymruczał pieszczotliwie: Kalisperasas. — Na widok komendanta policji Anglik rzucił się do okna i wyskoczył na ulicę, ale już tłum gapiów pomagał policjantom w pościgu.

Wróciłam na taras w przykrym stanie ducha spowodowanym bezsilnością. Oto byłam świadkiem dziwnego splotu wydarzeń, w których trudno było doszukać się sensu. Ale bywa nieraz i tak, że właściwy sens wydarzeń czeka na nas w czasie mającym dopiero nadejść, aby wyjawić nam nagle drobną prawdę potrzebną do zrozumienia losu.

Zrzadka tylko słychać było kroki powracających do domu przechodniów. Coś jakby westchnienie uniosło się znad morza i popłynęło w ulice uśpionego miasta. Była to niedobra chwila przed północą, kiedy opada ostatnie podniecenie dnia, a samotność przynosi tylko zniechęcenie.

Apostolaki zmiatał dywan na schodach wyłysiałą miotłą z indyczych piór, co parę stopni przystawał, by zanucić zardzewiałym głosem rzewną piosenkę. Apostolaki marzył o tym, aby opuścić służbę u Pelopidasa, ale nie miał odwagi powiedzieć o tym swemu panu.

Od strony zatoki odezwało się jękliwe łkanie syreny okrętowej. To „Frinton" przepływał przesmyk w drodze ku Brindisi. I w tej chwili przy dźwiękach syreny jak przy fanfarach wkroczyli do hotelu teść i zięć. — No i wie pani kim był ten bezczelny Anglik? Takie niewiniątko, prawda? Zabił swego zwierzchnika na Cyprze i uciekł samolotem. Rybacy znaleźli już maszynę. Jedno mnie zastanawia, dlaczego nie przyznał się, że wziął krzyżyk Kuli. Anglicy to tacy dziwacy!

Poczęstował mnie winem, ale odmówiłam, dość było znosić samą obecność obu mężów sprawiedliwości.

Długo jeszcze potem dolatywały mnie przez otwarte okna urywki rozmowy Joannisa z Kulą. Groził, prosił, nalegał — ona płakała i powtarzała niezdarne kłamstwo, że zgubiła krzyżyk. Wiedziałam, że nic nie wyzna tej nocy, ale z przykrością myślałam o tym, co ją czeka. Była zbuntowana i bezradna.

JADWIGA SKIRMUNTTÓWNA

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WSPOMNIEŃ O RODZIEWICZÓWNIE

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Zmarła niedawno Rodziewiczówna, na której twórczości wychowało się kilka pokoleń, — jest wciąż jeszcze jednym z najbardziej poszukiwanych i czytanych autorów. Świadczy o tym choćby fakt wznawiania coraz to nowych jej powieści i szybkie wyczerpywanie nakładów.

Ale nie tylko sama twórczość wybitnej pisarki interesuje czytelników. Chcą oni wiedzieć także i o losach tej niezwykłej kobiety, która niepospolity talent pisarski prawie w całości poświęciła idei utrzymania ziemi i zachowania ducha narodowego, — gdy kraj nasz tonął w mrokach niewoli. A przecież, — gdyby zechciała była w swoim czasie zainteresować się także innymi problemami, pasjonującymi społeczeństwo, gdyby je pogłębiła, w swym dorobku artystycznym uzyskałaby napewno jeszcze większe osiągnięcia.

Ulegając namowom otoczenia, p. Jadwiga Skirmuntt, najbliższa przyjaciółka Rodziewiczówny — skreśliła dzieje tej ich przyjaźni, szczególnie uwzględniając ostatnie lata życia pisarki. Bo jeśli o poprzednim okresie działalności Rodziewiczówny pisali już niejednokrotnie fachowi i przygodni krytycy oraz wielbiciele jej talentu, to od chwili wybuchu wojny, — co jest wybaczalne i zrozumiałe, — ale i po jej zakończeniu, co jest dla pamięci autorki wysoce krzywdzące, — nikt nawet skromnej notatki o niej nigdzie nie umieścił. Społeczeństwo, interesujące się sprawami literackimi, nie wie dziś nawet, czy Rodziewiczówna żyje jeszcze, czy umarła.

Brakowi temu zapobiec powinien nie wydany narazie jeszcze w całości pamiętnik p. Jadwigi Skirmuntt, którego ostatnie rozdziały drukują właśnie poniżej „Zeszyty Wrocławskie". Wspomnienia te nie mają pretensji do tego, by je uważano za dzieło o wysokiej artystycznej wartości, bo autorka ich nie jest zawodową literatką. Mają one być tylko przyczynkiem do poznania Rodziewiczówny jako człowieka i pisarza, a oba te pojęcia splatają się na ogół wzajemnie.

Jadwiga Skirmunttówna stylem prostym i bezpretensjonalnym opowiada o tym, kiedy i w jakich okolicznościach poznała Rodziewiczównę, streszczając także szereg innych wiadomości, tyczących się pisarki, jej rodziny, domu, początków twórczości. Opowiada o ich przyjaźni i wspólnych wycieczkach po Pińszczyźnie z Chełmońskim, — o tym, w jak oryginalny sposób powstała jedna z najpiękniejszych w literaturze polskiej książek „Lato leśnych ludzi".

Początkowo p. Skirmuntt mieszka u siebie, w niedalekim ślicznym Mołodowie, ale z czasem Jadwiga i Maria tak się zbliżają wzajemnie, że postanawiają obie zamieszkać pod jednym hruszowskim dachem. Rodziewiczówna jest już wówczas u szczytu sławy, ale wciąż jeszcze pisze. Wobec tego p. Skirmuntt bierze w zupełności na siebie ciężar prowadzenia gospodarstwa kobiecego i domu, dając przez to przyjaciółce więcej wolnego czasu do jej pracy literackiej i społecznej. Zżywają się też wówczas obie tak blisko, że gdy kiedyś w zimowy, nie kończący się wiejski wieczór usiądą razem przy kominku, — po długim milczeniu — nagle i równocześnie — wypowiadają tę samą myśl. Z biegiem lat staje się Jadwiga Skirmunttówna dobrym opiekuńczym duchem Rodziewiczówny, pomagając jej także i w pracy społecznej, usuwając z drogi jej życia wszystkie przeszkody. W końcu, zwłaszcza w czasach choroby, brak osoby jej przy boku Rodziewiczówny jest nie do pomyślenia.

Wybuch wojny i połączone z nią komplikacje sprawiają, że sędziwa już wówczas autorka traci wraz ze swą przyjaciółką dach nad głową. Trwają jeszcze parę tygodni u siebie w Hruszowej w warunkach bardzo ciężkich, ale zmuszone w końcu okolicznościami, wyjeżdżają do pobliskiego Kobrynia a stamtąd do Brześcia. Już na początku swej tułaczki spotykają się przyjaciółki z jak najbardziej życzliwym ustosunkowaniem się do nich całego polskiego społeczeństwa i to zarówno ze strony dawnych znajomych, jak też ludzi, których do ofiarności pobudza tylko dźwięk imienia Rodziewiczówny.

Z kolei, po wielu perypetiach panie dostają się do obozu niemieckiego w Konstantynowie pod Łodzią. Przebyły tam parę bardzo ciężkich tygodni. I jeżeli Rodziewiczówna obóz ten przetrzymała, to tylko dzięki — aż do samozaparcia się posuniętej troskliwości swej przyjaciółki, która strzegła jej na każdym kroku, osobiście pertraktując z „władzami", co w całej tej gehennie było chyba rzeczą najtrudniejszą i najprzykrzejszą.

Z obozu wydostała się Rodziewiczówna tylko dzięki zabiegom pp. Mazarakich z Żeromina, którzy użyli wszystkich możliwych wówczas środków, by jej i p. Skirmuntt pomóc. Stamtąd — poprzez kilka innych jeszcze drobnych etapów — dobrnęły panie do Warszawy, gdzie zamierzały przetrwać wojnę. O dalszych ich losach — opowiada fragment pamiętnika.

Roman Aftanazy

Rozdział 13

Po przybyciu naszym do Warszawy, stwierdziłyśmy z radością, że stolica, choć zniszczona i terroryzowana, nie przestała być sercem Kraju i jakkolwiek potęga niemiecka w owych pierwszych czasach rosła z dniem każdym i coraz nowe ujarzmiała państwa, — Warszawa ani na chwilę nie straciła wiary w zwycięstwo i przyszłość Narodu, siłą moralną i pracą podziemną walcząc z wrogiem. Było to bohaterstwo każdego dnia i każdej godziny, wszystkich warstw społecznych i ludzi wszelkiego wieku, — do dzieci włącznie.

Pomimo osobistych strat i bolesnych wspomnień, dobrze nam było żyć z tymi ludźmi i w tym mieście kochanym, a Rodziewiczówna często powtarzała, jak niezmiernie czuje się szczęśliwa, iż nie znalazła się gdzieś za granicą, lecz „cierpi z całym Narodem".

Czas mój dzieliłam między nią a brata, który zresztą wiosną 1942 r., wraz ze swym pielęgniarzem wyjechał do dalekich naszych krewnych, mieszkających w Chrząstkowie pod Częstochową i tam pozostał aż do chwili odwrotu Niemców. Środki nasze materialne były wówczas tak ograniczone, że finansowo nie mogłyśmy sobie dać rady, pomimo jak najskromniejszego trybu życia. Toteż gdy zostałyśmy same z Rodziewiczówną, marzyłyśmy o wyjeździe latem na wieś i o znalezieniu na jesień innych, spokojniejszych warunków życia.

Tymczasem jednak, gdy wieść o pobycie Rodziewiczówny w Warszawie rozniosła się szerzej, stała się pisarka znowu magnesem przyciągającym ludzi myślących i czujących głęboko, a pokój jej skromny coraz częściej odwiedzać zaczęli znajomi i nieznajomi rodacy z Polesia, jakich losy aż tu zagnały. Często szukali oni rady, pomocy lub choćby tylko otuchy.

Któregoś dnia zjawił się u niej niespodziewanie właściciel dwóch dużych sklepów bławatnych o nazwisku niemieckim, ale po polsku czującym sercu — p. Krauze. Przyszedł wyrazić słowa uznania dla jej twórczości i pracy, powiedzieć, że wszystkie jej książki zna i ma w swojej bibliotece, — jednym słowem — nawiązać stosunki, którym póź-

niej tyle zawdzięczałyśmy. A nazajutrz przyniesiono z kwieciarni kosz wspaniałych kwitnących azalii.

Wiosną otrzymałyśmy upragnione zaproszenie na wieś do małego, ale bardzo ładnie położonego dworku pod Warszawą — Olszyny, należącego do dobrze nam znanej p. Królikowskiej, mieszkającej tam wraz z matką i córką.

Olszyny przyjęły nas też sercem całym. Dostałyśmy miły, niekrępujący pokój, mieszczący się w małej oficynie, gdzie po męczących ostatnich dniach warszawskiego życia — rozlokowałyśmy się z prawdziwą rozkoszą.

Miałyśmy w tej naszej oficynce wiele swobody, a że w Olszynach bywało dużo, czasem zbyt głośnej młodzieży, nieraz — w okresie liczniejszych zjazdów wolałyśmy jadać u siebie, w czym gospodyni domu zostawiała nam pełną swobodę.

Toteż wkrótce siły Rodziewiczówny zaczęły się poprawiać widocznie. W piękne dni leśne chodziłyśmy do lasu, przylegającego do domku, w którym mieszkałyśmy i nad pobliskie jeziorko, szukając grzybów. Czasem siadywałyśmy po prostu przed słoneczną ścianą oficynki, gdzie posadziłyśmy grządkę pomidorów, których doglądałyśmy pieczołowicie, wspominając nasze wspólne roboty ogrodowe w hruszowskich inspektach. Czułyśmy się wówczas dobrze i swobodnie. Nieraz odwiedzali nas tam domowi i przyjezdni, a czas jakiś mieszkała nawet obok nas matka bohaterskiej p. Krasowskiej, zamęczonej przez Gestapo. Po „badaniu" odesłano ją nieprzytomną do domu, gdzie wkrótce zmarła. Wiadomo, że później została ona pośmiertnie odznaczona krzyżem „Virtuti Militari".

W warunkach spokoju i przyjaznego otoczenia, jakie miałyśmy w Olszynach, lato mijało szybko. Niepokojącą była tylko myśl, że nie wiedziałyśmy jeszcze, gdzie w Warszawie, po powrocie ze wsi zamieszkamy. Chciałyśmy bowiem mieć w przyszłości więcej niż dotychczas swobody i ciszy.

Dowiedział się o tych naszych troskach p. Krauze i przybył natychmiast, prosząc, byśmy się przeniosły do jego dużego mieszkania na roku Królewskiej i Marszałkowskiej. Umówiliśmy się, że przyjadę do Warszawy zobaczyć, jak się ta sprawa przedstawia, — i pojechałam.

Stolica przeszła 2 naloty, w czasie których bardzo ucierpiała właśnie okolica domu, w jakim miałyśmy obecnie zamieszkać. Wszędzie prawie wypadły szyby. Lecz mimo to, po obejrzeniu mieszkania, wybraliśmy razem z właścicielem 2 miłe pokoje. P. Krauze obiecał szyby wstawić, ale o żadnym honorarium słyszeć nie chciał, traktując naszą gościnę u siebie jako przyjacielską usługę.

W końcu września postanowiłyśmy przenieść się już do Warszawy, do naszego nowego mieszkania przy Królewskiej. P. Krauze znowu przyszedł nam z wydatną pomocą, przysyłając ciężarówkę. Gdy wieczorem dojechałyśmy szczęśliwie do miasta, nowy nasz opiekun czekał już na swoje lokatorki z tradycyjnym chlebem i solą oraz wiązanką pięknych róż. Natychmiast zainstalowałyśmy się w pustym jeszcze na razie mieszkaniu. PP. Krauzowie bowiem po ostatnich nalotach zdecydowali się nie wracać do Warszawy na stałe, lecz pozostać jeszcze przez czas jakiś w Radości. U nich zamieszkać mieli różni ich krewni, przebywający podówczas poza Warszawą.

Przez parę więc pierwszych tygodni było nam w tym nowym, pustym locum trochę nieswojo, ale gdy się ono powoli zapełniło i stosunki z przybyszami ułożyły się przyjazne i życzliwe, odetchnęłyśmy z ulgą. Przez dwa lata nikt nam w tym domu nigdy nie zrobił najmniejszej przykrości. A była to — jak mówiła Rodziewiczówna — rzecz podziwu godna, gdyż przy jednej kuchni gotowały trzy gospodynie, reprezentujące trzy poszczególne rodziny.

Naprzeciw nas, na tym samym piętrze, mieszkała administratorka domu p. Jurewiczowa, która od pierwszych dni najprzyjaźniej się do nas odniosła, a stosunki z nią do końca pozostały proste i serdeczne.

Pomimo wojny i związanych z nią trosk, niepokojów i zgryzot, pomimo, że ciągle mogło nam grozić takie czy inne niebezpieczeństwo, mimo, że naprawdę na każdym kroku „on côtoyait la mort", przeżyłyśmy w tych naszych dwóch pokoikach dużo dobrych chwil spokoju i pogody, otoczone pamięcią i opieką całego Kraju. Pod adresem Rodziewiczówny przychodziły z różnych stron paczki, przynoszące nam sercem obmyślane zaspokojenie naszych żywnościowych potrzeb. Ale nikt tak o tym nie pamiętał i tak nam

nie dogadzał, jak dwie przezacne rodziny: pp. Ślaskich z Broniszowa i p. Zofii Kleniewskiej ze Szczekarkowa. Dzięki obfitości tych paczek, nie tylko my mogłyśmy żyć we względnym dostatku, ale byłyśmy nawet w możności niejednokrotnie przychodzić z pomocą innym. Cieszyła się tym Rodziewiczówna, przypominając słowa ukochanej matki: ,,Chcesz mieć — to dawaj".

Przychodziły też paczki z Czerwonego Krzyża ze Szwecji, z Ankary i Lizbony. Te mogłyśmy spieniężać, a dla naszych tułaczych zasobów było to ogromną pomocą.

Zdarzały się też czasem rzeczy specjalnie wzruszające. Oto nieznajomi zupełnie ludzie przychodzili pytać, czy Rodziewiczówna nie głodna, czy czego nie potrzebuje. Skromny urzędnik z Mokotowa przyniósł nam kosz jarzyn. Niepozornie ubrana kobieta z Powiśla — upieczoną przez siebie bułkę, odwiedzając nas następnie częściej, — a nigdy z pustymi rękoma. Byli to wypróbowani przyjaciele, których przyciągało imię Rodziewiczówny, a wzruszało jej serce do głębi, tak że rozrzewniona powtarzała często, iż tu w Warszawie czuje się pod niezawodną i zaszczytną opieką całego Narodu.

Mówiłam jej też często, że nie ma niczego milszego nad załatwianie dla niej sprawunków na mieście, bo gdy tylko wspomnieć jej imię, wszystkie twarze się rozjaśniają, a przeszkody w mig zostają usunięte.

Na rogu Marszałkowskiej i Placu Dąbrowskiego mieścił się sklep materiałów piśmiennych firmy ,,Dzierżanowski". Zaszłam tam kiedyś kupić dla Rodziewiczówny większą ilość gilz do papierosów, o które było już wtedy trudno, więc właścicielka odmówiła mi, dając tylko część. ,,Proszę pani" — próbowałam jeszcze — ,,to nie dla mnie, to dla Rodziewiczówny, autorki"... ,,I pani mówi prawdę?", zapytała z przejęciem — ,,czyż ona tu jest?" — ,,Jest napewno, mieszkam z nią w jednym pokoju". Popatrzyła na mnie uważnie, ale widocznie nie wyglądałam na kłamcę, uśmiechnęła się w końcu i żądane gilzy po chwili wręczyła. Wkrótce po tym zaszłam tam z Rodziewiczówną. Radość była ogromna, cały personel magazynu witał ją gorąco, prosząc, aby zawsze i po wszystko tylko do nich chodziła. Odtąd i w tym sklepie miałyśmy pewnych przyjaciół, witają-

cych nas zawsze serdecznie i podających Rodziewiczównie za wszystkie nabywane przez nią towary śmiesznie niskie ceny.

W tym czasie musiałyśmy wyrobić sobie niemieckie „kenkarty". Zaniosłam więc do odpowiedniego urzędu podanie Rodziewiczówny i jej stary, cudem ocalały przedwojenny paszport rosyjski, by nie tracić polskiego. Urzędniczka, do której mię skierowano, obojętnie zaczęła czytać podanie, lecz raptem zwróciła się do mnie: — „Maria Rodziewiczówna", zapytała ze wzruszeniem — „jakto, ta nasza?" Na moje zapewnienie, że to rzeczywiście ta nasza, rozpromieniła się, obiecała wszystko jak najprędzej załatwić, prosząc, bym ją zawiadomiła, gdy się trzeba będzie osobiście zgłaszać po odbiór dokumentu. Pragnęła dopilnować, aby Rodziewiczówna broń Boże nie stała w ogonku.

Wróciwszy do domu, opowiedziałam mej przyjaciółce całe to zdarzenie. Jakże się ona serdecznie ucieszyła! „Wiesz" — powiedziała mi — „słowa: ta nasza, to chyba największa dla mnie nagroda!"

Któregoś znów dnia zjawiła się u nas osoba zupełnie nam nie znana, ubrana w prosty płócienny płaszcz, przedstawiając się w następujący sposób: „Moje nazwisko jest Kozak, ale nie ten zaporoski, tylko spod Poznania". Opowiedziała następnie, że jest z fachu ogrodniczką, że miała z synem duży ogród koło Poznania, a kiedy ją stamtąd wysiedlono, wzięła w dzierżawę ogród p. Szustra na Mokotowie. Powodzi jej się obecnie nie źle, więc też pragnie podzielić się z innymi potrzebującymi. „Przyniosłam pani trochę pieniędzy do podziału według pani uznania, bo jej ufam" — powiedziała, kładąc przed Rodziewiczówną sporą paczkę asygnat. Przeliczyłyśmy, było tego 6.000 zł., suma w owych czasach znaczna jeszcze. Rodziewiczówna, dziękując jej ze wzruszeniem wyraziła zdanie, że chcąc ludziom pomóc naprawdę, nie można im chyba dawać jednorazowo mniej, niż 500 zł. „Zrobi pani, jak pani uważa, bo wiem, że będzie dobrze i sprawiedliwie" — brzmiała odpowiedź.

Z Kozakową zetknęłyśmy się jeszcze później parokrotnie. Pieniądze przez nią przyniesione rozeszły się łatwo, gdyż wiedziałyśmy o wielu potrzebujących. Pokwitowania odbioru tej zapomogi miałyśmy w porządku, lecz kiedyśmy

jej to chciały przedstawić, patrzeć na papierki nie chciała, odpowiadając na wszystko słowami pełnymi prostoty: „Przecież ja pani ufam..." Nieraz nam dawała jeszcze znak pamięci, przysyłając paczkę żywnościową skombinowaną z własnego gospodarstwa.

Rodziewiczówna, która wbrew pozornemu panowaniu nad światem złych mocy, coraz liczniejsze zbierała dowody ludzkiej dobroci, miłosierdzia i poświęcenia, była zawsze pełna optymizmu, pokrzepiając nim wątpiących. „Bo czyż ci wszyscy ludzie, pamiętający o nas nie są z Królestwa Bożego?" — mawiała.

Ktoś dał nam adres firmy Skrodzki, biura handlowego przy ul. Kredytowej, gdzie można było sprzedawać zawartość zagranicznych paczek. Chodziłam tam często, a gdy się dowiedziano, że sprawunki te załatwiam dla Rodziewiczówny, płacono mi najwyższe ceny. To zaś, cośmy u nich kupowały, np. wino, sprzedawano nam po cenie kosztów własnych. Kiedyś przyszła do sklepu przy mnie jakaś pani, sprzedająca kawę. Właściciel zgodził się na żądaną sumę, ale obejrzawszy towar dokładniej, zaopiniował, że jest on wart więcej, więc zapłaci za nią drożej. Wróciwszy do domu, opowiedziałam o tym fakcie Rodziewiczównie. Postanowiła, że musi tych ludzi poznać osobiście. Nazajutrz poszłyśmy więc na Kredytową. Interesantów było sporo, więc usiadłyśmy na boku, czekając na naszą kolej. A kiedy właściciel zwrócił się do nas, Rodziewiczówna powiedziała mu po prostu: „Nie potrzebuję proszę pana niczego. Przyszłam tylko zobaczyć, jak wygląda w handlu Królestwo Boże". I od tej chwili zawiązał się z nimi bliski, serdeczny stosunek, oparty na jednakowym rozumieniu wielkiej idei Królestwa Bożego w codziennym, zwykłym, człowieczym życiu.

W tych wojennych latach naszego warszawskiego życia miałyśmy też dużo do czynienia i bardzo miłe stosunki z organizacją Polski podziemnej, cywilną i wojskową. Większość naszych znajomych brała w organizacjach czynny udział, poświęcając im swój wszystek czas, narażając życie w gotowości codziennej służby. Były nadawcze i odbiorcze, oczywiście tajne radiostacje, kolportaż sprawozdań radiowych, zbierano ofiary pieniężne i zapasy żywności na czas

nadchodzącej zbrojnej rozprawy z wrogiem i t. d. Wszyscy czerpali otuchę z poczucia słuszności naszej ojczystej sprawy, wszyscy, pomimo trzymającej się jeszcze potęgi okupanta wierzyli w jego przegraną, w nadejście godziny miłosierdzia nad Polską. I my żyłyśmy całą duszą tą właśnie atmosferą duchowej mocy i niezłomności Warszawy.

Kościoły były stale przepełnione tłumami tak rozmodlonymi, jakich przed tym nigdy nie zdarzyło mi się widzieć.

A wychodząc z kościoła, widziało się naklejone na słupach nowe listy ofiar, — nieraz tak liczne, że krew ścinała się w żyłach... Pamiętam podobną listę o 270 nazwiskach, zaczynającą się od 19-letniego chłopca — młodego Schielego.

Kiedyś przeżyłyśmy w nocy ciężką chwilę alarmu. Obok naszego pokoju była bursa p. Krauzego, gdzie mieszkało 6-ciu młodych chłopców. O 2-giej rozległ się gwałtowny dzwonek, dało się słyszeć dobijanie się do drzwi wejściowych. Następnie posłyszałyśmy liczne głośne kroki, niemiecką rozmowę. Ktoś poruszył naszą klamką i... poszedł dalej. Do rana jednak trwał przykry gwar w mieszkaniu i gwałtowny ruch. Gdy zaś nareszcie wszystko umilkło, dowiedziałyśmy się, że była to rewizja w bursie, gdzie znaleziono dużo tajnych wydawnictw. Chłopcy zostali aresztowani, a wszyscy inni mężczyźni także z mieszkania uprowadzeni. Chłopców tych jużeśmy więcej nie ujrzały. Trzech z nich rozstrzelano. Inni mężczyźni po kilku tygodniach wrócili wprawdzie szczęśliwie do domu, niemniej był to nowy dowód, że rzeczywiście w każdej chwili i na każdym kroku — „on côtoyait la mort".

Z naszym wojskiem podziemnym miewałyśmy częstą styczność w ciągu ostatnich dwu lat, bo i ono interesowało się losem i potrzebami Rodziewiczówny. Przychodził do nas często czynny przedstawiciel wojska, tak zwany „pan Józef" — bo nazwisk nie mówiono dla obopólnego bezpieczeństwa, — a i my wolałyśmy ich nie wiedzieć. Był on też pośrednikiem pomocy wojskowej dla wysiedlonych i potrzebujących, pośrednikiem ofiarności społecznej w utrzymaniu niektórych instytucji, jak kuchnia dla literatów i dziennikarzy, która pomagała całemu zastępowi ludzi pióra, będących w czasie wojny w bardzo ciężkich materialnych warunkach. Co jakiś czas ktoś od p. Józefa przy-

nosił nam zapas najpotrzebniejszych produktów, cukru i tłuszczu, co jakiś czas p. Józef przepadał, tak żeśmy się trwożyły, czy nie wpadł w ręce Gestapo, czego parę razy rzeczywiście cudem uniknął, -- ale po przerwie znowu zjawiał się niespodzianie, trochę czasem zmieniony w zewnętrznym wyglądzie, ale zawsze ten sam moralnie — pełen wiary w przyszłość.

W lipcu 1944 r. coraz częściej powstawały pogłoski o bliskim powstaniu, a w nas dusza drżała, czy nie zawcześnie?... Bywały dni ostrego w organizacji pogotowia, po tym je odwoływano i znowu następowała cisza — przed burzą.

Tego ostatniego lata przychodziło do nas dużo młodzieży męskiej i żeńskiej, o znanych i mniej znanych nazwiskach, np. Dowgiałłowie — brat i siostra (on zginął w powstaniu). Wszyscy byli pełni zapału, otuchy, pewności zwycięstwa, wszyscy nieśli swoje młode życie w ofiarnej dani, byle Polska odzyskała niepodległość. W końcu lipca coraz uporczywiej krążyły wieści o bliskim wybuchu orężnej rozprawy. Wśród niemieckich wojsk coraz wyraźniejszy stawał się ruch wycofywania się i wywożenia co się dało. Od strony Żelaznej Bramy i Królewskiej ku Marszałkowskiej ciągnęły szeregi ciężarówek, jadące wszystkie w jedną stronę. Nas ogarniało wzruszenie: „czy to już?"...

Pamiętam, że nieraz, kiedy we dwie z Rodziewiczówną spędzałyśmy spokojne godziny wieczorne przy rozmowie, robocie, czy pasjansie, i wyrażałyśmy nasze znękanie bez końca ciągnącą się wojną, miałam uczucie, że mogą jeszcze przyjść czasy, gdy te wieczory będą się wydawać wspomnieniem pełnym pogody... Ileż razy to sobie później przypominałam...

Rozdział 14

W ostatnich dniach lipca 1944 r. pogotowie było parokrotnie ogłaszane i znów odwoływane. Aż 1 sierpnia, o 4-tej po południu, wpadła do nas jedna ze znajomych sióstr Ewangeliczek, które na 5-tym piętrze w oficynie miały swój szpital z zawiadomieniem i poleceniem Dra K., że dziś o piątej wybucha powstanie. Doktór pojechał już objąć swój posterunek na Filtrowej.

Wrażenie było ogromne. Zebrałyśmy z Rodziewiczówną najpotrzebniejsze na noc rzeczy i zeszłyśmy na dół, pytając siebie, co nas czeka i czy wrócimy do tych gościnnych kątów, w których spędziłyśmy prawie dwa lata — tak stosunkowo dobre i spokojne?

Odprowadziwszy Rodziewiczównę do mieszkania pp. Jurewiczów, wróciłam jeszcze na górę ostrzec naszych współlokatorów o wybuchu powstania i chwycić, co mogłam z naszych rzeczy. Zaledwie wróciłam, rozległy się gęste i głośne strzały. Słuchałyśmy z przejęciem, myśląc, czy zwiastują one bliskie już zwycięstwo, czy nową klęskę?... Wkrótce przyszła jeszcze p. Jurewiczowa z synem, komendantem domu i paru innymi lokatorkami. Cała nasza gromadka spędziła ten pierwszy wieczór w przejętym skupieniu, czując, że przeżywamy znowu ważną chwilę dziejową.

Grzechot karabinów ręcznych, maszynowych, coraz częstsze wybuchy czołgowych i działowych pocisków — trwały cały wieczór — a i noc ciszy nie przyniosła. Postanowiłyśmy wobec tego nie rozbierać się wcale, ale być gotowym na wszystko.

Od pierwszego dnia zdaliśmy sobie sprawę z tego, że ul. Królewska była odcinkiem bardzo gorącym. Saski ogród mieli w swym ręku Niemcy, którzy odrazu zaczęli na Królewską wywierać nacisk bardzo silny. Odcinek nasz stanowił pierwszą linię bojową — tak zwany front. Poza tym przez Niemców obsadzony był gmach telefonów na rogu Zielnej i Próżnej, — powszechnie nazywany „Pastą". Widzieli oni stamtąd jak na dłoni Marszałkowską, Plac Dąbrowskiego i karabinami maszynowymi mogli z łatwością sprzątać wszystkich, którzy się w zasięgu strzałów ukazali.

Nazajutrz rozgorzała walka w całym mieście. Biły wszelkiego rodzaju pociski, zaczęły krążyć samoloty, które zniżając się prawie nad dachy domów, siekły z niskiego pułapu karabinami maszynowymi albo zrzucały mordercze bomby.

Duży korytarz i mieszkania parterowe naszej oficyny zajęli lokatorowie z innych pięter, na dole — w piwnicach urządzono schrony. Ile razy nadciągały samoloty, ktoś wpadał gwałtownie, wołając: „Nalot! Wszyscy do schronu!" My z Rodziewiczówną postanowiłyśmy odrazu, że do schronu schodzić nie będziemy. Powietrze piwniczne działało bo-

wiem zabójczo na jej astmę, zwłaszcza w ścisku stłoczonych tam osób. Zostawałyśmy więc w mieszkaniu, przechodząc tylko do wewnętrznego korytarzyka, i tam — siedząc obok siebie — modliłyśmy się, gotowe na wszystko.

Naloty bywały straszne, a wstrząsy tak gwałtowne, że ziemia pod wpływem wybuchów zdawała się uginać. Wydawało się czasem niepodobieństwem przeżyć to wszystko cało. Mimo to, po paru dniach zaryzykowaliśmy pójść z p. Jurewiczem do mieszkania na górze, by przynieść z zapasów naszych trochę żywności. Mieszkanie całe podziurawione już było wystrzałami karabinowymi, ale stały jeszcze ściany i trzymały się sufity. Wchodząc do pokoju, mającego okna skierowane w stronę Ogrodu Saskiego, musiało się zginać do ziemi, aby się nie narazić na zranienie. Komunikacja między domami odbywała się wobec niemożności wyjścia na ulicę w ten sposób, że wybito połączenia między piwnicami-schronami i przez te otwory odwiedzano się wzajemnie.

Wśród tej nieustającej grozy zaczęły nam płynąć dni i tygodnie. Pamiętam, że drugi tydzień powstania był znacznie raźniejszy, niż pierwszy. Nasi trzymali się po bohatersku, pełni zapału i męstwa. Przyszły nawet wieści o odbiciu paru ważnych punktów. Zdawało się wówczas, że może jednak idziemy już ku ostatecznemu zwycięstwu... Nastroje wahały się w zależności od natężenia walk i wieści z miasta. Któregoś dnia przyszło do naszego mieszkania kilku wojskowych: komendant naszego odcinka, jego adiutant — młody Plater, i paru innych. Urządziliśmy dla nich skromne przyjęcie. Nastrój był bardzo serdeczny i pełen wiary w przyszłość. Niestety — dowiedzieliśmy się wkrótce, że komendant-porucznik poległ na swoim posterunku, a Plater padł rażony kulą w chwili, gdy przebiegał przez plac Dąbrowskiego.

Mieliśmy w tych czasach jeden dzień radosny, gdy nasi chłopcy zdobyli wspomniany wyżej gmach „Pasty", szerzącej morderczy ogień karabinów maszynowych, ustawionych na szczycie dachu. Ciekawym był dziennik jednego z ujętych hitlerowców. Na podstawie lektury jego widziało się, że sytuacja Niemców stawała się z dniem każdym cięższa, brakowało im żywności, odcięty mieli dopływ wody i światła. Niektórzy, opanowani rozstrojem nerwowym, kończyli sa-

mobójstwem, wiedząc, że dłużej w tych warunkach nie wytrzymają. Zdobycie gmachu powitano ogromną radością. Komendant naszego domu jak dzieciak tańczył po pokoju. Zdawało się, że będzie to już chwila przełomowa ku upragnionemu zwycięstwu, lecz stało się wprost przeciwnie. Była to bowiem właśnie jedna z ostatnich chwil radości.

Któregoś dnia znowu zaryzykowałam wyprawę na górę. Niestety, pocisk zrobił już wyrwę w pokoju obok, ściana została zwalona, a pokój nasz cały zasypany gruzem i deskami z sufitu. Z wielkim trudem dostałam się do szafy, której już jednak otworzyć nie mogłam, bo zamki były pogięte. Niewiele więc zdobywszy, wróciłam przybita smutnym widokiem tej ruiny.

Ale i w czasie potęgującej się na wieść o zniszczeniach i potwornych ofiarach w ludziach depresji duchowej, zdarzały się jeszcze dni, dodające otuchy. Zaczęły przychodzić tzw. „zrzuty" od Aliantów. Kiedyś taki spadochron wylądował przed domem, w którym mieszkałyśmy. Nasi młodzieńcy przyciągnęli go na dziedziniec i w naszym saloniku właśnie odbijali skrzynki z amunicją. Raz spuszczono działko przeciwczołgowe „Fiat", a potem doniesiono nam z radością o rozbiciu paru czołgów.

Nacisk na Królewską stawał się jednakże coraz ostrzejszy. Bomby niszczyły okoliczne domy. Któregoś dnia zjawili się też u nas mieszkańcy spod nr. 23, między innymi pp. Hołyńscy, którzy spod bomb. rozbijających ich mieszkanie, w jakim dali przytułek tylu różnym wygnańcom, uszli wprawdzie z życiem, ale dosłownie z tym tylko, co mieli na sobie.

Dnia 15 sierpnia urządzono uroczyste nabożeństwo w dużej sali na parterze. Zamiast złotego kielicha — było szkło, zamiast pateny — talerzyk. Sala jednak zapełniła się. Poszliśmy wszyscy do spowiedzi i Komunii św., wiedząc, że każdy dzień naszego życia może być ostatnim.

W minionym tygodniu coraz częściej zdarzały się noce, gdy nasz komendant radził nie kłaść się w ogóle, bo może właśnie w nocy zajdzie potrzeba opuszczenia domu. Ktoś z nas na zmianę dyżurował, aby w razie ostatecznego alarmu, innych w porę pobudzić. Po takich nocach trwały

znów dni pełne grozy wśród pękających bomb i wycia pocisków.

Zaczęłyśmy się z Rodziewiczówną poważnie zastanawiać dokąd pójdziemy, gdy Królewską rzeczywiście trzeba będzie opuścić. Bo groziło nam to każdej chwili. Najbliższym domem znajomym okazała się posiadłość ks. Czartoryskiej przy Kredytowej 12. Można się tam było przedostać przez piwnice i podwórza. Toteż nazajutrz po nabożeństwie poszłam w tamtą stronę, by się upewnić, czy w razie konieczności, będziemy mogły liczyć na gościnę u księżny. Przyjęła mię ona ze zwykłą dobrocią i odrazu pokazała pokój, gdzie by nas ulokowała.

Nazajutrz zdarzył się wybuch czołgu przed naszym domem na Marszałkowskiej. Od niego zajął się najbliższy magazyn. Ogień zaczął się szerzyć z przerażającą szybkością, a wkrótce stanął w płomieniach sklep dobrze nam znanego p. Rokickiego i duży skład bławatny p. Krauzego. Zaczęto wyrzucać na dziedziniec stosy gotowej bielizny, kołder, materiałów. Łudziliśmy się początkowo, że ogień da się może jeszcze opanować, ale straży pożarnej już w Warszawie nie było. Wkrótce też zaczęła się palić sala, w której dwa dni temu odbywało się nabożeństwo. Zrozumieliśmy, że czas najwyższy dom nasz zagrożony opuścić.

Z ciężkim sercem żegnałyśmy z Rodziewiczówną naszych gospodarzy i mieszkanie, które przez te dwa straszne tygodnie dało nam schronienie. Przeprowadziłam Rodziewiczównę schronami do ks. Czartoryskiej, skąd jeszcze raz następnie wróciłam, by zabrać na Kredytową resztki naszych rzeczy. Miałyśmy znowu dach nad głową. Ale na jak długo?

Dzień następny minął nam pod tą samą grozą bomb i pocisków. Siedziałyśmy głównie w kuchni, tylko na noc szłyśmy „do siebie"... I oto drugiej nocy, o trzeciej godzinie, obudziła mię ks. Czartoryska z zawiadomieniem, że wojsko nakazuje osobom starszym i dzieciom dom ten opuścić. Jej samej na razie pozwolono jeszcze zostać. Dla mnie była to bardzo ciężka chwila.

Nie budząc na razie Rodziewiczówny, wzięłam się do przygotowania naszych rzeczy, układając w plecaku tylko najbardziej potrzebne.

W końcu obudziłam Rodziewiczównę i o świcie ruszyłyśmy na dalszą tułaczkę, postanawiając udać się do dawnego mieszkania na Placu Dąbrowskiego. Na szczęście młoda panienka z otoczenia księżny podjęła się nas schronami przeprowadzić i przenieść za ciężki dla mnie plecak. Tę króciutką przestrzeń z Kredytowej 12 na Plac Dąbrowskiego 2 musiałyśmy iść z wielkim nakładem drogi i trudu. Wzdłuż Kredytowej przekradałyśmy się schronami, przeciskając się przez wąskie przejścia, przebite pomiędzy piwnicami, potem, pod osłoną barykady przemknęłyśmy się przez Kredytową w poprzek i szłyśmy nią dalej i dopiero przez rozbity zupełnie Klub Myśliwski i jego dalekie dziedzińce, mogłyśmy dojść od strony Mazowieckiej na Plac Dąbrowskiego.

Zostałyśmy powitane serdecznie, jakby wracające z tamtego świata. Zainstalowałyśmy się, ale bardzo już prowizorycznie. Kilka najlepszych pokoi rozbiły bowiem bomby, tak że o prymitywnej nawet wygodzie trudno było marzyć. Tym razem, przez parę dni tam spędzonych musiałyśmy dzielić pomieszczenie z bardzo niemiłymi i niegrzecznymi lokatorami.

Po trzech dniach przyszedł nas odwiedzić p. Plackowski ze znajomą ze Śląska p. Traube, która widząc, w jakich warunkach mieszkamy i jak strasznie nad Placem Dąbrowskiego szaleją bomby oraz pociski, zaproponowała bardzo serdecznie, żebyśmy się do niej, mieszkającej przy ul. Boduena 3 przeniosły. Lokatorem jej był dr K., ale w tej chwili znajdował się on na posterunku. Miejsce u niej znajdowało się wprawdzie na trzecim piętrze, ale przechodząc przez piekło nalotów od 3 tygodni, byłyśmy gotowe na wszystko. Zresztą panował tam względny, w zestawieniu z tym, cośmy już przeszły — spokój.

Nazajutrz przeniosłyśmy się więc do p. Traube, gdzie wydało nam się jak w raju. Szyby w oknach jeszcze były, bomby i pociski słyszało się z pewnego oddalenia. Najgorszy huragan szalał bowiem właśnie nad Królewską i Placem Dąbrowskiego. U p. Traube mogłyśmy się nawet porządnie umyć, bo wannę po brzegi wypełniał zapas wody. A właśnie prócz grozy bombardowania, brak wody najbardziej dawał się we znaki. Wodociągi zostały przerwane, po wodę chodziło się do studni, których nie było zbyt wiele. Musiało

się przekradać do nich często przez kilka ulic, stać w ogonku pod obstrzałem wroga, by wreszcie zdobyć wiadro cennego płynu.

Toteż raźniej się nam na duchu zrobiło, gdyśmy się znalazły w porządnym czystym mieszkaniu. Wiadomości z miasta przychodziły nie najgorsze, nasi się trzymali, broniło się bohaterskie Stare Miasto. Powiśle przechodziło straszne ataki z góry od strony Uniwersytetu i z dołu od Wisły, skąd z kanonierek szerzył się straszny ogień. Były pogłoski, że Niemcy się wycofują. Nastrój wbrew wszystkiemu utrzymywał się pełen wiary. Psuła nam tylko te pierwsze dni względnego spokoju moja niedyspozycja żołądkowa, gdyż dostałam krwawej biegunki, która wśród fatalnych warunków sanitarnych szerzyła się nagminnie. Rodziewiczówna bardzo brała do serca moją chorobę i sama wskutek tego traciła siły. Na szczęście znalazł się lekarz, który poczciwie się mną zajął, tak że po kilku dniach zaczęłam zdrowieć.

Było by nam u p. Traube bardzo dobrze, gdyby nie to, że wieści z miasta nie polepszały się. Nacisk wroga na części Warszawy zajęte przez powstańców — nie ustępował. Nasi bronili się z bezprzykładnym męstwem i naogół trzymali się bez większych zmian, ale kosztem jakich ofiar?... Z głęboką troską pytałyśmy się siebie, na jak długo starczy sił i amunicji? Zrzuty po 10 dniach ustały, wyczerpać się mogły przysłane zapasy. Ale duch trwał niezmożony!

Tymczasem po kilku dniach względnego spokoju, fala bomb i pocisków zaczęła się i do nas zbliżać. Robiło się coraz groźniej i coraz mniej bezpiecznie na naszym trzecim piętrze. Na szczęście wróciłam już do zdrowia, kiedy naloty objęły i nasz rejon. Służąca co chwila uciekała do schronu, myśmy trwały w mieszkaniu, coraz bardziej zżyte z myślą o śmierci. Bomby wybuchały stale gęściej i bliżej.

4 września koło południa bomba padła w naszych oczach na dach frontowego domu naszej oficyny, robiąc ogromną wyrwę. Przeszłyśmy więc do korytarzyka, modląc się. Po chwili wpadła p. Traube, błagając, byśmy w tej chwili zeszły do piwnicy, bo dalej tu trwać nie można. Chwyciłam nasze pakunki i udałyśmy się do schronu, gdzie spędziłyśmy dzień i noc następną razem z p. Traube i rodziną jej służącej.

Tymczasem nad nami rozpętało się piekło. Huk było słychać słabiej, lecz co chwila czułyśmy gwałtowne wstrząsy i uginanie się ziemi pod wybuchami bomb. P. Traube poszła dowiedzieć się do swego mieszkania i po chwili wróciła z wieścią, że pocisk tzw. „krowa" wpadł do naszego pokoju i spustoszył wszystko. „Jużbyście nie żyły!" — powiedziała z przejęciem.

Po godzinie i ja poszłam na górę zobaczyć, czy nie da się jeszcze czegoś uratować. Pokój leżał w gruzach, spod których wyciągnęłam mój jedyny kostium. Meble stały porozbijane, drobiazgów naszego codziennego życia nie udało mi się już odszukać.

Należało pomyśleć o nowym przytułku. Pod wieczór, przekradając się schronami, poszłam do domu Wedla przy Szpitalnej 8, o którym wiedziałam, że schroniły się tam siostry Ewangeliczki ze szpitala przy Królewskiej. Z trudem je odnalazłam i z trudem uzyskałam pozwolenie na przeniesienie się tam w razie koniecznej potrzeby. Na noc przychodziło do tego biura Wedla około 20 osób, ale cóż było robić?

Wróciłam do naszej piwnicy. Noc miałyśmy bardzo ciężką. Siedziało się na kuferkach i pakunkach, powietrze było duszne od ludzkich wyziewów i kurzu. Ze strachem widziałam, że pomimo spokoju i męstwa Rodziewiczówny, siły jej wyczerpywały się coraz bardziej. Jej 80 lat życia i mozolnej pracy wołały o swoje prawa. Tymczasem zamiast spokoju i ciszy przychodziła rosnąca moralna i fizyczna udręka.

Wszystkie niedostatki zniosło by się łatwiej, gdybyśmy były widziały, że powstanie idzie ku zwycięstwu. Tymczasem... choć bywały jeszcze przebłyski radości i nadziei, położenie stawało się z dnia na dzień groźniejsze. Stare Miasto w gruzach broniło się resztkami sił. Tak samo Powiśle, Mokotów. Zaczęły nadchodzić wieści o kolejnym opuszczeniu tych pozycji przez nasze wojska. Czuliśmy, że pierścień dławiący zaciska się wciąż mocniej.

Rano dowiedziałyśmy się, że nasza oficyna stoi w ogniu. Zaczął się palić front domu i cały rząd piwnic. Po naradzie z p. Traube zdecydowałyśmy się iść na Szpitalną. P. Traube — młoda i zdrowa — postanowiła przedrzeć się aż na Wilczą, co dla nas było niepodobieństwem. Pożegnałyśmy się z nią bardzo serdecznie, zachowując wdzięczne wspomnie-

nie jej gościnności. Poszłam najpierw sama na Szpitalną prosić o pomoc w przeprowadzeniu Rodziewiczówny i przeniesieniu rzeczy. Komendant domu, dowiedziawszy się, że chodzi o Rodziewiczównę, ofiarował się osobiście nam pomóc. Po upływie pół godziny byłyśmy już na miejscu.

Naszym nowym schronieniem było parterowe biuro sprzedaży Wedla, o dwóch ogromnych, na wpół wybitych oknach. Z trudem zdobyłam miękką kanapkę dla Rodziewiczówny, sama kładąc się przy niej na materacu, rozłożonym na podłodze. Czekały nas tam bardzo ciężkie dni, wyczerpujące nerwowo i fizycznie. Rodziewiczówna tak bardzo zmęczyła się ostatnią dobą, spędzoną w piwnicy, że leżała prawie bez czucia. Tętno miała nikłe, więc nieraz wstawałam w nocy patrzeć, czy jeszcze oddycha. Wszyscy, którzy ją wtedy widzieli, mieli przekonanie, że nadchodzi koniec.

Po paru dniach liczne towarzystwo, nocujące w naszym biurze, mogło wrócić do swoich mieszkań. Zostałyśmy same, co stanowiło dla nas wielką ulgę. Dopiero po upływie pewnego czasu dostałyśmy miłą, trzyosobową rodzinę. Znalazłam w sąsiedztwie lekarza, który bardzo poczciwie zaopiekował się Rodziewiczówną i co dzień przychodził robić jej zastrzyki. Nazwiska jego nie pamiętam, ale jeżeli kiedy te wspomnienia czytać będzie, niech w nich znajdzie serdeczne słowa wdzięczności. Zastrzyki wzmocniły serce, tętno zaczęło się poprawiać, sił trochę przybyło i — na ten raz była jeszcze uratowana.

Lecz i tu za nami przyszła fala nalotów. Już przed samym naszym przeniesieniem się do kantoru Wedla, bomba zasypała tam w schronie dobrze znaną nam przełożoną sióstr Ewangeliczek, która zeszła odwiedzić chorą, ginąc z całą grupą osób, które tam zastała. Naloty zaczynały się od rana i powtarzały regularnie co pół godziny. Było to wprost straszne. Przez duże okna widziałyśmy krążące tuż nad naszymi domami samoloty. Co chwila rozlegał się huk i wstrząs, wywołany pobliskim wybuchem.

Jak zawsze, gotowe na śmierć, siedziałyśmy obok siebie, odmawiając modlitwy. Pewnego razu bomba padła tuż obok. Zaczęło się wszystko dookoła nas walić, tak że porwałyśmy się obie ze słowami: „to już koniec!" Zrobiło się tak cie-

mno, że nie widziałyśmy nawet okien. Gdy doszłam w końcu do świadomości, że jednak jeszcze żyjemy, wzięłam Rodziewiczównę pod rękę i wyprowadziłam ją na powietrze. Wzdłuż domu biegli ludzie, wołając: „kto żyje?“ Odpowiedziałyśmy na wołanie, po czym dowiedziałyśmy się, że bomba upadła tuż za ścianą naszego pokoju i znowu zasypała w schronie całą grupę osób, m. in. siostrę p. Wedla z córką. O ratowaniu ich nie mogło być mowy.

Ta męka nieustannych nalotów trwała około tygodnia, potem przyszło pewne uspokojenie. Sprawił to fakt, że samoloty sowieckie zaczęły patrolować nad Warszawą i uganiać się za samolotami niemieckimi. Nieraz z bliska widziałyśmy powietrzne walki.

Ale co było najgorsze, wojska wrogie nie ustępowały, a przeciwnie, coraz bardziej wypierały naszych. Któregoś dnia ostrzeżono nas, że wszyscy mieszczący się obecnie w domu Wedla, prawdopodobnie w nocy będą zmuszeni dom ten opuścić. Tyczyło się to zarówno nas, jak i naszych żołnierzy, gdyż spodziewano się nadejścia Niemców... Uspakajano nas, że nam starym nic nie grozi, ale zbyt dobrze wiedziałyśmy, że wiek przed mordem nie chroni, tym bardziej, że przy zajmowaniu nowych punktów na czele szli zawsze Ukraińcy, dla których okrucieństwa nie było nic świętego.

Wtedy Rodziewiczówna powiedziała mi: „Zostaw mnie tu i uchodź, sama łatwiej się uratujesz, a tu zginiesz przeze mnie“. Każdy zrozumie, że jej odpowiedziałam, iż o tym mowy być nie może. Bóg nas złączył po to, byśmy razem były do końca i wolę zginąć razem, niż ją opuścić. Poleciwszy się Bożej opiece i zamknąwszy drzwi na klucz, położyłyśmy się spać.

Rano dowiedziałyśmy się, że sytuacja się nieco poprawiła, tak że oddziały nasze nie odstąpiły. Wrócili też ci, którzy wychodzili już wczoraj z tobołami na plecach.

Żyłyśmy teraz z dnia na dzień. Ale i tu, w tym schronie, wkrótce ludzie dowiedzieli się, że przyjaciółka moja to Rodziewiczówna, więc przyszli nam z pomocą. To wiadro wody ktoś przyniósł, to trochę prawdziwej kawy, czy wina. Przyszło raz dwóch panów z prośbą, czy mogliby Rodziewiczównę sfilmować i w tym naszym pustym, bo pełnym jedynie kurzu od bomb kantorze, nastawili aparat.

Opiekunem naszym stał się tam p. Bohdziewicz, młody człowiek mieszkający w tym domu. Nie raz przynosił nam coś do zjedzenia, dowiadywał się do nas, gdy tylko znalazł wolną chwilę. On to zawiadomił oddział Czerwonego Krzyża na Brackiej 23, że Rodziewiczówna jest na Szpitalnej i polecił nas ich opiece. Ze zdumieniem i radością ujrzałyśmy wchodzącą do nas w połowie września przedstawicielkę Czerwonego Krzyża p. Załęską.

W naszym kantorze, przy wszystkich innych rozlicznych brakach, zaczynało się nocami robić bardzo zimno. Na wpół wybite okna nie chroniły nas przed chłodem. Toteż miałyśmy wrażenie, że pod opieką Czerwonego Krzyża byłoby nam jednak lepiej i raźniej. P. Załęska oświadczyła nam jednak, że mają oni tylko bardzo ciasne pomieszczenie dla chorych żołnierzy i personelu. W każdym razie o nas pamiętać będzie. Wróciła też wkrótce z wiadomością, że na piętrze nad Czerwonym Krzyżem ma mieszkanie p. Zagórna, znająca trochę Rodziewiczównę, i że ona, mając pokoje już zapełnione, jest w możności w jadalnym z ocalałymi szybami ofiarować pisarce kanapkę.

Naturalnie, że propozycję tę przyjęłyśmy z radością. P. Załęska przyszła po nas z noszami dla Rodziewiczówny i tak znalazłyśmy się w ostatnim naszym powstańczym schronieniu przy Brackiej 23. Spokój był tu większy. Pociski gwizdały wprawdzie, ale nie czuło się przynajmniej tego systematycznego bombardowania. Któregoś dnia ujrzeliśmy wielką ilość spadochronów z żywnością od Aliantów. Niestety, większość spadła na stronę niemiecką.

Rodziewiczówna nie mogła się wszakże pozbyć stałego wyczerpania, co było wynikiem zaostrzającego się braku odpowiedniego pożywienia. W dodatku i ja ponownie się rozchorowałam. Lecz i tym razem znalazł się lekarz dr Dan, który ratował nas, jak mógł. Podczas jednej z jego bytności Rodziewiczówna obiecała przysłać mu po wojnie tom swych nowel „Rupiecie", gdzie odmalowała śliczny typ lekarza. Jeżeli dra Dana odnajdę, to obietnicę tę z radością wypełnię, bo zawsze jego dobroć z głęboką wspominam wdzięcznością.

Na Rodziewiczównę silniej może od bomb psychicznie działał brak wody. A przecież właśnie najpotrzebniejszą, minimalną ilość wody zdobywało się z narażeniem życia,

pod stałym obstrzałem. Rodziewiczówna tęskniła wprost do obfitości wody, spragniona jej miewała pewnego rodzaju halucynacje, słysząc niejako szmer lejącej się szeroką strugą wody, podczas gdy faktycznie wydzielano nam jej tylko parę szklanek na umycie rąk.

Powoli mijał i kończył się wrzesień. Pierścień wrogi, dławiący Warszawę zaciskał się coraz mocniej, już tylko dokoła śródmieścia. Padło Stare Miasto, Żoliborz, Powiśle, Mokotów. Powstanie gasło... i oto ostatniego dnia września rozeszła się wiadomość o nieuniknionej kapitulacji.

Wrażenie było wstrząsające. A przecież rozumieliśmy, że położenie jest bez wyjścia i że należy bezwzględnie wstrzymać dalszy rozlew krwi bohaterskiej i ofiarnej młodzieży. I oto 1 października padło na Warszawę już oficjalne zawiadomienie o podpisaniu kapitulacji. Stolicę zaległa martwa cisza...

Walka nierówna była skończona!

Rozdział 15

Teraz przyszedł rozkaz władz niemieckich o natychmiastowej ewakuacji miasta, stanowiącego już tylko jedno wielkie cmentarzysko. Zaczęłyśmy się zastanawiać, co mamy ze sobą począć. Radzono nam dostać się do szpitala Wolskiego, skąd po odpoczynku mogłybyśmy ruszyć dalej i uniknąć w ten sposób strasznego obozu w Pruszkowie. Należało postarać się o nosze i poszukać ludzi dobrej woli, którzy mogliby przenieść Rodziewiczównę aż do linii niemieckich, gdzie już chodził autobus do szpitala. Pośpiech był konieczny, bo całe nasze mieszkanie już się opróżniało. I tym razem, jak już tyle razy poprzednio, gdy dowiedziano się, że chodzi o danie pomocy Rodziewiczównie, zjawiła się grupa nieznanej nam młodzieży z noszami i z całą serdeczną gotowością przyszła nam, któreśmy już wątpić zaczynały, z natychmiastową pomocą.

Ułożyliśmy więc wspólnie Rodziewiczównę na noszach, rzeczy nasi nowi opiekunowie wzięli na plecy i ruszyliśmy przez to nieszczęsne bohaterskie miasto, wśród gór gruzów, poprzez niezliczone doły i leje od pocisków, patrząc ze zgrozą na to nieprawdopodobne zniszczenie.

A był to łagodny październikowy dzień, trochę szary i chmurny. Szliśmy długo, bo kurs był daleki. Niemcy przyjęli nas stosunkowo grzecznie, ale musieliśmy przy tym ich posterunku długo czekać. Rodziewiczówna leżała na swych noszach zapatrzona w niebo, spokojna i pogodna.

Gdy przyszedł autobus, dwie panie z grupy naszych przygodnych opiekunów odprowadziły nas aż do szpitala, gdzieśmy na razie znalazły pomieszczenie w dużym hallu, do chwili wyszukania innego miejsca. Szpital był bardzo pełny, ale obiecano, że dla Rodziewiczówny miejsce przecież się znajdzie. W tymże hallu jakaś nieznajoma pani podeszła do nas z zapytaniem, czy nie zjadłybyśmy pomidorów, o których przecież marzyłyśmy od dwóch miesięcy! Przyjęłyśmy je z wdzięcznością i jedząc miałyśmy wrażenie, że nigdy niczego równie dobrego nie miałyśmy w ustach.

Po chwili zabrano nas na piętro, gdzie dostałyśmy pokoik o dwu łóżkach, z których drugie zajęte było przez młodą nauczycielkę. Dla mnie więc stawiano na noc nosze obok pościeli Rodziewiczówny.

Pobyt w szpitalu zostawił w naszej pamięci wrażenia bardzo różnorodne. Warunki miejscowe były ciężkie. Osobliwie odczuwałyśmy boleśnie brak miejsca i znowu wody. Korytarze zionęły chłodem. Tylko siostry Miłosierdzia okazały nam wiele dobroci. Dziwnie niemiły był za to personel lekarski, więc po raz pierwszy ze zdziwieniem widziałam sprawę zdrowia Rodziewiczówny traktowaną lekceważąco. Służba była też raczej niemiła.

Nareszcie po 10 dniach dowiedziałyśmy się, że wozy będą nazajutrz i zabiorą nas oraz innych ewakuowanych do stacji kolejki elektrycznej, która zawiezie wszystkich do Milanówka. Nie przydzielono nas wszakże tak, jak prosiłam do pierwszego transportu, jakim dojechałybyśmy do Milanówka w ciągu dnia, ale dopiero o 3-ciej po południu. A była to naprawdę droga krzyżowa. Rodziewiczówna leżała na noszach bardzo niewygodnie, otoczona i ściśnięta różnymi tobołami i towarzyszami podróży, — ja siedziałam u jej nóg. Jechało się noga za nogą, wstępując dla różnych spraw szpitalnych na dworzec zachodni. Zapadał już głęboki jesienny wieczór, a myśmy jeszcze jechały, patrząc na ponury obraz płonącej Warszawy.

Zaczął padać deszcz, który zupełnie zmoczył poduszkę Rodziewiczówny. Noc była tak ciemna, że któryś z naszych wozów wjechał do rowu. Musiało się świecić zapałkami, aby rozeznać drogę. Nareszcie — po godzinie ósmej dobiliśmy do stacji, gdzie stał już ostatni pociąg kolejki elektrycznej.

Przynajmniej to się szczęśliwie złożyło, że do Milanówka jechało parę osób znajomych ze szpitala. Przy ich więc pomocy szczęśliwie wsiadłyśmy do pociągu i o wpół do jedenastej w nocy dobiłyśmy do celu.

Tam jednak położenie przedstawiało się beznadziejnie. Padał rzęsisty deszcz, tak że odrazu z wagonu wpadało się do kałuży wody. Noc czarna, mały przystanek stacyjny — i znikąd pomocy. Nie mogłyśmy też marzyć o dostaniu się do miasta. Te same znajome panie dowiedziały się, że obok jest noclegowy przytułek RGO. Nie widząc innego ratunku na razie, przeszłyśmy wszystkie tam. Warunki tego noclegu okazały się jednak bardzo ciężkie. Wskazano nam bowiem duży pokój, szczelnie zapełniony śpiącymi na podłodze ludźmi z różnych środowisk, począwszy od najniższych. Z powodu dusznego i gorącego powietrza z trwogą myślałam o tym, czy Rodziewiczówna przetrzyma noc w tych warunkach?

Postawiono nam krzesła koło drzwi. Usiadłyśmy wyczerpane. Powoli płynęły nad wyraz męczące nocne godziny, wlokące się w nieskończoność. Toteż, gdy tylko zaczęło się rozwidniać, wyszłam szukać możliwości jakiejś lokomocji, aby się stąd wyrwać. Z trudem znalazłam rodzaj małej „rikszy", która za drogie pieniądze zgodziła się nas odwieźć do sióstr, — jedną po drugiej. Aby zakonnice uprzedzić, pojechałam pierwsza.

U sióstr powiedziano mi niestety, że miejsca dla nas nie będzie, tak bardzo wszystkie kąty są zapełnione. Ale kiedy biedna Rodziewiczówna przyjechała dosłownie pół-żywa, nakarmiono nas i na następną noc znalazła się dla niej miękka kanapka, a dla mnie fotel. Rodziewiczówna zaraz o zmroku zasnęła snem kamiennym, i wieczorem nie można się jej było dobudzić do posiłku. Spała jak zabita do rana. Rano przewieziono nas do małego domku, w którym miała pokoik dawna lokatorka sióstr z Warszawy p. Staszanówna,

która, mając już jedną u siebie osobę, także i nas miłosiernie przygarnęła. Było w jej izdebce miejsca na 4 łóżka, stolik i umywalnię, lecz i za to schronienie błogosławiłyśmy ją serdecznie. Dawało nam ono przynajmniej możność chwilowego spoczynku i rozejrzenia się, dokąd się dalej mamy skierować?

Napisałam też zaraz do naszych przyjaciół Mazarakich, którym przecież zawdzięczałyśmy wybawienie nas z obozu pod Łodzią, a którzy, po opuszczeniu swego Żeromina, przebywali pod Skierniewicami w maj. Żelazna. Tymczasem zarząd miejscowego RGO, dowiedziawszy się, że Rodziewiczówna jest w Milanówku, przyszedł jej z pomocą pieniężną i żywnościową, a bardzo miła młoda córka prezesa kilkakrotnie przynosiła nam własnoręcznie przygotowane przez siebie pożywne jedzenie. Dostałyśmy także od nich polecenie do oddziału RGO w Skierniewicach. Po 10 dniach z pomocą i pod opieką sióstr, ruszyłyśmy na ostatni etap naszej tułaczej drogi — do Skierniewic. Czekały tam na nas konie z Żelaznej, ale Rodziewiczówna tak już była przemęczona, że znajomi z Żelaznej pp. Strakaczowie zgodzili się nas przenocować w swoim bardzo miłym domku. Obie z Rodziewiczówną nabrałyśmy otuchy. Z rozmowy telefonicznej z Żelazną dowiedziałyśmy się, że wobec przepełnienia domu, przygotowano dla nas osobną izbę w leśniczówce Leonów, odległej o półtora kilometra od dworu.

Rodziewiczówna, którą zaczęły już zupełnie opuszczać siły, marzyła o zainstalowaniu się tymczasowym w Skierniewicach, choćby pod opieką RGO. Wobec zapewnień jednak, że w mieście tym, przepełnionym Niemcami nie można już znaleźć miejsca, zrezygnowała i cieszyła się nawet leśniczówką. Może stanęły jej w myśli nasze dawne „czahary", nasza kochana leśna chata?... Może — myślała — że coś z tych dawnych wspomnień wspólnych odżyje?...

Lecz od tej chwili różne drobne zbiegi okoliczności zaczęły się układać inaczej, niż myślałyśmy, i — gdyby się nie wierzyło, że i tymi drobnymi szczegółami życia ręka Boża kieruje ku swym ukrytym celom, — byłoby nieznośnie gorzko i ciężko. Miałby może człowiek wyrzuty sumienia, że inaczej nie postąpił, że uległ trudnościom.

Postanowiłyśmy, że jednak nazajutrz pójdę z listem polecającym do RGO i nawiążę z nimi stosunki. Miałam wszakże po noclegach na cemencie w czasie powstania tak bolącą nogę, że ledwie się o kiju ruszałam. Kiedy więc zapytałyśmy p. Strakaczową, jak się do tej organizacji idzie, odpowiedziała mi: „Po co ma się pani męczyć piechotą? Zaraz założą konie, aby panie odwieźć do Żelaznej, to panie wstąpią do RGO". Tymczasem konie tak się spóźniły, że gdy wreszcie po kilku godzinach były do dyspozycji, Rodziewiczówna, zmęczona nerwowo bezpłodnym czekaniem, zdecydowała się jechać prosto do Żelaznej, a list posłać przez okazję.

Gdybym wtedy nie była ustąpiła, może by się rzeczy przecież inaczej ułożyły. Może oni jednak wynaleźliby dla nas jakiś pokój w Skierniewicach. Kto wie?... Ale widocznie ręka Boża kierowała inaczej.

Do Żelaznej dojechałyśmy szczęśliwie, tylko Rodziewiczówna, nieludzko wyczerpana wysiłkiem ostatnich czasów, męczyła się ogromnie łatwo i do celu zajechała zupełnie bez sił. Pana Mazarakiego niestety nie zastałyśmy, gdyż wyjechał on był do Krakowa. Panie — matka i synowa, przyjęły nas serdecznie.

Oddana do naszej dyspozycji izba okazała się obszerną wprawdzie, ale bardzo prymitywnie urządzoną. Rozpakowałam nasze nieliczne tobołki, posłałyśmy łóżka o siennikach ze słomy, po czym p. Pasińska rozpaliła ogień i zakrzątnęła się koło wieczerzy. Wreszcie doczekałyśmy się przyjazdu Rodziewiczówny.

Ochrzciła ona naszą komnatę mianem „Izby Piastowej", była pełna otuchy, tylko wyrażała lekkie wahanie: „Wszystko składałoby się jak najlepiej, gdyby to był kwiecień, a nie listopad".

Nazajutrz obie pozostałyśmy w łóżkach wypoczywając i — nie czując jeszcze, że oto dochodzimy do kresu naszej wspólnej drogi...

Wieczorem przyjechała p. Mazaraki i obejrzawszy liczne braki naszej instalacji, obiecała, że w najbliższych dniach wszystko zostanie załatwione, uzupełnione, braki usunięte. Podwójne okno miało być zrobione, nieszczelne drzwi opatrzone, dostawione najpotrzebniejsze meble.

Po kilku dniach przysłano nam bardzo miłego dra Goldframa, który przepisał różne środki i obiecał odwiedzać nadal. Po tygodniu zjawił się też p. Mazaraki, którego opiece i staraniom zawdzięczałyśmy wydobycie nas z obozu pod Łodzią. Witał nas serdecznie, wyrażając nadzieję, że w tej „Piastowej Izbie" będziemy się czuły dobrze, że zimę w niej szczęśliwie przetrwamy — pod bliską opieką dworu. Ja jedno wciąż przypominałam, że dla Rodziewiczówny ciepło jest kwestią życia.

Któregoś dnia Rodziewiczówna z wielkim przejęciem mówiła, jak czuje się dumną, że jedyna Polska w tych strasznych ostatnich latach umiała odrzucić pokusę kompromisu układu ze złem, nie tworząc rządu proniemieckiego. Ona jedna umiała powiedzieć: „Nie, nie i jeszcze raz nie!"

Na czyjąś uwagę, że niektóre narody dzięki swym kompromisom mają zamożność i kraj niezniszczony, odpowiedziała: „Niechże choć w jednym narodzie zostanie zachowana po dawnemu pojęta idea rycerstwa i honoru, niech choć jeden naród wyżej ceni honor od dobrobytu".

W drugim tygodniu pobytu w Żelaznej, coraz częściej przychodziły na Rodziewiczównę chwile depresji. Gdybym była wówczas sama zdrowa i łatwiej mogła się poruszać, gdybym mogła utrzymać osobisty kontakt ze dworem, zdobyłabym pewnie wiele potrzebnych jej rzeczy i ułatwień.

I oto 1. XI. 1944 przyszedł wyjątkowo zimny dzień — z wichrem, dmącym w nasze pojedyncze okno. W izbie powstał taki chłód, że parę widać było przy oddechu. Okleiłam okno, otuliłam Rodziewiczównę czym i jak tylko mogłam, ale o ile ja przetrzymałam to bez przeziębienia, o tyle dla wrażliwych płuc Rodziewiczówny obniżająca się temperatura stała się zabójczą. Do dworu wysłałam kartkę „SOS" — „ratujcie nas od chłodu!"

Następnego dnia Rodziewiczówna wstała jeszcze wprawdzie, — ale zbiedzona, bez humoru i siedząc skulona w swoim foteliku, powiedziała mi ze smutkiem: „W Warszawie czułam się pod opieką całego Narodu, a teraz jestem tak opuszczona..." Obiad jadła już z wysiłkiem, bez apetytu. Po jedzeniu namówiłam ją, by się położyła. Czułam podświadomie, że idzie coś złego i po raz pierwszy wobec potęgi nadchodzącej choroby widziałam się bezsilną. Wszyst-

kie moje środki ratownicze jak bańki, zastrzyki itd., spaliły się w Warszawie. Okazało się, że dr Goldfram, po którego natychmiast posłałam, wyjechał, a zastępca jego brał się do leczenia inaczej i jakoś mniej wzbudzał zaufania. U Rodziewiczówny wywiązała się tymczasem bardzo silna gorączka i już 4-tego rano musiałam jej powiedzieć, że należałoby może wezwać księdza, na co się naturalnie od razu zgodziła.

Na noc z ochronki przychodziła do mej pomocy pielęgniarka, którą z uznaniem wspominam. Zjawiała się także, jeśli tylko mogła, bardzo miła kierowniczka ochronki, p. Majerówna. Przez te ostatnie dni przyjeżdżało szereg osób odwiedzić chorą, czy raczej ją żegnać, gdyż doktór dn. 4. XI. stwierdził u Rodziewiczówny zapalenie płuc i stan beznadziejny. Ona sama także zdawała sobie sprawę z faktu, że jest ciężko chorą, mówiła, że śmierci się nie boi, ale: „szkoda" — dodawała z żalem — „tak chciałam doczekać..."

Na mnie przyszło wtedy zupełne odrętwienie. Wiedziałam tylko, że mój druh kochany odchodzi i że w dalszą drogę życia będę musiała iść sama, bez podtrzymania jej serdecznej przyjaźni, bez opromienienia tej drogi przez jej jasną duszę.

4-tego wieczorem przyszedł ksiądz z Panem Bogiem. Rodziewiczówna rozmawiała z nim spokojnie, wyspowiadała się i przyjęła Wiatyk. Pod wieczór zjawiło się znowu parę osób ze dworu. Dawną przyjaciółkę p. Weychert chora zapytała: „Czy ty myślisz, że ja się jeszcze z tego wygrzebię?" — „Ależ naturalnie!" — odpowiedziała zagadnięta z przekonaniem — „przy twoich siłach!"

Gdy się zupełnie ściemniło, zostałyśmy same z pielęgniarką, która sumiennie próbowała jeszcze zastrzyków. Przypominałyśmy sobie z Rodziewiczówną wspólnie przebyte biedy, jej choroby, ile to razy w groźnych zapadnięciach moje starania odnosiły pomyślny skutek i jak mi kiedyś powiedziała: „Póki ty jesteś przy mnie — ja nigdy nie umrę". Stwierdziłyśmy, że było nam ze sobą po prostu... zbyt dobrze. I oto kres przychodził naszej wspólnej drogi...

Czułam wyraźnie, że noc ta może być już ostatnią. Nie próbowałam się więc nawet kłaść, siedząc cały czas przy niej, gotowa — tak jak ona — na wszystko. A gdym ją za-

pytała, czy nie chciałaby, abym przy niej mówiła jakieś specjalne modlitwy, odpowiedziała z całą świadomością: „Chyba Anioł Pański". Ale na to było jeszcze za wcześnie.

Trzymałam w ręku krzyżyk, z którym tyle razy w czasie bomb powstania patrzyłyśmy spokojnie śmierci w oczy. Trzymałam go tak, by i Rodziewiczówna widzieć ten znak wiary mogła. Od czasu do czasu odmawiałam też którąś z modlitw, pamiętnych z czasów Powstania.

W pewnym momencie zapytałam ją, czy bardzo cierpi. Odpowiedziała, że bardzo. Poleciła mi swój testament, a w pewnej chwili skinęła, bym się pochyliła. Ucałowała mię wtedy tak długo i serdecznie, iż zrozumiałam wyraźnie, że to już ostatnie pożegnanie. Leżała potem spokojnie, bez słowa skargi czy strachu. Zdawała sobie sprawę, że już odchodzi. A ja wiedziałam jedno, że zostanę sama i duszę tak miałam odrętwiałą, iż do końca już siedziałam na pozór spokojnie, bez jednej łzy...

Myśl o Polsce i w tych ostatnich chwilach nie opuszczała widocznie Rodziewiczówny, bo nawet na parę godzin przed śmiercią powiedziała mi jeszcze: „Pamiętaj jedno: nie, nie i jeszcze raz nie!"

I przyszły ostatnie chwile... Ile czasu to trwać mogło... godzinę, czy więcej, — nie umiem zdać sobie sprawy. Widziałam tylko, że kochane, głęboko patrzące oczy zwróciły się ku górze, zapatrzone gdzieś daleko, w jaśniejące już dla nich zaświaty... I tak leżała cichutko, zasłuchana i zapatrzona, myślami nieobecna na ziemi...

Zaczęłam się modlić własnymi słowami, prosząc o pomoc i siłę w tej ostatniej chwili, usłyszałam dwa chrapliwe trochę westchnienia i wiedząc, że to już koniec, o godz. 2-ej w nocy zamknęłam już na zawsze jasne, drogie oczy...

Wtedy naprawdę należało mówić Anioł Pański...

Rano dałam znać do dworu. Wieczorem przyjechała po mnie starsza pani Mazaraki i po macierzyńsku zabrała mię do siebie, gdzie przeleżałam do dnia eksportacji, 9. XI. 1944, bo ledwie się na nogach trzymałam.

Pogrzeb odbył się 11 listopada i jak na wojenne czasy bardzo był piękny i uroczysty. PP. Mazarakowie dołożyli wszelkich starań, aby ostatnia przysługa choć w części wypadła odpowiednio do zasług zmarłej pisarki. Katafalk to-

nął w powodzi wieńców i kwiatów. Przyszły liczne delegacje związków, szkół i młodzieży. Zjazd był liczny. Zarząd RGO przybył w komplecie. Za trumną, niesioną z kościoła aż na cmentarz na ramionach, szła wzruszona i skupiona rzesza: Rodziewiczówna była dla niej nie tylko ulubioną autorką, ale i tą, która przez całe swoje długie życie umiała krzepić, podtrzymywać na duchu i zachęcać do pracy i poświęcenia dla wielkiej, świętej idei.

Złożyliśmy ją obok grobu rodziny Mazarakich. Niestety, pragnienia Rodziewiczówny, wyrażonego w testamencie, według którego chciałaby leżeć obok mogiły dziadów przy hruszowskim kościele parafialnym w Horodcu, nie można było urzeczywistnić.

K R O N I K A

MIKOŁAJ Z PIERNIKA

Owijam Mikołaja w bibułkę — z pewnym smutkiem, bo przypomniały mi się słowa Dickensa. Wielki powieściopisarz, siedząc w cyrku, z goryczą wspominał lata dziecinne, kiedy zajmowała go tylko arena i borykania zwierząt; w wieku sędziwym uczęszczał na widowiska, by przypatrywać się już tylko... ludziom i śledzić odbicie popisów cyrkowych na obliczach i w duszach. Utracił radość dziecięcą, stał się uczonym miłośnikiem widowisk. To lata nam przynoszą: historia (tak Grecy nazywali wszelkie badanie) opowija wydarzenia codzienne, staje między nami a życiem, i gdy przestajemy się bawić zjawiskami życia, przecież zajmujemy się wciąż jeszcze nimi i wyjaśniamy je z powagą, w której jest trochę żalu za utraconą radością... z samego piernika.

Bo Mikołaj z piernika stał się tymczasem dla mnie częścią historii, nie tylko lat dziecinnych, ale bardzo odległych wieków. — Za cesarza Augusta żył w Rzymie Mikołaj z Damaszku, uczony filozof i historyk, bo napisał aż 80 ksiąg dziejów powszechnych i wydał zbiór dziwacznych rysów obyczajowych u najrozmaitszych ludów. Dzieła te zaginęły i nie im to Mikołaj Damasceński zawdzięczał sławę, ale, rzecz dziwna, o wiele dziwniejsza od rysów obyczajowych, jakimi zajmował się, uczony ten przekazał się dalekiej potomności dzięki... piernikom własnego wyrobu, jakie posyłał cesarzowi Augustowi. Cesarz tak zasmakował w piernikach Mikołaja, że nazwał je Mikołajami. Mikołaje z piernika są znane długo jeszcze potem pisarzom bizantyńskim, jak Hesychiosowi, Focjuszowi (IX wiek po Chr.), Eustacjuszowi (XII w.). Jeden ze słowników łaciny średniowiecznej wymienia jeszcze panis Nicolaus.

Dziś pierniki Mikołaja Damasceńskiego utraciły rodowód starożytny, ale stały się smakołykiem nie tylko cesarzy, ale, co milsze, wszystkich milusińskich, smakoszy z łaski bożej, którym nie trzeba piernika przyprawiać historią.

Jerzy Kowalski

TALENTY DOLNOŚLĄSKIE W SŁUŻBIE OBCEJ

Dolny Śląsk wydał na przestrzeni wieków wielu wybitnych ludzi, których przynależności narodowej nie daje się oznaczyć miarą utartych kryteriów.

Niemcy uważają te postaci — anektując dla siebie nawet Dzierżona — za przedstawicieli swojej kultury, ale wnikliwsza analiza nawet niemiecka podkreśla jednocześnie ich odrębność duchową.

Pochodzi to stąd, że element germański wchłaniając na Dolnym Śląsku żywioł polski, sam ulegał wpływom słowiańskim, a także rodziny rdzennie śląskie krzyżowały się z rodzinami przybyszów, co stwarzało swoisty odcień narodowości wielu osobników. Nie można także pominąć bezpośrednich wpływów obyczajowości zachodniej, kształtującej własny typ człowieka.

Powstawał jakby nowy stop niemiecko-polski lub polsko-niemiecki, charakterystyczny dla tej dzielnicy jak i w szerszym znaczeniu dla podbitej Słowiańszczyzny zachodniej. Historyczna izolacja Dolnego Śląska przyczyniła się także do separatyzmu kulturalno-narodowościowego tej ziemi i zmieszania różnych żywiołów.

Zachodziły wypadki, że Ślązak, pisząc dzieła w języku niemieckim a nawet mówiąc w domu po niemiecku, nie uważał siebie za Niemca, ale też nie mienił się Polakiem stricto sensu. Był Ślązakiem, wychowanym w gwarze śląskiej i w obyczajach śląskich.

Także szlachta śląska wykazywała — zbyt często — podobny amalgamat narodowościowy czyli zespolenie różnych pierwiastków.

Jakub Świnka, arcybiskup gnieźnieński († 1314) występował przeciw zniemczałym Piastom, ale J a n Ś w i n k a (1552—1616) pisał się Hans von Schweinichen i znalazł miejsce w literaturze niemieckiej. Pochodzi z rodu Świnków — starej szlachty śląskiej, urodził się na zamku Grodziec jako syn Salomei Gładyszówny, umiał po polsku, czuł w sobie polskość i opisywał dwór piastowski — na skutek okoliczności dziejowych — w języku niemieckim.

Ten to syn rządcy książęcego Jerzego — śląski Jan Chryzostom Pasek — którym interesował się Goethe, napisał ciekawe „Pamiętniki", mające za przedmiot głównie dwór Piastowiczów legnickich, gdzie autor przebywał jako dworak.

Temperamenty słowiańskie i natura polska, co podkreślają krytycy niemieccy, zostały tu odmalowane prawdziwie i z talentem. Jan Świnka, marszałek dworu, jak żaden inny nadawał się

na kronikarza wizyt książęcych, ślubów i pogrzebów, gospodarki dworskiej, wydarzeń w domu i księstwie, wyjazdów, zabaw, zwyczajów i kłopotów Piastowiczów legnickich. Ta księga nowinek i dokumentów przedstawia bogate źródło do poznania życia dworskiego na Dolnym Śląsku w XVI wieku.

W innym kierunku oddalał się od polskości Piastowicz Fryderyk II, książę na Legnicy, Brzegu i Wołowie, ur. 1480, wychowany na dworze Władysława Jagiellończyka, ożeniony z Jagiellonką Elżbietą, siostrą króla Zygmunta — zwolennik reformacji i humanizmu, protektor uczonych, założyciel pierwszej akademii ewangelickiej na Śląsku. Wraz z protestantyzmem popierał ten Piastowicz także i niemczyznę. Syna, Jerzego II z Brzegu, ożenił z Hohenzollerówną Barbarą z Brandenburgii.

Jerzy II nadał miastu Brzegowi nad Odrą charakter renesansowy i w trosce o tradycje piastowskie wykończył zamek brzeski, jeden z najwspanialszych pałaców renesansowych w Europie. Do dziś zachowały się jego mury i piękny portal.

Miłośnik sztuki i nauk, otworzył w roku 1581 gimnazjum w Brzegu, które często wizytował, dbając przede wszystkim o łacinę, którą sam władał doskonale.

W Świdnicy urodził się ok. r. 1493 Kasper Ursyn Velius, syn ubogich rodziców, uczeń Akademii Jagiellońskiej w Krakowie, gdzie poznał język grecki, który wykładał później w Lipsku jako pierwszy nauczyciel tego języka. Kanonik przy katedrze wrocławskiej, następnie uczony świecki, humanista i wytworny poeta łaciński jak Klemens Janicki, kronikarz na dworze Ferdynanda I, wydał w r. 1522 pięć tomów wierszy, przeważnie okolicznościowych, dedykowanych także królowi polskiemu jako jednemu z jego mecenasów.

Stopień łączności Veliusa ze światem polskim nie został dotąd zbadany, choć niewątpliwie istnieje.

Jak śląski filozof Witelo nazywa siebie Turyngiem i Polakiem (niesłusznie przywłaszczają go sobie Niemcy — urodzony pod Wrocławiem z matki Polki), tak Turyngiem i Polakiem, nasiąkłym polszczyzną jest Andrzej Gryf (Gryphius), Głogowianin (wiek XVII), naukowiec, poliglota i poeta, epik, liryk i dramaturg, czołowy przedstawiciel baroku w Niemczech.

Interesuje nas jego dramat muzyczny „Piastus" i jego koligacje polskie, wymagające również bliższego zbadania.

Polakiem i uważanym za Polaka przez badacza holenderskiego Netschera był Zygmunt Szkop, ur. ok. r. 1600 w Lubińskim, podróżnik-pionier w Brazylii, pozostający na służbie holenderskiej jak Arciszewski.

Szkop (nazwisko typowo śląskie), pułkownik, później główny dowódca wojsk holenderskich w Brazylii, zwycięzca w wielu bitwach i zdobywca wielu miast i krain brazylijskich był generalnym gubernatorem w Brazylii. Pod koniec życia wrócił na Śląsk i tu zmarł w roku 1670, pochowany we wsi Trzebnica koło Lubinia.

Związki polskie czy słowiańskie łączyły polihistora i poetę Daniela Czepko (1605—1660), przewódcę protestantów świdnickich, Ottona Cymbała z Czerniowiec koło Ziębic, postępowego rolnika, który założył wzorowe pola doświadczalne i wielu innych Dolnoślązaków, których bez większych skrupułów włączyli do swej historii kultury Niemcy. Przytaczamy tylko przykłady, poczynając od XVI wieku. Talenty średniowieczne z Dolnego Śląska mają wyraźniejsze oblicze narodowościowe.

Odpływ talentów polskich trwał nieprzerwanie do lat ostatnich, czego przykładem może być Agnes Sorma — śląska Modrzejewska — którą chlubili się Niemcy śląscy i stawiali w rzędzie największych sław narodowych.

Podobnie jak hrabina von Schornberg-Godulla Schaffgotsch, spowinowacona przez ród męża z Piastowiczami i Hohenzollernami — to biedna córka górnika Janka Gryczyk, co prawda nie żaden talent; druga hrabina Mio da Minotto słynna na scenie Nora, a na afiszu Agnes Sorma — to Jagna Zaremba z Wrocławia, ur. w r. 1862 jako dziecko wdowy, na przemian przekupki, praczki i robotnicy.

Skromniutka Jagna występowała zrazu jako baletnica pod nazwiskiem swego ojczyma Palaczka, razem z dwiema siostrami przyrodnimi Palaczkównami. Karierę rozpoczęła w 10 roku życia, a w dramacie i operetce dała się poznać mając lat 15. Szczyty kunsztu scenicznego osiągnęła w rolach Ibsena (Mater Dolorosa), Szekspira, Shawa i Lessinga.

Była to artystka w wielkim stylu, o żywiołowych i naturalnych zdolnościach, talentem i wdziękiem słowiańskim dorównująca bodaj Modrzejewskiej.

Niemcy obsyłali ją po świecie reklamując jako pragermankę, a Polonia wrocławska w drukowanych satyrach demaskowała międzynarodowy pseudonim Sormy („Künstlername") ubolewając, że niemczyzna pochłania najlepsze siły polskie, że żyje z nich, głosząc jednocześnie: l'improductivité slave oder die dummen Polacken!

Na starość Zarembianka, obrzydziwszy sobie Niemcy, osiadła w stepowo-pustynnej Arizonie i tu zmarła (1927) „hrabina Minotto" jako właścicielka ziemska i mistrzyni konnej jazdy!

Niemcy gniewali się, że w amerykańskim nekrologu nie napisano o Sormie, lecz o Jagnie Zarembie z Wrocławia.

Jak na tych kilku przykładach widzimy, utrata polityczna Dolnego Śląska pociągnęła za sobą także straty kulturalne, bo talenty polskie, wyrosłe z tej ziemi rozkwitały w atmosferze niemieckiej i na użytek i chwałę kultury obcej.

Alfons Szyperski

O SEJMIE LITERACKIM WE WROCŁAWIU

Dobrze się stało, że terenem III Walnego Zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich stał się Wrocław, jedyne miasto na Ziemiach Odzyskanych, szczycące się pięknymi polskimi tradycjami literackimi.

Źle się stało, że programu zjazdu nie można było rozciągnąć na 4 dni, a że dyskusje były ożywione, napróżno w drugim dniu zjazdu czekały auta i przewodnicy, mający pokazać gościom miasto.

Gospodarze chcieli — goście nie mogli, tak więc transparent: „Literaci, piszcie o Wrocławiu" odnosić się może do tej nielicznej grupki, która albo już poprzednio poznała Wrocław lub też zdecydowała się zostać na czwarty dzień, aby choć pobieżnie zapoznać się z zabytkami i „życiem wśród ruin".

O tym życiu wśród ruin i o planach na przyszłość mówił zresztą inż. Tadeusz Ptaszycki podczas czarnej kawy u Prezydenta Miasta, tak że należy mieć nadzieję, iż koledzy literaci może jednak coś niecoś o Wrocławiu napiszą.

Niewątpliwie najważniejszym momentem zjazdu było przemówienie Prezydenta Bieruta, a właściwie dwa przemówienia. Zarówno na otwarciu Polskiego Radio we Wrocławiu, jak i później, w czasie Zjazdu Literatów mówił Prezydent o literaturze i literatach.

Słowa Prezydenta stanowiły niejako motto obrad i niejednokrotnie w dyskusjach na nie powoływano się.

Podczas zjazdu wiele przemówień poświęcono zagadnieniom humanizmu i wiary w człowieka. Łączyło się to z tym ustępem mowy Prezydenta Rzeczypospolitej, gdzie były podkreślane zadania literatury w szerzeniu optymizmu, wiary w pracę narodu przy odbudowie wszelkich dziedzin spustoszonych przez wojnę. Literatura musi objąć masy, musi pójść razem z życiem, a nowe formy naszego dzisiejszego życia muszą być przekute w dzieła sztuki. Z tych słów Prezydenta zrodziły się przemówienia i dyskusja na temat zamówienia społecznego.

Gdy słyszy się głosy, domagające się od pisarza dzieł na temat nowej rzeczywistości, należy zwrócić uwagę na przemówienie zjazdowe Wł. Sokorskiego, generalnego Sekretarza O. K. Z. Z., który wziął w obronę literatów w słowach:

„Rewolucje duchowe, w przeciwieństwie do rewolucyj społecznych, są długodystansowe, dzieło nie rodzi się od razu".

Inny moment mowy Prezydenta poddający krytyce istnienie dwóch kultur, jednej elitarnej, drugiej popularnej, powtarzał się w wypowiedziach pisarzy niemal jednogłośnie. Wypowiedziano się za potrzebą literatury o tendencjach socjologicznych, powieści realistycznej w rodzaju wielkiej literatury XIX i początków XX w., powrotu do postawy Orzeszkowej i Prusa.

Wydarzeniami centralnymi zjazdu, stały się trzy referaty: Zdzisława Hierowskiego „Problemy kulturalne Ziem Odzyskanych", Stefana Żółkiewskiego o „Problemach współczesnej literatury polskiej" i Jana Brzechwy „O Solidarności zawodowej".

Największe nasilenie dyskusji ujawniło się wokół referatu Żółkiewskiego, poszła też ona wieloma drogami, zahaczając jednocześnie nie tylko o teorię, ale i o konkretne zagadnienia rozwoju kultury i sztuki oraz spraw zawodowych literatów.

W świetnie skonstruowanym przemówieniu (podkreślić należy, że wśród literatów słyszeliśmy wielu doskonałych mówców) Żółkiewski przeciwstawia prawdziwemu humanizmowi — humanizm fałszywy, któremu jego zdaniem, hołdują ci spośród pisarzy polskich, którzy zapominając o prawdziwym żyjącym człowieku, przedstawiają go w sferze pojęć nierealnych, bądź to abstrakcyjnych, bądź to przenosząc go w czasy średniowiecza lub starożytności. Okres twórczości, w którym pisarze powstrzymywali się od wglądu w życie współczesne, tj. według prelegenta — czasy międzywojenne — dawno minął. „Literatura musi marzyć o tym życiu, którego się mamy w Polsce nauczyć". Nie należy się cofać z lęku przed rzeczywistością w czasy odległe, lecz trzeba zauważyć powagę chwili obecnej.

Z głosów pisarzy, którzy odbiegają poglądami od prelegenta, należałoby wymienić przede wszystkim trzech pisarzy katolickich: Zawieyskiego, Turowicza i Dobraczyńskiego, którzy w zasadzie zgadzając się z tezami referatu i solidaryzując się z ideologicznymi, a nie tylko artystycznymi zadaniami literatury, podkreślali, że literatura polska w ciągu prawie całej historii służyła celom społecznym. Zawieyski położył główny nacisk na to, że w świetle wiary katolickiej losy człowieka zależą od Boga, jako siły wyższej, nadprzyrodzonej, której podlegają wszystkie warunki życia rzeczywistego i w ten sposób pojmować należy konstrukcję artystyczną dzieła.

Ogólnie, mimo ożywionej polemiki, w której zabierali głos Watt i Dobraczyński, Kisielewski i Hołuj, Otwinowski, Brzechwa i inni, nad całym zjazdem unosił się duch zgody. Dyskusje były pogłębione, ujęte interesująco, dowodziły, że czasy dziś przeżywane znajdują pełny oddźwięk w całym zespole pisarzy, różnice zaś nie wpływają na ogólne zrozumienie zadań literatury.

Sprawy zawodowe, poruszone w referacie Brzechwy znalazły swój wyraz w formie wniosków i uchwał zjazdu. W dyskusji wymienić należy zagadnienia autorytetu pisarza, podniesione przez Adama Polewkę, głosy Otwinowskiego i Brzechwy o zarobkach literackich, wbrew opinii ogółu, nikłych. Wreszcie przemówienie dyrektora departamentu literatury H. Michalskiego o obecnej sytuacji materialnej pisarzy polskich oraz o planach Ministerstwa Kultury i Sztuki w tej dziedzinie. Usłyszeliśmy zatem o projektowanym studium dla młodych literatów, studium techniki pisarskiej dla filmu, programie ośrodków i poradni literackich.

Pierwszy raz bodaj oficjalny przedstawiciel Ministerstwa mówił o planach i opiece państwa w sprawach literatury, toteż było to przyjęte z zainteresowaniem, a chociaż pod adresem Ministerstwa podnosiły się głosy krytyki, obecność Ministra Dybowskiego oraz wypowiedzi dyr. Michalskiego powitano ze szczerym zadowoleniem, jako dowód żywego zainteresowania czynników państwowych sprawami literatury i literatów.

Szczególnie ciekawe były wypowiedzi na temat drugiego zawodu literata. Po ożywionej dyskusji najpoważniejsze głosy przeciwstawiły się pobocznym zawodom literatów, widząc w tym wielkie niebezpieczeństwo dla literatury i obniżenie autorytetu pisarza. Na ogół zgodzono się na to, że drugi zawód, dopuszczalny dla wchodzącego w szranki pisarskie młodego literata, może być nawet korzystny, jest natomiast szkodliwy, a nawet wręcz niedopuszczalny dla pisarza, mającego już skrystalizowaną drogę twórczości, wywołuje bowiem obniżenie poziomu artystycznego jego dzieł.

Z innych trosk zawodowych poruszono sprawy wydawnicze, sprawy wyboru przekładów z języków obcych, współpracę z Polskim Filmem i Polskim Radio oraz z teatrami, których kierownikami literackimi mogą być tylko członkowie Związku Zaw. Literatów.

Nas, na Śląsku Dolnym, specjalnie zainteresował referat Zdzisława Hierowskiego o problemach kulturalnych na Ziemiach Odzyskanych. Mówca stwierdził niedostateczne, bo prawie żadne zainteresowanie pisarzy tymi terenami. Nieliczna garstka osiadłych tu literatów musi organizować życie kulturalne i niejednokrotnie nie może się poświęcić swemu właściwemu zawodowi. Pisarze nie osiedlili się na Zachodzie gromadnie, bywają tu jedynie rzadkimi gośćmi, na tak krótki okres, który nie pozwala na poznanie życia osiadłego tu człowieka i jego pracy. „Polskie ziemie na zachodzie czekają na pisarza — mówił prelegent — czekają nie tyle na jego pracę organizacyjną i społeczno-kulturalną, lecz przede wszystkim na jego pióro, na jego twórczą ingerencję w ich sprawy i problemy".

„O udział pisarza polskiego w dziele odbudowy kultury polskiej na zachodzie, w procesie wiązania nowych ziem i ludzi z narodem, wołamy przede wszystkim.

„Złe wystawilibyśmy sobie świadectwo, gdyby kiedyś krytyka i historia literatury nie mogły się dopatrzeć w naszych czasach takiego zjawiska literackiego, któremu mogłyby przydać nazwę „Pisarzy Ziem Odzyskanych".

Zjazd dał wiele. Ogólny obraz uchwał zjazdu wraz z pełnymi tekstami czołowych przemówień powinien znaleźć miejsce w specjalnie wydanym „Pamiętniku Zjazdu Wrocławskiego". Minister Dybowski ponoć obiecał pomóc finansowo tego rodzaju wydawnictwu.

Należałoby upamiętnić nie tylko przemówienia Prezydenta Rzeczypospolitej oraz Ministra Kultury i Sztuki, ale sam fakt pierwszego oficjalnego zetknięcia się literatury polskiej z Ziemiami Odzyskanymi. Dla samego Wrocławia Zjazd Literatów był przeżyciem, dowodem tego jest ogólne zainteresowanie wrocławian i fenomenalne powodzenie „Wieczoru poetów", jakiego się nawet organizatorzy zjazdu nie spodziewali.

Niechże to zachęci literatów do przybycia tu na stałe lub do jak najczęstszego odwiedzania nas, abyśmy w myśl powitalnego transparentu mogli tym skuteczniej nawoływać: „Literaci, piszcie o Wrocławiu i Ziemiach Odzyskanych".

Stefan Łoś

WROCŁAWSKA KRONIKA MUZYCZNA I TEATRALNA

Od napisania ostatniej naszej kroniki minęło już dziesięć miesięcy. Aby zamknąć tak długi okres czasu w krótkim artykule, z konieczności będziemy się zatrzymywać jedynie na ważniejszych etapach wrocławskiego życia teatralnego i muzycznego, ograniczając się jedynie do chronologicznego wyliczania innych momentów.

Teatry Dolnośląskie zostały jeszcze w ubiegłym sezonie upaństwowione i już jako Państwowy Teatr Dolnośląski rozszerzyły swój zasięg na drugą scenę. Była to w ubiegłym roku scena kameralna Teatru Lalki i Aktora. Dyrekcja tego sympatycznego teatrzyku, dając barwne i niezwykle udane spektakle kukiełkowe dla dzieci i młodzieży w porze południowej i popołudniowej, odstąpiła swoją scenę pierwotnie Teatrowi Małych Form „Dziura w Płocie", który niestety zakończył swój wesoły, ale krótki żywot po dwóch premierach. Państwowy Teatr Dolnośląski również niedługo gościł w Teatrze Lalki i Aktora, gdyż już z początkiem bieżącego sezonu przeniósł swoją drugą scenę do Teatru Popularnego O. K. Z. Z. Okręgowa Komisja Związków Zawodowych zaniechała zupełnie słusznie polityki stwarzania ochotniczego teatru zawodowego i odstąpiła swoją salę Państwowemu Teatrowi z tym, że pewna ilość wieczorów została zarezerwowana na występy ochotniczych teatrów świetlicowych. Dotychczas jednak na scenie Teatru Popularnego nie widzieliśmy innych spektakli poza występami Państwowego Teatru lub gościnnych zespołów aktorskich z centralnej Polski.

Teatr Państwowy, nie mając wystarczającego ilościowo zespołu na obsadzenie trzech scen musiał zrezygnować z prowadzenia sceny kameralnej, gdyż stworzenie teatru popularnego jest w obecnym okresie niezwykle ważne. Brak sceny kameralnej daje się jednak we Wrocławiu dotkliwie odczuwać i niewątpliwie powstanie tego rodzaju teatru stanie się już w niedługim czasie koniecznością.

Skład dyrekcji Państwowego Teatru Dolnośląskiego pozostawał do niedawna bez zmian: dyrektor naczelny — Jerzy Walden, dyr. artystyczny — Marian Godlewski, dyr. administracyjny — Szydłowski, kierownik literacki — Stefan Kuczyński.

W ostatnich dniach z żalem dowiedzieliśmy się o ustąpieniu ze stanowiska dyrektora artystycznego Mariana Godlewskiego, który jednak nadal pozostaje w Państwowym Teatrze Dolnośląskim w charakterze reżysera i aktora.

W ubiegłym sezonie, po omawianym w ostatniej kronice „Re-

wizorze" ujrzeliśmy „Dwa Teatry" Jerzego Szaniawskiego, „Zielone lata" C. H. Puget'a, „Sen nocy letniej" Szekspira, „Ucznia diabła" G. B. Shawa, „Żabusię" Zapolskiej (na scenie kameralnej) i „Musisz być moją" Verneuil'a.

„Dwa Teatry" w inteligentnej reżyserii Leonii Jabłonkówny były wielkim sukcesem teatru wrocławskiego. Zarówno w realistycznych jednoaktówkach drugiego aktu jak i w poetycznym, pełnym niedomówień akcie trzecim uwypuklono problemy sztuki i wydobyto czar teatru Szaniawskiego. Szlachetną kreację w roli dyrektora teatru „Małe Zwierciadło" stworzył Marian Godlewski, subtelną Lizelottę — Janina Martynowska, wyraziste postacie jednoaktówek Irena Netto (matka), Halina Świątek-Dzieduszycka (Anna) i Marian Nowicki (Andrzej). Poza tym na wyróżnienie zasłużyli Antoni Odrowąż (ojciec), Stefania Waldenowa (Pani), Maria Nagler-Godlewska (Laura) i Mieczysław Ziobrowski (woźny).

W pogodnej, bezpretensjonalnej komedii „Zielone Lata" (reżyseria Jabłonkównej) bardzo dobrze zaprezentowali się najmłodsi z zespołu Państwowego Teatru Dolnośląskiego (Pernette — Łucja Burzyńska). Jedynego dorosłego w sztuce lotnika Bouillet grał pełen werwy Marian Nowicki.

W ramach konkursu szekspirowskiego Państwowy Teatr Dolnośląski wystawił w barwnej oprawie Przeradzkiej, Jędrzejowskiego i Langego „Sen nocy letniej". Reżyseria Mariana Godlewskiego wydobyła z tego spektaklu efekty baśniowej feerii, której nastrój wzmagała muzyka Mendelssohna w wykonaniu orkiestry Filharmonii, pod dyrekcją Stefana Syryłły.

Z wykonawców wyróżniła się grupa rzemieślników ateńskich z doskonałym Spodkiem (Jan Kurnakowicz) i Pigwą (Jerzy Walden) na czele, oraz Oberon (Marian Godlewski) i Puk (Janina Czerska). Zawiodła czwórka młodych ateńczyków. W całości spektakl należał jednak do słabszych pozycji teatru.

„Ucznia Diabła" i „Żabusię" zobaczyliśmy w oryginalnej i pełnej ekspresji koncepcji reżyserskiej Dobiesława Damięckiego, który równocześnie wystąpił gościnnie w doskonałej postaci Ryszarda Dugdeon i w roli Bartnickiego. Również gościnnie występująca Irena Górska dała skupioną postać Judyty Anderson i świetną kreację Żabusi.

Żabusia Ireny Górskiej była tak czarująca, że w konsekwencji problem sztuki doznał niebezpiecznego przesunięcia: Cała sympatia widowni została po stronie kłamliwej i przewrotnej Żabusi, podczas gdy wartościowa Maria została postawiona w sytuacji patologicznej sawantki, której nie zdołała obronić Ina Nowiczówna.

W „Uczniu diabła" bardzo shawowską postać generała Burgogne stworzył Marian Godlewski, energicznego pastora Marian Nowicki, dobrego głupka Krzysztofa Zenon Burzyński.

W mdłej komedii Verneuil'a „Musisz być moją" akcenty komiczne wniósł Wacław Zdanowicz (Gustaw) i w dobrym epizodzie

Henryka Janusz Korczyński. Janina Martynowska i Jerzy Pietraszkiewicz (Adrianna i Młody człowiek) zbyt serio pojęli swe role.

W bieżącym sezonie na scenie Państwowego Teatru Dolnośląskiego zobaczyliśmy Beaumarchais „Cyrulika Sewilskiego" — pierwsze w Polsce wystawienie sztuki J. B. Priestley'a „Inspektor przyszedł" i prapremierę dramatu historycznego „Spartakus" St. Ryszarda Dobrowolskiego. Wszystkie trzy sztuki w twórczej, pełnej dynamizmu i ciekawych pomysłów reżyserii Jerzego Waldena.

„Cyrulik Sewilski" skrzył się ruchem i barwami przy dyskretnie podkreślonym problemie społecznym. Świetne tło dała ilustracja muzyczna Adama Markiewicza, ciekawie skomponowana na podstawie autentycznych melodii starohiszpańskich zebranych przez Leona Schillera. Całość spektaklu zamknęły w mocne ramy konstrukcyjne wstęp i zakończenie rozgrywające się na rozbawionej ulicy sewilskiej (balet układu Zygmunta Patkowskiego).

Sztuka Priestley'a „Inspektor przyszedł" to melodramat osnuty na kanwie sensacyjno-kryminalnej. Problem oscyluje między zagadnieniem etyki chrześcijańskiej a oskarżeniem ustroju kapitalistycznego. Sztuka ta jednakże jest napisana nadzwyczaj scenicznie. Sceniczność tę podkreśliła jeszcze realizacja Jerzego Waldena.

Wydarzeniem w życiu teatralnym Wrocławia była prapremiera „Spartakusa". „Dramat wolności i serca" jak nazwał swój utwór St. R. Dobrowolski, napisany poetyckim językiem okazał się bardzo scenicznym widowiskiem. Na utworze znać wpływy Szekspira i Wyspiańskiego. Spektakl ten był pięknym osiągnięciem teatru wrocławskiego. Koncepcja reżyserska zwarta i tworząca dobrze zamkniętą całość. Jedynym zarzutem mogłaby być zbytnia hałaśliwość niektórych scen. Należy zaznaczyć, że Spartakus ukazał się na scenie w przeróbce autora odbiegającej nieco, zwłaszcza w III akcie od tekstu wydania książkowego. Interesującą ilustrację muzyczną napisał Oldrich Lapka.

W roli tytułowej zobaczyliśmy nowopozyskanego dla teatru wrocławskiego Mieczysława Serwińskiego, pięknie mówiącego wiersz, doskonałego w monologu III aktu i w scenie załamania się (może nieco przejaskrawionej). Artystę tego ujrzeliśmy też w „Cyruliku", jako świetnego Bartola i w „Inspektor przyszedł" w roli Birlinga-seniora.

Również nowopozyskany Zdzisław Karczewski wystąpił w roli Figara dając finezyjnie zarysowaną sylwetkę — a w „Inspektor przyszedł" niepokojącą, ciekawie rozwiązaną postać tytułową.

W „Cyruliku Sewilskim" charakterystyczną, bardzo dobrą w mimice, geście i masce postać Bazylego stworzył Marian Godlewski (bodajże najlepsza postać w sztuce), dobrze opracowaną Rozyną była Anna Jakowska, Almaviva — Jerzy Pietraszkiewicz, dobre komiczne epizody dali Kazimierz Herba i Jerzy Bukowski (Młokos i Żywiec).

W „Inspektor przyszedł“ despotyczną, broniącą swego dziecka panią Birling, była Irena Netto, pełnym umiaru angielskim gentelmanem Croftem Marian Stojkowski. Jerzy Pietraszkiewicz nieco przeszarżował rozpacz młodego Eryka Birlinga. W roli Scheili ujrzeliśmy Stefanię Waldenową i Annę Redlich.

Z dużego liczebnie zespołu biorącego udział w „Spartakusie“ na wyróżnienie zasługiwali (poza postacią tytułową): Krixos w różnej interpretacji dwu artystów Mariana Nowickiego i Jerzego Waldena (pierwszy potraktował wodza Celtów jako nieokiełzanego brutala, drugi jako patologicznie zazdrosnego o władzę, wyżywającego się w nieobliczalnych odruchach sadystę), liryczna, niepozbawiona akcentów bohaterskich Wanduo (Maria Chodecka), zalotna, wyrazista Eirene (Halina Świątek-Dzieduszycka), stara piastunka Daria (Irena Netto), prostacki żołdak Kastus (Aleksander Fogiel), szlachetni towarzysze Spartakusa Dycmedes i Pharnaces (A. Chromicki i J. Pietraszkiewicz), dwaj makabryczni wesołkowie Marcipor i Quitipor (W. Zdanowicz i J. Bukowski). W dobrych epizodach gońca J. Sobieraj i niemego Menasa A. Czopek.

Na scenie Teatru Popularnego Państwowy Teatr Dolnośląski wystawił trącącą już dobrze myszką komedię Bałuckiego „Dom otwarty“ i zawsze jeszcze zabawną „Madame Sans-Gêne“ V. Sardou. Obie sztuki reżyserował Marian Godlewski, wydobywając szczególnie z „Madame Sans-Gêne“ wiele interesujących momentów. Bardzo dobrym chwytem reżyserskim było wplecenie prologu w I-szy akt sztuki.

Pełną wdzięku, rozkosznie wulgarną Madame Sans-Gêne była Janina Martynowska. Bardzo dobre postacie stworzyli Marian Godlewski (Fouché), Marian Nowicki (Lefebre), Adolf Chromicki (Neippery). Dekoracje i kostiumy, a szczególnie meble były barwne i zbierane z różnych epok.

Napoleonów widzieliśmy aż trzech: H. Rozgiewicz, J. Sobieraj i A. Fogiel. Pierwszy miał dużo wewnętrznego wyrazu, drugi zewnętrznego podobieństwa, trzeci władczej energii. Mam wrażenie, że synteza tych trzech artystów dałaby właściwą postać Napoleona.

W Operze Dolnośląskiej w ubiegłym sezonie (pod dyrekcją Stanisława Drabika) zobaczyliśmy nadzwyczaj starannie wystawione „Rigoletto“ Verdiego, „Halkę“ Moniuszki i spektakle baletowe „Divertissement“ i „Wieszczka lalek“ Bayera oraz „Z Krakowiakiem do Wrocławia“ i „Pije Kuba do Jakuba“ Z. Wierciaka-juniora. Szczególnie „Halka“ była wielkim sukcesem artystycznym opery wrocławskiej. Tak oryginalna inscenizacja jak i bogata oprawa sceniczna uczyniły z naszej opery narodowej widowisko godne obejrzenia.

Ze śpiewaków wyróżnili się Władysław Szeptycki jako książę, Marian Woźniczko (Rigoletto i Janusz), Dunka Śleczkowska (Gilda), Robert Sauk (Monterone i Stolnik), Liliana Zamorska i Halina Halska jako Halka i Janina Jamroz jako Zofia.

Doskonale zapowiadający się tenor dramatyczny Stanisław Babis zadebiutował w partii Jontka. Balet pod kierownictwem Z. Patkowskiego dobry w scenach baletowych w operach, w pełnospektaklowych baletach wykazał braki techniczne, aczkolwiek widowiska te były barwne i ciekawie rozwiązane.

Chór operowy, coraz lepszy, w końcowych przedstawieniach „Halki" wręcz doskonały.

Orkiestrą, nie zawsze dobrze grającą w spektaklach operowych, dyrygowali K. Bończa Tomaszewski i Stefan Syryłło.

Filharmonia Wrocławska (dyrektor Stefan Syryłło) w okresie sprawozdawczym ubiegłego sezonu dała kilkanaście bardzo wartościowych koncertów, na których gościnnie wystąpili m. in. (chronologicznie): Irena Dubiska, Artur i Krystyna Malawscy, Witold Krzemieński, Irena Lewińska, Tadeusz Wilczak, Stanisław Mikuszewski, Zdzisław Górzyński, Maria Wiłkomirska, Zbigniew Szymonowicz. Kilkoma koncertami dyrygowali stali dyrygenci wrocławskiej Filharmonii Stefan Syryłło i Stanisław Skrowaczewski, których sylwetki dyrygenckie skreśliłem w poprzednich kronikach.

Programy Filharmonii zawierały, jak uprzednio, w przeważającej części muzykę klasyczną i romantyczną.

Orkiestra wykazywała dalsze postępy — szczególnie instrumenty smyczkowe zasługiwały na wyróżnienie. Instrumenty dęte — drewniane nie zawsze stroiły — zapewne winę tu ponoszą stare, zużyte stroiki.

W sezonie 1947/48 dyrekcję Opery Dolnośląskiej i Filharmonii Wrocławskiej objął świetny muzyk, pedagog i kompozytor Kazimierz Wiłkomirski. Dotychczas usłyszeliśmy 3 koncerty symfoniczne, kilka poranków i okolicznościowych koncertów. Należy podkreślić znaczne podniesienie się poziomu orkiestry. W programach słyszymy coraz częściej muzykę współczesną, m. in. utwory Maklakiewicza, Bacewiczówny, Wiłkomirskiego, Szałowskiego i współczesnych kompozytorów radzieckich. Orkiestrą dyrygowali K. Wiłkomirski i ostatnio Z. Szczepański.

Kazimierz Wiłkomirski prowadzi z ogromnym wyczuciem stylu, doskonale wydobywając pracę motywiczną i dynamiczną. Przy dużym temperamencie i polocie posiada umiar i spokój. Orkiestrę utrzymuje w dużej dyscyplinie.

Zygmunt Szczepański rozpracowuje starannie tekst muzyczny i prowadzi z wielką dokładnością, czasami jednak brak mu polotu.

Solistami koncertów byli: Eugenia Umińska, świetny pianista wrocławski Piotr Łoboz, śpiewacy: Jerzy Garda, artystka opery poznańskiej H. Dudicz-Latoszewska i rozporządzająca bardzo lekką koloraturą Zofia Łosakiewicz.

Na koncercie muzyki radzieckiej usłyszeliśmy muzykalną Walerię Jędrzejewską i dobrą pianistkę wrocławską Markiewicz, K. Wiłkomirskiego i trio Wiłkomirskich.

W ramach koncertów organizowanych przez wrocławski oddział Centralnego Biura Koncertowego wystąpił w ubiegłym sezonie Bol. Woytowicz w wieczorze sonat Beethovena. W bieżącym sezonie usłyszeliśmy doskonałą pianistkę Marię Wiłkomirską, fenomenalną laureatkę konkursu genewskiego, młodziutką skrzypaczkę Wandę Wiłkomirską i wiolonczelistę Kazimierza Wiłkomirskiego, którego technika, czystość tonu i miękkość kantyleny zawsze wzbudzają zachwyt.

W bieżącym sezonie mieliśmy nareszcie możność usłyszenia muzyki kameralnej w wykonaniu kilku zespołów. Wykonania tria Wiłkomirskich stoją na najwyższym poziomie artystycznym.

Na uwagę zasługują również recitale organowe doskonałego organisty-wirtuoza Władysława Oćwiei. Muzyka organowa, tak mało rozpowszechniona w Polsce, powinna znaleźć się we Wrocławiu na poczesnym miejscu. Mamy w naszym mieście szereg doskonałych instrumentów, a szczególnie jedne z najlepszych w Europie barokowe organy w kościele św. Elżbiety, budowane przez organmistrza Englera w latach 1750—1761, odnowione i zelektryfikowane przez Sauera w latach 1939—41, nadają się świetnie do koncertów. Poza tym w niedługim czasie zostaną odremontowane największe w Europie elektryczne organy w kościele św. Doroty i organy koncertowe w Wielkim Studio P. R. na Krzykach.

W bieżącym sezonie muzycznym mieliśmy poza tym we Wrocławiu dwa sensacyjne koncerty symfoniczne: Czeskiej Filharmonii pod dyrekcją R. Kubelika i Reprezentacyjnej Orkiestry Polskiego Radia pod dyrekcją G. Fitelberga (na otwarciu wielkiej radiostacji wrocławskiej).

W Operze Dolnośląskiej w bieżącym sezonie zobaczyliśmy tylko wznowienia „Halki", „Traviaty" i „Toski" (wystawianych już w sezonie ubiegłym) w nieco zmienionej inscenizacji i obsadzie.

W operach tych usłyszeliśmy kilka gościnnych występów, z których jednak za udane możemy uznać tylko występy A. Hiolskiego, O. Didur, H. Dudicz-Latoszewskiej i tenora Arno.

Na wyróżnienie natomiast zasługują miejscowi młodzi śpiewacy: I. Wojtaszewska, Z. Łosakiewcz, Wł. Szeptycki, Zb. Studler, W. Wronecki, Z. Biliński, którzy rozporządzają pięknymi, dobrze postawionymi głosami i zaprezentowali dobrą grę sceniczną.

Wojciech Dzieduszycki

NOWE KSIĄŻKI

Andrzej Strug, LUDZIE PODZIEMNI. Wstępem opatrzył Paweł Gdula. Spółdzielnja Wydawnicza Wiedza 1947.

Tom pierwszy poprzedza przedmowa P. Gduli, który na dwudziestu stronicach zapoznaje czytelnika ze Strugiem bojownikiem i pisarzem. Końcowa część przedmowy poświęcona jest pierwszemu tomowi „Ludzi podziemnych", w której Gdula zwięźle i wnikliwie charakteryzuje siedem opowiadań i nowel, wyręczając w tym w dużej mierze przyszłego recenzenta. Wydawnictwo zaopatruje tom w objaśnienia w formie małej encyklopedii słownictwa utworów. Dodając do tego dobry papier i wyraźną czcionkę, tom pierwszy zasługuje na wyróżnienie spośród popularnie przygotowanych wydawnictw.

Tematyka wszystkich utworów jest poświęcona walkom szarych i nieznanych bojowników socjalizmu z ostatnich lat ubiegłego i pierwszych obecnego stulecia. Autor przede wszystkim pragnie oddać hołd towarzyszom, którzy walczyli obok niego i którzy odeszli. Tym to, jak drukarz z pierwszego utworu, składa serdeczny nekrolog. Ale książka jest dziełem sztuki i bohaterowie poszczególnych utworów działają w fikcyjnych indywidualnie sytuacjach. Wszyscy oni w jednym podobni są do siebie, o jedno walcząc, w jednej ginąc lub załamując się sprawie. Wszyscy wypowiadają się i dokonywują przeobrażeń swych charakterów czy zmian kolei swych losów w atmosferze walki podziemnej. Człowiek-socjalista-działacz Struga tylko marginesowo przyrasta do ludzkiej doli, która przecież kształtowała go takim, jakim widzimy go w opowiadaniu. I dlatego jest on socjalistą, a przede wszystkim działaczem. To wyodrębnienie czyni go przejrzystym, ale i tym samym może mniej prawdziwym. Ta ich niepełność nie zawsze jest oddestylowana do końca. Tradycje, życie prywatne, wychowanie i świat „przedsocjalistyczny" dopominają się czasem o swój udział i prawa. I albo się złuszczają w zwietrzałą powłokę, albo obumierają zapomniane na dnie duszy. Tylko czasami, gdy zbyt głęboko przerosły jakąś wewnętrzną jej tkankę, odżywają bólem i wspomnieniami, choćby takimi jak przy łożu umierającego ojca („Ojciec i syn"). Ale i tu syn żebrzący o przebaczenie za ból, zadany w niewiedzy i oddaniu się sprawie, która każe zamknąć serce na wszystko inne, słyszy ostatnie słowo z ust ojca — „Synu przebacz!"

Czytając opowiadania Struga nasuwa się jakaś analogia do czasów pierwszego chrześcijaństwa, świata katakumb, w którym rosła i krzepła nowa idea, nie tryumfująca jeszcze, ale urzekająca mocną pewnością, że coś zdobyte za taką cenę i z takim wyrzeczeniem się musi zwyciężyć. Jak niegdyś Bóg ratował przed upadkiem i wyprowadzał z dna moralnego, tak tu socjalizm uszlachetnia i uczłowiecza („Z ręki przyjaciela").

Ileż własnych wspomnień wywołują opowiadania poczęte w tych samych nocach konspiracyjnych, które i naszemu pokoleniu przeżywać przyszło. Umęczony człowiek ucieka od wszystkiego co go prześladuje, co trop w trop idzie za nim, przeciążony trudem ponad miarę, ucieka w najpiękniejsze marzenia, którymi był jeszcze wówczas socjalizm. A jeśli kołując tak po nocy mija po raz któryś bramę domu, w którym jest ciepły pokój i gorąca kolacja mieszczańskiego, spokojnego bytowania, to czyni to tylko dlatego, aby nie zagrozić spokojowi tego domu, gdy go jak w dżungli w nocy miasta, tropi czereda szpiclów. Bo trudno jest mu się wyrzec tego, aby nie wpaść tam czasem i w spokojnej atmosferze filozofującego socjalizmu przyjaciela odpocząć i usnąć w czystym łóżku, obudziwszy się wcześnie rano. Bo nigdy nie jest dość wcześnie wstać, aby na nowo podjąć codzienny trud czynu. Musi przecież odrobić go za tych, „co teraz śpią wygodnie i za tych co są bezmyślni i leniwi" („Wigilie").

W technice przedstawiania Strug niejednokrotnie zaciera granice między rzeczywistością a widziadłem. Nie zawsze wychodzi to opowiadaniu na dobre, ale czyni to bohaterów nam bliższymi i widzimy jak trudno jest im dorastać do bohaterstwa („Zmora").

Strug niejednokrotnie porzuca dramatyczne przedstawiania dla refleksji i retrospekcji i niejednokrotnie całe opowiadanie zamyka tylko na początku i końcu w oprawę dramatyczną, wnętrze wypełniając swobodnie kojarzoną treścią wspomnień, z której potrafi wyodrębnić to, co służy najdoskonalszemu przedstawieniu tej części duszy bohatera, która dla całości opowiadania jest najistotniejsza.

Może czasami wyraźniej widać wpływ Żeromskiego niż to p. Gdula widzi. Analogie np. między takimi opowiadaniami jak „Syn i ojciec" a „Dr Piotr" zachodzą nawet w układzie formalnym.

Jeszcze jedno spostrzeżenie, które nasuwa się przy czytaniu opowiadań. Gdy się tak czyta o tropionym i osaczonym człowieku i wreszcie, gdy ten znajduje się już w więzieniu, w miejscu, w którym ma czas do opanowania teoretycznej wiedzy o socjalizmie („Socjalizm polski zaszedłby na manowce, gdyby nie Pawiak"), dochodzi się do naiwnego spostrzeżenia każącego z wyższością i prawie z uśmiechem popatrzeć na „dobre czasy", w których uciekało się szpiclom, jak choćby w noweli „Na stacji" i wreszcie można było „spocząć" na Pawiaku — gdy ma się za sobą niemiecki terror okupacji. Głupio i śmiesznie, jakby do tego doszło, że człowiek ma się licytować w natężeniu cierpienia i tego czego doznał od bestialstwa drugiego człowieka.

W sumie opowiadania Struga stanowią mocne i trwałe artystycznie ogniwo w dążeniach do wolności i praw człowieka w polskiej literaturze.

Jerzy Cieślikowski

Leon Kruczkowski, KORDIAN I CHAM. Wyd. 5. Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik 1946.

„Nie tylko Kazimierz Deczyński jest postacią historyczną, a losy jego w książce opisane — autentyczne. „Kordian i cham" jest

w całości powieścią dokumentarną". Słowa te, które autor nieopatrznie położył we wstępie do swej powieści, stały się podstawą zarzutów krytyki, stawianych z okazji czterech poprzednich wydań. Krytycy z złośliwą radością konfrontowali powieść z autentycznym pamiętnikiem Deczyńskiego i wychwytując drobne niezgodności między oboma oskarżali Kruczkowskiego o świadome zafałszowanie prawdy historycznej.

Rozpatrywanie wartości historycznych powieści było błędem, który zaprzepaszczał inne jej wartości. Wprawdzie sam Kruczkowski dokumentarny charakter powieści podkreślił, ale sądy autora o własnym dziele bywają mylne. Gdy więc od pierwszego wydania i od politycznej zaciekłości owego czasu dzieli nas okres kilkunastu lat, spróbujmy spojrzeć na „Kordiana i chama" z chłodem formalnej analizy.

Autor posługuje się techniką, którą sam nazwał „montażową". Elementami montażu są różnorodne obrazy, spojone w całość losami głównego bohatera i tendencją powieści. Kruczkowski posługuje się jak gdyby aparatem projekcyjnym, z którego rzutuje na ekran coraz to nowe obrazy niesprawiedliwości społecznej: z jednej strony wieś z jej nędzą, z drugiej rozpanoszoną samolubnie szlachtę. Z tych zestawień wynikają pewne przejaskrawienia, które jednak nie fałszują obrazu społecznego Polski z czasów Królestwa Kongresowego, ponieważ są jedynie uproszczeniem rachunku. W rachunku tym wartości bezwzględne wprawdzie się zmieniają, ale proporcje pozostają te same: chłopów od szlachty różnią odmienne warunki bytowania i dzielą wieki doznanych krzywd.

Chwyt, który nazwaliśmy metodą projekcyjną, tłumaczy, dlaczego powieść składa się głównie z epizodów. Nawet każdy rozdział można czytać osobno, bo każdy przynosi nowe oświetlenie problemu i dorzuca nową pozycję do listy nieprawości szlachty. W ten sposób konstrukcja zostaje zsynchronizowana z działalnością Deczyńskiego, zbierającego skrupulatnie materiał do przyszłego oskarżenia.

Życie Deczyńskiego zostało przedstawione tylko w tych wycinkach, które mogą posłużyć do wzbogacenia zagadnienia społecznego. Tego rodzaju kondensacja posiada charakter arealistyczny, jest jednak artystycznie celowa jako odpowiednik aktu sądowego, do którego wciąga się tylko momenty związane z samą sprawą. A takim właśnie aktem sądowym jest „Kordian i cham". Jeśli autor od tej zasady odstąpił wprowadzając — na krótko wprawdzie — erotyczny motyw Honorki-ladacznicy, to pogwałcił jednolitość utworu.

Sam Deczyński nie jest postacią pełną. Spełnia on funkcję sui generis żywej kroniki krzywdy i nosi ze sobą problem awansu i degradacji społecznej. Do tego ogranicza się rysunek jego charakteru. Deczyński, chłop z pochodzenia, wyszedł na krótki czas ze swego pierwotnego stanu, jednak tryby starej machiny społecznej strąciły go z powrotem w dół. Przypadek Deczyńskiego ma wymierzyć prze-

paść, jaka dzieli chłopów i szlachtę; przepaść okazuje się nie do przebycia, Deczyński zatem do obserwowanej rzeczywistości podchodzi z pasją upokorzonego. Nic więc dziwnego, że nie zdobywa się na chłodne bezstronne rozumowanie, a zaczyna myśleć antynomiami.

Deczyński, który w dużym stopniu jest jakby „alter ego" autora, narzuca swój sposób myślenia konstrukcji utworu. Konstrukcja ta opiera się na kontrastowym układzie demonstrowanych obrazów. Np. elegant i wykwintniś Locci umieszczony jest na tle zbiedzonego chłopstwa, lekturę sielankowych „Ballad i romansów" przerywa pannie Anieli wulgarna awantura Czartkowskiego z chłopem, a scenę w karczmie poprzedza autor opisem karmienia dworskich indyków orzechami.

Obok kontrastów sytuacyj występują kontrasty postaci. Deczyński, Wenzel, Ksawery Glinka, Szymkiewicz nawet, zaskarbiają sobie tym łatwiej sympatie czytelników, że Czartkowski, komisarz Słotwiński... są typowymi „ciemnymi charakterami". W tym tradycyjnym podziale na postaci dodatnie i ujemne tkwi niewątpliwie pewna prymitywna stronniczość, u Kruczkowskiego usprawiedliwiona, ponieważ wyraża bezkompromisowość walki społecznej.

Niemniej wypada stwierdzić, że Kruczkowskiemu na ogół lepiej udają się sytuacje niż osoby. Skończonych charakterów w ogóle brak. Nawet te postaci, które dłużej pozostają w polu uwagi autorskiej, posiadają wyłącznie te rysy, których wymaga tendencja powieści. Co więcej, mamy postacie, które po to tylko biorą udział w akcji, aby zastąpić autora w wypowiedzeniu pewnego programu (w konkretnym wypadku Ksawerego Glinki — programu pracy najemnej). Podobnie opowiadanie o losach Derkacza nie jest potrzebne dla psychologicznego uzasadnienia późniejszych jego uczynków, ale dla wykazania, że niesprawiedliwości społeczne nie były atrybutem Królestwa Kongresowego, ale sięgały także chlubnych — zdawałoby się — czasów Konstytucji Trzeciego Maja (dalej bowiem pamięć Derkacza naturalnie nie sięga).

Obraz społeczeństwa polskiego, aczkolwiek odmalowany dwiema tylko farbami — białą i czarną, jest w powieści artystycznie celowy, na nim bowiem opiera się motyw powstania listopadowego. Autor dowodzi, że niepowodzenie walki o niepodległość tkwiło już w jego statu nascendi z powodu nieuwzględnienia warunków społecznych epoki. Z literackiego stanowiska teza ta posiada pełne uzasadnienie. Przedstawiony w pierwszej części książki rozdźwięk między chłopami i szlachtą wystarczająco motywuje niechęć Deczyńskiego do spiskowców i nieprzystąpienie do walki, choć podobno prawdziwy Deczyński wziął udział w wojnie.

Ten właśnie moment niezgodności powieści z pamiętnikiem był — o ile pamiętam — głównym argumentem niechętnej autorowi krytyki. Tymczasem zarzut ten traci sens, jeśli „Kordiana

i chama“ przestaniemy — wbrew sugestiom autora — traktować jako powieść historyczną. Sugestie te wypowiedział Kruczkowski wprawdzie nie tylko w przytoczonych poprzednio słowach Wstępu, ale i w fabule, w której umieścił Lelewela, Mochnackiego, Wysockiego... Te historyczne postaci nakreślone są z dużą dozą satyrycznego zacięcia i gdyby autor zamienił prawdziwe nazwiska na fikcyjne, książka zyskałaby wiele smaczków aluzji. Tymczasem chęć podparcia tendencji faktami historycznymi sprawia, że „Kordian i cham“ oscyluje między powieścią historyczną a satyrą.

A że ton satyryczny bardziej przypada do genre'u tej powieści, dowodzi nie tylko udane przerysowanie postaci, ale i szereg świetnych aluzji literackich. Feluś Czartkowski, stojący we śnie na warcie quasi-Kordian czy panna Aniela karmiąca się sielankową literaturą w chwili, gdy otaczająca ją rzeczywistość podsuwa jej zgoła inny obraz chłopa — to typowe sceny satyryczne, a zarazem najlepsze sceny utworu.

Swą poczytność i aktualność społeczną w okresie drugiej niepodległości zawdzięcza „Kordian i cham“ tym właśnie domieszkom satyry, a nie rzekomemu charakterowi dokumentarnemu. Satyra jest jedną z form walki społecznej, a cel walki był wtedy wyraźny: — wegetujące jeszcze pozostałości szlachetczyzny i romantyczne tradycje literackie.

Jerzy Ziomek

Pola Gojawiczyńska, ZIEMIA ELŻBIETY. Wyd. 3. Spółdzielnia Wydawnicza Wiedza 1947.

Śląsk był w strukturze państwa polskiego w okresie dwudziestolecia swojego rodzaju curiosum. Obyczajami oraz stosunkami społeczno-ekonomicznymi różnił się wybitnie od innych dzielnic, a nadana mu na progu niepodległości autonomia z natury swej różnice te jeszcze bardziej podkreślała. Początkowo w swej odrębności administracyjnej Śląsk był przez rząd uprzywilejowany; kryzys gospodarczy, jaki przeżyła Polska w latach trzydziestych dotarł tu wprawdzie później, ale zastając Ślązaków nieprzygotowanych wywołał rozgoryczenie i nastroje separatystyczne. Gwałtowne obniżenie stopy życiowej zbiegło się z ograniczeniem praw autonomii, co objawiło się Ślązakom w dość ścisłym związku przyczynowym, tak że na te zmiany odpowiedzieli skrupulatniejszym niż dawniej przestrzeganiem odrębności regionalnej.

To wyjaśnienie konieczne jest, gdy się spogląda na powieść Gojawiczyńskiej z odległości powojennego, trzeciego wydania. Dziś lepiej niż kiedykolwiek przedtem widzimy, że Śląsk był nader ponętnym tematem dla pisarza. Istniało jakoby zamówienie na literackie opracowanie tej ciekawej dzielnicy, zamówienie, którego sami pisarze śląscy bezstronnie by wypełnić nie mogli. Syntetyczny obraz Śląska mógł dać ktoś stojący na uboczu. Konkretnie dała go Gojawiczyńska w „Ziemi Elżbiety“.

Gojawiczyńska wybrała nienazwaną osadę górniczą, jedną z wielu, by dokonać przekroju i ukazać życie śląskie w jego bogactwie cech charakterystycznych i obfitości problemów. Z tego stanowiska „Ziemia Elżbiety" rozpada się kompozycyjnie (niezależnie od podziału obiektywnego) na dwie części: pierwszą, w której stosunki i obyczaje dzielnicy zostały odmalowane za pomocą różnorodności postaci i sytuacyj — i drugą, gdzie na czoło wysuwają się zagadnienia ogólno-społeczne, gospodarcze i narodowościowe. Pierwsza część służy celom ekspozycji (nie tyle w sensie fabuły, co problematyki), druga tej właśnie problematyce jest poświęcona.

Z punktu widzenia lat po drugiej wojnie światowej najbardziej interesujące wydaje się w tej powieści zagadnienie narodowościowe.

Jak wspomniałem, walka o polskość Śląska odbywała się poprzez „kokieterię autonomii". Fiasko tej polityki wykazała wojna i dzielnicowe tarcia w okresie powojennym. Przeżywszy próbę czasu musimy z podziwem przyznać Gojawiczyńskiej wielką umiejętność analizy współczesnych faktów społecznych. Gojawiczyńska nie tylko dała obraz życia na Śląsku zgodny ze stanem historycznym, nakreślonym na wstępie niniejszej recenzji, ale i umiała wykazać jego przyszłe skutki.

Większość postaci w „Ziemi Elżbiety", to ludzie twardo obstający przy polskości Śląska, nie brak jednak i separatystów czy wręcz niemcofilów odbywających zebrania w gospodzie „Pod Farą", którzy ulegają urokowi dymiących po stronie niemieckiej kominów fabrycznych. Końcowa scena powieści, w której tłum głodnych bezrobotnych przebiega granicę niemiecką zwabiony chlebem i pracą, bez względu na to czy autentyczna, brzmi jak ostrzeżenie adresowane do rządzących. Scena ta, odczytywana dziś ponownie w wydaniu trzecim, a skonfrontowana z rzeczywistością wojenną na Śląsku, potrafi w niej wiele wyjaśnić i jest poważną bronią w walce z antyśląskimi nastrojami w innych dzielnicach Polski, których mieszkańcy niejednokrotnie nie znają prawdy o krzywdzie.

Krzywdzie tej poświęca autorka drugą część swojej powieści. Nędzę bezrobotnych i cienie życia dzieci w sierocińcach oświetla z różnych stanowisk: od strony samych pokrzywdzonych i od strony współczujących. Agnieszka ochotnie oddająca część swoich dochodów biednym jest może jako postać realna dość wyjątkowa. Jednak bez względu na to, czy taka działalność charytatywna posiadała w życiu częste precedensy, w powieści służy ona wyraźnym celom tendencyjnym. Agnieszka wraz z wszystkimi dobroczynnymi instytucjami nie zmieni stanu rzeczy i nie usunie nędzy. Autorka wykazując tym sposobem bezbronność społeczeństwa wobec klęski bezrobocia wzmacnia swe oskarżenie skierowane do właściwych winnych, których wyraźnie wskazuje. Są nimi — obok rządu — kapitaliści z Wspólnoty Interesów.

Potentatów węglowych autorka do akcji nie wprowadziła (jeśli nie liczyć Hollerta seniora), nie ukazała też jasno ich machinacyj. Nie straciło jednak na tym założenie ideologiczne powieści, która nawet tym sposobem zyskała jeden walor artystyczny więcej. Władcy z koncernu wę-

glowego, jako postaci utworu urealniliby się i utracili posmak mitu, dzięki któremu — personalnie nieobecni, ale widomie decydujący o losach mas — urastają do rozmiarów tajemniczego a wszechpotężnego olbrzyma.

„Ziemia Elżbiety" walczy zatem o sprawiedliwość społeczną budząc współczucie dla ofiar ustroju. Cel ten osiąga autorka raz za pomocą argumentacji wywodzącej się z prostej wymowy faktów (śmierć dwojga dzieci w sierocińcu, demonstracje głodnych bezrobotnych, uparty proceder przemytniczy Sroki etc.), po wtóre przez przybliżenie i unaocznienie przeżyć bohaterów. Ta druga metoda wiąże się z pewnym typowym dla całego utworu chwytem stylistycznym, a mianowicie mową pozornie zależną.

Mowa pozornie zależna była dość często stosowana w literaturze dwudziestolecia. U Gojawiczyńskiej przyjmuje jednak wyjątkowe rozmiary, rozciąga się nawet na dłuższe partie, jak np. opowiadanie Biernackiego (s. 53 nn.). Ogólny cel tego chwytu jest ten sam co zawsze — czytelnik zatraca poczucie granicy między tym, co mówi autor a tym, co myśli bohater. Myśli, przeżycia, a w naszym wypadku i cierpienia bohaterów stają się przez to bliższe czytelnikowi, który niespodziewanie włączony w nurt odczuć bohatera zaczyna z nim intensywnie współżyć. Czy mowa pozornie zależna ma w „Ziemi Elżbiety" inne jeszcze uzasadnienie, byłoby wdzięcznym tematem osobnego studium. Doraźna obserwacja pozwala dostrzec związki tego chwytu z ogólną zasadą kompozycji powieści.

Kompozycja „Ziemi Elżbiety" jest niejednolita. Autorka obserwuje rzeczywistość ze zmienianych stale stanowisk. Wszystkie postaci utworu kolejno i na zmianę mówią i myślą o życiu w osadzie i o swoim życiu osobistym. Dzięki temu autorka uzyskuje prawo „wszędobylstwa", które pozwala jej zrealizować jakąś przybliżoną pełnię obrazu osady. Obraz ten, dzięki częstemu stosowaniu mowy pozornie zależnej, posiada mocne piętno obecności.

Właściwie osada, a nie Agnieszka czy Elżbieta, jest głównym bohaterem utworu. Wprawdzie troski finansowe Ligenzów i konflikty psychologiczne Elżbiety zajmują dużo miejsca, szczególnie w części pierwszej, wprawdzie pod koniec pojawia się motyw powrotu Elżbiety na ziemię przodków, są to jednak tylko motywy poboczne. Rzecz znamienna, ale w miarę bogacenia się Ligenzowie odchodzą powoli na coraz dalszy plan. Ubodzy — absorbują autorkę na początku powieści całkowicie, wzbogaceni — stają się dla tendencji utworu zbyteczni i stopniowo ustępują miejsca bardziej potrzebującym walczącego słowa autorki.

Jednakże ani historia rodziny Ligenzów, ani drobne urywki z życia osady nie tworzą osi powieści. Szereg mniej lub więcej doniosłych wypadków, które na przestrzeni lat kilkunastu mogły się zdarzyć (dojrzewanie i miłość Elżbiety, śmierć Juliana, miłość Margarety etc.) nie łączy się w dramatyczny związek i nie zdąża ku żadnemu wyraźnemu finałowi. Jest tylko tłem, które ma spełnić postulat realizmu. I rzeczywiście zdarzenia mijające i zapominane zbliżają utwór do prawdy o życiu.

Tak ujęta powieść nie miałaby właściwie zakończenia. Losy Elżbiety

porzuciła autorka w najciekawszym momencie i na końcu powieści położyła scenę ucieczki głodnych bezrobotnych, jako swojego rodzaju groźne memento. W ten sposób rozwiązała sam tylko problem, rozwiązania fabuły zaś celowo nie dała. Cóż znaczy bowiem przyszłość Ligenzów, gdy cierpi masa? Takim zakończeniem wyraziła Gojawiczyńska historyczny sens czasów, w których jednostka staje się o tyle nieważna, o ile wielka jest katastrofa grożąca grupie społecznej.

Jerzy Ziomek

Stanisław Maria Saliński, OPOWIEŚCI MORSKIE. Wyd. 2. Przedmową opatrzył K. Wyka. Spółdzielnia Wydawnicza Wiedza 1947.

Czy było to wznowienie konieczne? — Sądzę, że dziś, po opadnięciu czasów łatwej radości, takim pytaniem należy witać każdą reedycję. Kontrolujmy uważnie, czym zapełniają się wymiecione przez wojnę półki biblioteczne. Na makulaturę szkoda miejsca. Czy szkoda i na „Opowieści morskie" Salińskiego?

Mamy w ręku wznowienie debiutu marynistycznego. Saliński bowiem pozostał i później debiutantem, autorem unius libri. Muza miewa kaprysy. Widocznie tylko na krótko owionęła swoim tchnieniem Polaka, który — urodziwszy się na Korei — i dzięki temu i dzięki studiom w Szanghaju oraz twardej służbie marynarza, zdobył egzotyczną dla nas wiedzę o Dalekim Wschodzie (o pasie między Filipinami a Morzem Beringa). Jej odpryski zawarł w dziesięciu nowelach. Niektórym przyjrzyjmy się bliżej. Jedna np., „Opowieść o tej która czuwa", nie uzasadnia w sposób wystarczający, dlaczego widownią pewnego zdarzenia musiał być okręt. Miłość synowska, o której tu mowa, mogłaby się w równej mierze przejawić w tysiącu innych sytuacji. Jeśli autor chciał podkreślić, że tawerny portowe nie potrafią marynarzowi zastąpić uczucia dalekiego od fizjologii, powtarzał się niepotrzebnie. Sprawę tę, z daleko lepszym efektem artystycznym, poruszył przecież w kilku innych opowieściach. Tymczasem opowieść wspomniana wygląda dość sztucznie. Sztucznie i ckliwie prezentuje się również „Opowieść o ostatnim słowie Siu-Czu-Szana". Pokazuje on tragedię człowieka szarego i szczęśliwego, który został zaatakowany nagle przez niepojętą, bezlitosną rzeczywistość. Morze i pochodzenie Siu-Czu-Szana to przypadkowe dekoracje. Nie stanowią w noweli jakiegoś koniecznego rekwizytu, a los w ten sposób uderza wszędzie (w trzy lata po wojnie nie trzeba tego szerzej uzasadniać). Historia „tragicznego" Chińczyka jest chyba najsłabszą nowelą. Ją oraz poprzedniczkę obejmuję wspólnym wnioskiem: tematy, nie związane w konsekwentny sposób ze sprawami morza, wyraźnie się Salińskiemu nie udają. Nie chcę takim wnioskiem przesądzać, że udała się w pełni reszta opowieści. Nie podobna nad każdą z nich zastanawiać się w tak krótkim omówieniu oddzielnie, zamknijmy przeto sprawę w szeregu uwag syntetycznych.

Powiedziałem: Saliński zawarł w nowelach odpryski swojej wiedzy. To zresztą tylko hipoteza. Gdyby miała ona znaczyć, że autor nie opisał wszystkiego, byłaby hipotezą bez sensu. „Jest też wiele innych rzeczy (...),

które gdyby z osobna opisywać, mniemam, że i sam świat nie mógłby pomieścić ksiąg, które by trzeba napisać" (św. Jan 21, 25). Przyswajając sobie opinię Apostoła, zrezygnujmy z pretensji pod adresem dziesięciu zwykłych opowieści. Chodzi o co innego. Nowele Salińskiego, fabularnie różne, w tematyce różnorodności mają daleko mniej. Amorowi np. poświęcono ich aż trzy. Amorowi o niewygórowanych na ogół pragnieniach, z alkoholiczną mgiełką przed oczyma. Typ ten kręci się jednak wszędzie, odkryty więc na Dalekim Wschodzie nie stanowi dla nas rewelacji. W jednym wypadku zaciekawia tylko odrębnością: w „Opowieści o Bartłomieju Klimie". Klim, ułomny latarnik na bezludnej prawie wyspie północnego oceanu, podnieciwszy się erotycznymi wynurzeniami jurnego marynarza — chce tańczyć z królową hawajską. Sugestywnie kreśli tu Saliński psychikę niewyżytego kaleki. Zgadzam się z opinią Wyki, że jest to opowiadanie „bodaj najlepsze w zbiorze". Inne ustępują mu na ogół bardziej zbanalizowanym tematem, wszystkie natomiast pozbawione są głębszej problematyki. Ten brak stanowi właśnie podstawę hipotezy, że autor dzieli się z nami tylko odpryskami swojej egzotycznej wiedzy. Czyżby bowiem życie ludzi tamtych mórz i wybrzeży było w istocie tylko serią miłostek, drobnych tęsknot i wyładowujących się w krótkich spięciach tragedii? Nie chce się w to wierzyć. Nikt tam nie kocha swego trudu, nie ma sposobności by zostać bohaterem, nie dostrzega spraw, nie będących produktem jego własnego mózgu? Wydaje się, jakby służba na okręcie dawała jedynie opanowanie rzemiosła, lakoniczność wysłowienia i okazję do przygód. Nie mamy prawa boczyć się na autora, że jest jednostronny, mamy natomiast prawo — dla poparcia wysuniętej hipotezy — tę jednostronność mu wytknąć.

Salińskiemu wystarcza, gdy nas zaintryguje fabułą. Występuje na tle tej fabuły człowiek twardy, bezwzględny, ale nie pozbawiony — czasami — tkliwości. Nie wytrawił mu też wiatr morski sumienia. Porucznika Moritza O'Kanny widmo towarzysza, do którego strzelał po śmierci, gnębi tak silnie, że popełnia wreszcie samobójstwo. Wracając do wspomnianej jednostronności trzeba zaznaczyć, że bohaterowie „Opowieści" są to przeważnie ludzie z jedną struną w duszy i jedną myślą w głowie, dlatego sprawiają wrażenie postaci trochę nierealnych. Wrażeniu temu sprzyja w dodatku, jeżeli już mam przejść do stylu nowel, dość abstrakcyjna miejscami, metaforyczna narracja. Tak bije u Salińskiego zegar: „Klangor złota i kryształu plusnął o falę, zamigotał przezroczystym skrzydłem, brzękło echo i pofrunęło w aromatycznej atmosferze". A oto falowanie: „Z oschłym szmerem rozwijają się zwoje aksamitów, mory i atłasów..." Czyjś głos zostaje określony jako „metal, determinacja, szaleństwo". W nowelach narracja przeplata dialog. Narracja odsuwa nas czasami od rozumienia tekstu. Nie mamy wytrwałości, by brnąć w przytoczonym typie fraz. W przeciwieństwie do narracji, która nie jest poza tym wolna od wielu uproszczeń („Płynęły (kutry) — jeden, drugi, trzeci", „...zamarzały łzy. Jedna. Druga. Trzecia". „Zielone fale pieniły się dookoła, miliony, miliony, miliony zielonych fal"), nie zawodzi nigdy dialog. Cie-

kawy, dobrze charakteryzujący osoby i sytuacje. Dialog w pewnych miejscach przykuwa dosyć silnie.

I tak: egzotyczność fabuły, wartki, ciekawy dialog, a prócz tego niedostatek książek marynistycznych — skłaniają do decyzji: jeśli nawet „Opowieści morskie" nie są wznowieniem koniecznym, nie można ich nazwać reedycją zbędną. Nie ma w nich spraw i ludzi głębokich, czy musimy jednak stykać się tylko z takimi? Wolno nam przecież zajrzeć i do książki, która chce czytelnika jedynie zabawić, rezygnując z obarczania go problemami. Chyba nawet od czasu do czasu musimy. A ponieważ przy zabawie należy być względniejszym, przestaję się wahać: stawiam „Opowieści morskie" na półce. Bądź co bądź, jest w nich sporo niekoloryzowanej wiedzy o marynarskim trudzie.

Jan Gawałkiewicz

Wojciech Żukrowski, PORWANIE W TIUTIURLISTANIE. Ilustrował Adam Marczyński. Wyd. 2. Kraków 1947. Księgarnia Stefana Kamińskiego.

Dwa tomy opowiadań i jedna powieść „dla dzieci" to powojenny dorobek Żukrowskiego — księgarz notuje, że w niespełna dwa lata drukuje się dwa drugie wydania i policzy w sumie książek pięć. Ta cyfra ma swoją wymowę w skali powojennej. „Porwanie w Tiutiurlistanie" miało pochlebne recenzje, zdobyło określenie najpiękniejszej (w roku 1946!) książki powojennej — pominięto przecież bez większej uwagi zasadniczy problem: jej wartości jako powieści dla dorosłych, a więc wartości w ogóle, przeszły bez zauważenia pewne chwyty pisarza, które można nazwać nowymi.

Konstrukcja fabularna książki jest bardzo prosta, nawet prymitywna i konwencjonalna: autor przesuwa przed oczyma trójki wędrujących przyjaciół krajobrazy Tiutiurlistanu i Blablacji, perypetie składają się z trzech wątków: trudności podróży (braku pieniędzy), troski o królewnę Wiólinkę i prześladowań cygana Nagniotka. Szereg retardacji maluje przedakcyjne dzieje bohaterów. Konstrukcja ta posiada przecież szereg walorów godnych uwagi. Fragment autobiografii kaprala Pypcia wykorzystany jest wielokrotnie w akcji właściwej, chrześniak Mysibrata, znany z opowiadania, pojawi się na scenie w najbardziej dramatycznym momencie i uratuje kota. Nawet taki szczegół, zdawałoby się dekoracyjny, jak mandolina utopiona kiedyś w nurtach Bełkotki, wróci w ręku... Don Kichota ku końcowi powieści, aby wypełnić do końca swoje artystyczne, kompozycyjne zadanie. Takie wykorzystanie retardacji świadczy o solidności autorskiego warsztatu, a jednocześnie stwarza bardzo swoistą atmosferę, atmosferę kraju, ludzi i spraw, które znamy, które są nam bliskie, swojskie. Ilustrator podsuwa nawet mapę obu krajów, jesteśmy u siebie.

To zbliżenie książki do czytelnika osiąga autor jeszcze na innej drodze. W tok opowieści, w akcję zostały włączone bardzo

ściśle rozmaite wątki bajkowe. Czytelnik młody odnajdzie tu swoich licznych znajomych, łatwiej mu wejść w świat książki. Czytelnik starszy bawi się obserwowaniem pracy pisarza, zjednany jest na współautora, czasem i sam natknie się na fragment swoich dziecięcych umiłowań.

Ludzie i ich charaktery przedstawiane są prosto, konwencjonalnie: bohaterowie mają słabostki, ale są szlachetni, ofiarni. Cnotą jest w tamtej krainie patriotyzm, męstwo, przyjaźń, poświęcenie. Nie wykłada tego autor: fakty są tak jaskrawo zestawiane, że nauki moralne wyciągnie sobie każdy dosłownie czytelnik. Elementy dekoracyjne, przyroda, realia ułożone są w bardzo fantastyczną mapę. Autor zbiera obserwacje, fakty, aluzje dosłownie zewsząd. Raz uderzy nas świetnym, naturalistycznym powiększeniem (zbliżeniem — w terminologii filmu) ze świata przyrody, raz zaskoczy aluzją bardzo wyrafinowaną, humanistyczną, refleksem ze sporów naukowych — jak wspomnienie sławnej dzięcieliny, znanej komentatorom tekstu „Pana Tadeusza", a tu służącej Cyganowi do czarów. Kraj, po jakim wędrujemy jest naprawdę fantastyczny, a jednocześnie o wiele bliższy niż na przykład świat Andersena. Dyrektywą organizującą ten klimat powieści był zdaje się komizm; oparty o pretekst apelowania do wyobraźni dziecięcej pozwolił pisarzowi na swobodne budowanie fikcji — wbrew przyjętej konwencji pisarskiej. Kiedy ją badamy, nasuwa się pytanie, czy słuszny jest upór pisarzy, tworzących stale fikcje na wzór świata rzeczywistego, najbliższego i pojmowanego zwykle dość naiwnie. Zbyt duże powodzenie mają egzotyzmy: powieści podróżnicze, historyczne, przedstawiające rzekomo życie arystokracji, aby to pytanie było pomyłką. Oryginalność świata Tiutiurlistanu wyraża się przede wszystkim pomysłowym włączeniem licznych elementów, bajkowych, powieściowych do opowiadania, budowaniem z treści, posiadających duży ładunek informacyjny i uczuciowy. Dzięki temu łatwo buduje się nastroje i sugestie wyobrażeniowe.

Zresztą te znane czytelnikowi punkty obrazu mają specjalny walor w powieści, która bardzo swobodnie traktuje nasze kategorie ujmowania rzeczywistości. Nie chodzi już o to, że miasto zdobyte zostało skokiem z huśtawki, że maskowanie odbywa się przy pomocy latawca zasłaniającego księżyc, że handluje się cieniami. Gorzej, że przekreślono wszystkie niemal prawa, które rządzą widzeniem świata: po ulicach krążą lektyki i samochody (napęd sprężynowy!), lisica była guwernerką dzieci zamożnego indyka, a więc przypuszczalibyśmy, że jest jaroszem; tymczasem na wycieczki zabierała ćwiartki kurcząt, dobrze upieczonych. Odbicie gwiazd w wodzie źródła daje herbacie złoty kolor. Autor nie oszczędził ani czasu, ani rozmiarów, ani najelementarniejszych proporcji wielkości, ani praw przyrody. Czas, odległości, stosunki między rzeczami dowolnie skracają się i wydłużają, przedmioty ukazują się nagle, i jak w filmie: w zbliżeniu, znikają równie niespodzianie. Jednocześnie zaś wszystko dzieje się tutaj bardzo lo-

gicznie — metafizyka jest wyśmiana, lub sprowadzona do humorystycznej interpretacji naszego zwyczaju językowego. Książka dostarcza wielu ciekawych informacji, dlaczego włosy stają na głowie, przekonywa nas, że koty urządzają naprawdę piękną i wzruszającą muzykę, wyjaśnia jak to jest możliwe, że pewne myszy mają w sobie krew królewską (te mianowicie, które zjadły Popiela). Ta bogata i nowa wiedza o świecie wypływa z dwu tendencji: poetyzowania rzeczywistości oraz obserwowania komicznych konsekwencji powszechnie przyjętych zwyczajów językowych, obyczajowych, społecznych.

Niepowtarzalny urok książki zależy właśnie bezpośrednio od przemieszania naturalistycznych obserwacji świata przyrody, trafnych, podanych doskonałym językiem, sugestywnych, — z owym światem fikcji najbardziej nierzeczywistej, bo będącej nadbudową nad fikcją konwencji społecznych. Obok lirycznej, bardzo oryginalnej obserwacji przyrody — czerpie Żukrowski swobodnie z zespołu naszych zwyczajów patrzenia na świat, naszych zwyczajów nazywania i kwalifikowania. Jedne poetyzuje, drugie ukazuje w ramce dowcipu. Książka uważnie odczytana nabiera charakteru programowego — to walka z myśleniem strasznych mieszczan. Pozycja diametralnie różna od straszliwego słownika frazesów, gdzie koty są tylko fałszywe a wojny okropne. Żukrowski pokazał rzeczy najbardziej codzienne w blasku szlachetności (pchły lisicy!), ośmieszył i pomniejszył wielkie instytucje: sąd, królów, burmistrzów. Konsekwentnie burzy niemoralny rozdział życia na codzień — ze świństewkami dnia powszedniego, oraz życia odświętnego, kiedy się jest bohaterem i Katonem. Tego samego — innym narzędziem — dokona z przeciwstawnymi tonacjami: życie szare i życie poetyczne. Właśnie poetyczny jest piasek parzący stopy a odrażająca królewna.

Taka przebudowa świata, rozbicie różnych rzekomości, zniszczenie rzekomych różnic i podziałów — stanowią bardzo specjalną naukę moralną, cenną w najbardziej ogólnej recepcji dzieła literackiego.

Przebudowa kryła przecież niebezpieczeństwo karykatury. Ta bywa tyleż dowcipna co przykra. Ominął autor to niebezpieczeństwo w oryginalny sposób: nie tworzy karykatur, ale konsekwentnie wyolbrzymia cechy zjawiska, osoby lub grupy. Dostaliśmy dzięki temu wspaniały obraz wsi Skąpice. Ta poprawność myślenia — często z opuszczonymi elementami rozumowania jest źródłem wielu pomysłów i wyjątkowego zupełnie humoru. Oto najwyższą nagrodą dla kota jest cień tygrysa, jeśli myszy zauważyły poczciwość kota, rosnącym terrorem zmuszają go wreszcie do wykradania słoniny z pułapek.

Trudno obliczać jak dalece książka związana jest genezą swoją z czasami wojny, kiedy to autor kładł ją na papier w przerwach między zajęciami bardzo mało literackimi. Świat nie tylko w czasie wojny wydaje się straszny — tu pokazany jest siłą prze-

ciwstawienia świat pogodny, radosny, ciekawy — co nie znaczy bezpieczny, wygodny, bezmyślny. Książka uczy właśnie jak można w każdym dniu odnaleźć radosne przeżycie, zdobyć coś, poświęcić, ale nie stracić.

Książka jest przystosowana do czytelnika dziecięcego — to oznacza tutaj, że obok pełnych walorów literackich przeprowadził autor kontrolę tematyki, kontrolę słownictwa. Usunął tak obowiązującą powszechnie a niesłusznie erotykę, problematykę polityczną i społeczną. Aluzje zrozumiałe dla pewnych wąskich zresztą środowisk czytelnika specjalnie wykształconego — posiadają taką redakcję, że sa zrozumiałe literalnie, również i dla dzieci. Wskazał bardzo dobitnie, że czytelnik młody wymaga książki najlepszym językiem pisanej, bogatszej niż wyspecjalizowana powieść dla dorosłych, ale książki naprawdę pieknej.

Pomijając walor spełniania warunków dwu kręgów czytelniczych, dwu wymagań tak trudnych do pogodzenia — w naszej literaturze dzieciecej „Porwanie w Tiutiurlistanie“ jest po dziś pozycją rzeczywiście najlepszą i najpiękniejszą.

Julian Lewański

W o l t e r, KANDYD CZYLI OPTYMIZM. Przełożył Boy. Spółdzielnia Wydawnicza Wiedza 1947.

Zainteresowanie Wolterem w Polsce, sympatie i antypatie trwaja niemal dwa wieki: już w roku 1750 reprezentowano jego tragedię „Amerykanie“ w warszawskim kolegium Pijarów. Popularność uzyskał chyba historią Karola XII, króla szwedzkiego, w której wielokrotnie o polskie sprawy potrąca, a którą w języku polskim już 1754 roku można było czytać. „Zadyg albo przeznaczenie“ cieszył się widać nie byle jakim wzięciem, skoro w lat 50 ma 6 wydań polskich, z tych przedruki z roku 1786 i 1790 dokonane jakoby we Wrocławiu. Tłumaczeń doliczymy się blisko 80, parają się nimi liczni i dobrze nam znani, na przykład Szymanowski, Węgierski, Staszic, Euzebiusz Słowacki, konsekwentny i uparty Jacek Przybylski. Jemu to właśnie zawdzięczamy tłumaczenie „Kandyd Wszędobylski czyli Naylepszość“, drukowane w roku 1780 rzekomo w Lipsku, następnie w Warszawie 1803 — tak więc przekład Boya bedzie zapewne drugim, a druk „Wiedzy“, powtarzający 35 tom Biblioteki Boya (który wyszedł zdaje się w roku 1917), drukiem czwartym. Cyfra to mała — wyznaczają ja dwie okoliczności: „Kandyd“ był zbyt radykalny, aby się mógł podobać (sztuki sceniczne jak „Zadyg“, „Alzyra“, „Meropa“, „Brutus“ — były poręczniejsze). Wolter miał u nas wcale licznych przeciwników, szarpano go pismami, ganiono i oczerniano. Kiedy zaś ustała polemika — ustało i zainteresowanie starcem z Ferney. W latach trzydziestych kończą się tak liczne przedtem przekłady i druki, wolterianizm schodzi do antykwariatu albo lamusa klasycznego: po „Katylinie“ Laskowicza (Wilno 1836) Smolarski w swoim studium

wymienia aż po rok 1918 zaledwie trzy tłumaczenia (choć wspomina o czterech!).

Son coeur repose ici, son esprit est partout — napis to dumny i fałszywy, krytykuje Staszic zdanie wyryte na puharze kryjącym serce Woltera. Rzeczywiście wzory ludzi, którzy rozprawiają, dyskutują o praistniejącej harmonii, pełni i materii subtelnej, nie są ani sentymentalni, ani uczuciowi, nie kochają ojczyzny — mogły zachwycać u nas tylko nielicznych. Racjonalistyczny pisarz, jakim także był Krasicki, układa przypadki Doświadczyńskiego równolegle do wszędobylskiego Kandyda, ale nie wydaje się, aby go uwielbiał. Jak w ogóle trudno mówić o szkole literackiej Woltera w Polsce, tak dalekimi dopiero przekładniami moglibyśmy wyznaczać wpływy „Kandyda" na nasze piśmiennictwo.

Czy dzisiaj chętniej dyskutujemy — jak Kandyd, Marcin, Pangloss, Wenecjanin, nawet sługa Kakambo: w czasie jazdy konnej, na pokładzie statku, w ogródku pod Konstantynopolem, przy każdej okazji? Toniemy w dziennikach, książkach, audycjach, w gotowych schematach patrzenia na rzeczy i ludzi, usłużnie zewsząd podsuwanych — dla tego rosnącego automatyzmu myślenia może być ta książka znowu albo skałą niepokoju, spiętrzeniem strumienia leniwych myśli, albo niewygodną zawadą, którą się omija. Okaz muzealny.

Mimo perspektywy dwu wieków książka jest silna. Bolesna groteska świata i życia, jakieś szukanie szczęścia i uczucia przy zaprzeczeniu wszelkich uczuć pozytywnych u ludzi — najgorszy ze wszystkich możliwych światów. Apelujemy do poetyki: przecież to nie powieść — to traktat filozoficzny, podziwiajmy nową formę literacką, której twórcą był właśnie Wolter. A jednak książka jest przykra i pociągająca: ma jakiś urok ta mieszanina humoru i grozy, rzeczy wstrętnych i naiwności, siły oburzenia autora i jego logicznej nieporadności. Sceptyk nagle, w ostatnim rozdziale, w coś wierzy: że wystarczy usłyszeć jedną naukę od starego ogrodnika, aby stać się dobrym i szczęśliwym, pisarz — musiał uszanować uczucie (Kandyda do Kunegundy), bo nie potrafiłby złożyć inaczej wątku długiej podróży.

Treścią książki jest podróż — wcale nie fantastyczna, można ją dokładnie na globusie nakreślić. Spotkania są prawdopodobne, sceneria przekonywająca, akcesoria dość starannie dobierane: już zaczynamy wierzyć autorowi. Dopiero kilka żartów, porozumiewawczych uśmiechów do czytelnika („wszystkim wiadomo, że Kakambo urodził się w Tukumie..."), seria naciągniętych cudownych powrotów do życia — przypominają, że mamy jednak przed oczyma fikcję literacką. Równoważna jest ona tutaj makabrycznemu indeksowi odstępstw od natury społecznej ludzi, zwyczaju dobrego, moralności chrześcijańskiej. Ani jeden władca nie jest dobroczyńcą, ani jeden ksiądz nie naucza, kupiec nie oszukuje. Nie pokazał nam Wolter ludzi przy pracy, w rodzinie, przy zabawie — widzimy katów, oszustów, prostytutki, chorych wene-

rycznie, pederastów, sodomitów, co kilka kart częstowani jesteśmy zbrodnią, katastrofą, zgwałceniem, rozpaczą. Rejon szczęśliwości, gdzie nauka ma pałace, króla na przywitanie całuje się serdecznie w oba policzki, sądów nie ma, wszyscy są jednego zdania, modlitwy są tylko dziękczynne — Eldorado jest dokładnie zamknięte górami i Wolter nie pokazał żadnej ścieżki, która by tam prowadziła. Zaczynamy patrzeć z jakąś nadzieją na poczciwych służących — Kakambo jest wierny, podstarzała córka papieża dba o bohaterów powieści. Czy może na tych ludziach pracy będziemy budowali optymizm — to też ryzykowne, bo przecież wieśniacy i robotnicy, żołnierze najchętniej zajmują się ćwiartowaniem ludzi i gwałceniem niewiast. Jeden jest tego powód, albo raczej w ogóle go nie ma: ludzie zawsze byli tacy, twierdzi Wolter. Dlatego zawsze żyje się w konwulsiach niepokoju albo w letargu nudy. Nie należy pytać o powód takiego właśnie stanu rzeczy — nie należy pytać o cel życia. Niespodzianie w ostatnim rozdziale uzdrawia nas pisarz dziwną nauką: uprawiajcie swój ogródek, a będziecie szczęśliwi. Ta maksyma nie wynikła z poprzednich perypetii, ani dowodzeń, jest nieoczekiwana i mało przekonywająca, mimo tego, że słuszna i jedyna pozytywna w tym krwawym chaosie świata. Wahamy się czy powiedzieć, że Filozof zorientował się w końcu opowieści, że nie można tak bezlitośnie pozbawiać czytelników jakiegokolwiek punktu oparcia, czy właśnie chciał ich zaskoczyć rewelacją, wahamy się w drugim dylemacie: czy kompozycyjnie była ta sytuacja przemyślana, czy nie. Dylemat trzeci: czy nauka wyraża naprawdę głębokie przekonanie autora, czy doczepiona została ze względu na cenzurę moralną?

Spór o to, czy świat jest dobry, czy zły, będą rozstrzygać między sobą optymiści i pesymiści — miejmy nadzieję: zawsze bez rezultatu. Pańska książka, panie Arouet, nie zmieniła wiele na świecie, ot tyle, że ostrzej widzimy życie. Takie nieszczęścia jak trzęsienie ziemi w Lizbonie, królowie Bułgarów naszych czasów potrafią organizować szybko i skutecznie: przy pomocy jednej bomby. Potrafimy jednak z tej niewesołej książki, która tyle burzy, wybrać i materiał do budowy. Podpiszemy się pod obserwacjami Woltera wyszydzającego strupieszałe instytucje: zakony zaniedbane, przekupnych żandarmów, bezmyślnych monarchów. Umowy społeczne muszą być ustawicznie kontrolowane. Współczujemy pokrzywdzonym, niewolnikom, służebnym. Podtrzymamy również chwalebny minimalizm: nie pytaj dlaczego jest tak źle, a przede wszystkim przytakniemy zasadzie: uprawiaj swój ogródek, mały kawałek ziemi *(hoc erat in votis ... Horatii !)*, bądź miłosierny — a będziesz szczęśliwy. Funkcja bezpieczna i moralna na swój sposób.

Więc jednak książka zwyciężyła czas — dwa blisko wieki. Jest żywa i dzisiaj. Może zawdzięcza to wartościom literackim. Makabryczna podróż Kandyda jest interesująca, intryga toczy się żywo, czytelnik kupiony żartami autora — by wymienić choćby

przemowę Kakamby do Indian o prawie narodów, wybaczy zjawianie się pogrzebanych niemal w naszych oczach — ponownie na scenie. Czytelnik pochwali dalej krótkość opowiadań, dialogów, rozdziałów ułożonych bardzo rytmicznie, dobrze wymierzonymi całościami, przyzwyczai się i zasmakuje nawet w makabrycznych żartach, oceni dowcip, język bardzo dobitny. W recenzowanym wydaniu ilustracje Uniechowskiego, wkomponowane są starannie: na początku każdego krótkiego rozdziału zapowiadają jego treść — jak to było dawniej w zwyczaju „argumentem" uprzedzać czytelnika o przebiegu akcji.

Kiedy nieco zmęczeni poszukiwaniem w książce punktów, nasze słowiańskie zaufanie do świata krzepiących, kiedy z niejaką niechęcią stwierdzimy, że jedyne uczucie, poświęcenie i przywiązanie, mianowicie Kandyda do Kunegundy — też zostało ośmieszone, notujemy zdanie: optymizm, to obłęd dowodzenia, że wszystko jest dobrze, kiedy nam się dzieje źle. I wtedy chciało by się odwrócić kartę tytułową i zapisać: pesymizm, to obłęd dowodzenia, że wszystko jest źle.

Julian Lewański

Stanisław Pigoń, WŚRÓD TWÓRCÓW. Studia i szkice z dziejów literatury i oświaty. Kraków 1947. Wydawnictwo M. Kot.

Stanisław Pigoń przypomniał dobry obyczaj z lat międzywojennych: pod wspólną okładką zebrał studia naukowo-literackie, rozproszone po czasopismach i wydawnictwach zbiorowych.

W swojej treści i metodach badawczych jest to wolumen dziwnej zasobności. Ułożył go autor z uwagi na pokrewieństwo tematów w trzech seriach, którym służą tytuły: „W kręgu wileńskim", „Wśród wróżbitów i mistyków", „Wśród twórców". Seria trzecia, najzamożniejsza w materiały, dała tytuł całemu tomowi, przywodząc w ten sposób wspomnienie jednego z najlepszych zbiorów Ignacego Matuszewskiego.

Grupa „W kręgu wileńskim" jest oddana w całości historii kultury. W swoim dorobku naukowym autor posiada studia „Z dawnego Wilna" (1929), z którym spoufalił się blisko przez badanie ruchu filomackiego. Z tego okresu pozostały w tece: rozprawa „Księcia Kuratora Adama Czartoryskiego troski o język i literaturę polską", szkic z dziejów wolnomularstwa na Litwie „Między kazalnicą a lożą", przyczynek do biografii Józefa Jeżowskiego „Filomata na wygnaniu". Wszystkie te studia, wyrosłe na szerokiej podstawie archiwalnej i bibliotecznej, stanowią szczególnie celową interwencję historyka piśmiennictwa do spraw historii kultury.

Grupa „Wśród wróżbitów i mistyków" zawiera rozprawy, oparte na różnych założeniach metodycznych. „Przepowiednia Wernyhory", ustawiona pod lupą filologa, daje pokaz wybornej metody tekstologicznej w poszukiwaniu tekstu głównego (z r. 1809)

i eliminacji wariantów późniejszych. „Adoracja Towiańskiego“ dysponuje bogatym materiałem źródłowym do przedstawienia zbiorowego stanu kultu, któremu ulega całe pokolenie. „Dwoista filozofia Bronisława Trentowskiego“ jest analizą myślicielstwa, w którym Pigoń rozpoznał skazę organiczną: rozdwojenie między chrześcijaństwo i wolnomularstwo. W ten sposób kilka szczegółów w mrocznych dziejach polskiego myślenia mistycznego Pigoń zdołał objaśnić sposobami badania filologa, historyka i historyka filozofii, dowodząc rozbudowanego warsztatu metodycznego.

W grupie trzeciej „Wśród twórców“ pierwsze miejsce otrzymał Mickiewicz, jak przystało na tom Stanisława Pigonia. Najpierw została wytoczona „Sprawa o autorstwo Karylli“, w której dopatrywano się pióra Mickiewicza od czasu dawnego poglądu Estreichera. Pigoń skreśla definitywnie „Karyllę“ z pism Mickiewicza, wypowiadając domysł, że może to drobiazg studencki Michała Balińskiego. W bardzo ciekawym szkicu analitycznym został rozpoznany „Szekspir w Sonetach krymskich“ (mianowicie w sonecie „Góra Kikineis“). „Czas akcji w Panu Tadeuszu“, zbadany z wielką przenikliwością, doprowadza do wniosku, że Mickiewicz pojmował go „nie naturalistycznie, ale niejako syntetycznie, symbolicznie“. Wniosek ten poprzedza szereg dyskusyj z tekstu poematu, w których oglądać możemy całkowite panowanie nad dziełem i czujny zmysł analityczny. Rozprawa „Zdania i uwagi“ wyznacza szereg źródeł literackich cyklu i czyni to w sposób ostrożny i powściągliwy. Inne szkice, związane z postacią Mickiewicza, dotyczą jego krytyków: Wojciecha Darasza, redaktora „Demokraty polskiego“, T. T. Jeża, Artura Górskiego, Stanisława Windakiewicza. Ocena monografii Windakiewicza z r. 1935 może służyć za przykład lojalności intelektualnej przy wyostrzonym krytycyzmie.

Pozostałe studia z grupy „Wśród twórców“ nie ujawniają równie jednolitych zainteresowań tematycznych. W zasięgu Mickiewicza znajduje się w tej książce także i Słowacki: Pigoń wykrył inspiracje „Pana Tadeusza“ w „Horsztyńskim“ („Słowacki pod pierwszym urokiem Pana Tadeusza“). Do licznych opracowań motywu Wandy w literaturze polskiej dorzuca badacz zapomnianą scenę dramatyczną Konstantego Gaszyńskiego, dla której znalazły się wcale odległe źródła i parantele („Wanda-Astrea“). Analiza i dokumenty, szczególnie sprawne w rękach Pigonia, pozwalają na postawienie i dowód tezy, że „Krasiński w Zwolonie Norwida“ jest bohaterem dramatu. Obszerna rozprawa, poświęcona temu przedmiotowi, wyjaśnia proces powstawania i nasycenia treścią postaci literackiej, w tym też aspekcie posiada wartość ogólniejszą. Osłonięty metaforą w tytule „Cześnika z Rejentem pojedynek literacki“ dotyczy głośnego starcia między Fredrą i Goszczyńskim, którego echa Pigoń zdołał wychwytać jeszcze w starości zapaśników. Inne studium o Goszczyńskim („Oratorium wieszcze S. Goszczyńskiego“) opracowuje pieczołowicie papiery poety, by uzy-

skać rekonstrukcję poniechanego dramatu „Ostatnie męczeństwo", do którego dostarczyła natchnienia martyrologia Warszawy r. 1861.

Studia ostatnie wyrosły z nowej epoki, ale korzeniami tkwią przecież w badaniach nad romantyzmem. Tak wiec pomysłowa rozprawka „Jeszcze jeden protoplasta imć p. Zagłoby" ujawnia poprzednika literackiego postaci w zapomnianej powieści Ludwika Sztyrmera „Noc bezsenna". „Goście z zaświata na Weselu" Wyspiańskiego zostali zdeterminowani w swoich funkcjach i roli metodą badania, wyrobiona przy egzegezie „Dziadów" wileńskich. Tak romantyzm i jego problematyka pojawiają się w tej książce nawet wówczas, gdy autor porzuca swoją epokę. Studium końcowe „Karol Hubert Rostworowski" daje próbę syntetycznego myślenia badacza, który jednak szczególnie swobodnie wypowiada się w formach wszelkiej analizy.

Taki jest ogólny rysunek książki, w którego wykreśleniu dopomaga jasny i konsekwentny układ całości. Trzeba obszernego artykułu, by wyliczyć i ocenić wszelkie n o v a, jakie tom Pigoniowski wnosi do wiedzy naszej o wieku XIX. Stanowisko autora wobec materiału jest jednolite bez względu na przedmiot, który podlega badaniu. Pigoń wychodzi zasadniczo z dokumentu literackiego, którym czyni najchętniej tekst dzieła rygorystycznie ustalony. Dokument literacki autor bada metoda filologiczną, wspomagana przez zabiegi naukowe, zaczerpnięte z dziedziny psychologii, filozofii, historii kultury. Szczególnie instruktywnych wzorów rozumowania dostarcza Pigoń jako filolog. Tekst nie ma przed nim tajemnic. Pigoń potrafi wydobyć z niego dokładną chronologię powstania (np. w studium „Przepowiednia Wernyhory"), określić źródła i inspiracje, doczytać się wszystkich aluzyj literackich, wywieść z literatury rodowody postaci. W tym rozumieniu patrzymy na studia „Wśród twórców" jako na m o d e l e metody naukowej, stosowanej z rzadką sprawnością i dyscypliną pióra.

Stanisław Pigoń chętnie posługuje się forma szkicu (nie zaś np. monografii), który leży szczególnie w jego upodobaniach kompozycyjnych. Jest to szkic literacki w swoistym wariancie autora: essay filologa, rozwinięty z żywego podłoża erudycji i krytyki tekstu. Pozostanie tajemnica Stanisława Pigonia, jakim sposobem erudycja literacka nie jest ciężarem tych stronic, ale ich skrzydłami.

Tadeusz Mikulski

H e n r y k S z y p e r, ADAM MICKIEWICZ poeta i człowiek czynu. Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik 1947.

Współczesna bibliografia Mickiewiczowska nie zanotowała jeszcze monograficznego opracowania naszego poety dla nowego czytelnika i nowych czasów. Głosy prasy raz po raz kwestionują wartość piór kreślących tradycyjne monografie o Mickiewiczu. Głos W. Kubackiego („Odrodzenie" 1947 Nr 48) przypomina nam te sprawy.

Książka Henryka Szypera wychodzi właśnie na przeciw nowej prawdzie o poecie i człowieku czynu. Daje też dobre oświetlenie zagadnień niedostrzeganych i pomijanych dotąd, rewiduje pogląd obiegowy i stary.

Patronowali nam długo Mickiewicz — mistyk i Maryla w różnych odmianach. Dziś poznajemy go innym, zdobywamy człowieka walki o postęp i sprawiedliwość, socjalistę. I tak pojął swoją pracę Henryk Szyper.

Celem jego książki, jak sam pisze we wstępie, „jest przedstawienie w sposób popularny dorobku wiedzy historyczno-literackiej o największym naszym poecie", ambicją zaś spojrzenie „w duchu aspiracji krytyki postępowej".

Otwieramy książkę. Ile w niej nowości? Co zostaje z lektury?

Zostaje Mickiewicz człowiek; kobieta nie determinuje jego twórczości, lecz ją tylko urozmaica. Tłem zaś jest jak najszerzej pojęte życie uwarunkowane zjawiskami socjalnymi i zdarzeniami politycznymi.

Mickiewicz urodzony w drobnoszlacheckim, zradykalizowanym — jak pisze H. Szyper — środowisku, nie dziwi nas w filozoficznej spólnocie z człowiekiem w robotniczej bluzie — Lelewelem; nie dziwią obrazy w czwartej części „Dziadów", ten „krzyk krzywdy społecznej", której nie przysłoniło mu urodzenie i jeśli nawet o chłopie rosyjskim poeta powie: „Biedny narodzie, żal mi twojej doli! Jeden znasz tylko heroizm: niewoli", ufamy w szczerość wypowiedzi. Redaktora „Trybuny ludów" mierzymy w książce H. Szypera miarą wielkiego publicysty i działacza rewolucyjnego, który w bluzach paryskiego ludu widział objawienie ducha bożego; którego potępił papież, kapitalista i polski arystokrata.

„Skład zasad legionu polskiego", „Manifest wyborczy" ogłoszony przed wyborami do Zgromadzenia Narodowego 1849 r. w „Trybunie Ludów" (Mickiewicz był jednym z redaktorów manifestu), artykuły publicystyczne tego okresu, wszystko to formuje nową postać: daje Mickiewicza rewolucjonistę, człowieka umiejącego wyznać, że „obowiązkiem chłopa jest poznać, iż jest on powołanym do rządzenia" (str. 217), człowieka, którego polityczne myślenie sprecyzuje sens krzywdy społecznej i nieuniknionej w tych warunkach walki (klas), skoro konkluduje: „lud, który walczy o swoją niepodległość, albo o rozszerzenie swoich swobód, ma prawo uważać za przyrodzonych swoich wrogów stare dynastie".

„Francja to ouvrier". „Byłem i jestem socjalistą" (str. 208) — cytuje H. Szyper wypowiedzi Mickiewicza. Wiemy, że socjalizm pojmował poeta trochę inaczej niż współcześni (różnił go napoleonizm), ale słowa społecznego wyznania i ówcześnie i dziś mają swoje dobre brzmienie, o które wzbogacamy jego wielką postać w ostatniej wersji: Mickiewicz działacz rewolucyjny, socjalista.

Obiektywizm nie pozwala autorowi nie dostrzegać upadków i załamań duchowych Mickiewicza (okres Towiańszczyzny), lecz ta biograficzna prawda nie psuje całości portretu, przeciwnie, odlewa jego nową posągową postać, w której nie będzie nic z mitu i przygodnej stylizacji.

Zawdzięczamy książce H. Szypera jeszcze spojrzenie na literacki, sąsiedzki nam wschód w mickiewiczowskim okresie.

Przyjaźń Mickiewicza z Puszkinem i waśń rozpętaną powstaniem listopadowym 1830 r. nakreślono skrupulatnie i przejrzyście, z najdrobniejszymi nawet śladami zgody lub sporu, w twórczości obu poetów.

Prowadząc sprawę Puszkina i Mickiewicza H. Szyper pisze: „W walce caratu z rewolucyjną Polską rzucił Puszkin na szale swoje poetyckie słowo". Napisał osławioną przeciwpolską Trylogię. Postępowa inteligencja rosyjska potępiła ten krok. „Potomni, nawet nie z obozu zdecydowanie radykalno-społecznego (Sołowiew, Tołstoj) uważali ten moment w twórczości Puszkina za moralne załamanie się poety".

Idźmy dalej za Szyperem. Mickiewicz w odpowiedzi na brutalną napaść zdobył się na rozumny krok: pisze „Dziady" — „Wielki akt oskarżenia przeciw zbrodniom caratu" — i „Ustęp". Szyper pisze: „Zapragnął Mickiewicz wyraźnie zaznaczyć, że dzieło jego nie jest wyrazem nienawiści do całego narodu rosyjskiego" (str. 133). Dawno już bowiem rozróżnił Rosję despotów i moskiewskich przyjaciół — rosyjski lud.

Można by wspomnieć (w intencji autora książki o Mickiewiczu) — nie zgadnąć czyje to — powiedzenie: Puszkin — w naszym wypadku — w sprawach społecznych: starozakonny, Mickiewicz: ewangelista.

Zdarzenie „Mickiewicz i Puszkin" przyniosło dużo wymian literackich rosyjsko-polskich między tymi dwoma warsztatami poetyckimi; o nie Henryk Szyper potrąca głośno. Dają one nową sumę, o którą wzbogacamy nasz upowszechniający się bilans kulturalny.

Wiele skorzysta tu przygodny czytelnik i gimnazjalista.

Warto propagować tę książkę w szkole, by nie rzec z patosem „niech idzie pod strzechy". Daje ona bowiem oglądać Mickiewicza w całym bogactwie jego życia i rozumu. Daje człowieka postępu.

Książka jest popularnym wykładem; styl gładki i czysty, metoda odkrywa starą lecz nieuznaną prawdę, przydaje szlachetności wywodom. Analiza twórczości poetyckiej pełna znawstwa i smaku.

Jan Pierzchała

„Zeszyty Wrocławskie" w zwierciadle

Już możemy zanieść „Zeszyty Wrocławskie" do introligatora, by uczynił z pierwszego rocznika okazały wolumen. Przy tej okazji ważymy w rękach cztery numery, oceniając, jak przybywało im tuszy: zeszyt 1 liczył 88 stron, zeszyt 2 spęczniał umiarkowanie do stron 127, gdy zeszyty następne urosły na przekór trudnościom: 3 — do stron 176, 4 — do stron 183. Niechże teraz kłopocze się rzemieślnik, by jednym grzbietem oprawy ująć tom, który przekroczył 36 arkuszy druku. Czytelnik zaś patrzy na spis rzeczy, by uchwycić rozwój pisma od strony treści.

„Zeszyty Wrocławskie", ograniczone zrazu do rozpraw krytycznych, już w numerze 2 dały twórczość literacką, w numerze 3 pojawiła się — stała odtąd — rubryka literatury przekładowej,

również w numerze 3 Arkusz młodych, od numeru 2 przybywa kart petitowych, oddanych na recenzje literackie, kroniki, przeglądy.

Ale cyfry tylko w części tłumaczą historię pisma, która nie jest jeszcze zamknięta. Toteż sprzeciwiamy się łatwej pokusie: nakreślenia autoportretu. Chcemy postawić przed „Zeszytami" inne zwierciadło: bieżącej opinii i krytyki literackiej, która już parokrotnie dawała odpowiedź na pytanie: jak wyglądamy? Karol Heintsch, sekretarz Koła, otwiera przed nami zapełnione pilnie segregatory. Dobywamy z nich całą garść wycinków prasowych.

Najczęściej podawali „Zeszytom" zwierciadło sprawozdawcy miejscowi: Tadeusz Lutogniewski, Jan Gawałkiewicz, uważni i obiektywni czytelnicy pisma, wolni od popularnego przesądu, że we Wrocławiu chwali się wszystko — co z Wrocławia. Wiele miejsca dawała „Zeszytom" katowicka „Odra", gdzie redaktor stałej rubryki „Wśród czasopism" nie zgrzeszył pobłażliwością chyba ani razu.

Ale „Zeszyty" wyszły rychło poza „geografię regionu": już o pierwszym numerze kwartalnika Maria Dąbrowska napisała piękny artykuł w „Nowinach Literackich", porządkując w pamięci swoje liczne i bogate wspomnienia o Wrocławiu. Artykuł postawił pismo w skali ogólnopolskiej, dotarł szeroko i przełamał od progu obojętność, która towarzyszy każdemu debiutowi.

Recenzenci pisma kłopoczą się nieraz, do kogo mianowicie — nie jesteśmy podobni. Metodą takiej charakterystyki można istotnie uchwycić rysy osoby portretowanej, choć przyznać trzeba, że jest to droga okrężna. Przyszło nam czytać, żeśmy przypominali zrazu (ale potem dość szybko przestaliśmy przypominać) miesięcznik „Śląsk" (tak pisała „Odra"), że nie przypominamy „Odry" (tak pisała „Kuźnica"), że nie stworzymy konkurencji dla „Twórczości" (tak pisała „Odra"), że „Zeszyty" są bardziej ogólnokrajowe niż „Twórczość" (tak twierdziła okazjonalnie „Kuźnica"). Porównawcze te oceny można śledzić z pewną obojętnością, nie są bowiem trwałe i bezwzględne.

„Krytykować można wiele" — powiedział (powiedziała) o „Zeszytach" Agata Kajzerek. Ale mimo tej zapowiedzi krytykowano nas raczej mało i nie potwierdził się na „Zeszytach" los Edwina z komedii Fredry „Odludki i poeta", któremu zdarzyły się „krytyki dwa arkusze, trzy wiersze pochwały".

Pewne nieporozumienie wywołał przymiotnik w tytule „Wrocławski". Kwalifikował on „Zeszyty Wrocławskie" jako służące kulturze regionu. Wprawdzie już numer 1 pisma dał pod tym względem proporcje właściwe: przeszłość kulturalna Wrocławia pojawiła się tutaj w otoczu kultury polskiej (w całym układzie związków i zależności), z wyraźnymi zainteresowaniami dla kultury europejskiej. Dalszy rozwój pisma potwierdził tę postawę. W miarę jak wiązali się z wydawnictwem współpracownicy z Warszawy, z Poznania, z Łodzi, z Krakowa... oddalała się i nikła po-

czątkowa obawa — zamkniętego kręgu ludzi i tematów. Mimo to w notatkach sprawozdawczych o „Zeszytach“ przewijała się nieraz — w intencji całkowicie pozytywnej — uwaga, że to jeszcze jedna pozycja w literaturze regionalnej. Pod tym względem przedstawił najjaśniej istotny stan rzeczy kryptonim ph z „Kuźnicy“.

Dwukrotnie napotkał „Zeszyty“ zarzut jednostronności. Wyraziła go najpierw Agata Kajzerek, pisząc, że pismo „ze smutną regularnością obraca się wokół uniwersytetu“ (jak i wszystko inne we Wrocławiu). Nie podobna kwestionować tej konstatacji, chociaż można kwestionować — samą ocenę. Jest to zresztą uwaga, na którą zasłużył zeszyt 1, później niepowtórzona.

Innego rodzaju jednostronność wystąpiła przy nowej okazji: nota „Kuźnicy“, podpisana znakiem żłk (a więc wolna od cechy anonimowości), atakowała generalnie czasopisma polonistyczne, że nie dostrzegły „surowej potrzeby społecznej“, której zaspokojenia oczekuje od periodyku literackiego czytelnik naszej epoki. Był to zarzut wymierzony w cały zespół pism i pozostał — jak się zdaje — nie odparty. Deklaracja nie jest formą dyskusji. Ale niech tutaj wystarczy: „Zeszyty Wrocławskie“ mają ambicję i chcą reprezentować atrakcyjność, siły i zasoby kultury polskiej w jej wysokich wartościach humanistycznych. Czynić tak we W r o c ł a w i u — to znaczy spełniać obowiązek pisarski w skali tak bardzo rozległej, że tylko z wielkim trudem można ją sprowadzać do „beztroski intelektualistów“.

Łatwo pisząc o „Zeszytach Wrocławskich“ oceniać je jako zjawisko pewnej wagi — na ziemiach odzyskanych. Ale tylko nieliczni recenzenci dostrzegli, że pismo, które ma zapewnioną dobrą prozę literacką z kilkunastu czynnych pracowni pisarskich, zabiega także o swoisty gatunek literacki w krytyce. Jest to styl szkicu literackiego, posiadający własną „poetykę“: praktykę i teorię pisarską. Ze szczególną satysfakcją wyczytaliśmy aprobatę tej formy krytycznej w sprawozdaniach ph w „Kuźnicy“ i w ocenach Agaty Kajzerek w „Odrze“, przewrotnie maskowanych żartobliwym pseudonimem.

W wypowiedziach prasy literackiej o „Zeszytach Wrocławskich“ powracała raz po raz sprawa kolportażu. Ubolewano, że pismo, które zdołało uzyskać pewien poziom i zapewnić sobie punktualność wydawniczą (któż wie „z Polski“, co to znaczy we Wrocławiu?), nie posiada sprawnego pośrednictwa księgarskiego. Chcemy was czytać, tylko zorganizujcie nam lekturę — widziało się nieraz w druku i między wierszami. Skoro nie Mahomet do góry, przyszła góra do Mahometa. Na trzeci zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu księgarz Józef Lach zapewnił należyty kolportaż pisma. W kiosku Polonii, gdzie mieszkała najliczniejsza grupa zjazdowa i gdzie odbywały się obrady, położono cały stos N. 4 „Zeszytów Wrocławskich“, który był podówczas nowością wydawniczą. Czy zgadniecie, ile egzemplarzy

pisma sprzedał w ciągu zjazdu literatów Józef Lach, księgarz wrocławski? Nie zgadniecie: Jeden. Jeden egzemplarz!

„Krytykować można wiele“ — słusznie powiedział (powiedziała) Agata Kajzerek.

BIBLIOGRAFIA „ZESZYTÓW WROCŁAWSKICH“

z a p o w i e d z i   w y d a w n i c t w a:

1. Tadeusz Lutogniewski, Aktywność literacka Wrocławia. Odra, II, 1946, N. 42 (53). Kolumna: Polonistyka Wrocławska 1945/1946.

2. (ten), List z Wrocławia. Koło Miłośników literatury i języka polskiego we Wrocławiu. Nowe Horyzonty, Przemyśl. III, 1946, N. 51/52 (121/122).

3. (t.mt.), Nowe wydawnictwo wrocławskie. Trybuna Dolnośląska, II, 1946, N. 152 (173).

o   z e s z y c i e   1:

4. Agata Kajzerek, Nowy znak kulturalny Wrocławia. Odra, III, 1947, N. 7 (64). W rubryce: Książka ziem odzyskanych.

5. Maria Dąbrowska, Miasto i pismo. Nowiny Literackie, I, 1947, N. 1. — Korespondencja. Ib., N. 5 (sprostowanie w liście M. Dąbrowskiej do redakcji).

O artykule M. Dąbrowskiej zob. m. in.: (t. lut.), Czytamy „Nowiny Literackie“. Naprzód Dolnośląski, III, 1947, N. 69 (362). Horyzont kulturalny. — (hi), Wśród czasopism. Odra, III, 1947, N. 16 (73). — Adam Galos, Odra, N. 17 (74).

6. (ki), Wśród czasopism. Odra, III, 1947, N. 5 (62).

7. Stefan Papèe, Wśród wydawnictw. Odrodzenie, IV, 1947, N. 6 (115).

8. (t.lut.), Wrocławskie pisma literackie. Naprzód Dolnośląski, III, 1947, N. 15 (308). Horyzont kulturalny.

9. (Y), Słowo Polskie, I, 1946, N. 57.

10. (anonimowo), Tydzień, II, 1947, N. 10 (34).

11. (anonimowo), Tygodnik Powszechny, III, 1947, N. 6 (99).

o   z e s z y c i e   2:

12. (ki), Wśród czasopism. Odra, III, 1947, N. 18 (75).

13. Stefan Papèe, Wśród wydawnictw. Odrodzenie, IV, 1947, N. 22 (131).

14. (t.lut.), Czasopismo na poziomie. Naprzód Dolnośląski, III, 1947, N. 110 (403). Horyzont kulturalny.

o   z e s z y t a c h   1—2:

15. Stefan Papèe, Wrocław literacki — co czwartek. „Nie ma dla nas wypoczynku“. Dziennik Polski, III, 1947, N. 126 (810). Dziennik Literacki, N. 10.

16. rt, Wśród czasopism. Nowiny Literackie, I, 1947, N. 19.

o zeszycie 3:

17. Jan Gawałkiewicz, Słowo Polskie, II, 1947, N. 236 (292).
18. (ki), Wśród czasopism. Odra, III, 1947, N. 34 (91).
19. Stefan Papée, Wśród wydawnictw. Odrodzenie, IV, 1947, N. 33 (142).

Uwagi o recenzji Anny Kowalskiej z książki Antoniego Gołubiewa: Bolesław Chrobry. T. 1—2:

20. jas., „Pan historyą umie..." Tygodnik Powszechny, III, 1947, N. 38 (131). — Zbyszko Bednorz, Czy „rewolucja mas" u Gołubiewa? Odra, III, 1947, N. 38 (95). — Wojciech Żukrowski, Jeszcze o Gołubiewie. Odra, N. 41 (98), w rubryce: Korespondencja

o zeszytach 1—3:

21. ph, Przegląd prasy. Kuźnica, III, 1947, N. 34 (103).

o zeszycie 4:

22. (ki), Wśród czasopism. Odra, III, 1947, N. 48 (105).
23. (tad), W sprawie skandalu z „Zeszytami". Wrocławski Kurier Ilustrowany, I (III), 1947, N. 160 (614). Ekran tygodnia. W rubryce: Uwagi (o kolportażu wydawnictwa na Zjeździe literatów).

o zeszytach 1—4:

24. Agata Kajzerek, Rozmowa wrocławska. Odra, III, 1947, N. 43/44 (100/101) — (fikcyjna rozmowa z sekretarzem redakcji). Zob. P. Konaszewicz, Jubileuszowy numer Odry. Wrocławski Kurier Ilustrowany, I (III), 1947, N. 103 (557). Ekran tygodnia N. 15.

oceny i charakterystyki ogólne:

25. Roman Aftanazy, Oblicze kulturalne Wrocławia. Wiadomości o Śląsku, 1947, N. 12. Instytut Śląski we Wrocławiu.
26. Gaw., Odrobinę uczciwości... Wrocławski Kurier Ilustrowany, I (III), 1947, N. 68 (522). Ekran tygodnia N. 10. (polemika z wrocławskim korespondentem „Słowa Powszechnego").
27. Wywiad z Janem Kottem. Blaski i cienie Wrocławia. Wywiad przeprowadził Leszek Goliński. Słowo Polskie, II, 1947, N. 228 (284).
28. Anna Kowalska, Scripta manent. Wrocławski Kurier Ilustrowany, I (III), 1947, N. 123 (577). Ekran tygodnia.
29. Julian Lewański, Literatura we Wrocławiu. Śląsk II, 1947, N. 6/7.
30. Antoni i Mikołaj Mazanowscy, Obraz literatury polskiej. Okresem lat 1918—1947 uzupełnił Stefan Papée. Kraków 1947, s. 850.
31. Tadeusz Mikulski, Temat Wrocław. Wrocławski Kurier Ilustrowany I (III), N. 123 (577). Ekran tygodnia.
32. Po zjeździe pisarzy polskich. Rozmowa ze Stefanem Otwinowskim. Rozmowę przeprowadził Jarosław Janowski. Echo Kra-

kowa, II, 1947, N. 330. — Zob. Pisarz o Wrocławiu. Miasto najwdzięczniejszej publiczności. Słowo Polskie, II, 1947, N. 332 (387).

33. ph, Przegląd prasy. Kuźnica, III, 1947, N. 47 (116) (zestawienie z „Twórczością").

34. W. Ścibski, Notatki i niedyskrecje z kulturalnego życia Wrocławia. „Śląsk" we Wrocławiu? Słowo Polskie, II, 1947, N. 307 (362).

35. Wilhelm Szewczyk, Rodzące się zdrowie literatury. Dziennik Zachodni, III, 1947, N. 351 (1024).

36. żłk, Czasopisma polonistyczne. Kuźnica, III, 1947, N. 43 (112), w rubryce: Noty (ocena polemiczna całej grupy czasopism literackich ze stanowiska „zamówienia społecznego").

37. (anonimowo), Dzieje i praca administracji wojewódzkiej na Dolnym Śląsku. Śląsk, II, 1947, N. 2/3, s. 24.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Spółdzielnia Wydawnicza WIEDZA

Witold Kula — Historia Gospodarcza Polski 1864—1918.
Wanda Melcer — Wyspa szczęścia.
Ignazio Silone — Chleb i wino.
Stefan Surzycki — Spółdzielczość w nowym ustroju gospodarczym Polski.
Tadeusz Manteufel — Średniowiecze.
Henryk Jabłoński — U źródeł teraźniejszości.
Jerzy Żuławski — Stara ziemia.
Andrzej Strug — Pisma. Ludzie podziemni.
Charles Kingsley — Na podbój świata.
Anatol Winogradow — Potępienie Paganiniego.
Karin Michaelis — Dzieci z Nyhaun.
Honoré Balzac — Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau.
Rudyard Kipling — Księga dżungli.
Emil Zola — Germinal. T. 1—2.
Pola Gojawiczyńska — Ziemia Elżbiety.
Mieczysław Zawadka — Stefan Okrzeja 1886—1905.

Spółdzielnia Wydawnicza CZYTELNIK

Gustaw Daniłowski — Z minionych dni.
Janusz Meissner — Wyspa ostatniej nadziei.
Michał Priszwin — Korzeń życia.
Józef Ignacy Kraszewski — Hrabina Cosel. T. 1—2.
Kornel Filipowicz — Krajobraz niewzruszony.
Pola Gojawiczyńska — Rajska Jabłoń. T. 1—2.
Mirosław Żuławski — Ostatnia Europa.
Jarosław Iwaszkiewicz — Czerwone tarcze.
Adam Ważyk — Mity rodzinne.
Henryk Szyper — Adam Mickiewicz. Poeta i człowiek czynu.
Stanisław Słoński — Słownik polskich błędów językowych.
Michał Szołochow — Cichy Don.
Władysław Tatarkiewicz — Historia Filozofii. Filozofia nowożytna do roku 1830. T. 2.

New York E. P. Dutton and Company I. N. C. 1946

Antoni Gurowicz — Sergei Rachmaninoff.

Wydawnictwo EXPRESU WIECZORNEGO

Jerzy Piórkowski — Niepodlegli.
Władysław Kisielewski — Dywizjon Lancasterów.
Robert L. Stevenson — Wyspa Skarbów.
Franciszek Trembalski, Roman Motyka — Pół wieku socjalizmu polskiego na Śląsku.

TREŚĆ ZESZYTU